

Kasey Michaels

Eskapada

Dla Mary McBride, której duch szybuje
wolny niczym duch orla;

Dla Leslie LaFoy, której przenikliwe niczym rentgen
spojrzenie przebija stalowe ściany;

Dla Kay Hooper, która jednym skokiem
potrafi pokonywać przeszkody;

I dla Fayrene Preston, której kochające serce
widzi w każdym z nas supermana.

Bo po cóż żyjemy, jeśli nie po to,
by bawić naszych sąsiadów i samemu śmiać się z nich,
kiedy na nas przyjdzie kolej

- Jane Austin

Księga pierwsza

Wyszukana rozrywka...

Tweedledum, a z nim Tweedledee,
Stają oto zgodnie do walki,
Gdyż rzekł Tweedledum, że mu Tweedledee
Grzechotkę nową potłukł w kawałki.

- Charles Lutwidge Dodgson
(przeł. M. Słomczyńskiego)

Był przystojnym, pięknie ukształtowanym mężczyzną:
bardzo dobrym kompanem,
o ciętym dowcipie i lotnym umyśle.

- John Aubrey

1

Simon Roxbury, wicehrabia Brockton, włożył kapelusz na głowę, energicznym klepnięciem przekrzywił go zawa-diacko na bakier, i przystanął na opustoszałym bruku, rozglądając się na boki. Zaczepnął przesyconego wilgocią londyńskiego powietrza, w którym kryła się zapowiedź rychłej ulewy, unosząc przy tym głowę, tak że w świetle pochodni, płonących po obu stronach jaskini hazardu, z której przed chwilą wyszedł, ukazała się jego twarz.

Jeśli chodzi o wygląd, jego lordowska mość był mężczyzną wysokim, silnym, dobrze zbudowanym i diabelnie przystojnym na dodatek. Dumna matka milorda mogła chełpić się niezwykłymi oczami jedynaka, które miały kolor sher-ry, oraz burzą ciemnobrązowych włosów, które w sposób po prostu rozkoszny wiły mu się nad czołem i karkiem. A już bokobrody wicehrabiego stanowiły przedmiot palącej zazdrości niejednego ze znajomych.

Do zalet cielesnych tego młodego człowieka należało dodać dowcip - raczej sarkastyczny, okazały majątek, nieskazitelne pochodzenie oraz także manieri. Krótko mówiąc, był niemal chodzącą doskonałością. Zdaniem większości debiutantek i ich ambitnych mamuś, w pełni zasługiwałyby na to określenie, gdyby tylko nieco bardziej interesował się tą cudowną instytucją, jaką jest małżeństwo. Którą to instytucją nie interesował się absolutnie i nie planował się nią zainteresować jeszcze przez wiele lat.

Mimo wszystko, uwzględniając nawet nieprzezwyczęzo-

ną niechęć wicehrabiego Brocktona do uczynienia jakiejś wdzięczającej się panienci najszcześniejszą istotą na świecie, jawił się on jako wspaniały okaz rodzaju ludzkiego, kiedy tak stał i czekał, aż jego powóz podjedzie do krawężnika. Minęła właśnie trzecia; wicehrabia porzucił towarzystwo przyjaciół, którzy zamierzali do rana rznąć w karciecia. Jeśli chodzi o niego, był aż nadto gotów, by opuścić jaskinię hazardu, jako że osiągnął cel, który wyznaczył sobie na tę noc. Jego misję można było zapoczątkować w jeden wieczór, lecz nie da jej się zakończyć w tak krótkim czasie.

Ale nie miało to żadnego znaczenia. Nie spieszyło mu się.

To była następna z wielu cennych zalet Simona Roxbury'ego. Był człowiekiem cierpliwym. Do tego stopnia cierpliwym, że tylko uśmiechnął się, kiedy powóz podjechał, a lokaj zeskoczył, by usłużnie otworzyć wielmożnemu panu drzwiczki, kając się przy tym za spóźnienie. Wystąpił jakiś mały problem z hamulcem powozu, tłumaczył się służący.

- Nie rozplynę się od odrobiny mżawki - zapewnił wicehrabia zaspanego lokaja, po czym dał nura do wnętrza powozu... gdzie niespodziewanie znalazł się nos w nos z naładowanym pistoletem.

- Niech pan siada, sir, i każe stangretowi ruszać - rozkazała mu zza pistoletu jakaś ciemna postać ochrypłym, ale mimo to niedwuznacznie kobiecym głosem.

Simon odwrócił głowę i zerknął w tył, gdzie za drzwiczkami, w odległości nie większej niż pięć stóp od niego, stał lokaj, nieświadom trudnej sytuacji, w jakiej znalazł się jego chlebowdawca.

- Proszę tego nie robić, ostrzegam pana, bo palnę panu w łeb i będę się śmiać, kiedy pański mózg rozprysnie się po całym powozie.

- Cóż za niesmaczny byłby to widok - zauważył przyciszonym głosem Simon; pozbył się już obaw, że zaraz zginie, i zaczął koncentrować się na tym, jak nie dać się zastrzelić.

Prawdopodobnie udałoby mu się puścić uchwyty po obu stronach drzwiczek i rzucić się w tył, na bruk, w chwili kiedy kula nieszkodliwie gwizdnie mu nad głową, a potem

wpaść prosto w drzwi lokalu, który tak niedawno opuścił. Prawdopodobnie. Zważywszy jednak na fakt, że pistolet wyglądał na ciężki, a jego wyraźnie podenerwowana właścicielka z trudem utrzymywała go oboma rękami, mogło się też skończyć na tym, że wicehrabia zostanie zastrzelony na śmierć, zanim zdąży paść na ziemię.

- Bardzo dobrze - powiedział cicho, żeby lokaj go nie usłyszał. - Usiądę, jeżeli zechce pani odrobinę przesunąć tę niegodziwie wyglądającą zabawkę, madame.

- To nie jest żadna zabawka, i proszę się nie zwracać do mnie „madame”, ponieważ wcale nie jestem kobietą, sir - odparował porywacz, kiedy Simon zajął siedzenie naprzeciw niego, a drzwiczki zatrzasnęły się za nim i w powozie zaległa ciemność. - A teraz proszę kazać stangretowi jechać.

- Ależ oczywiście, wcale nie jest pani kobietą - zgodził się uprzedzająco grzecznie Simon. Wiedział, że wariatom najlepiej ustępować, przynajmniej dopóki nie uda ich się rozbroić. - Jakże mogłem być tak ślepy? Jest pani prawdziwym brutalem, przynajmniej z ducha i przekonania, czyż nie? Szkoda, że została pani obarczona aż takim nadmiarem cech kobiecych. A na dokładkę jeszcze głosem i sposobem wyrażania się niewiasty dobrze wychowanej. Tak, mężczyzna, który uznałby panią za kobietę, zasługiwałby na wybaczenie, chociaż osobiście nie przypominam sobie zbyt wielu przyzwoitych pańienek, które miałyby zamiłowanie do broni palnej. Co za wstyd. Jeżeli jest pani drugim synem, bez grosza przy duszy, który wkroczył na drogę przestępstwa, wyobrażam sobie, iż fakt, że nieustannie biorą panią za kobietę, musi sprawiać pani niewymowną przykrość.

- Pana śmierć nie sprawiłaby mi najmniejszej przykrości - odparła napastniczka, a Simon Brockton zauważył, że obutymi w drewniaki stopami nie całkiem dotyka podłogi powozu.

Bezczelna smarkula! - pomyślał; miał ogromną ochotę sięgnąć ręką, wyrwać tej pannicy pistolet, a potem porządnie wygarbować jej nim skórę w dolnej części pleców. Mógł ją rozbroić w jednej chwili, a nawet jeszcze szybciej. Wy-

starczy, żeby pozostał bierny, zachował niewzruszony uśmiech na twarzy i będzie mógł zaraz... klik.

Uśmiech wicehrabiego nie przybladł nawet na moment, kiedy jego właściciel, usłyszawszy, jak nieznajoma odciąga kurek, zmieniał plany.

- O rety, rety, ależ z pani uparciuch! A czy nie pora już, żeby wszystkie niesforne dzieci grzecznie leżały w łóżeczkach?

- Powiedziałam - powtórzyła porywaczka, ignorując obelgę - żeby rozkazał pan stangretowi ruszać. I jeśli łaska, proszę zetrzeć z twarzy ten ohydny, protekcyjnalny uśmieszek. To poważna sprawa.

- Och, tak, całkowicie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - zapewnił ją Simon. Niepokój, że ta kompletnie nieznana mu osoba może zrobić w nim dosyć dużą dziurę, rywalizował z zaciekawieniem, jakie też mogła mieć ku temu powody. Ciekawość, która wyszła na prowadzenie w tej samej chwili, kiedy cała przygoda ruszyła z linii startowej, wygrała o kilka długości. - Bardzo dobrze, moja młoda rozbójniczko, zrobię to, o co prosisz. Ale tylko dlatego, że mnie to bawi... chwilowo.

Pochylił się do przodu, na co „młoda rozbójniczka” odsunęła się pospiesznie w kąt powozu, i otworzył małe drzwiczki, dzięki czemu mógł porozumieć się ze stangretem.

- Hardwick! - zawołał ostro - Porozmawiamy sobie jutro na temat głębi przywiązania, jakie żywisz dla swego czcigodnego pracodawcy. Coś mi się zdaje, iż twój brak czujności wydatnie pomógł wpakować tegoż pracodawcę w niezłą kabałę.

- Przepraszam bardzo wielmożnego pana - odezwał się stangret, a w niewielkim lufciku pojawiła się jego rumiana twarz. - Całkiem nie rozumie, o czym wielmożny pan raczy mówić, na mą dusę, że nie rozumie. Tylko zem tu siedziół, bo się zbierało na mżawkie, jak zawsze to robie. A, no i jeszcze oczywiście zem hamulec naprawioł.

- Podnosisz mnie na duchu, Hardwick - dobrodusznie odrzekł wielmożny pan i spod oka spojrzął na oddaloną o dwie stopy porywaczkę oraz pistolet. Łatwo byłoby go wyrwać, gdyby miał taki zamiar. Ale nie miał. Pistolet był

odbezpieczony, a prawdopodobieństwo, że jedno z nich dwójga zostanie zastrzelone całkiem na śmierć, wysokie. Śmiałość to jedno, a brak wyobraźni, to całkiem coś innego. - Gdyby nie to, mój pocziwcze - ciągnął Brockton po sugestywnej przerwie - może poczułbym się zmuszony uwierzyć w twój brak lojalności.

- Czy mógłby pan przestać perorować, jak jakiś nudziarz, i po prostu wydać polecenie! - przerwała mu szeptem nastawniczka, wymachując przy tym pistoletem, trochę bez ładu i składu, jak się Simonowi zdawało.

- Cierpliwości, moja droga, cierpliwości. Pomyślałem sobie, że może chciałaby pani posłuchać, jak Hardwick mówi. Czy zwróciła pani uwagę na jego seplenienie? Poćwiczenie czegoś takiego mogłoby się pani przydać, zwłaszcza jeżeli napadanie na powozy ma wejść pani w krew. - Z głębi gardła porywaczki wydobył się cichy warokot, a Roxbury zmierzył ponownie w myśli odległość między sobą a lufą pistoletu. Nie. Ryzyko doprawdy było zbyt wielkie. - Och, próbowałem tylko pomóc. Nie ma się co tak jeżyć. Jeśli wolno zapytać, czy miała pani na myśli jakiś konkretny cel, czy też będę zmuszony po raz drugi zawracać biednemu, tępemu Hardwickowi głowę?

- Niech mu pan każe jechać w kierunku Hamstead Heath. Jest tam taka oberża, „Pod Zielonym Człkiem”. Czy pan ją zna?

- Hamstead Heath? Oberża, a raczej, jak powiedziałyby Hardwick, „ober-za” „Pod Zielonym Człkiem”? Znam i jedno, i drugie, to znaczy wiem, gdzie się znajdują. Lecz musiałbym być naprawdę zielony niczym wiosenna trawka, żeby odważyć się zbliżyć do tej jaskini zbójców po zmroku. Czy nie może pani wymyślić jakiegoś bliższego miejsca? - Simon teatralnie westchnął. - O rety, znowu zaczyna pani wymachiwać pistoletem. No dobrze, już dobrze. Hardwick - zawołał - pod „Zielonego Człeka”, mój pocziwcze. I pospiesz się. Poczuję nagle nieodpartą potrzebę, by pozbawiono mnie wszelkich doczesnych dóbr, jakie mogą mieć przy sobie.

Kiedy powóz ruszył, Simon rozsiadł się znowu na mięk-

kich poduszkach, założył nogę na nogę i skrzyżował ręce na piersi. Usta mu się wygięły w szelmowskim uśmiechu.

- Zadowolona?

- Nieśłychanie, milordzie, jeżeli musi pan wiedzieć - odparła porywaczka głosem ponętnie ochrypłym, a przy tym cudownie kobiecym, który brzmiał dużo bardziej interesująco niż wcześniejszy, rozmyślnie chrapliwy szept. Czy spotkał ją już kiedyś na jakiejś imprezie towarzyskiej? Tańczył z nią? Wieczerał? Czy w jakiś sposób ją obraził? Nie wydawało mu się. Ten głos był zbyt charakterystyczny, by dało się go zapomnieć. - A teraz niech pan tu grzecznie siedzi - rozkazała szorstko, a potem nie odzywała się przez dłuższy czas, a dokładnie mówiąc, dopóki Hardwick nie wywiózł ich za miasto.

Simon również nie wyjawiał swoich zamiarów, chociaż jego spokój ducha był jedynie odległym wspomnieniem. Zastanawiał się, jakim cudem zdoła zmazać hańbę, że dał się obrabować zwykłej dziewczynie, jeżeli fakt ten przedostanie się kiedykolwiek do publicznej wiadomości. Ostatecznie dżentelmen musi dbać o własną reputację.

Poza tym zrobiło się późno, a on był okrutnie zmęczony, i może nawet nieco znudzony. Nie: „może”, zdecydowanie był znudzony. Uprzytomnił sobie, że to dość dziwna reakcja w obliczu grożącego mu niebezpieczeństwa. Raz jeszcze zwalczył senność. Dłużej jednak nie był w stanie opierać się łagodnemu kołysaniu dobrze resorowanego powozu i, ku własnemu zaskoczeniu, Simon przysnął.

Niewykluczone, że nawet trochę chrapał.

- Czy w najmniejszym stopniu nie interesuje pana, dlaczego pana porwałam? - zapytała w końcu dziewczyna, w głosie jej słychać było nieskrywane rozgoryczenie, a jeszcze bardziej nieskrywana była złość, z jaką wymierzyła Brocktonowi mocnego kopniaka w goleń.

- Żeby prawdę powiedzieć, nieszczególnie - odparł z całą szczerością wicehrabia, ziewając szeroko i prostując się na siedzeniu. Przez kilka godzin dość intensywnie pił i grał w karty, i teraz marzył wprost o łóżku. - Ale nie trapię się, bo jestem pewien, że w swoim czasie powie mi pani wszyst-

ko, co powinienem wiedzieć. A to będzie już niedługo, czyż nie? Mam się ochotę położyć, rozumie pani, mimo iż ostatnie pół godziny czy nawet dłużej spędziłem w towarzystwie tak błyskotliwej osóbkki.

- Dobry Boże, ależ pan jest nieznośny! - Wymierzyła mu jeszcze jednego kopniaka. - Powinnam pana zastrzelić, tak ogólnie ze względów zasadniczych.

Simon oparł się pokusie, by pomasować swoją już dwukrotnie urażoną kończynę. Jak się okazało, nie należy lekceważyć drewniaków jako broni. Ta dziewczyna zaczynała mu jednak działać na nerwy.

- Poczuję się lepiej, gdyby pani oświadczenie było raczej czymś jedynym w swoim rodzaju - powiedział; jak zwykle, kiedy był bardzo poirytowany, zachowywał się z niemożliwą wręcz do zniesienia uprzejmością. - Jednakowoż, ponieważ tak nie jest, przypuszczam, że powinienem spędzić kilka najbliższych dni na zastanawianiu się nad tym, czym aż tak uraziłem uczucia bliźniego... i bliżniej... by tak często i tak wielu określało mnie mianem człowieka nieznośnego. Czy może państwo jesteście zorganizowaną grupą? Czy spotykacie się na posiedzeniach? Zapisujecie w protokołach wszystko, co się dzieje? Może mógłbym się z nimi zapoznać? Pozwoliłoby mi to z maksymalną dokładnością określić moje co większe wady, oczywiście jeżeli nie zostałem przed wschodem słońca zastrzelony?

- Och, niechże się pan zamknie!

- Tak mi przykro - przeprosił Simon nieszczerze. Zastanawiał się, jak długo jeszcze tej młodej kobiecie uda się trzymać odbezpieczony pistolet i nie strzelić. - Odtąd może mnie pani uważać za mnicha, który złożył śluby milczenia.

- Gdybym w to uwierzyła, mogłabym uwierzyć we wszystko, a nie wierzę, żebym w to potrafiła uwierzyć - odpaliła napastniczka z czymś, co musiał nazwać skomplikowaną otwartością. Otwartością, za sprawą której ta potencjalnie niebezpieczna smarkula wydała mu się jeszcze bardziej interesująca.

Przez cały czas trwania swej przemowy, a prawdę mó-

więc, przez większość spędzonego w powozie czasu, Simon przeklinał ciemności, które skrywały przed nim *twarz* i postać porywaczki. Udało mu się jednak stwierdzić, że wcale nie jest wysoka, że jest raczej szczupła - i że pachnie wodą lawendową i koźmi. Co w sumie było dość miłym połączeniem. Akcent miała kulturalny, jak osoba wykształcona. Można się było domyślać, że pochodzi ze wsi i że Bóg musiał obdarować ją pewną ilością braci, od których uczyła się obyczajów, słów i wyrażzeń, jakich znać nie powinna. Roxbury popadł w zakłopotanie. Nie miał zwyczaju uwodzić niewinnych panienek z prowincji, nie potrafił więc sobie przypomnieć żadnej młodej damy, która mogłaby życzyć mu kalectwa lub śmierci.

A to utwierdziło go w mniemaniu, wcale nie takim dziwnym, iż nieznajoma wywozi go za miasto po to tylko, by go przekazać innym porywaczom, którzy będą nagabywali o okup jego niewątpliwie tym przerażoną matkę, wicehrabinę Brockton. Matka będzie przejęta grozą, wystraszona i niezawodnie rozkojarzona, taki miała charakter. To z kolei będzie pewnie niestety oznaczało, że Simon pozostanie na łasce porywaczy przynajmniej przez tydzień, dopóki wicehrabim nie przypomni sobie, gdzie szukać prawników rodziny Roxbury, i dopóki nie zgromadzi funduszy koniecznych, by syna uwolnić.

Oczywiście oznaczało to również, że wicehrabia opuści zaplanowany na jutrzejszy wieczór, rozpaczkliwie z pewnością nudny raut u lady Bessingham, czego bynajmniej nie można uznać za niepowetowaną stratę.

Porywaczka odgięła róg skórzanej zasłonki i rozejrzała się po okolicy, którą rozjaśniał już blask kolejnego, wilgotnego, angielskiego poranka. Po chwili zasłonka opadła.

- Dojechalśmy już niemal do celu, pora więc, bym brała się do roboty.

- Brała się do roboty? - powtórzył Simon, a przynajmniej jedna mała częśćka jego osoby zaczęła tę nocną przygodę traktować poważnie. - Czyżby to miało oznaczać, że przekaże mnie pani w ręce innych porywaczy, czy też po pro-

stu zastrzeli mnie i oddali się moim powozem? Błagam, niech pani łagodnie traktuje Hardwicka i lokaja. Mogą odrobinę protestować, zaniepokojeni o swego chlebobawcę, a nie chciałbym, by stała im się najmniejsza krzywda.

- Porywacze? - W głosie dziewczyny brzmiało niedowierzanie i Simon zaciął zęby, żałując, że nie zrobił tego przed chwilą. Najwyraźniej nieznajoma nie brała pod uwagę ani porwania, ani okupu. Czyżby sam podsunął jej nowy pomysł? I czy ten pomysł będzie lepszy, czy gorszy w skutkach od tego, który dał asumpt do jego porwawia? - Dobry Boże, człowieku, nie chciałbym oglądać pana dłużej niż jeszcze przez jakieś dziesięć minut. I dlaczego miałabym chcieć porywać pana dla okupu?

- A więc planuje mnie pani zastrzelić - domyślił się wicehrabia, a jego rozluźniona poza zadawała kłam temu, że w pełni był przygotowany, by wyrwać napastniczce pistolet z dłoni, która niewątpliwie musiała osłabnąć. - Ale nie planowała pani, by zrobić to ze względów ogólnie zasadniczych, jeżeli dobrze sobie przypominam. Co znaczy, że musi mieć pani jakiś określony powód, aby odgrywać tę komedię. Czy pozwoliłbym sobie na zbyt wiele, gdybym poprosił, by się pani wytłumaczyła?

Pistolet pozostawał wycelowany pewnie w jego pierś, nawet bardziej pewnie niż przez ostatnie trzydzieści minut.

- W końcu się pan zainteresował? Zaczynałam już podejrzewać, że w tej pana przystojnej głowie mieści się tylko tyle rozumu, ile trzeba do kantowania przy kartach!

Simon szeroko się uśmiechnął i znowu się odprężył. Najwyraźniej dzierlatka dużo bardziej chciała mówić, niż strzelać.

- W mojej przystojnej głowie? Och, ależ pani mi pochlebia, madame. Proszę, niech pani mówi dalej. Czy słyszałem coś o kantach karcianych? Wicehrabia Brockton znany jest ze swoich wielu wad, ale zapewniam panią, madame, że oszukiwanie przy kartach do nich nie należy.

Przyglądał się, jak pistolet lekko opada, a potem się znowu unosi.

- Wicehrabia Brockton? O czym, u diabła, pan mówi? Kim jest wicehrabia Brockton?

- Ho, ho - rzekł z uśmiechem Simon. Na zewnątrz dniało, a i jemu mimo ciężkiego położenia zaczynało rozjaśniać się w głowie, czego nie można było powiedzieć o jego skonsterowanej towarzyszcze. - Czyżbym odkrył jakiś maleńki problemik, młoda damo? Taką znikomą komplikację, być może? Tak, tak mi się wydaje. Proszę pozwolić, że się przedstawię.

Wyciągnął rękę, ani przez moment nie łudząc się, iż nieznamoma włoży mu do niej pistolet.

- Jestem Simon Roxbury, wicehrabia Brockton, właściciel rezydencji w Sussex i przy ulicy Portland oraz w kilku różnych miejscach pomiędzy jednym a drugim, których wyliczaniem nie będę obecnie pani zanudzał. A teraz kolej na panią. Za kogo pani mnie wzięła?

Ale odniósł wrażenie, że porywaczka nie słucha. Mamrotała pod nosem coś, z czego docierały do niego jedynie strzępki zdań.

- Ze wszystkich pustogłowych tłumoków, skończonych półgłówków... jak mogłam się tak pomylić? Herb był jego, mogłabym przysiąc!

- Herb? - przerwał jej Simon, który wolał, by młoda dama skupiała się raczej na chwili bieżącej i trzymanym w ręku pistolecie. Nigdy nie wiadomo, co może zdarzyć się z bronią, na którą nikt nie zwraca uwagi. - Czy ma pani może na myśli tę dekorację na drzwiach mojego powozu? Ładną sumkę mnie kosztowała, mówiąc szczerze, ale jeżeli człowiek zamierza jeździć po mieście i chełpić się tym, jak ważną jest osobistością, liche malowidło na nic mu się nie przyda, nieprawdaż?

Westchnął głęboko, żałując, że nie ma przy nim jego przyjaciół, Kościeja i Armanda, i że nie mogą przyglądać się tej rozgrywce, brnął jednak dalej, z wielkim zadowoleniem wpędzając porywaczkę w jeszcze głębszą rozpacz-

- Okropnie kosztowne jest takie imponowanie znajomym za pomocą różnych błyskotek, rozumie pani, ale nie da się tego uniknąć. Upierała się przy tym moja matka.

- Nie rozumiem, jak... jak ja mogłam... co? Czy pan do

mnie mówi? Dlaczego pan do mnie mówi? Rany koguta, za dużo pan mówi! Czy nie widzi pan, że mam problem?

- Zaprawdę, widzę. Ma pani problem. A właściwie można by rzec, że my mamy problem. Oboje. Ale proszę, by się pani przemogła i na chwilę skoncentrowała, moja droga różbójniczko - ciągnął wicehrabia przyjaźnie, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu na widok strapionej miny smarkatej. - Wydaje mi się, że wiem, co wydarzyło się tej nocy, więc może pozwoli pani, bym wziął na siebie wyjaśnienia, jak znaleźliśmy się w takich opałach?

Dziewczyna siedziała oniemiała, spoglądając błędnym wzrokiem.

- Ależ oczywiście - brnął dalej, jakby go o to prosiła - z rozkoszą to uczynię. Przybyła pani tego wieczoru na Curzon Street, szukając kogoś, jakiegoś okropnego, paskudnego osobnika, który wyrządził krzywdę pani lub komuś, kogo pani kocha, a krzywda ta ma coś wspólnego z grą w karty. A potem zakradła się pani do całkowicie niewłaściwego powozu. To potrafię zrozumieć, przecież było ciemno i padało. Czy do tej pory prawidłowo przedstawiłem bieg wypadków? Chociaż nadal sądzę, że powinienem porozmawiać z Hardwickiem, jako że okazał się słabym ogniwem w tym, co uznawałem za absolutnie szczelny mur obronny, który miał uchronić mnie przed koniecznością stawania twarzą w twarz z wymachującymi nabitą bronią brzdącami. A proszę tylko pomyśleć, jak znużone i wyczerpane są moje konie, zmuszone do biegu tak późną nocą! Coś mi się zdaje, że powinienem być dużo bardziej zły, niż jestem. O tak. Naprawdę powinienem się rozgniewać. Może nawet powinienem wpaść we wściekłość. Jak pani sądzi, czy jestem odpowiednio ubrany, by wpadać we wściekłość? Może gdybym był cały na czarno...

- Czy pan wreszcie przestanie? Rany koguta, głowa mnie przez pana zaczyna boleć! - Pistolet znowu nieco opadł, podtrzymywała go teraz tylko jedna drobna dłoń, druga zajęta była masowaniem skroni. - Planowałam i planowałam, i zbierałam się na odwagę... a wszystko po co? Żeby mnie jakiś idiota zagadał na śmierć? Och, co ja mam teraz zrobić?

Brockton pochylił się odrobinę do przodu.

- Gdybym mógł pani coś doradzić - odezwał się życzliwie - sugerowałbym na początek opuszczenie pistoletu.

Odbezpieczona broń ponownie została uchwycona obiema rękami i wycelowana w jego serce.

- Wykluczone, milordzie - odparła zjadliwie młoda kobieta, nadal przemawiając tym ponętnie ochrypłym głosem, który Simonowi przywodził na myśl zaciemnione sypialnie i ziemskie rozkosze nawet wtedy, gdy mówił o rozlewie krwi i okaleczeniach. Dlaczego właściwie zastanawia się nad podobnymi sprawami w podobnej chwili? Naprawdę będzie musiał starannie zbadać swój charakter, w którym musiały pojawić się jakieś skazy. Albo to, albo rozwinęło się w nim absurdalne poczucie humoru, o jakie się nawet nie podejrzewał. Tak czy owak, musiał przyznać, że świetnie się bawi. - Zdecydowanie nie oddam panu pistoletu. Nie mam wielkiej chęci, by na zakończenie tej nocy powlekli mnie do więzienia i zakuli w kajdany.

- Zakuli w kajdany? O, bardzo pani jest niesprawiedliwa! Jakżeby dżentelmen mógł zrobić coś takiego! - Poruszając się z wielką ostrożnością, wicehrabia wyciągnął rękę i opuścił skórzaną zasłonkę, by we wpadającym do środka świetle poranka stał się widoczny poważny wyraz jego twarzy. - Zapewniam panią, że nie została popełniona żadna zbrodnia. Często się zdarza, że na zakończenie wieczoru każę mojemu stangretowi zabrać mnie na relaksującą przejażdżkę na wieś. Naprawdę.

- Niech pan nie będzie dla mnie miły - odpaliła porywaczka. - Wcale pana nie lubię, ani odrobinę, a już z pewnością panu nie ufam. Zdecydowanie ma pan za dobry humor, a poza tym wydaje mi się, że pan sobie ze mnie kpi.

Simon parsknął gardłowym śmiechem.

- Kpię z pani, moja droga? Ależ oczywiście, że tak. Do wszystkich diabłów, madame, co mi innego pozostało... poza tym!

W chwilę później pistolet był już w ręku wicehrabiego, prawdopodobnie zanim porywaczka zdążyła zorientować się w jego zamiarach; szczęśliwie udało mu się ją zaskoczyć;

będzie mógł sobie później pogratulować, kiedy już pozbędzie się jej towarzystwa.

- A teraz - powiedział, gdy młoda kobieta przypadła do poduszek, niewątpliwie lękając się o swoje życie - może pozwoli mi pani na krótką wymianę słów z Hardwickiem w sprawie celu naszej podróży. - Zabezpieczył pistolet i schował go do kieszeni. - Zgadza się pani? Tak myślałem.

Pochylił się do przodu i otworzył lufcik, nie spuszczać jednak zaciekawionego spojrzenia ze swej prześladowczyni. Polecając Hardwickowi zawrócić powóz, przeprowadzał równocześnie pobieżną inspekcję. Figura: drobna i szczupła, pod zbyt obszerną peleryną, skandaliczne wprost, obcisłe nogawki i toporne drewniaki. Twarz: całkiem nie wiadomo jaka pod opadającym rondem kapelusza i kawałkiem czarnego jedwabiu, którym obwiązane były usta i nos. Oczy, jedyna część twarzy naprawdę widoczna: śliczne, szeroko rozstawione, dosyć wystraszone i zielone.

Zawsze miał słabość do zielonych oczu.

- No, teraz już lepiej - podsumował Simon, skończywszy rozmawiać ze stangretem, który najpierw wymamrotał kilka mało podnoszących na duchu określeń na temat wielmożnych panów, którzy piją na umór, a dopiero potem ściągnął konie i zaczął zawracać powóz. - A teraz, żeby zabić czas w trakcie jazdy do Londynu, może będzie pani tak uprzejma i coś mi opowie?

Dziewczyna podciągnęła jedwabny szal wyżej na twarz, wyraźnie pragnąc ukryć oczy, co jej się nie udało. Nie mogła tego zrobić i nadal widzieć wicehrabiego, nie mogła też nic poradzić na to, że zauważył, iż jej brwi, chociaż czarne, pozwalały domyślać się włosów koloru nie ciemniejszego niż kasztanowy, który całkiem dobrze harmonizował z jej nadzwyczajną gładką, kremową cerą.

- Nie mam nic do opowiadania, milordzie - odrzekła niechętnym i dosyć gniewnym tonem. - Wzięłam pana za kogoś innego. Albo niech mnie pan puści, albo przekaże mnie straży, kiedy wrócimy do miasta. Nie jestem panu winna żadnych wyjaśnień.

- Niechętnie zwracam pani na to uwagę, ale ktoś mógłby pomyśleć, że to pani wciąż trzyma pistolet, moja droga. Spróbujmy się zachowywać sympatycznie, co pani na to? - Simon otworzył małe drzwiczki z boku powozu i ukazał się schowek, w którym znajdowała się srebrna karafka i pół tuzina szklaneczek. - Czy miałaby pani ochotę na odrobinę brandy? O świecie zawsze robi się tak nieprzyjemnie chłodno.

Kiedy dziewczyna nie raczyła się odezwać, Roxbury wzruszył ramionami, wyjął korek z karafki i wlał nieco brandy do jednej ze szklaneczek. Następnie wychylił ją, pozwalając powiekom opaść, kiedy płyn spływał mu po gardle i rozgrzewał wnętrzności. Nic dziwnego, że jego matka przedkładała ten trunek nad inne, chociaż on sam zwykle wystrzegał się go, pozostając przy swoim ulubionym szampanie.

- Coś wspaniałego. A teraz nazwisko, piękna damo - zażądał szybko, przesywając ją spojrzeniem. - Proszę mi tylko podać nazwisko i uznamy, że w tej sprawie jesteśmy kwita. Żadnej straży, żadnych sędziów, żadnego więzienia. Wystarczy nazwisko... i jest pani wolna. Może je pani wyszeptać, gdyby miała pani takie życzenie.

Drobna figurka urosła o cały cal, kiedy jej plecy wyprostowały się na wyściełanym oparciu.

- Prędzej umrę, niż podam panu moje nazwisko, sir!

- Dobry Boże, dziewczyno, a na co mi pani nazwisko? - zapytał Simon, z upodobaniem patrząc na wściekłość młodej damy, wywołaną kompletną ruiną jej planów. Nietrudno będzie zdobyć tę informację później, jako że nie planował pozwolić dzierlatce tak całkiem zniknąć ze swego życia. Ale chwilowo inne nazwisko bardziej go interesowało. - Chcę poznać tożsamość człowieka, którego zamierzała pani tej nocy zamordować. W końcu może będę chciał go ostrzec. A może, jeżeli to rzeczywiście podły szuler, będę po prostu miał ochotę stać z tyłu i z przyjemnością przyglądać się całej sprawie. Jestem człowiekiem dosyć popularnym, o umiarkowanie dobrym sercu, a przynajmniej tak mi mówiono, ale nie brak mi drobnych wad.

Nieznajoma w geście rezygnacji rozłożyła ręce i powiedziała:

- Jeżeli po tym się pan zamknie, to z radością panu powiem. On nazywa się Noel Kinsey, hrabia Filton, a bardziej obrzydliwego, okropnego, bezdusznego...

- ...nikczemnego, godnego pogardy, niebezpiecznego człowieka trudno byłoby znaleźć - przerwał jej Brockton, wstrząśnięty do głębi, chociaż nie pozwolił, by jego rozmówczyni to odkryła. - Czy pani do reszty straciła ten swój mikroskopijny rozumek? Mogłem pani odebrać broń w każdej chwili, gdybym tego chciał. Filton nie tylko odebrałby ją pani, ale natychmiast zrobiłby z niej użytek. Zaczynam wierzyć, że będzie pani bardziej bezpieczna, jeżeli przekażę panią straży, naprawdę. Albo może każemy Hardwickowi przejechać koło szpitala Bedlam; tam moglibyśmy wyposażyć panią w pani własny, osobisty kaftan bezpieczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że pani zwariowała.

- Pana zdanie, milordzie, znaczy dla mnie mniej niż nic - oznajmiła ta irytująca osóbką i w tej samej chwili wicehrabia przekonał się, że jest bardziej zaradna, niż miał ochotę przyznać, bo wyciągnęła spod tej cholernej peleryny drugi pistolet. Cichy dźwięk, który dał się słyszeć zaraz potem, powiedział mu, że pistolet został odbezpieczony. - A teraz, milordzie, jeżeli zechce pan przyjąć ode mnie wyrazy ubolewania, sądzę, że przyszedł czas, byśmy się pożegnali. -

I, być może chcąc po prostu ugruntować -wicehrabiego w smętnym przekonaniu, że jednak go przechytrzyła lub że mogła mu w istocie zrobić krzywdę, nie uciekając się do pociągania za cyngiel pistoletu, wyrzuciła ostro w górę jedną nogę i posłała ciężki drewniak prosto w kierunku głowy Simona.

Natychmiast w powozie niepodzielnie zapanował chaos.

Powodując się bardziej nagłym gniewem niż przypływowem zdrowego rozsądku, Brockton chwycił drewniak, zanim ten zdążył wyrzucić mu jakąś krzywdę, i ruszył w kierunku dziewczyny, która -właśnie sięgała do drzwiczek, by je otworzyć. Odbezpieczony pistolet wypalił, kiedy zmagająca się z klamką, a kula gwizdnęła obok Simona i zaryła w tyle powozu, po drodze niemal oberwawszy wicehrabiemu lewe ucho. Hardwick wydal okrzyk i szarpnął za lejce, zatrzymu-

jąc zmęczony i powoli drepzczący zaprzęg w chwili, kiedy młoda kobieta otworzyła drzwi i wypadła z powozu na drogę.

Simonowi dzwoniło w uszach od huku, w gardle dławił go błękitny dym i smród prochu, przez co zareagował o pełną sekundę •wolniej niż zazwyczaj. Kiedy wyskoczył na zewnątrz, mógł już tylko przyglądać się, jak młoda kobieta, pozbawiona teraz obydwu drewniaków, bez wysiłku wskakuje na grzbiet jednego z dwóch koni, które najwyraźniej musiały podążyć tuż za powozem. Wrzasnęła do osoby, która trzymała wodze, „jedź za mną!” i już jej nie było.

Trzeba przyznać, że scena końcowa była dosyć dramatyczna, nawet jeśli pominąć fakt, że ta piekielna, prawie bosa niewiasta dosiadła konia, nie zadając sobie trudu, by skorzystać ze strzemion, wylądowała okrakiem na jego grzbiecie, a wszystko to z gracją, której pozazdrościłoby jej wielu znajomych płci męskiej wicehrabiego Brocktona.

W tej sytuacji on sam mógł tylko przyglądać się, jak dwa konie zawracają i pędem się od niego oddalają. Potem odwrócił się do lokaja, który wciąż jeszcze przecierał zaspane oczy, kuląc się na tyle powozu, i zapytał go słodkim głosem, czy nie wydało mu się to cholernie dziwne, że jakiś cholernik, jadąc na jednym cholernym koniu i prowadząc drugiego, podąża za tym cholernym powozem, od chwili kiedy wyjechali z cholernego Londynu?

Drewniaki, nie wiedzieć jak, znalazły się na koniec w rękach Simona i, kiedy ten zadawał lokajowi pytania, poleciały jeden za drugim między drzewa, którymi obsadzony był gościniec, przy czym obydwa buty ciśnięte zostały ze sporą pasją i imponującą siłą.

- Wielmożny panie! - wykrzyknął lokaj, w oczach więdnąc w obliczu tak rzadko podejmowanego przez wicehrabiego wysiłku fizycznego oraz jego jeszcze rzadszego ataku słownego. - Ja żem myślał, że oni byli pańscy, wielmożny panie.

Simon z trudem opanował się. Uśmiechnął się nawet.

- Moje? Moje. Och, rozumiem teraz. Moje. Oczywiście, że tak musiałeś pomyśleć. Wybacz mi, że nie uświadomiłem sobie tego, biorąc pod uwagę fakt, jak często wynajmuję

dwie szkapy, żeby wlokły się za moim powozem, w słabej nadziei, że może będę miał ochotę pojechać wierzchem od ulicy Curzon do Portland. - Odwrócił się do stangreta. - Zabierz mnie do domu, Hardwicu, jeżeliś tak łaskaw - poleciał ze znużeniem, nie spodziewając się już więcej oglądać owej tajemniczkiej, młodej kobiety.

Humor poprawił mu się odrobinę dopiero wtedy, kiedy znalazł na podłodze powozu pomiętą chusteczkę do nosa. Małą, białą chusteczkę z wyhaftowaną - dosyć niezdarne - literą „C”. Uniósł ją do nozdrzy i przekonał się, że pachnie ona lawendą, koźmi... i chlebem z masłem.

Nie wypuszczając chusteczki z rąk, Brockton ściągnął wszystkie zasłonki i zaczął przeszukiwać powóz. Wkrótce wypatrzył czerstwą skórkę chleba wciśniętą w fałdę aksamitnym poduszek. Ujął ją delikatnie dwoma palcami i przyjrzał jej się z uwagą.

Jego usta powoli rozciągnęły się w uśmiechu, stawał się on coraz szerszy, od ucha do ucha. Aż wreszcie, ku wielkiemu zdumieniu i konsternacji tak Hardwicka, jak i lokaja, Simon roześmiał się w głos. Donośnie, przeciągle i serdecznie.

- Co za tupet! Muszę ją odnaleźć - oświadczył w końcu, przemawiając do siebie samego. - W czasie, kiedy czekała tu, by mnie zastrzelić, urządziła sobie cholerny piknik. - Potrząsnął głową, równocześnie wzdychając z zadowoleniem, a potem wyciągnął długie nogi na przeciwległym siedzeniu i skrzyżował je w kostkach; poczuł się znowu całkowicie swobodnie.

- Na Boga, teraz już muszę ją znaleźć - dumiał na głos i cicho chichocząc, przesunął ponownie chusteczką pod swym wspaniałym, arystokratycznym nosem. - Armand będzie wprost zachwycony tą dzierlatką!

Jest takie hiszpańskie przysłowie, które mówi, i słusznie,
powiedz mi z kim mieszkasz,
a powiem ci, kim jesteś.

- Earl of Chesterfield

2

Ulica Portland biegła w jednej z najbardziej atrakcyjnych okolic Londynu i mieszkało przy niej kilka najbardziej interesujących i potężnych osobistości z wyższych sfer. Do admirała, lorda Radstocka, należała rezydencja pod numerem dziesiątym, a sir Ralph Milbanke, ojciec kobiety, która poślubiła, a następnie porzuciła George'a Gordona, lorda Byrona, rezydował pod numerem sześćdziesiątym trzecim. No i oczywiście był jeszcze Simon Roxbury, wicehrabia Brockton, który wraz ze swą owdowiałą matką uczynił elegancki gmach pod numerem czterdziestym dziewiątym swym głównym miejscem zamieszkania na czas trwania sezonu.

Obecnie zamieszkiwanie przy tej ulicy miało pewne ujemne strony, a zawdzięczało je po pierwsze skłonnościom księcia regenta do wznoszenia budynków, a po drugie wyjątkowo rozkołysanej wyobraźni osobistego architekta tegoż księcia. John Nash przejął kierownictwo nad zabudową Park Crescent, na północ od Portland, którą niegdyś już rozpoczęto, a następnie jej zaniechano, kiedy pierwszy budowniczy zaczął wykopki, a potem bezzwłocznie zbankrutował.

Od niemal sześciu lat na północ od Portland można było oglądać hałdy ziemi i gruzu, okolone pasem otwartej przestrzeni. Ale teraz obszar ten został ambitnie przechrzczony na Regent's Park i jeżeli Prinny postawi na swoim, powinien wkrótce przyćmić Hyde Park.

Wkrótce. Lada chwila. Tyle że ta „lada chwila” przemieniała się w całe miesiące, lata, a widok z ulicy Portland na

północ nieodmiennie robił przygnębiające wrażenie. Adres jednak był nadal imponujący, podobnie jak zdecydowanie imponujące były masywne, prywatne rezydencje. A gmach Brocktonów należał do klejnotów tej kolekcji.

Lokatorzy żyli w swoim dosyć ciasnym świecie. Rozpieszczone damy i dżentelmenów, którzy mieszkali przy ulicy Portland, trudno byłoby spotkać gdzieś dalej niż o kilka przecznic od dzielnicy Londynu znanej jako Mayfair. Spędzali czas w Hyde Parku i na Bond Street oraz w równie modnych rezydencjach swoich modnych znajomych. Innymi słowy, chociaż można być pewnym, że lord Brockton z daleka widywał most Westminster, nieczęsto znajdował powód, by przejechać przez tę konstrukcję na drugą stronę Tamizy.

A gdyby tak uczynił, może skierowałyby swój wspaniały zaprzęg na Westminster Bridge Road i dalej na wschód, na Horsemonger Lane, gdzie rozgościło się więzienie. Przekonałby się, że to wspaniałe miejsce, które koniecznie należy odwiedzić, jeżeli przyjdzie człowiekowi ochota popatrzeć, jak kogoś wieszają, albo jeżeli najdzie go chęć popodziwiania rezydencji, które ktoś taki jak wicehrabia uznałby za nie nadające się nawet na stajnie.

To właśnie tam, w jednym z tych niemal walących się budynków, oddalonym zaledwie o kilka mil, a odległym przecież o cały świat od miejsca, które Simon Roxbury nazywał domem, można było znaleźć pannę Caledonię Johnston. Chodziła tam i z powrotem po nagich deskach pomieszczenia, które gospodarz żartobliwie nazywał „salonem”. Chodziła i przeklinała własną głupotę, podczas gdy jej przyjaciel i współkspirator, Lester Plum, przyglądał się jej i równocześnie pogryzał gorącą bułeczkę, kupioną od ulicznego sprzedawcy.

- Zrobiłaś co w twojej mocy, Callie. Nikt nie mógłby żądać więcej, chociaż, zwróć uwagę, nie było takiego, co by cię w ogóle o to prosił - mówił Lester, oblizując jeden palec po drugim, by nie uronić ani okruszyny słodkiego lukru. - Potuptamy teraz do domu, tak właśnie zrobimy. Mój papa powiada, że jeden tydzień w tym, jak mówi Sodomon, mieście Głodomora, człowiekowi delikatnemu wystarczy aż nadto, i to na całe życie.

- Zapewne chodzi ci o Sodomę i Gomorę, Lesterze - poprawiła go automatycznie Callie, przyzwyczajona do tego, że jej przyjaciel niemiłosiernie kaleczy mniej znane sobie zwroty.

- Wszystko jedno. Papa ostrzegał również, że to miasto zdolne jest zepsuć każdego mężczyznę, a co dopiero takiego nieopierzonego młodzika jak ja. A gdyby tak wywęszył, że kolegą szkolnym, którego właśnie odwiedzam, w rzeczywistości jesteś ty? Że dałem namówić się na towarzyszenie ci do tej jaskini pechu? Dopiero by się nam wtedy oberwało, taka jest prawda.

- Zrezygnować? Czy to chcesz powiedzieć? Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli to zrobię, Lesterze Plum, nawet gdybyś ty miał ogon podwinąć pod siebie i uciec! I mówi się „jaskinia grzechu”, a nie pechu, mój miły idioto. Poza tym Londyn wcale niczym takim nie jest. Przeciwnie, jest cudowny i będzie mi go brakowało, kiedy już wyjedziemy. Gdybyśmy tylko mieli czas, żeby pójść do teatru, zobaczyć jakąś sztukę i może zajrzeć do jednej z tych sal bokserskich, o których opowiadał mi Justyn, albo chociaż przyjrzeć się koniom u Tatta...

- No, Callie - powiedział rzeczowo młodzieniec i wziął drugą bułkę, widząc, że jego przyjaciółka nie wykazuje najmniejszej ochoty na jedzenie. Marnowanie jedzenia było grzechem, za który świętemu Piotrowi z pewnością nie uda się potępić Lestera Plum! - Nie możemy zrobić ani jednej z tych rzeczy, bo nie mamy ani czasu, ani forsy. Od samego początku ten twój plan był szalony, o czym sama wiesz aż za dobrze. Jechać taki kawał świata do Londynu tylko po to, żeby strzelić w nogę jakiemuś jegomościowi...

- W kolano, Lesterze - przerwała mu dziewczyna z pasją. - W kolano. Żeby cierpieć jak potępieniec do końca swego nędznego żywota, za każdym razem, kiedy się zrobi wilgotno, za każdym razem, kiedy cały zeszywnieje i będzie obolały, i nie zdoła już wejść na parkiet taneczny ani siedzieć z podkurczonymi nogami przy karcianym stoliku. Chcę, żeby Noel Kinsey cierpieł, Lesterze. Żeby cierpieć! I za każdym razem, gdy będzie padało, chcę myśleć o nim i o jego żałosnym stanie, i cieszyć się z tego!

- Jesteś istotą bez serca, Caledonio Johnston - stwierdził Plum, patrząc na nią z nieskrywanym uwielbieniem. - I, jak mi się zdaje, przeżartą podłością aż do szpiku kości. Nie potrafię wyrazić, jakim podziwem napełnia mnie coś takiego u kobiety. Wyjdź za mnie, dobrze?

Callie odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, Lester zawsze potrafił ją rozbawić, jeszcze od czasów, kiedy jako dzieci mieszkali w Dorset. Był starszy od niej o dobre trzy lata, a jednak to ona grała pierwsze skrzypce, odkąd przekonała się, że wodzenie Lestera za nos jest równie proste, jak fikanie koziołków w dół po trawiastym zboczach. Był jej przyjacielem, jej towarzyszem, jej pomocnikiem, a zdarzało się, że i chętną ofiarą - ale serdecznie go kochała. Naprawdę kochała go równie mocno, jak swego brata, Justyna.

Lester włosy miał jasne, jak słońce w letni poranek, oczy jak wiosenne niebo, wyższy był od Callie o dobre pół stopy, a ważył z półtora raza tyle co ona dzięki zamiłowaniu do dobrego jedzenia, przeciętnego jedzenia, a wreszcie pożywienia równie marnego, jak dwie buły, które właśnie pochłonął z takim apetytem, jakby spryskane były najwspanialszą ambrozją. Nie miał w sobie cienia przebiegłości, żadnego egoizmu, miał za to wspaniałe, wielkoduszne serce. Był jej szczeniakiem, jej ulubioną świnką, czymś w rodzaju kocyka na szczęście, jaki nosiła ze sobą jeszcze w piątym roku życia, był przyjacielem na całe życie.

Dlaczego więc miała teraz ochotę wytargać go za uszy?

- Lester - zaczęła powoli, jakby wyjaśniała dodawanie małemu dziecku - zadaliśmy sobie wiele trudu, żeby przekonująco okłamać twojego i mojego ojca, co okazało się w pożądania godny sposób łatwe i w przypadku tego pierwszego, i tego drugiego, tym niemniej było konieczne. Oszczędzaliśmy całymi miesiącami, żeby zapłacić za pokoje w tej rudery. Jechaliśmy na zewnątrz dyliżansu przez trzy dni i dwie noce, a była to świetna zabawa, dopóki nie zaczęło padać. Odszukaliśmy Noela Kinseya, śledziliśmy go aż do jego rezydencji. Wszystko szło dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy.

- Dopóki nie zakradłaś się do całkowicie niewłaściwego

powozu - niezbyt rozsądnie zwrócił jej uwagę przyjaciel, po czym znowu oblizał sobie palce, a następnie wytarł je w fular. Plum nigdy nie marnował jedzenia, ale ślady po wszystkim, co zjadł, można było znaleźć na całym jego ubraniu.

Callie szeroko rozłożyła ręce, niechętnie przyznając współnikowi rację.

- No dobrze już, dobrze. Więc popełniliśmy jeden mały błąd.

- My popełniliśmy jeden mały błąd? Wydaje mi się, że ja z tym małym błędem nie miałem absolutnie nic wspólnego.

Dziewczyna uśmiechnęła się łaskawie i złożyła wyszukany ukłon.

- Ba, drogi panie, jakże wielką masz rację i jak bardzo to podobne do mnie, nieszczęsnej, słabej kobiety, próbować zwalić winę za wszystko na twe szerokie ramiona. Proszę, panie, racz mi wybaczyć.

- Oj, wcale mi się to nie podoba, słowo daję, że wcale. Zamierzasz mi zrobić jakąś krzywdę, prawda? - zapytał Lester z pewnym niepokojem, po czym podciągnął jedną nogę do góry i skrzyżował ręce nad głową. - Powiedziałem tylko, że mieliśmy mały problem, to wszystko.

- Tak, Lesterze, mieliśmy. Mieliśmy mały problem. Ponięśliśmy drobną, niewielką porażkę po nieprzerwanym paśmie niebywałych sukcesów. Czy to ma być powód, żeby zaniechać naszego planu? Czy chciałbyś stchórzyć przed pierwszą przeszkodą? Czy ja bym tak zrobiła? Sądzę, że nie, Lesterze. Sądzę, że nie. I przestań się tak kulić, na litość boską: ktoś mógłby sobie pomyśleć, że zamierzam w ciebie rzucić tą okropną figurką albo coś w tym rodzaju.

Plum popatrzył na nią trzeźwo, powoli opuścił ramiona i zrezygnował z ochronnego kulenia się, odzyskując przy tym dobry humor i ochotę, by się przekomarzać.

- Po prostu chcesz dalej chodzić w spodniach, to wszystko - powiedział, a potem uśmiechnął się promiennie na dowód, że tylko żartował. Gdyby tego nie zrobił, musiałyby czym prędzej się uchylić, bo jego przyjaciółka już brała do ręki tę wstrętą statuetkę, która tkwiła na stole obok niej.

Callie, nie starając się nawet ukryć uśmiechu, odwróciła się, by popatrzeć na swe odbicie w spękany, obskurnym lustrze, które stało przy drzwiach. Przechyliła głowę w bok, obejmując wzrokiem obcisłe niewymowne, z których żarłoczny Lester wyrósł już ze sześć lat wcześniej. Były takie wygodne, dawały tyle swobody, podobnie jak pożyczone spodnie i buty z cholewami, które w tak zadowolający sposób stukały o bruk. Jakżeż uwielbiała chodzić długimi krokami światowca po ulicach tego, jak mówi Sodomon, miasta Głodomorów, wymachując laseczką, uchylając kapelusza z podwiniętym rondem przed damami. Mogłaby nawet splunąć do rynsztoka, gdyby jej przyszła na to ochota.

Uniosła dłoń i dotknęła śnieżnobiałego fularu, potem przesunęła palcami w dół po cielistej kamizelce, a następnie wygładziła fałdkę na kołnierzu ciemnoniebieskiego surduta. Boże, ależ była wspaniała! Jedyłą niedogodność, z którą trzeba było się pogodzić, stanowiła konieczność bandażowania piersi. Szkoda też, że musiała króciutko obciąć włosy, lecz dzięki temu postać młodego studenta, któremu się psich figli zachciało, stała się całkiem przekonująca. Ale mimo to nadal utrzymywała, że największą radość sprawiłaby jej możliwość noszenia tak swobodnego stroju do końca swoich dni.

Okręciła się energicznie na pięcie, wbiła pięść w biodro i przybrała zuchwałą pozę.

- Naprawdę wyglądam znakomicie, czyż nie? Buńczuczny junak, od stóp do głów, oto czym jest pan Caleb Johnston; mógłby stawać w zawody z samym Beau Brummelem! - oznajmiła, a wraz z uśmiechem na jej lewym policzku pojawił się dołeczek.

- Chodzą słuchy, że mieszek Brummela świeci pustkami, twój niewątpliwie też, ale poza tym nie dostrzegam między wami żadnego podobieństwa. - Lester wyciągnął z kieszeni lukrecjową laseczkę, przeciągnął nią sobie pod nosem, rozkoszując się zapachem w taki sam sposób, w jaki inni mężczyźni rozkoszowali się aromatem cygar. - Masz za długie rzęsy, nie posiadasz ani odrobiny zarostu, brakuje ci ładnych kilka cali wzrostu i jesteś dużo za bardzo zaokrągło-

na, przynajmniej w niektórych miejscach - zwrócił jej rozsądnie uwagę.

- Alez dziękuję, Lesterze - odrzekła Callie, ze zdumieniem stwierdzając, że słowa przyjaciela ją cieszą.

- Ha! Nikt inny poza tobą nie pomyślałby, że powiedziałem coś miłego, wiesz? A jak masz zamiar wytłumaczyć się ojcu z tej szczotki na głowie? Może mi to wyjaśnisz, co? Ja nie mam pojęcia, jak to zrobić, bo poinformowałeś go przecież, że zabieram cię na tydzień do twojej ciotki Mary Louise. A nawet twój papa nie uwierzy, że ciotka Mary Louise kazała cię ostrzyć jak owcę. Ale skoro już ujechaliśmy taki kawał drogi, a ty obsmyczyłaś sobie włosy i w ogóle, to przypuszczam, że możemy jeszcze raz spróbować przedziurawić tego jegomościa. Jaki miałś pomysł?

Callie piszcząc rzuciła się na Lestera, wskutek czego jej przyjacielowi omal nie wyleciała z ręki lukrecjowa laseczka, co wywołało jego gwałtowny protest.

- Na całym świecie nie ma lepszego przyjaciela niż ty! - wykrzyknęła i ucałowała go w obydwie policzki, a potem usiadła obok niego na pozapadanej kanapie. - No więc widzę to tak: skoro raz go już śledziliśmy, to możemy śledzić go znowu. Mam rację? Ale lepiej będzie, jeżeli na polowanie ruszymy w biały dzień, żebyśmy nie powtórzyli błędu z wczorajszej nocy.

Plum odgryzł kawałek lukrecji i powiedział z pełnymi ustami:

- Mój błąd to to nie był, chciałem zauważyć. „Weź konie i czekaj za rogiem, Lester”. Zrobiłem to. „Jedź za tym powozem, do którego się wkradnę, Lesterze”. Po prostu bułka z masłem, Lesterze. W to też uwierzyłem, za moje grzechy. A potem mało brakowało, a byłbym się porobił, kiedy powóz zawrócił, a jeszcze nie byliśmy nawet w pół drogi do oberży, i usłyszałem huk wystrzału! Mieliśmy szczęście, że nie zabiłaś tego człowieka.

- Powinnam była - wymamrotała w fular Callie, splatając ręce na podołku. - Przysięgam ci, Lesterze, że wicehrabia Brockton to najbardziej protekcyjnalne, irytujące, gada-

tliwe stworzenie, jakie kiedykolwiek miałam nieszczęście porwać. I jeszcze miał czelność się ze mnie wyśmiewać. To było najgorsze ze wszystkiego.

- No, jeżeli cię to choć trochę pocieszy, to wątpię, żeby miał się śmiać, kiedy posłałaś w jego kierunku ten ciężki drewniak, a potem do niego strzeliłaś.

- Wcale nie strzelałam do niego - wycedziła dziewczyna przez zaciśnięte zęby. - Gdybym do niego strzelała, nie byłaby w stanie wyskoczyć tak szybko z powozu. Słowo daję, że wciąż jeszcze czuję jego gorący oddech na karku, nawet teraz, kiedy jesteśmy już tutaj, w bezpiecznym miejscu.

- Ale wie, że jesteś kobietą.

Callie przeniosła spojrzenie swych zielonych oczu na okno, jakby spodziewała się zobaczyć, jak na ulicę wjeżdża wielki, czarny powóz ozdobiony herbem Roxburych, a potem z premedytacją przestała o tym myśleć.

- Wysunął takie podejrzenie, to prawda. Ale nie może być pewien, mam rację?

- I wie, że jesteś zdecydowana na wszystko, byle tylko przedziurawić Noela Kinseya.

Callie zerknęła na Lestera spod przymrużonych powiek i doszła do wniosku, że jej przyjaciel rozumuje stanowczo zbyt inteligentnie jak na kogoś, kto własnymi ustami przyznał, że sześć godzin wcześniej niemal się porobił.

- No więc? Do czegoś zmierzasz, prawda? Mów dalej.

Plum zawiązał resztkę lukrecjowej laseczki na misterny supeł i zaczął go turlać między czubkami palców.

- No dobrze, Callie - odezwał się w końcu. - Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Jeżeli ten wicehrabia Brockton poczuł się urażony, że go ktoś porwał, że do niego strzelał, to może chciał znaleźć osobę, która się tego dopuściła. Czy nie wydaje ci się to prawdopodobne?

Callie zwilżyła językiem nagle zaschłe wargi, bo przypomniała sobie, jak wyglądał Simon Roxbury, kiedy go ostatni raz widziała, jak zmieniła się jego przystojna twarz, gdy zniknął z niej ten pełen wyższości uśmiezek.

- Tak. Jest to całkiem prawdopodobne, że mógłby chciał

odnaleźć tę osobę, i może nawet ją ukarać. Jednak, skoro nie widział mojej twarzy, a ja nie powtórzę dwa razy tego samego błędu i nie zbliżę się na milę do jego lordowskiej pasudnej mości, nie wydaje mi się, by ten człowiek miał przedstawiać sobą jakiś problem.

Lester uniósł palec, jakby zamierzał wykazać błąd w jej rozumowaniu, a następnie to zrobił.

- I właśnie o to chodzi, Callie - oznajmił, wierząc się na grudowatych poduszkach i siadając bokiem, by patrzeć jej prosto w twarz. - Gdybym to ja był wicehrabią Brocktonem i chciałbym znaleźć kogoś, kto planuje postrzelić Noela Kinseya, no cóż, po prostu przykleiłbym się jak plaster do tegoż Noela Kinseya i czekał, aż pojawi się jakiś dżentelmen-niedorostek o przesadnie kobiecym wyglądzie razem z towarzyszem, również płci męskiej. - Tu Plum oparł się ponownie o poduszki, skrzyżował nogi w kostkach i wsadził sobie lukrecjowy supeł do ust. - Tak właśnie bym postąpił.

- Cholera - szepnęła cicho Callie. - Cholera, cholera, cholera.

- Mam rację, prawda? - Lester był stanowczo za bardzo zadowolony z siebie, by miało to Callie odpowiadać; zerwała się i zaczęła znowu chodzić tam i z powrotem po pokoju. - O tak, mam rację. Nie ulega to kwestii, bo przecież widzę, jak ci się zaczyna dymić z uszu. No, no, co za dzień! Naprawdę zdarzyło mi się pomyśleć o czymś, co tobie nie przyszło do głowy. A papa mówi, że ty mnie wodzisz za nos. Ha... dużo on wie!

Dziewczyna nie zwracała uwagi na przyjaciela, tylko roztrząsała w myślach ten nowy problem, tę nieprzewidzianą komplikację, która zaistniała dzięki uprzejmości niezdolnie zadowolonego z siebie i aroganckiego Simona Roxbury'ego. Od pierwszej chwili, jak tylko wszedł do powozu, nie spodobał jej się ten człowiek; widząc wycelowany w siebie pistolet, zachowywał się tak, jakby był to jakiś żart w nie najlepszym stylu, który w pierwszej chwili go rozbawił, ale potem szybko znudził.

A teraz chciał zniweczyć jej subtelny plan ukarania tego

nędnego obwiesia, Noela Kinseya. Czegoś takiego mogła się po nim spodziewać, prawda?

- Nie musimy martwić się tym, by miał rozpoznać konie, które wynajęliśmy - powiedziała w końcu, myśląc na głos. - Było za ciemno, żeby mógł dokładnie zobaczyć któregoś z nich albo ciebie, jak już o tym mowa, zorientował się tylko, że jesteś mężczyzną. Pewnie mogłabym znów stać się dziewczyną i zbić go w ten sposób z tropu, gdyby nie to, że mamy bardzo mało pieniędzy, nie zabrałam ze sobą żadnych sukien, a on pewnie będzie szukał niewysokiej, szczupłej kobiety albo dwóch dżentelmenów. Tak więc nie mamy wyboru: ja nadal będę zielonym jak szczypiorek młodzikiem z prowincji, który przyjechał z pierwszą wizytą do stolicy, a nie ubranym w drewniaki sługą, którym byłam wczorajszej nocy. Weźmiemy ze sobą przewodniki, będziemy się przechadzali tam i z powrotem po ulicach Mayfair i wypatrywali Kinseya. Jednak trzeba wprowadzić do naszego wyglądu jedną niewielką zmianę, żeby wicehrabiego całkowicie zmylić. To będzie zupełnie łatwe, wszystko ci dokładnie wyjaśnię, najdroższy Lesterze. Ale zostały nam już tylko trzy dni. Musimy działać szybko.

- Zaczynasz za bardzo szaleć, Callie - zwrócił jej uwagę Plum. - Nie możemy tego człowieka po prostu postrzelić, kiedy będzie wyniośle kroczył po Bond Street.

Dziewczyna skwitowała jego protest machnięciem ręki.

- Nie będziemy musieli. Już postanowiłam, co zrobimy, kiedy go znajdziemy. Zaufaj mi, Lesterze, zadanie zostanie wykonane, a my znajdziemy się w dylizansie jadącym do domu, zanim się ten tydzień skończy, i niech sobie wicehrabia Brockton goni za mrzonkami przez następne dwa tygodnie. Przynrzekam ci! - Uśmiechnęła się szeroko do przyjaciela. - No i jak, Lesterze? Co chciałbyś do tego dodać?

- Sam nie wiem - odpowiedział jej przyjaciel uczciwie. - Może jakąś modlitwę?

Figurka roztrzaskała się o ścianę dobre sześć cali nad jego głową. Lester Plum świetnie nauczył się uchylać, poza tym Callie zamierzyła się na niego nie bez oporów. Nie minęło

jednak dziesięć minut, a uzyskał wyjaśnienia, na czym ma polegać ta „jedna niewielka zmiana”, którą należało wprowadzić, zanim zgodnie z pospiesznie zmodyfikowanym planem wyruszą na ulice Mayfair w jasnym świetle dnia, i Lester pożałował, że nie pozwolił, by go ta zatracona figurka trafiła. Przynajmniej wtedy nie musiałyby już dłużej cierpieć.

- Czy zamierzasz zjeść tę miodową bułeczkę, Simonie, czy po prostu tak ją zostawisz, żeby leżała odłogiem i czerstwiała?

Wicehrabia Brockton opuścił gazetę i popatrzył na drugi koniec długiego stołu, na kobietę, która zajmowała miejsce naprzeciw niego. Następnie przeniósł wzrok na leżącą przed nim bułeczkę, szybkim ruchem potrząsnął stronicami gazety, żeby je uporządkować, po czym ponownie zasłonił sobie nimi twarz.

- Nie może jej mama dostać. Kazała mi mama obiecać, czy mama pamięta?

- Och, to już przekracza wszelkie granice! Byłbyś zapomniał w zeszłym roku o moich urodzinach, gdybym nie przypięła do Silsby'ego karteczki, którą musiałeś zauważyć, kiedy cię golił. Zapomniałeś, że twoja cioteczna babka Alice zaprosiła cię dwa tygodnie temu na kolację. Musiałam spędzić diabelnie nudny kwadrans na wysłuchiwanie jej utyskiwań: przekonana jest, iż cię zamordowałam, ponieważ żaden z naszych krewnych od całych wieków nie widział cię na oczy. Ale niech człowiek powie do ciebie jedną głupią rzecz, niech wygłosi w chwili słabości jedno nic nieznaczące zdanie, a ty zaraz ryjesz je sobie wielkimi literami w pamięci. Wyhodowałam żmiję na własnym łonie, przysięgam, że tak.

Roxbury westchnął, ponownie opuścił gazetę, lecz tym razem odłożył ją na stół, na co asystujący im przy śniadaniu lokaj, Roberts, podbiegł pędem i schludnie ją poskładał.

- Może i jestem żmiją, matko, ale to nie na twoim łonie się wychowałem. W życiu nie opuściłaby mama swoich koni i karcianego stolika dla tak przyziemnych obowiązków - powiedział Simon chłodno, a potem czekał na wybuch.

Nie musiał czekać długo. Wicehrabina Brockton odepchnęła krzesło, wyprostowała się na całą swoją budzącą respekt wysokość niemal sześciu stóp i wydała z siebie przypominające trąbienie chrząknięcie. Potem ruszyła do ataku wzdłuż stołu, a szlafrok w lawendowe i różowe pasy wydał się za jej pokazną postacią niczym żagiel na okręcie wojennym; niemalże udało jej się chwycić miodową bułeczkę, w ostatniej chwili Simon odsunął i ją, i talerz spoza zasięgu rąk matki.

- Niewdzięczny nędzniku! - wybełkotała, opadając na pospiesznie podsunięte jej krzesło. Lokaje Brocktonów co do jednego poruszali się bardzo żwawo, było to zresztą konieczne, kiedy pracowało się w tym raczej jedynym w swoim rodzaju domostwie, a Roberts zdecydowanie bił wszystkich na głowę. Wicehrabina oparła pulchne łokcie o stół, podwójny podbródek złożyła na dłoniach i uśmiechnęła się nieco kliwie do swego ukochanego syna, swego jedyne dziecko, swego najbardziej doskonałego dzieła. - Wyjaśnij mi jeszcze raz, drogi chłopcze, dlaczego to zmuszona jestem siedzieć na drugim końcu tego śmiesznie długiego stołu.

Simon pochylił się i ucałował matkę w czoło.

- Żeby nie umarł z głodu, mamó - przypomniał jej, a potem poddał się i postawił przed nią talerz. - Tylko, kiedy dziś wieczorem Kathleen będzie się zapierała nogą o mamy kręgosłup, usiłując wepchnąć mamę w gorset, proszę pamiętać, że to nie był mój pomysł.

- Ummm... jeszcze ciepła - zamruczała prawie jak kotka wicehrabina po pierwszym kęsie słodkiej miodowej bułeczki. - Gdybym nie musiała wyjść za męża, wyrzuciłabym wszystkie gorsety i aniby spojrzęła na kawałek suchej grzanki, zapewniam cię!

Roxbury popatrzył błagalnie na Roberta, układając palec wskazujący i środkowy w literę „V”. Służący szybko podszedł do kredensu i otworzył szczelną szkatułkę, w której przechowywane były najwspanialsze, wyborowe cygara wicehrabiego. Wyjął jedno z nich, małymi nożyczkami odciął koniuszek, następnie ułożył je na srebrnej tacy i podał swemu pracodawcy.

Simon wetknął sobie cygaro w kącik ust, pozwolił, by mu je Roberts zapalił, a potem wydmuchnął cienką, delikatną smużkę dymu i powiedział:

- No właśnie, mamó. Niech wyjdę na szelmę. Jeżeli mama nie poślubi kogoś, zanim sezon dobiegnie końca, wyślę mamę do wdowiej rezydencji.

- Przestań sobie ze mnie podśmiejuchki robić, młody człowieku - odrzekła Imogena Roxbury, wyłuskała cygaro z palców syna i zdrowo - a raczej niezdrowo - się zaciągnęła. - Sam będziesz się lada dzień żenił, a ja nie zgadzam się zostać wicehrabiną-wdową. Matrona, wicehrabina-wdowa, co za niesmaczne, postarzające określenia. Gdybyś miał dla mnie jakieś względy, choć trochę prawdziwego uczucia, złożyłbyś śluby kawalerskie.

- Składałem - zwrócił jej uwagę Simon, odzyskując cygaro. - Wielokrotnie. A mama mi po prostu nie wierzy.

- Musiałabym mieć źle w głowie, żeby ci uwierzyć - parsknęła wicehrabina w odpowiedzi, patrząc z utęsknieniem na cygaro, którym znowu zaciągał się jej syn. - Jesteś bogaty, przystojny, utytułowany... rzecz jasna, że musisz się chcieć ożenić. Jest dokładnie tak, jak panna Austen pisała w tej swojej ślicznej powieści *Duma i uprzedzenie*. „To powszechnie znana prawda, że kawalerowi, któremu dobrze się wiedzie, musi brakować żony.” Nigdy w życiu się tak nie zirytowałam, jak zeszłej zimy, po przeczytaniu tej niemądrej książki! Może człowiek z tym walczyć, ale równie dobrze mógłby próbować zakrzyczeć wiatr. Ożenić się ożenisz, z chęci czy z musu, ale niech mnie piorun strzeli, jeżeli zgodzę się zostać matroną. Chwilowo chodzi mi po głowie hrabina, jeżeli tylko uda mi się znaleźć jakiegoś chętnego hrabiego. Hrabina. Sympatycznie to brzmi, prawda?

Wyrwała synowi cygaro i z wielkim zadowoleniem zaciągnęła się jeszcze raz, a potem przyglądała, jak kłęb dymu, który wydmuchnęła, unosi się w kierunku sufitu.

- Co za szkoda, że w dzisiejszych czasach cierpimy na tak smętny niedobór bastardów.

Wicehrabia nawet nie próbował zdusić pełnego zrozumienia chichotu.

- Mamo, jest mama ordynarna niczym jakiś woźnica. Zdumiewa mnie tylko, że jeszcze nie spiłowała sobie mama obu przednich zębów w szpic, tak się lepiej gwiżdże. Czy mama nie zauważyła, że ostatnim krzykiem mody w Londynie są wspaniałe maniery? Zachowanie a la urwipoleć z okresu pełni mamy młodości jest w odwrocie, obecnie przemawiać należy uprzejmie i, o zgrozo, kobiety nie pijają dżinu, nie zakładają nogi na nogę ani nie wydmuchują kłębow dymu po śniadaniu.

Wicehrabina wykrzywiła się, ale pod stołem ustawiła nogi prosto.

- Mogłabym zabić twojego ojca za to, że mi tak umarł - powiedziała z westchnieniem. - To ponad moje siły, żeby ponownie dokonywać przeglądu na małżeńskim jarmarku. Ja się już zbliżam do pięćdziesiątki, a oni wydają wszystkie te kłliwe przepisy w Almacku; wystarczy, żeby człowieka żółć zalała. W moich czasach chodziłyśmy na bale w strojach jeździeckich i nikomu to nie szkodziło, jak któraś całą noc przetańczyła z jednym panem. A teraz... ach!... teraz nie możesz przez trzy sekundy na żadnego patrzeć, żeby cię zaraz z nim nie połączyli romantycznym węzłem. Jeszcze trochę, a zaczną zakładać spódnice na nogi stołowe, żeby ich nagość nie urażała DAM.

Simon przyglądał się matce beznamiętnie przez dłuższą chwilę, a potem zapytał:

- Zbliża się mama do pięćdziesiątki? Czy aby? A czy raczyłaby mnie mama oświecić, z której strony się mama do niej zbliża? Czy będę musiał niedługo uznać mamę za moją siostrę, a może poinformuje mnie mama, że nosiła mnie, kiedy ją samą prowadzano jeszcze na pasku?

- Ha! - krzyknęła Imogena, pochyliła się do przodu i energicznie poklepała syna po plecach. - Rozumiesz, o co mi chodzi? Powiedz tylko coś takiego dzisiejszej kobiecie, tej jakiejś ciamajdzie, a z miejsca zemdleje. Albo to, albo podupadnie na zdrowiu i będzie marniała w oczach, i dopiero trzeba będzie diamentowej kolii albo wyjazdu na kontynent, żeby jej się poprawiło. A ja zadowolę się tym ślicz-

nym plastrem tłustej szynki, który przez cały czas ukrywałeś, a którego -wcale nie zamierzałeś zjeść.

Roxbury popchnął talerz w kierunku matki, a potem usiadłszy wygodniej, przyglądał się, jak wicehrabina sprawnie radzi sobie z jego zawartością. Kochany łakomczuch; jakże bardzo ją kochał. Każdą skandaliczną kostkę w jej zbyt wysokim, zbyt tęgim i stanowczo zbyt zuchwałym cieple. Kochał ją nawet wtedy, kiedy się zachowywała niemądrze. Jak na przykład obecnie, gdy wbiła sobie do głowy, że po sześciu beztroskich latach wdowieństwa i radosnego życia w Sussex ze swymi końmi i psami musi ściągnąć do Londynu na sezon i upolować sobie męża.

A zdecydowała się zacząć od pofarbowania swych niegdyś brązowych, a teraz siwiejących włosów na żywy blond, co było niefortunnym wyborem, po czym przeszła do głodzenia się, by odzyskać dziewczęcą figurę, której tak naprawdę nigdy nie posiadała. Gdyby mogła to zrobić po swojemu, podszłaby po prostu do pierwszego pana, który wydałby jej się odpowiedni, powaliła go na ziemię jednym ciosem zwinętej w pięść dłoni, przrzuciła go sobie przez ramię i zanosła do najbliższego kościoła.

Simon ubolewał, że matka nie zrezygnuje z tych bzdurnych małżeńskich planów, nie spali w wielkim ognisku gorsetów, polewając je farbą z licznych buteleczek, po które po kryjomu wysyłała Kathleen, i nie zacznie się znowu cieszyć życiem.

Ale Imogena była osobą zdeterminowaną, i chociaż syn prosił i tłumaczył, nie udało mu się przekonać jej, że nie musi się obawiać, iż zostanie wicehrabiną-wdową i matroną na dodatek, które to tytuły uznawała za coś gorszego od śmierci. I co miał on, kochający syn, zrobić? Może gdyby powiedział jej, że ostatnio Armand pociąga go w sposób nieodparty i romantyczny?...

- A ty czego się tak uśmiechasz? - zapytała wicehrabina, przerywając milczenie jedynaka. - I dlaczego wróciłeś tak późno wczoraj, a właściwie to dzisiaj, żeby być dokładnym? Wydawało mi się, że ty i ci twoi hultajscy przyjaciele nie planowaliście zarywać nocy.

Pytania matki sprawiły, że dobry humor Simona ulotnił się.

- Zatrzymano mnie i nie dało się tego uniknąć - odparł, a potem pospiesznie uczeplił się pierwszej myśli, jaka mu przysłała do głowy. Myśl ta miała bardzo wiele wspólnego z tym, jak wyglądała porywaczka, kiedy odjeżdżała. - Mamo, czy mama wciąż jeszcze jeździ okrakiem, kiedy jest u siebie?

Wicehrabina kiwnęła głową, przeżuając ostatni kęs delikatnej, wiejskiej szynki.

- Jedyny sposób, żeby opanować ognistego wierzchowca - odparła, celując widelcem w nos syna. - Spróbuj tylko dosiadać konia w spódnicy, Simonie, i przerzuć do tego obie nogi na jeden jego bok. A wszystko po to, żeby chronić naszą kobiecość, jak powiadacie wy, mężczyźni. Jedna wielka bzdura! Żebyśmy was nie zaćmiły na polowaniu, ot co, i żebyśmy się trzymały zasapanych szkap, które nie odróżniłyby porządnego galopu od galonu. Dzięki łaskawemu Panu, twój ojciec nigdy nie miał ochoty przyglądać się, jak będę sobie kark skręcać, żeby tylko zachować w nieskazitelnym stanie moją dawno zapomnianą i nigdy nieopłakiwaną cnotę; a to jeszcze jeden powód, który wysuwają mężczyźni, każąc nam niemalże siedzieć tyłkiem do dziobu, a nie do rufy konia.

Tu szeroko się uśmiechnęła, ukazując niemal wszystkie białe zęby, a potem puściła do syna oko.

- Popatrz no tylko, Simonie. Roberts zarumienił się jak jakaś bojaźliwa panienka. A mnie się wydawało, że ten człowiek nie ma uszu, wszak stoi tam z kamienną twarzą trzy razy dziennie, kiedy my napychamy sobie brzuchy.

Brockton ukradkiem zerknął na służącego, który, jak zwróciła uwagę matka, był czerwony jak burak, od kołnierzyka koszuli po płomiennie rude włosy.

- Zakładam, że przyszała pora na następną podwyżkę kwartalnych poborów, Roberts?

- Tak, wielmożny panie, jeżeli pan tak łaskaw. Tylko dopóki ta zacna dama nie oddali się z tego domu, to wszystko. Jeżeli pan wybaczy. Okropnie się przy niej robię nerwowy, sir.

- Rozpuszczasz służbę, Simonie, tymczasem, gdybyś na-

prawdę czytał te gazety, za którymi się codziennie chowasz, wiedziałbyś, że w tej chwili może nawet i dziesięć tysięcy wyszkolonych służących jest bez miejsca - wtrąciła się wicehrabina, ale karcąc syna, uśmiechała się. - No dobrze, zostawimy na kiedy indziej omówienie rozpaczliwego stanu, w jakim znajduje się gospodarka Anglii od końca wojny. - Mrugnęła do niego, a on przewrócił oczami i podniósł wzrok na sufit, wiedząc, na co się teraz zanoszą.

- Już mnie nie ma! - oznajmiła nagle Imogena, na co Roberts pospiesznie rzucił się, żeby chwycić jej krzesło, które poleciało do tyłu, kiedy wstawała. Urządzała sobie małe zawody z lokajem, chcąc się przekonać, kto z nich dwojga porusza się szybciej. Jak dotąd nerwowo Roberts trzymał się w podziwu godzien sposób, ale to był dopiero początek rywalizacji i Imogena nie miała wątpliwości, że jeszcze go przyłapie na gapiostwie.

- Co planowałeś na dziś wieczór, synu? - zapytała, skręcając w kierunku drzwi. - Pewnie to ekliwe przyjęcie u lady Bessingham? O rany, ależ ta kobieta jest nudna; bez przerwy paple o tych swoich cholernych bukietach. Ja to pewnie przysnę w samym środku kolacji i wyląduję nosem prosto w puddingu. Coś mi się zdaje, że przydałaby mi się odprężająca przejażdżka po promenadzie przed tą uroczystością. Odważysz się pokazać ze swoją skandaliczną mamunią?

Simon, który podniósł się razem z wicehrabiną - czas reakcji miał dobry, choć wolniejszy o pełny takt niż Roberts - ucałował ją w policzek.

- Będę zaszczycony, mamo - odrzekł szczerze. - Mój powóz i moja osoba będą czekały przed domem na mamy rozkazy punktualnie o piątej.

- A przedtem? - zapytała, przyglądając mu się bacznie. - Wyglądasz na człowieka, który ma jakieś konkretne plany na to popołudnie, Simonie. Czy może zamierzasz szukać po sklepach nowego materiału na obicia w powozie? Powiadano mi, że pistoletowe kule potrafią doprowadzić aksamit do ruiny.

- A kto teraz okazywał służbie nadmierną hojność, matko? - zapytał Roxbury, pewien, że albo Hardwick, albo lo-

kaj musieli się pochopnie z czymś wyrwać i że dobrze im zapłacono za każde słowo.

Imogena wzruszyła swymi dość imponującymi ramionami.

- Jestem matką. A ty moim jedynym maleństwem. Robię to, co muszę, Simonie. I próbowałam skłonić ciebie samego do mówienia, ale uparcie nie zgadzałeś się połknąć haczyka. No więc kto do ciebie strzelał i dlaczego, do wszystkich diabłów, mu na to pozwoliłeś?

Wicehrabia podał matce ramię i wyprowadził ją z porannego pokoju do holu, ku wielkiej, bez wątpienia, uldze Roberta, który natychmiast ciężko oparł się o kredens.

- Niech mi mama powie, co wie, a ja uzupełnię resztę. Dobrze?

Wicehrabina kiwnęła głową.

- Nie najgorzej chyba, bo już się bałam, że będę musiała wyduszać z ciebie wszystko po słowie. Wiem, że ktoś ukrył się we wnętrzu twojego powozu, kiedy ty przebywałeś w jakiejś podłej jaskini hazardu. Nawiasem mówiąc, przegrałeś tam, nie tyle, żeby ci to miało zaszkodzić, ale wystarczająco dużo, by wywołało to komentarze. W pół drogi pod „Zielonego Człeka” przekonałeś tego porywacza, choć nie mam pojęcia, w jaki sposób tego dokonałeś, żeby pozwolił zawrócić powóz, po czym nastąpiła krótka szamotanina, jeden strzał i rozbójnik gładko umknął.

- Nie tak całkiem gładko, matko. Udało mi się odebrać mu pistolet.

-Jakby to miało jakieś znaczenie! I nie przerywaj mi, z łaski swojej. Ten niegodziwiec wskoczył na siodło czekającego na niego wierzchowca z całym wdziękiem i mistrzostwem akrobaty z cyrku Astleya, chociaż coś mi się zdaje, że za nadto złagodziłam język, którym posługiwał się mój informator. Wstydź się, Simonie. Czy miałeś w czubie? Tylko fakt, że byłeś pijany jak bela, mógłby usprawiedliwić to, że pozwoliłeś, by górę nad tobą wziął jakiś zwykły rozbójnik.

- Jeszcze chciała mnie kopnąć drewniakiem w głowę - wymamrotał ze złością Brockton i natychmiast tego pożarł, bo wicehrabina wrosła w ziemię, zmuszając go, by

się zatrzymał w połowie wykładanego czarnymi i białymi kafelkami holu, i odwróciła się twarzą do syna.

- Jakaś ona? - Zdumiewająco niebieskie oczy matki, które nie zaczęły jeszcze blaknąć z wiekiem, otworzyły się szeroko, a na jej twarzy w komiczny sposób mieszało się niedowierzanie i szczerą groza. - Co to za jakaś nowa towarzyszka zabaw, Simonie? Kobieta-rozbójnik? Na Boga, że też czegoś takiego nie bywało w moich czasach. Ale zabawa!

- Pewnie w końcu by mama na coś takiego wpadła, gdyby ojciec nie okiełznał mamy, prowadząc ją do ołtarza w młodym wieku lat dwunastu. Widzi mama, pamiętam jednak uwagę, że zbliża się mama do pięćdziesiątki. Ale nie ma się czym martwić. Ta dziecinka polowała na kogoś całkiem innego, jak się okazało, i całkiem wdzięcznie przeprosiła za kłopot, a dopiero potem chciała mi drewniakiem rozbić głowę. Nie będzie mnie już więcej niepokoić. To jakaś panieneczka z prowincji, raczej dobrze urodzona, jeżeli wziąć pod uwagę to, jak się wyraża. Pewnie jest już w pół drogi do domu i dziękuje swoim szczęśliwym gwiazdom, że nikt jej nie złapał, a także żałuje całej tej eskapady.

- Na kogoś całkiem innego? A więc to nie był jakiś przypadkowy atak, przypadkowa napaść? Czy chcesz mi powiedzieć, że ta dziewczyna, to zdesperowane stworzenie, miało ostatniej nocy jakąś misję do spełnienia?

Simon znowu zaczął przebierać nogami, wskutek czego jego matka również musiała ruszyć się z miejsca; podprowadzała ją coraz bliżej do schodów, równocześnie samemu zbliżając się do momentu, w którym swobodnie przystąpi do realizacji własnych planów na to popołudnie.

- Na to wychodzi. Odniosłem wrażenie, że ta młoda kobieta obdarowana została wręcz przesadną ilością determinacji. Właściwie to nawet przypominała trochę mamę. Oburzająca niewiasta, której zdarzało się nawet przeklinać, a przy tym dziwnie pociągająca, jeżeli człowiek jest w odpowiednim nastroju, by cieszyć się możliwością służenia za cel jej atakom złości. I niech mama tak na mnie nie patrzy. Zdaję sobie sprawę, że sam się tylko ze sobą droczę, mó-

więc, iż przekonany jestem, że znajduje się ona w drodze powrotnej do Sussex czy gdzie indziej, skoro nie spełniła swojej misji.

- Masz zamiar za nią gonić, prawda? Dopaść ją? Uratować ją przed nią samą? - dopytywała się wicehrabina, stając na pierwszym stopniu i odwracając się, by popatrzeć na syna; przypominała teraz boginię Junonę w nieco przesadnie ozdobnym szlafroku.

- Ależ, mam - westchnął Simon.

- Przestań mnie „ależmamować”. Zamierzasz jej szukać, czy tak?

- Zapamiętała i zawzięcie, słodka pani - oznajmił Brockton z emfazą, kiedy kamerdyner podawał mu kapelusz i laseczkę. - Dziękuję, Emery - rzekł, przyklepał kapelusz na głowie i zakręcił młynka laseczką, a potem wetknął ją sobie pod pachę. - Mam zamiar ścigać ją zapamiętała i zawzięcie, pani - powtórzył z uśmiechem, ale zęby miał zaciśnięte - do tego stopnia, że mnie samego to zdumiewa. No, czy jest mama już zadowolona?

- Nie jestem pewna. A jak już ją zlokalizujesz? - naciskała Imogena; twarz miała teraz całkiem poważną, jakby właśnie zobaczyła w swoim synu coś, o co go zawsze podejrzewała i czego się w sekrecie obawiała. - Co wtedy, Simonie?

- No cóż, żeby prawdę powiedzieć, nie mam zielonego pojęcia - wyznał z rozbijającą szczerością wicehrabia.

- Ale ja mam - wymamrotała cicho wicehrabina, tak cicho, że syn nie całkiem mógł zrozumieć jej słowa. - Jest młoda, jest interesująca, wyraża się całkiem poprawnie. Chociaż tak usiłuje się na nią złościć, oczy mu się śmieją nawet wtedy, kiedy odsądza ją od czci i wiary. Pochodzi najprawdopodobniej z możliwej do zaakceptowania rodziny. Żeby cholera wzięła tę bułeczkę i szynkę! Będę musiała głodować do końca dnia, do końca tygodnia. Zaczyna mi brakować czasu, i dobrze o tym wiem.

- Mamo, co się stało? - zapytał Roxbury z pewnym z troskaniem i położył jej rękę na ramieniu, bo zachowywanie powagi było zupełnie niepodobne do jego rozdokazywa-

nej, tryskającej humorem matki. Spodziewać się po wicehrabinie, żeby mówiła szeptem, to jakby spodziewać się, że kaczkę na Serpentine zaczną latać tyłem. - O czym mama, na Boga, mamrocze?

Imogena pochyliła głowę na bok i przytuliła policzek do dłoni syna.

- Kochasz mnie, prawda, Simonie? Kochasz to moje dziwaczne zachowanie, moje nieco zuchwałe maniery, to że mówię prosto z mostu, że obstaję przy tym, by jeździć konno okrakiem?... Przekonana jestem, że tak postąpiła wczoraj twoja rozbójniczka.

- Uwielbiam mamę i dobrze mama o tym wie... - zaczął Simon, ale wicehrabina natychmiast mu przerwała.

- Uwielbiasz mnie - powtórzyła i westchnęła, jakby właśnie głęboko ją zawiódł. - Tak samo, jak te wszystkie kociczki bez polotu, które wdzięczą się i flirtują z tobą, i chichoczą do ciebie zza wachlarzy, i nudzą cię, przekraczając wszelkie granice cierpliwości. Och, Simonie, czy ty nie rozumiesz?

Roxbury cofnął rękę i wyprostował się jak struna.

- Ten gorset powstrzymuje dopływ krwi do mamy mózgu - oświadczył z naciskiem. - Chcę znaleźć tę dziewczynę, tę idiotkę, żeby uratować ją przed nią samą, zanim popadnie w jeszcze gorsze tarapaty. Inaczej ją powieszają, a tego nie mogę brać na swoje sumienie. Takie są motywy mojego postępowania, mamó, takie i żadne inne. A nawet przemknęło mi przez myśl, że mógłbym przedstawić ją Armandowi. Ale to wszystko.

- Ależ oczywiście, Simonie - zgodziła się Imogena, a broda Zaczęła jej się trząść. - Myślę, że teraz się położę na chwilę, mój drogi, i zobaczę się z tobą później. - Odwróciła się i zaczęła powoli wchodzić po schodach, ciężko opierając się o gładką, mahoniową poręcz i wyglądając na niemal drobną i kruchą, co w przypadku kogoś o tak krzepkiej posturze i dobrym zdrowiu było niezwykłym osiągnięciem. - Może Kathleen przyniesie mi sole albo trochę palonych piór.

- Albo mamy butelkę z dżinem - zawołał za nią wicehrabia ze złością, a potem okręcił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Trzymający otwarte drzwi Emery wyprężył się na baczność. - Kobiety! - poskarżył się Roxbury wieloletniemu, zaufanemu słudze rodziny, który tylko kiwnął głową i powiedział:

- Bez wątpienia, wielmożny panie. Nieodmiennie.

Równie często, jak trafić na okazje,
trzeba je samemu tworzyć.

- Francis Bacon

3

Tuż przed drugą Simon pojawił się w klubie White'a, powoli przeszedł między stolikami, często przystając, by porozmawiać z przyjaciółmi, którzy go zaczepiali. Był miły i uprzejmy, ale ani na moment nie zachwiał się w postanowieniu, by wędrówkę zakończyć przy tym stoliku co zwykle, pod wykuszowym oknem, w miejscu zawsze zaszczytnym i niegdyś wesołym, które jednak ostatnio znacznie posmutniało wskutek częstej nieobecności pana Beau Brummella.

Właściwie to ostatnio u White'a dawało się zauważyć całkiem sporo pustych foteli, co było rzeczą niezwykłą, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że już od dłuższego czasu trwał sezon, ale nie przekraczającą granic wyobraźni, jeśli zważyć na stan gospodarki.

Brockton zdawał sobie sprawę, że wygłoszona przez jego matkę uwaga na temat ogromnego bezrobocia panującego wśród służących wiąże się ściśle z faktem, iż wielu znajomym parom dokuczają konieczność ograniczania wydatków, która pojawiła się w ślad za ostatecznym zwycięstwem nad Napoleonem. Ostatnie dwie pory roku też wcale dobrze gospodarce się nie przysłużyły, mieli za sobą jedną z najgorszych zim i najbardziej mokrych od lat dziesięciu wiosen.

Urodzone na wiosnę jagnięta stały jak głupie na polach razem ze swymi jeszcze mniej rozgarniętymi matkami i ginęły od uderzeń gęstego gradu, który przy okazji rujnował również pola uprawne. Fabrykanci zamykali podwoje swych zakładów, ponieważ zarówno sprowadzanie towarów do Anglii, jak i ich eksport kurczyły się w zastraszają-

cym tempie. Na dodatek parlamentem kierowali chyba kre-
tyni, a do działania pobudzali go idioci.

A przez ten cały czas Prinny nie przestawał budować, a dandysi, z czystej desperacji, nie przestawali popisywać się i przesadnie ryzykować przy zielonym stoliku. Damy z *ton* wciąż oddawały się kosztownym rozrywkom, radykałowie nie przestawali wygłaszać oracji, a nędzarze robili się coraz bardziej biedni i gniewni. Zdaniem Simona brakowało im tylko rzępoły i tłuściocha w jednej osobie imieniem Neron, który nakazałby rznąć muzyczkę od ucha, kiedy świat wokół nich będzie się palił.

Rozumiejąc trudną sytuację, wicehrabia Brockton wprowadził w swoich majątkach w Sussex szereg zmian: poobniżał czynsze, wybrał na zarządców najlepszych ludzi i pozostawał w niemal codziennym kontakcie z nimi, równocześnie uprawiając w Londynie zakulisową działalność. Niczego nie rozgłaszając, założył, i teraz utrzymywał, z pół tuzina instytucji charytatywnych. Objął stanowisko w rządzie, przekonywał do zachowania przynajmniej pozorów zdrowego rozsądku tak publicznie, jak i prywatnie, zatrudniał tylu służących, ilu tylko był w stanie, i dokonywał licznych zakupów u rozmaitych sklepikarzy, kupców, pasamoników i winiarzy, którym rozpaczliwie potrzebni byli płacący klienci.

Niewiele to pomagało, ale nic więcej zrobić nie mógł. A chociaż marnotrawstwo i rozrzutność londyńskiej socjety wydawały mu się obmierzłe, zdawał sobie sprawę, że wszystkie te szaleństwa i wysoki wyższych sfer zapewniały zatrudnienie tysiącom ludzi, od kominiarzy i producentów powozów poczynając, na sprzedawcach parasoli, egzystujących przy małych, bocznych uliczkach stolicy, kończąc.

Było wiele powodów, dla których Simon lubił swoich przyjaciół, Bartholomew Boothe'a i Armanda Gauthiera, ale najwyżej cenił w nich sobie to, że dzielali jego zatroskanie losem znajomych, którzy na łeb, na szyję dążyli do własnej zguby. Na przykład Brummell już niedługo miał pod przymusem opuścić Anglię wskutek finansowego krachu, do którego sam doprowadził, lekkomyślnie podejmując ry-

zyko przy kartach, oraz wskutek skłonności do zbyt potoczystego wystawiania się, jak na osobę nie najwyższej urodzoną i mającą ograniczone fundusze. Następnym w kolejce do wylotu był, zdaniem Brocktona, Richard Brinsley Sheridan, w trzech czwartych geniusz, w jednej czwartej fantastyczny głupiec, który nie przestawał wydawać pieniędzy jeszcze długo po tym, jak opustoszały jego kieszenie.

Oprócz nich był jeszcze George, drogi Simonowi lord Byron, który niezłomnie wierzył, że jeśli nawet odwróca się od niego członkowie towarzystwa, to lud Anglii go nie opuści. Tymczasem minioną chwałą poety wstrząsał jeden skandal za drugim, wpędzając go w coraz większe długi i poganiając na złamanie karku w kierunku osobistej katastrofy.

Właśnie z tego powodu, a także po to, by omówić sprawy Brummella i Sheridana, wybierał się pierwotnie Roxbury do White'a. Przy dobrym winie chciał zastanowić się z Bartholomew i Armandem, jakie mają możliwości uchronienia wspólnych znajomych przed ich własną głupotą.

Zbliżając się do stolika, zauważył, że Kościej i Armand już przyszli. Przystanął na moment, by przyjrzeć się nieświadomym jego obecności przyjacielom toczącym ożywioną dyskusję.

Gdyby ktoś pasjonował się zawiłościami kostnej budowy człowieka, a nie chciałoby mu się zwracać sobie głowy przeprowadzaniem sekcji, bez wątpienia spoglądałby z ogromnym zainteresowaniem na Bartholomew Boothe'a, jako że człowiek ten chudy był jak szczapa, kościsty, o skórze cienkiej zarówno w sensie anatomicznym, jak i emocjonalnym.

Wzrostu najwyższej średniego, o jasnoorzechowych oczach i włosach, zwisających w szpetnych strąkach, nie bardzo miał co pokazywać światu, a przekonany był, że świat może mu pokazać jeszcze mniej. Porządny był jednak z niego człowiek, lojalny i wierny, chociaż trochę czarnowidz. Nakazywał swym przyjacielom umiarkowanie i nie pozwalał im wdawać się w potencjalnie niebezpieczne awantury, o ile nie rozważyli przedtem wszystkich groźnych konsekwencji, kryjących się, zdaniem Bootha'a, za jaśniejszą stroną tego

typu rozrywek. Simon i Armand uważali, że takie kostyczne podejście do życia i takie opinie pasują do jego wyglądu, i dlatego nadali mu dosyć dziwaczne przezwisko.

Absolutnym przeciwieństwem Kościeja był Armand Gauthier, wysoki i wręcz nieprzyzwoicie przystojny, o wyjątkowo pogodnym usposobieniu, które zapewniało mu nie małą popularność u obu płci. Płeć piękniejsza dostrzegąca dodatkowo w jego zdumiewająco niebieskich oczach, charakterystycznych, długich, czarnych włosach i imponującej posturze pewne możliwości, które jednakowoż pozostawiały całkowicie niezauważalne dla panów darzących go uznaniem. Dla niemal całego świata stanowił zagadkę, więc Simonowi podwójnie pochlebiało to, że Armand widzi w nim nie tylko cenionego przyjaciela, ale też i powiernika.

Gauthier pierwszy zauważył Brocktona. Pewnie wyczuł jego obecność. Już taki był. Przenikliwy. Odrobinę tajemniczy.

- Simon przyszedł, Kościeju - oznajmił, kiedy wicehrabia odsuwał sobie krzesło i siadał. - Powtórz mu to, co właśnie mi opowiadałeś.

Kościej wzdrygnął się, tylko raz, jako że we wszystkim postępował oszczędnie; następnie oświadczył stanowczo i bez żadnego wstępu:

- Właśnie Armandowi mówiłem, że w Londynie codziennie pada. Codziennie. Co noc. Deszcz to plaga.

- No i oto, Simonie - powiedział Gauthier - otrzymałeś zdecydowaną odpowiedź na to, czym jest deszcz, udzieloną przez samego zacnego Jasnokościstego. To plaga. Oczywiście ośmielę się przemawiać wyłącznie w swoim imieniu, ale zapewniam was, że będę spokojniej spoczywał teraz, kiedy mi tę kwestię już wyjaśniono. Deszcz to plaga.

Roxbury tylko uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie drocz się z nim, Armandzie. Biedaczysko, ma chyba za sobą ciężką, deszczową noc. Najpierw ta jaskinia hazardu i pewnie jeszcze kilka przegranych, jeżeli to, co widziałem, zanim wyszedłem, można potraktować jako symptomatyczne dla jego wczorajszego szczęścia przy kartach. A potem jazda do domu, o świcie, w trakcie następnego oberwania chmu-

ry. Czy mam rację, Kościeju? Jesteś w złym humorze i masz ku temu powody. Biedny Kościej. Czy nie powinniśmy obawiać się, że zaczniesz nam podupadać na zdrowiu?

- Z was dwóch - rzekł Boothe - ciebie uważam za zdecydowanie gorszego, Simonie. Armand droczy się otwarcie. A ty się miło uśmieszasz, mówisz to, co powiedzieć należy, i tylko czekasz, aż zmięknę, żeby zatopić nóż aż po rękojeść. Tak, przegrałem wczoraj w nocy. Przegrałem, przegrałem! Zadowolony?

- Przyznam się do euforii, Kościeju, jeżeli sobie tego zazyczysz - odpowiedział dosyć spokojnie wicehrabia. - Jednak pozwolę sobie przypomnieć ci, że przestrzegałem was dwóch, byście się za bardzo nie angażowali w grę. Jeżeli pamiętacie, to przy wyborze wieczornej rozrywki nie kierowała nami chęć zabawienia się czy zysku.

- Chociaż z nas wszystkich najgorzej szło tobie, Simonie, ale, jak zakładałam, o to ci właśnie chodziło - wtrącił Gauthier, a potem popatrzył na wciąż jeszcze nachmurzonego Boothe'a. - Kościeju, czy masz zamiar obwiniać za swoje straty swego dawnego przyjaciela?

- Nie dawnego. Aż taki niestały nie jestem. Wciąż jeszcze jest moim przyjacielem - poprawił go Boothe. - Chociaż przyjaźń to też plaga, gdybyś chciał wiedzieć, Armandzie. Przyjaźń, deszcz... zdarza się, że i jedno, i drugie kończy się zimnymi kroplami ściekającymi ci po karku.

Gauthier uśmiechnął się szelmowsko do Simona.

- Czyż ten nasz zacy przyjaciel nie jest rozkoszny? Niekiedy mam po prostu ochotę owinać go w watę, by uchronić przed mordęgą świata tego. Wyjmowałbym go od czasu do czasu, ustawiał nad kominkiem i chwalił się nim przed gośćmi, którzy przyszliby z wizytą. Och, może chciałbyś mu dziś postawić obiad, Simonie? I mnie też, jak już o tym mowa. Coś mi się zdaje, że jestem lżejszy o dobre sto funtów, dzięki twoim wyobrażeniom, jak w korzystny sposób spędzić wieczór. Mam tylko nadzieję, że nie oczekujesz, by hazardowanie się w takich podłych spelunkach weszło nam w krew, ponieważ przekonałem się, że dużo bardziej podo-

bają mi się nasze własne, bardziej cywilizowane kluby, no i karty rozdawane raczej od góry talii.

- Od góry... wiedziałem! - wykrzyknął Kościej, uderzając się dłonią po czole. - Kantowali, prawda? No? Prawda? Niech mnie piorun strzeli, jeżeli jeszcze tam wrócę, żebyś mnie nie wiem jak błagał, Simonie.

- Co powiesz? - popędzał Armand Brocktona, kiedy ten nie odpowiedział Kościejowi. - Czy mamy zmienić się w nałogowych hazardzistów, uczęszczających do wszystkich zakazanych knajp, w wyniku czego w naszych salonach zagnieżdżą się urzędnicy sądowi, gotowi za niezapłacone rachunki ogryzać nasze ciała aż do gołej kości, a niewiele będą mieli szczęścia, jak wezmą się do ciebie, drogi Jasnokościsty, prawda? Czy może skończyliśmy z tak podłymi lokalami? Wiesz, że Kościej i ja nie dopuścimy, byś uczęszczał do tych piekielnych miejsc bez towarzystwa.

Wicehrabia teatralnym gestem nakreślił na piersi niewielki znak krzyża.

- Słowo wam daję, przyjaciele, cień mój nie padnie więcej na próg żadnej jaskini hazardu w tym mieście. Nie będzie musiał, skoro zarzuciliśmy już przynętę. Od tej chwili bawić się będziemy w bardziej swojskim i zdecydowanie przyjaźniejszym środowisku.

- A jesteś pewien, że rybka chwyci? Coś mi się zdaje, że zakrawa to odrobinę na arogancję, Simonie.

- Zdarza się, że rybki łapia się na przynętę - oświadczył uroczyście Bartholomew. - Rekiny zresztą też się łapia i gryzą. Wygryzają ci wielkie dziury w kieszeniach i porzucają pokrwawioną ofiarę. Porozdzieraną. Poszarpaną. Nie jest to ładny widok. I zanim się połapiesz, już jesteś pograżony w rozpacz i wieszasz się na latarni tuż za rogiem Bond Street. Przytrafiło się to mojemu stryjecznemu dziadkowi, Theodorowi. - Zmarszczył brwi w bolesnym wyrazie twarzy. - Nie mówmy tyle o tym, mojej matce psuje to humor.

Roxbury z namysłem przyglądał się Boothe'owi, sympatia, jaką do niego odczuwał, nie pozwalała mu skwitować tych pośepnych uwag śmiechem.

- Rekiny? Tak powiadasz, Kościeju? No cóż, może powinienem w takim razie pomyśleć o większym haczyku?

- Bardziej odpowiednia byłaby tęga pała - z powagą odzrekł Bartholomew, który musiał już kiedyś tę sprawę gruntownie rozważyć. - Zdzielić rekina mocno w pysk, żeby mu się świat stracił; to najlepszy sposób.

- Ja również poważnie się nad tym zastanowię - przyrzekł Simon i szerokim gestem pokazał na puste krzesła przy stoliku. - Czy przyszedłem za późno, czy za wcześnie? A może jest jeszcze gorzej?

- Znacznie gorzej - odpowiedział Armand w chwili, kiedy kelner stawiał przed Brocktonem kieliszek preferowanego przez niego szampana. - Obawiam się, że twoje ostatnie apele do Prinny'ego trafiły w próżnię. Sheridan zaszył się gdzieś, by uniknąć więzienia za długi. Nasz drogi Richard miał tak wielu przyjaciół, a obecnie żaden z nich, co do jednego, nie może sobie przypomnieć jego nazwiska, nie mówiąc już o jego wielkich czynach czy błyskotliwym dowcipie. Jest chory, Simonie, poważnie chory i pewnie oddalił się, by umrzeć, bo serce mu pęka, jeśli pozwolisz na odrobinę melodramatu. Chociaż nie ulega kwestii, że, jak znam Dickie'ego, wolałby rozegrać tę całą sprawę jak farsę.

- Do stu tysięcy fur beczek, obawiałem się tego! - wybuchnął wicehrabia; jednym haustem wypił szampana, jakby to była woda, a potem podziękował kelnerowi, który pospiesznie napełnił mu znowu kieliszek. - A gdzie reszta?

Bartholomew z kieszeni surduta wyciągnął dwa świstki papieru i po kolei przeczytał je: „Zwariowałeś, stary? O pierwszej? Po południu?” „Po południu” zostało podkreślone, trzy razy. A teraz ten: „Osobiście nigdy nie wykazywałem nadmiernych skłonności, by kogoś żałować. Aż żal”. Potrafisz się domyślić, który jest od kogo, Simonie?

Wicehrabia wsunął palce we włosy i rozwichrzył dotychczas schludną fryzurę. Włosy ułożyły się w bardziej naturalne fale, nadając mu wygląd niedbały i młodzieńczy, nad którym jego kamerdyner ubolewał, a matka się rozpływała.

- Pierwszy od Beau, drugi zawdzięczamy uprzejmości

George'a - wymamrotał, a potem spojrzął na Armanda. - A obydwaj czują się do żywego urażeni naszym gestem, jak sądzę?

Gauthier, który siedział swobodnie na krześle, wyciągnął długie, modnie odziane ramię i wziął kieliszek z winem.

- *Certainement*. Próbowałem was przestrzec. Podobnie wy odrzucilibyście wszelkie propozycje wsparcia, gdyby je wam przedłożył któryś z nich. Jednakowoż nie jesteście przynajmniej osamotnieni w swych ambicjach, by pomóc Byronowi. Wiemy, że nie zwykłeś przeglądać zaproszeń, jeżeli cię do tego nie zmusimy, mogłeś więc nie zwrócić uwagi, że w przyszłym tygodniu odbędzie się w Almacku wielka impreza, na której funkcję pań domu sprawować będzie z tuzin dam, pełnych dobrych chęci, acz niezbyt roztropnych, a mających nadzieję przywrócić biednego George'a do łask. Oczywiście wszystko skończy się strasznym niepowodzeniem, zwłaszcza że, jak wiadomo, na liście gości znajduje się również Augusta Leigh.

- Chyba nie w Almacku? Zaprosili Augustę, siostrę George'a?

- Przyrodnią siostrę, Simonie - poprawił go Bartholomew, obgryzając sobie kostki u rąk. - Przyrodnią siostrę, przyjaciółkę, rodaczkę... *chérie amour!*

- Piekło i szatani! - jęknął Roxbury, uderzając otwartą dłońią o stół, co przyciągnęło zaciekawione spojrzenia wielu siedzących na sali gości. - Do czego one, u diabła, mają nadzieję doprowadzić, poza ostateczną zgubą George'a? On chyba nie weźmie w tym udziału, prawda?

- Ze szczęściem w oczach i pieśnią na ustach. Przynajmniej bazgroły w tutejszej księdze zakładów wskazują z dużą mocą, że tak właśnie uczyni, a co więcej, że wszyscy, co do ostatniego, pokażą mu plecy, jak tylko wejdzie na salę - odparł Armand, kiwając głową, jakby w pełni podzielał przekonania zakładających się.

- Musimy go powstrzymać, przemówić mu do rozsądku - rzekł wicehrabia z przejęciem.

- Nie lepiej ci się powiedzie ratowanie go od jego własne-

go szaleństwa, Simonie, choćbyś się nie wiedzieć jak starał, niż wyciąganie za kaucją Beau z otchłani kredytów, kiedy Prinny zajął wobec niego tak wrogie stanowisko. Niepotrzebnie narażałbyś się tylko na dalsze straty; jest takie przysłowie o wyrzucaniu pieniędzy w błoto, jak mi się zdaje. A skoro już o tym mowa, może miałbyś ochotę przejść się po Bond Street, bo niczego nie osiągniemy, siedząc tutaj i wystawiając się na pokaz ku moralnemu zbudowaniu mas. Widziałem tam taki fular, który mi przypadł do gustu...

Brockton machnięciem ręki wskazał Gauthierowi krzesło.

- Po tym, jak zostawiłem was ostatniej nocy, wprowadzono mnie pod groźbą pistoletu - rzekł, nie owijając niczego w bawełnę, bo zależało mu na tym, by skupić na sobie pełną uwagę przyjaciół. Mógłby się jeszcze podpalić, ale takie wyznanie zapewniało najszybsze osiągnięcie celu.

- Co? Co ty opowiadasz?! - wybełkotał Boothe, a potem zmarszczył brwi i bacznie przyjrzał się wicehrabiemu. - Kiedy? Gdzie? Po tym, jak nas zostawiłeś? No tak, takie są skutki uczęszczania do podłych jaskiń hazardu, przynajmniej moim zdaniem. I dobrze ci tak, chyba.

- Jakże jestem ci wdzięczny, że pytasz, Kościeju. Czuję się całkiem nieźle po tym niemiłym doświadczeniu, nie poniosłem żadnego uszczerbku. Muszę przyznać, że w takich momentach podtrzymuje mnie na duchu wyłącznie troskliwość i czułość, jaką okazują mi przyjaciele. - Simon mruzczał niemal jak kot, ponownie unosząc kieliszek do góry. - Armandzie, czy masz coś do powiedzenia?

- Nie, nie wydaje mi się - odparł Gauthier, a potem zrewidował swój pogląd. - A może jednak tak. Przypuszczam, że nasz Kościej czuje się diabelnie szczęśliwy, iż zdecydował się wczoraj wracać do domu ze mną. Czy słusznie mówię, Kościeju?

Bartholomew przytaknął.

- Opowiedz nam o tym, Simonie - wymamrotał, wpakowując sobie przy tym pięść do ust. - Co się w ogóle stało i dlaczego jeszcze żyjesz? Większość ludzi już by nie żyła, rozumiesz chyba.

- Tak mi przykro, że sprawiam ci zawód, Kościeju. - Roxbury nie miał zwyczaju tracić cennego czasu na hodowanie urazy, więc tylko skinął na przyjaciół, by pochylili się nad stolikiem, a potem szybko opowiedział im, co się wydarzyło po tym, jak zostawił ich przy zielonym stoliku. Nie miał również zwyczaju szczyć się różnymi bzdurami, w nadziei, że ukąsą go one w lepszym świetle, nie pominął więc żadnego z upokorzeń, których doznał za sprawą tajemniczej panny C.

- Wskoczyła bez niczyjej pomocy na konia? - dopytywał się Bartholomew, kiedy opowieść dobiegła swego dość żenującego końca. - Ale zdawało mi się, że mówiłeś, że to była dziewczyna? Żadna niewiasta nie dokonałaby czegoś takiego.

- Kościeju - wtrącił Armand - nasz drogi przyjaciel nie zawsze dostrzega delikatną różnicę między artystycznym węzłem na fularze a węzłem matematycznym, ale z dobrogo źródła wiem, że jest prawdziwym geniuszem, jeśli chodzi o orientację w subtelnych niuansach, którymi różnią się mężczyźni i kobiety. Skłonny jestem mu wierzyć i żałuję tylko, że nie mogłem mu towarzyszyć i na własne oczy oglądać tej wspaniałej sceny.

- Inaczej byś wtedy śpiewał, zwłaszcza jakby ci w głowę rzuciła trepem, chociaż przypominam sobie, że później sam również pomyślałem, iż mógłbyś się tym setnie ubawić - powiedział Simon, wysączając resztki z kieliszka. - Ale odnoszę też wrażenie, że żaden z was nie pojął, o co tu chodzi. Ta dziewczyna, panna C, zdecydowana jest zastrzelić Noela Kinseya. Nie mogę na to pozwolić.

Boothe zmarszczył brwi i z niesmakiem wyjął cienkie wargi.

- Masz zamiar go ostrzec, czy tak? Dlaczego? Przecież raczej niezbyt lubimy tego pana. Czy to ma jakieś znaczenie, kto doprowadzi go do upadku?

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz, prawda, Kościeju? - mruknął ze współczuciem Gauthier, klepiąc przyjaciela po rękę. - Chociaż spędziłeś pół ostatniej nocy na patrzeniu, jak nasz Simon przegrywa z tym jegomościem jedną partię za drugą. Muszą istnieć bardzo poważne powody, jeżeli nasz

czysty jak śnieg Simon postanowił własnoręcznie doprowadzić drogiego hrabiego Filtona do upadku. No, a jakby to wyglądało, gdyby uprzedziła go jakaś bojaźliwa dzierlatka z prowincji, z wielkimi zielonymi oczami? Mógłby nigdy nie pogodzić się z taką sromotą.

Wicehrabia uśmiechnął się blade.

- Właśnie. Nie wiem, jakie motywy kierują tą młodą damą, i naprawdę niewiele mnie to obchodzi. Moje mają pierwszeństwo.

- To ty masz jakiś powód, żeby polować na Kinseya? Naprawdę masz? Nie żartujesz sobie ze mnie? Naprawdę ukrywasz coś w głębi serca? Dlaczego nic o tym nie wiedziałem? Czy ja nie słucham? Jestem pewien, że słucham. To ty po prostu nic nie mówisz. Wcale nie jest to miłe z twojej strony, Simonie. Czy Armand wie? Tak, jestem pewien, że w przeciwieństwie do mnie jest dokładnie zorientowany. A mnie się zdawało, że wczoraj po południu musiałeś doznać wstrząśnienia mózgu podczas sparingu z naszym Armandem w salonie bokserkim Dżentelmena Jacksona - wyrzucił z siebie zbaraniały Boothe. - Chcę powiedzieć, że nie znajdowałem innego wytłumaczenia dla twojej decyzji udania się do jaskini hazardu, jeżeli w dużo większym komforcie możesz przegrywać tutaj, u White'a? Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby tak długo prześladowała cię zła passa, Simonie. Och, a czy powiedziałem już, że mi przykro, że cię porwali, i w ogóle? Powinienem być to powiedzieć, prawda? Przepraszam.

Brockton roześmiał się, rozbawiony konsternacją przyjaciela.

- W porządku, Kościeju, przebaczam ci. I potwierdzam, że zdecydowanie zamierzam zapolować na hrabiego. Opowiem ci o tym, ale innym razem, w bardziej prywatnym miejscu, dobrze? Filton grywa najczęściej w jaskiniach hazardu, ponieważ przekonał się, że łatwiej ludzi oskubać tam, gdzie nikt nie czepia się zbyt drobnych kantów albo nawet ich nie zauważa. Nie lubię go, ale muszę przyznać, że jest znakomitym oszustem. Chcąc go przyłapać, zabrałem ze sobą kogoś, kto ma tak bogate doświadczenie jak Ar-

mand, który mi zresztą jego cząstkę w swoim czasie przekazał. Chcę, by Filton odkrył swoje zamiary, chcę ściągnąć go z powrotem do klubów, bym mógł, w nadziei, że okaże się uczniem godnym mistrza Armanda, oskubać go publicznie, na co po prostu zasługuje. Nie życzę jednak temu człowiekowi śmierci. Życzę mu tylko, by doszczętnie się spłukał i ruszył w drogę na kontynent wraz z tyłoma innymi, którzy muszą umykać przed wierzycielami.

Tu Armand wtrącił się, potrząsając głową.

- I dlatego, jak przypuszczam, będziemy widywali Nola Kinseya dużo częściej, niż mamy na to ochotę; dopóty, dopóki nie zrealizujesz swoich zamierzeń. Zanosi się na koronkową robotę, Simonie, jeżeli planujesz go zrujnować, a nie tylko pozbawić pewnej ilości pieniędzy, a na dodatek zrobić to uczciwie. Nie możesz mu kieszeni opróżniać zbyt szybko, bowiem zacznie coś podejrzewać i z powrotem zwieje do swoich ulubionych spelunek. Oczywiście jeżeli mała panna Zielonooka wcześniej nie zrobi w nim dziurki.

Wicehrabia westchnął, obracając w palcach szampankę.

- Nigdy nie sądziłem, że przyjdzie mi ratować kogoś takiego, jak on, przed potencjalnym przestreleniem na wylot. Poniżające to jest, ot co. Chociaż przyznam, że nęci mnie możliwość spotkania pomysłowej panny C. Z pewnością nie potrwa to długo, zanim na nią trafimy; będzie czyhała gdzieś tu, w pobliżu, by wypatrzeć Filtona, a potem zastrzelić go jak psa. Odniosłem wrażenie, że to bardzo zdeterminowana osóbką.

Gauthier zamknął na moment oczy, a potem popatrzył przez stół na przyjaciela.

- Och, cóż za śliczny obrazek powstał w tej chwili w moim umyśle, ale tobie niezbyt by się spodobał, więc nie będę o nim mówił. W końcu zapewniłeś nas, że twoje zainteresowanie panną Zielonooką wynika ze szlachetnych pobudek - pragniesz ją chronić. Ale, Simonie, co ty, na miłość boską, z nią zrobisz, kiedy już ją znajdziemy?

- Odeślesz ją do domu? Oddasz w ręce Straży? Dasz jej łańcie i pošlesz spać bez kolacji? Mówiłeś, zdaje się, że to jeszcze dzieciak, prawda? A nie żadna bezwzględna morderczyni?

Brockton spojrział na Kościeja, który właśnie przedłożył te trzy jednakowo trudne do przełknięcia propozycje. Słowa przyjaciela przypomniały mu, że nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, kiedy po raz pierwszy zadała mu je matka. I, co gorsza, nadal jej nie znał.

- Nie mam najbledszego pojęcia, co z nią zrobić, Armandzie. Pewien jestem tylko, że powinienem ją jakoś ukarać. Właściwie, Kościeju - uśmiechnął się z zadumą - pomyśl, żeby jej spuścić lanie, nie jest taki całkiem niemądry. Albo żeby odszukać jej ojca i porządnie mu przyłożyć za to, że był tak nierozważny i spuścił ją ze smyczy.

- Uch, och, właśnie wszedł Filton - wtrącił Boothe, usiłując patrzeć na drugą stronę sali i w podłogę równocześnie, w wyniku czego wyglądał tak, jakby kokietował mężczyznę, który właśnie kierował się w ich stronę. - Nie może tu usiąść - ciągnął półgłosem. - Beau nigdy go nie zaprosił. Czy on o tym nie wie? Natrętny grzyb, oto czym jest. Powinieneś być pozwolić tej dziewczynie go zastrzelić, Simonie. Naprawdę popełniłeś błąd, powstrzymując ją.

- Ona właśnie zabierała się do tego, żeby zastrzelić mnie, Kościeju, a ponieważ dopiero co miałem zaproponować, żebyśmy tego człowieka poszli poszukać, uważam to za niesłychanie mile z jego strony, że oszczędził nam trudu - zwrócił przyjacielowi uwagę wicehrabia. Podniósł się i odwrócił, wyciągając na powitanie rękę do Noela Kinseya; za jego promiennym uśmiechem kryło się gorące pragnienie, by powalić tego niegodziwego osobnika na jego dobrze zaokrąglony zadek, a potem go podeptać. - Filton! Jakże miło pana znowu widzieć. Nie ma co, obdarł mnie pan zeszłej nocy ze skóry, słowo daję. Czyżby przyszedł pan tu dać mi okazję, żebym się choć częściowo odegrał? Prawdziwy z pana dżentelmen!

Noel Kinsey uśmiechnął się przymilnie, jego bystre i tak-sujące oczy zwięzły się do szparek; blond fryzura hrabiego graniczyła z doskonałością, podobnie zresztą jak nieskazitelnie leżący surdut, który zdobił wysoką, chociaż odrobinę ociężałą postać.

- Urwałem panu nie więcej niż pięćset funtów, Brockton,

a coś takiego mogło zdrzeć ledwo jeden paseczek skóry z pana przepastnego portfela. Jednakowoż, jeżeli ma pan ochotę na następne spotkanie, jestem gotów. Ale obawiam się, że dopiero za kilka tygodni. Wezwano mnie do łoża boleści mojej najdroższej ciotecznej babki i muszę udać się na wieś, na jakiś czas. Jeżeli szczęście mi choć trochę dopisze, w dwa tygodnie babunię ułożą łopata do snu, a ja w towarzystwie jej ślicznych pieniążków pojawię się bezzwłocznie w Mayfair. Chciałem tylko, by pan wiedział, że nie należę do ludzi, którzy odbierają bliźniemu pieniądze, a potem nie dają mu szansy na ich odzyskanie.

- Jak już mówiłem, Filton, jest pan dżentelmenem do szpiku kości - wycedził Simon i wyrwał rękę z dłoni hrabiego, z trudem powstrzymując się, by nie wytrzeć jej o nogawkę spodni. - Z góry cieszę się na chwilę, kiedy znowu razem zasiądziemy przy stoliku, zapewniam pana. Nigdy mnie jeszcze nie prześladowała taka zła passa i doceniam to, że daje mi pan szansę, bym odzyskał honor. Ale tutaj, u White'a albo w którymś z innych klubów, dobrze? Nie byłem zachwycony tym, że otaczało nas tylu Jasiów prosto od krów. Emanujący od nich zapach obory mógł człowieka niemalże zwalić z nóg. Tak więc wyjeżdża pan dzisiaj na wieś?

- Jutro rano. Nie ma wielkiego pośpiechu - z roztargnieniem poinformował Kinsey, a potem dodał: - Niestety, na ten wieczór mam już inne plany, jeżeli o to chciał pan zapytać. Pewien młody dżentelmen prosto z Surrey nie może doczekać się, by obdarować mnie swym znacznym, kwartalnym kieszonkowym. Ale niechże pan tak nie gryzie wędzidła, Brockton. W swoim czasie uwolnię i pana od majątku, zapewniam. Panowie. - Niedbale ukłonił się po kolei Boothe'owi i Gauthierowi, a potem swobodnym krokiem oddalił się i usiadł przy stoliku dosyć odległym od upragnionego, wykuszowego okna.

Wargi Simona zacisnęły się, powzięte przez niego postanowienie było niezłomne, a najistotniejsze powody wciąż pozostawały jego tajemnicą.

- O, tak, przyjaciele. Filton należy do mnie. To ja go pod-

puszczę, to ja go zniszczę. Nie ścierpię niczyjej interwencji.

- Po mnie się interwencji nie spodziewaj, Simonie. Powinieneś był podstawić mu nogę i powalić go na ziemię - powiedział Bartholomew, kiedy Roxbury ponownie zajął miejsce. - Nie podoba mi się ten człowiek. Wcale mi się nie podoba, taka jest prawda. A jak on się wysławia, jakby każde słowo było perłą. „Kwar-tal-ne kie-szon-ko-we”. Ha! Stanowczo za wielkie wrażenie robi na sobie samym, powiadam, o wiele za wielkie.

- To tyle, jeśli chodzi o opinię Kościeja na temat Filtona, który uważa ciebie, Simonie, za ostatniego tępaka, nawiasem mówiąc - wtrącił Armand. - Oszukiwał pod koniec zeszłej nocy niemal jawnie, a ty ani razu nie kazałeś mu się wytłumaczyć. Przekonany jestem, że wyobraża sobie, iż nie minie miesiąc, a cała twoja fortuna będzie należała do niego, pod warunkiem, że ta droga cioteczna babka zechce się liczyć z innymi i uwinie się z wyciąganiem nóg. Kościej ma rację, chociaż nieczęsto mu się to zdarza. Powinieneś był powalić Kinseya na ziemię.

- A co by to dało? - zapytał wicehrabia, który pospiesznie wysączył następny kieliszek szampana, usiłując pozbyć się z ust niesmaku po tych wszystkich bzdurach, które zmuszony był wypowiedzieć, by butny Kinsey nie stracił zainteresowania. - Wiecie sami, że nie można tak sobie kogoś powalić. Trzeba mieć jakiś powód, a ten znajdzie się, jeżeli Fil ton ośmieli się oszukiwać zbyt otwarcie tutaj, u White'a. Poza tym nie palę się aż tak do pojedynku, kiedy istnieje prostsza droga, a pieniądze hrabiego bardzo przydadzą się instytucjom dobroczynnym.

- Przypuszczam, że możesz mieć nawet rację - zgodził się Gauthier, chociaż należał do ludzi preferujących atak bezpośredni. - Cały Simon, zawsze ma na oku wspomaganie tych, którym się gorzej wiedzie.

Na kilka chwil przy stole zapanowała cisza, aż wreszcie Bartholomew zastukał palcem wskazującym w sam środek blatu, chcąc zwrócić uwagę towarzyszy.

- Wiesz, co ja myślę, Simonie? Myślę, że ta twoja panna C. musi mieć ważne powody do gniewu, skoro tak bardzo chce

zastrzelić Filtona - powiedział, uśmiechając się szeroko, wyraźnie zachwycony swą przenikliwością. - Inaczej nie goniłaby za nim z pistoletem, prawda? Jeżeli ją znajdziemy i zmusimy, by opowiedziała nam swoją historię, wtedy jeden z nas może mu rzucić wyzwanie, by chronić tę biedną, pokrzywdzoną niewiastę, czy jakieś brednie w tym stylu. Simonie?

- Sądziysz, że on splamił jej honor, Kościeju? Poszedł z nią do łóżka, a potem porzucił? - zapytał Brockton, przy czym wcale nie był zachwycony kierunkiem, w którym wiodły jego myśli. - Nie. Raczej nie wyglądała mi na kogoś, kto dałby się uwieść, czy to ze względów romantycznych, czy innych, człowiekowi podobnemu do Filtona.

- Ha, Kościeju - powiedział ze śmiechem Armand. - Posłuchaj tylko. Nasz Simon doszedł do wniosku, że jego osobista porywaczka jest kobietą w pewnym sensie cnotliwą. Pewnie karmi biedaków, pielęgnuje chorych, ma zwyczaj obrabowywać bogaczy i obdarowywać uciśnionych. Daj temu człowiekowi parę chwil, Kościeju, a każe tę małą sekutnicę mianować świętą, a wszystko dlatego, że chciała zastrzelić Filtona. Simonie, czy jesteś całkiem pewien, że jej drewniak nie trafił w cel? Kościeju, czy zechciałbyś przyłączyć się do mnie, zbadamy, czy na głowie naszego przyjaciela nie ma jakichś podejrzanых guzów?

- Och, dajże już spokój, Armandzie - odrzekł wicehrabia, uśmiechając się mimo woli. - Nie mam pojęcia, czym ta dziewczyna jest albo nie jest. Wiem tylko, że chce uśmiercić Noela Kinseya, co w sumie jest godnym podziwu pragnieniem. Patrzcie, Filton wychodzi. A ponieważ jestem przekonany, że nasza tajemnicza panna C. znajduje się w tym momencie gdzieś na zewnątrz, czai się i czeka, aż nieostrożny pan hrabia pojawi się znowu na ulicy, proponuję, byśmy odroczyli to spotkanie i pospacerowali sobie po St. James w nadziei, że znajdziemy ją, zanim zdąży zrobić coś głupiego.

- To nie jest miłe z twojej strony, że nazywasz ją głupią, Simonie - zwrócił mu uwagę Bartholomew, podnosząc się i podążając za przyjaciółmi. - Jeszcze cię może zastrzelić.

- Wielka prawda, wielka prawda. I jakże zacnie z twojej

strony, że zwracasz mi na to uwagę - powiedział Roxbury lekko urażony, po czym uśmiechnął się i klepnął Kościeja po plecach tak mocno, że ten niemal rozciągnął się jak długi na podłodze.

- I pomyśleć, że mój ojciec tak bardzo chciał mieć córkę - zrzędził Plum; przerwał narzekanie i skrzywił się, bo go uciśkał gorset.

- Przestań, Lesterze! - syknęła Callie półszepem, uśmiechając się równocześnie i uchylając kapelusza przed dostojnie wyglądającą matroną i jej pokojówką, które właśnie ich mijały. Obie kobiety z pewnym niepokojem patrzyły na Lestera, który usiłował się podrapać po siedzeniu. - Damy nie dotykają się w miejscach publicznych. W prywatnych także nie, jak już o tym mowa.

Plum wrósł w chodnik i zagapił się na przyjaciółkę.

- Nie? To jak sobie, do pioruna, radzą, ciekawym? Czy kobiet nigdy z tyłu nic nie śwędzi?

Callie przewróciła oczami i odpowiedziała mu ledwo rozchylając usta.

-Jeżeli nawet, nie przyznają się do tego.

- Naprawdę? A co z nosem? Czy zdarza się, że śwędzi je nos?

- Może się i zdarza, ale publicznie po nosie też się nie drapią. Ani nie dłubią w nim, jeżeli to miało być twoje następne pytanie.

- Zdumiewające! Co za hart ducha! - Najwyraźniej Lester oczarowany był zdolnościami kobiet do ignorowania większości przyrodzonych człowiekowi czynności i reakcji, a dowiódł tego swym następnym pytaniem. - A co z czkawką, Callie? Czy kobiety miewają czkawkę? Och, jeszcze jedno. Czy im się odbija? Nie, pewnie nie. No to co one robią z tym całym powietrzem? Czy gromadzą je przez wieczór, a potem jadą do domu i eksplodują?

- Idiota z ciebie, Lester - poinformowała go przyjaciółka, usiłując się nie roześmiać w głos. - I przestań szarpać te wstażki, albo ci czepek spadnie z głowy. Naprawdę, Lesterze, pomyślałby ktoś, że chowałeś się w stajni.

- Na pewno nie chowałem się w żadnym różowo-białym pokoiku, pozwól sobie powiedzieć! - fuknął poirytowany Plum. - A dlaczego dałem ci się namówić, żebym przebrał się w te ubrania, nie mówiąc już o paradowaniu w nich po ulicach miasta, tego nigdy nie zrozumiem. Dlaczego muszę być zaniedbaną, starą panną, która niewiele już wymodli od życia? I na dodatek jeszcze ubogą krewną. I wcale nie jestem przekonany, że w różowym jest mi akurat do twarzy, a mankiety przy tej sukni musiały być co najmniej dwa razy nicowane. Dlaczego nie mogłem przynajmniej być młodą damą?

- Ponieważ nie stać nas było na nic lepszego w tym zaprzyjaźnym sklepie, gdzie sprzedawali stare ubrania - wyjaśniła Callie cierpliwie już chyba po raz dziesiąty, a przynajmniej takie miała wrażenie. - Gdybyśmy mogli wystroić mnie, byłoby świetnie, lecz nie zdołaliśmy znaleźć nic, co by pasowało. Ale właściwie tak nawet jest lepiej. Brockton prawdopodobnie szuka drobnej kobiety. Zgoda, może również szukać dwóch mężczyzn, jednego niskiego i chudego, a drugiego nieco lepiej odżywionego. Albo może nas wcale nie szuka. Ale nigdy w życiu nie będzie szukał młodego mężczyzny i jego, powiedzmy, nieco pulchnej ciotki. Poza tym - dodała, starając się nie chichotać - wydaje mi się, że nie doceniasz swoich uroków.

- Odegram się na tobie kiedyś za to, Callie Johnston, przysięgam, że się odegram - warknął Lester, i o mało nie ucierpiał z powodu niewielkiej nierówności w bruku. KobiECE obuwie to diabelski wynalazek, do takiego wniosku doszedł już o trzy przecznice i o pół godziny wcześniej. Te ich buty, te koronki i wstążki, i słomkowe kapelusiki, gorsze niż końskie klapki na oczy.

Callie poklepała przyjaciela po rękę.

- No, no, ciociu Leslie, dostanie ciocia ataku waporów, jeżeli będzie ciocia tak biegła. A czy to nie ciocia mówiła, że pragnie przemierzyć Mayfair wzdłuż i wszerz, by obejrzeć wszystkie cudowne widoki? Na przykład ten, który właśnie schodzi po frontowych schodach budynku przed nami.

- To Filton? Gdzie? - zapytał Lester swoim normalnym

tonem, a potem pospiesznie przestawił głos o pełną oktawę wyżej. - Chciałam powiedzieć... gdzie, mój kochany? - zapytał, a następnie ściszył głos do szeptu. - Och, prawda. Widzę go już. Pamiętaj, żebyś mi nie zrobiła krzywdy.

- Ależ skąd. A przynajmniej nie większą, niż muszę - zapewniła go Callie i puściła do niego oko.

I ruszyli po chodniku ramię w ramię, udając, że są dwójkiem przyjezdnych z głębokiej prowincji, którzy podziwiają miasto - a przez cały czas nie spuszczała z oka Noela Kinseya. Hrabia przechodził właśnie przez szeroki chodnik i kierował się do, zdaniem Callie, po prostu pierwszoklasnego fasetonu. Zastanawiała się, czyje pieniądze pokryły koszty tak wspaniałego ekwipażu i niestety znakomitej pary zaprzęzonych do niego koni. Z pewnością nie pieniądze jego lordowskiej mości, tego była akurat pewna. Jeżeli nawet przez chwilę czuła dla niego litość, serce jej znowu stwardniało.

Plan Callie był bardzo prosty. Taki prosty, a przecież tak genialny i rozkoszny, że aż żałowała, iż nie wymyśliła go wcześniej. Przyspieszyła kroku, pociągając Pluma za rękę, chcąc go skłonić do szybszego przebiegania nogami; on naprawdę nie miał pojęcia, jak sobie radzić w damskich bucikach, biedaczysko.

Nie tracąc czasu, zbliżyła się do Noela Kinseya, który bez reszty zajęty był ruganiem swego lokaja za taką czy inną przewinę. Jego lordowska mość stał odwrócony plecami do chodnika i skupiony był na czymś innym niż mijający go ludzie.

Krótko mówiąc, okazywał pełną gotowość do współpracy; a chociaż Callie go za to nie pokochała, niemniej zyskała idealnie nieruchomy cel. Pchnęła Lestera do przodu... przyjaciel runął na hrabiego całym swoim ciężarem, jakby się potknął o jakiś leżący luzem kamień, co też się stało... i jakby stracił równowagę, którą dzięki sile, z jaką Callie go pchnęła, naprawdę stracił... i przewrócił Noela Kinseya na ziemię... Nie pozwolił mu jednak wstać, zastosowawszy bardzo prosty fortel. Udał mianowicie, że popadł w głębokie omdlenie, leżąc przy tym na zmaltretowanym Filtonie - a to już było najpiękniejsze ze wszystkiego!

- Cioteczko Leslie, czy nie cioci nie jest? - zawołała Callie, starając się, by wyglądać na wystraszoną, a równocześnie obciążając w dół suknię Lestera, która podjechała w górę, ukazując ociupinę za duży kawałek pulchnej, włochatej łydki. Plum był po prostu wspaniały: leżał na plecach, ręce i nogi miał rozrzucone na boki, przez co skutecznie przygważdżał Kinseya do bruku, a oczy zamknął, całkiem udanie pozorując omdlenie.

- Cioteczko Leslie, cioteczko Leslie! - błagalnie wołała Callie, pochylając się i łagodnie klepiąc przyjaciela po policzkach. - Przemów do mnie, cioteczko! Czy uderzyłaś się w głowę? Panie? Panie, bądź pan tak łaskaw i puść moją nieszczęsną ciotkę!

Noel Kinsey, który leżał plackiem na bruku, twarzą do dołu, z balastem na plecach, odwrócił głowę na bok, próbując spojrzeć na Callie.

- Wy... wypuścić ją? Słuchaj no, ty zuchwały szczeniaku, ta niezdarna klucha zgniecie mnie za chwilę na miazgę!

- Och, to nie było miłe - skarciła go Callie. Wokół nich zbierał się tłumek gapiów, dwóch dżentelmenów już brało Lestera pod ręce i delikatnie go podnosiło. Wkrótce został uniesiony do pozycji siedzącej, poruszył się, jęknął, raz czy dwa podniósł się i ponownie padł na mocno już nadwerżone plecy Kinseya, i dopiero potem pozwolił postawić się na nogi. - Widzi pan? Ciocia wygląda już dużo lepiej, ale panu nie mamy za co dziękować. A teraz, sir, czy mogę pomóc panu się podnieść? Może pomóc panu wsiąść do powozu?

- To faeton, przygłupie, a nie powóz, a nie prosiłbym o pomoc takiego niezdarnego paroba jak ty, nawet gdyby mi się ziemia paliła pod nogami - oświadczył rozgniewany hrabia.

Nie zwracając uwagi na jego słowa, Callie położyła mu dłoń na łokciu i podniosła go, równocześnie kładąc drugą dłoń na pistolecie w kieszeni. Lester dostarczał zajęcia gapiom, pokrzykując głośno i histerycznie, i grożąc, że zaraz znowu zemdleje; nie powinno więc sprawić jej trudności przystawienie Filtonowi do boku lufy pistoletu i przekona-

nie go cichym szeptem, jak rozsądną rzeczą będzie zaproponowanie zarówno Callie, jak i jej poszkodowanej „ciotce” odwiezienia ich do miejsca zamieszkania.

A kiedy znajdą się już w tym modnym faetonie i na gościńcu, pozostanie tylko nakłonić hrabiego, by wyjechali z miasta. Uwolnią się od gapiów, a wtedy będzie go mogła postrzelić w kolano, w prawe kolano, tak zdecydowała, i zostawić w pobliżu oberży „Pod Zielonym Człkiem” pod opieką lokaja, mniej więcej o pół mili od miejsca, gdzie ukryli z Lesterem wynajęte konie.

Ustawiła się tuż za Kinseym, odrobinę na lewo od niego. Już miała mu wepchnąć w żebra lufę pistoletu, wciąż jeszcze ukrytego w wielkiej kieszeni surduta, kiedy coś zacisnęło się mocno na jej prawej ręce niczym imadło.

- Nie sądzę, smarkulo, chociaż naprawdę jestem pełen podziwu dla pani odwagi i pomysłowości - wycodził dobrze znany i zniechęcony głos tuż przy jej uchu. - Wypuść go. Wypuść go w tej chwili i pozwól mu odjechać. Zrozumiano?

Callie zrobiła się sztywna jak deska, a Noel Kinsey wybuchnął potokiem skarg.

- Nigdy w życiu nikt mnie tak nie znieważył! - krzyczał, wyrwijąc rękę z pozbawionych czucia palców dziewczyny. Pochylił się, by odzyskać swój zniszczony kapelusz, po czym za jego pomocą zaczął otrzepywać swą osobę z kurzu, którym pokryła się, kiedy pan hrabia całował bruk. - Powinno istnieć jakieś prawo przeciw takim cymbałom i przeciw tłustym babom! Tłustym, niezdarnym, głupim babom i ich gamoniowatym, durnym krewniakom!

Lokaj Kinseya usilnie starał się zetrzeć z twarzy coś, co przypominało pełen uznania uśmiech, który pojawił się tam w chwili, kiedy jego pracodawca rozciągnął się na ziemi. Teraz, poniewczasie, rzucił się do przodu, by pomóc znieważonemu hrabiemu wspiąć się na wysokie siedzenie faetonu.

- Niech no pan posłucha, Filton - odezwał się niemal chorobliwie wychudzony mężczyzna, ubrany zgodnie z najnowszą modą, który nie szczędząc trudu, starał się utrzymać Lestera w pozycji pionowej, do czego chyba jednak

trzeba było sił, jakimi chudzielec nie dysponował. - Czy nie zamierza pan nawet zapytać, jak się ta dama czuje? To raczej nietaktowne z pana strony, czyż nie? A może powinien pan zaproponować, że zabierze tę biedaczkę i odwiezie ją do lekarza?

- Pilnuj pan swojego cholernego nosa, Boothe - burknął Noel Kinsey, a potem się wykrzywił. - I niech pan uważa, jeżeli ona znowu się zwali, to pana wykończy. - Gwałtownie potrząsnął lejcami, strzelił z bata i odjechał; nigdy się nie miał dowiedzieć, że był o włos od katastrofy.

A winę za wszystko ponosił niejaki Simon Roxbury, -wicehrabia Brockton, będący - rzec by można - przysparzającym imponująco wielu kłopotów przyszczem na nie dopuszczającym żadnego drapania siedzeniu Callie Johnston.

Będę autokratką: to mój zawód.
A dobry Bóg mi przebaczy: to Jego zawód.

- Katarzyna II, caryca Rosji

4

- Opowiedz mi to jeszcze raz.

Simon pociągnął się za lewe ucho, co oznaczało, że jest i zły, i znudzony. Bardziej zły niż znudzony, jak świetnie wiedziała z doświadczenia jego matka. Uśmiechnęła się teraz jeszcze szerzej, równocześnie wiercąc się na krześle niczym małe dziecko, któremu ktoś proponuje łakocie, i powtórzyła prośbę.

- Mamo, niech mama przestanie nalegać - ostrzegł syn wicehrabinę, a potem potrząsnął z rezygnacją głową, bo Bartholomew Boothe uległ jej błaganiom.

- Można by powiedzieć, że doszedłem już, jak się sprawy miały, madame. Widzi pani, to był taki fortel - zaczął Bartholomew, a potem spojrzął na Armanda Gauthiera. - Dobrze mówię, prawda, Armandzie? Fortel? Czy to odpowiednie słowo?

Gauthier, który rozsiadł się swobodnie w salonie Roxburych i tuląc w dłoniach lampkę z brandy, ogrzewał trunek, uśmiechnął się i przytaknął.

- Trafiliś w sedno, Kościeju. Fortel. Chwył, pułapka, intryga, złośliwe figielki. Kruczek. Prowadzący do celu środek, a może nawet przemyślany podstęp, jeżeli mogę oddać panie C. sprawiedliwość, nie narażając się przy tym na grad przekleństw ze strony naszego obecnego tu przyjaciela.

- I do tego genialny! - przerwała mu Imogena i wychyliła do dna kieliszek sherry, pierwszy i ostatni, bo jej aż do przesady ostrożny syn nie pozwalał matce na więcej przed obiadem, przy którym piło się nie na żarty. - Taki prosty,

taki na swój sposób elegancki. Uprowadzić człowieka ze środka ulicy, w biały dzień, pod okiem połowy londyńskich gapiów, którzy niczego nie zauważą. Ta dziewczyna ma silny charakter, muszę jej to przyznać, a do tego serce Trojanki.

- A równocześnie los obdarzył ją umysłem i instynktem samozachowawczym godnym obłąkanego susła. - Simon potarł dłonią usta, zastanawiając się, nie po raz pierwszy, czy było rzeczą rozsądną ściągać genialną pannę C. do swego domu, zwłaszcza kiedy była tam matka. - Wiecie sami, że z równą łatwością mogła dać się złapać, jak odnieść sukces, i w tej chwili siedzieć w areszcie, czekając na proces. I na szybkie powieszenie. Korona nie patrzy przychylnym okiem na tych, którzy usiłują mordować utytułowanych dżentelmenów. A może nikomu z was nie przyszło to na myśl?

- Ja pomyślałem o tym - przyznał Bartholomew i zmarszczył brwi, a potem znowu się rozchmurzył. - Ale nie złapali jej. Ani jej, ani tej ciotki, która jest dosyć sympatyczna, nie uważacie? Nie, absolutnie nikt ich nie podejrzewał, nawet żaden z nas. Oczywiście poza tobą, Simonie, i dlatego siedzą teraz obie pod kluczem w jednym z twoich pokoi gościnnych, po tym, jak ściągnąłeś je tutaj wbrew ich woli. Czy ściągnięcie ludzi do swego domu wbrew ich woli nie jest zabronione pod karą śmierci? Coś mi się zdaje, że może być. Tak. Niewykluczone, że jest! A czy zastanowiłeś się już, co z nimi zrobisz? Chodzi mi o to, że nie możesz ich trzymać związanych pod kluczem. A przynajmniej nie bez końca. Chociażby dlatego, że muszą coś jeść.

Gauthier podniósł się, podszedł do Kościeja, przyjrzał mu się z wysokości swego wzrostu, a potem szeroko uśmiechnął się do Brocktona.

- Czyż on nie jest kochany, stary przyjacielu? Wciąż jeszcze wierzy, że ten tęgi osobnik to kobieta. Jak sądzisz, czy nie powinniśmy wyposażyć go w okulary? Chociaż może należałoby raczej zostawić mu te złudzenia i z zapartym tchem przyglądać się, jak zacznie się do cioteczki zalecać? Mogłoby to się okazać bardzo zabawne.

Boothe zerwał się jednym płynnym ruchem na nogi, jego zapadłe policzki zapłonęły rumieńcem.

- O czym ty, u diabła, gadasz? Ależ to oczywiste, że ciotka musi być niewiastą. W przeciwnym razie byłaby wujkiem panny C, a nie jest nim. Ciotki są kobietami, zawsze nimi były i zawsze nimi będą. Każdy osioł to wie!

Wicehrabina, mrużąc oczy, przyglądała się temu wybuchowi.

- Złote serce, tępa głowa, oto cały ty, prawda, Kościeju? Biedaczysko. - Następnie wyciągnęła rękę z pustym kieliszkiem w kierunku syna, który doszedł do wniosku, że ten jeden jedyny raz może matce pozwolić na repetę. - Ale przestańmy na moment zajmować się potencjalnym zaangażowaniem się pana Boothe'a w romans, synu - powiedziała, przyjmując napełniony kieliszek - i, jeżeli pozwolisz, wróćmy do powodów, dla których przyprowadziłeś do tego domu ubraną po męsku dziewczynę oraz wystrojonego jak kokota młodzieńca. Koniec końców nie są dziś moje urodziny, chociaż muszę przyznać, że uważam tę parę za bezprecedensowy podarunek. Nawet jeżeli mam wątpliwości, czy którekolwiek z nich nadaje się na potulnego pieszczoszka.

- Dziewczyna próbowała ugryźć Simona, kiedy wypychał ją do swego powozu - wtrącił Bartholomew i znowu usiadł. - Wczoraj wieczorem mało brakowało, a byłaby go zastrzeżliła albo rozbiła mu drewniakiem głowę, a teraz wzięła się do gryzienia. - Potrząsnął głową. - Takie kobiety są niebezpieczne - oświadczył. - Chyba muszę poważnie zastanowić się nad sprawą swojego zadurzenia, zważywszy, że ciotka należy do jej krewnych.

- Ani słowa, Armandzie - uprzedził Simon przyjaciela, który już otwierał usta, by powiedzieć coś, co z pewnością miało jeszcze bardziej otumanić biednego Jasnokościstego, o ile to możliwe. - Niech mama posłucha - dodał pośpiesznie - sprowadziliśmy do domu pannę C. i jej... - tu spojrział na Kościeja - i tę osobę jej towarzyszącą, ponieważ, mówiąc szczerze, nie mieliśmy innego wyboru. Przebrała się za młodego dżentelmena, pistoletem wymachuje jak jakiś szatan

wcielony, ale nie ulega kwestii, że jest młodą kobietą. Co prawda ta młoda kobieta ma maniery dzikiego Indianina, tym niemniej wyraża się jak dobrze wychowana panna, choć być może wyrafinowane towarzystwo uznałoby jej słownictwo za zbyt śmiałe. Od chwili, kiedy odebrałem jej pistolet... obydwie pistolety, pary z ust nie puściła, słówka nie pisnęła. Nie chciała nam powiedzieć, jak się nazywa, nie chciała wyjawić swojego adresu. Nie miałem wyboru. Gdybym ją wypuścił, ruszyłaby w pogoń za Filtonem i znowu próbowałaby go zastrzelić.

- Sądząc po tym, co słyszałam na temat tego człowieka, mogłaby za taki czyn zostać nobilitowana - rzekła Imogena, wygłodniałym spojrzeniem obrzucając paterę z cukierkami, które od pół godziny wołały ją po imieniu, wyraźnie to słyszała. Gdyby tylko ten gorset nie wpijał jej się tak w... ale nie, musi się oprzeć pokusie. - A ciocia też nie chce nic mówić?

- Sądzę, że prędzej dałby się żywcem ugotować w oleju, niż przyznał się do swego nazwiska czy płci. - Armand poruszył brwiami, wskazując na Boothe'a, który miał taką minę, jakby zaczynał uświadamiać sobie, że popełnił błąd i przez najbliższe dwa tygodnie, albo i dłużej, nie dadzą mu o nim zapomnieć zjadliwe kpiny. - Poza tym to oczywiste, że wszystkim rządzi nasza panna C. Ten biedny głuptas, niczym wół z wetkniętym w nos kółkiem musi podążać za nią i służyć rozkazów. Czy tak to widzisz, Simonie?

Wicehrabia milcząco przytaknął, nagle poczuł się tak znużony, że nie chciało mu się odzywać. Niemal osłupiał, kiedy wychodząc od White'a, zobaczył Filtona, który właśnie padał na ziemię, ginąc pod całym stosem spódnic i wymachujących na wszystkie strony kończyn. Rozbawienie na widok kłopotliwego położenia hrabiego szybko się jednak ulotniło, gdy Brockton usłyszał ochrypłe, nieudolne naśladowanie męskiego głosu w wykonaniu smarkuli, która porwała go poprzedniej nocy. Zachowanie spokoju kosztowało go wiele nerwów, zdążył się jednak domyślić, jakie zamiai ma ta oburzająco zuchwała panna C, jeszcze zanim wsunęła dłoń do wybrzuszonej kieszeni.

To, co się działo od tamtej chwili do teraz, pamiętał jak przez mgłę. Filton oddalił się, wciąż tak samo paskudny, wciąż cały i zdrowy, w błogiej nieświadomości, że nieszczęście minęło go o włos. „Cioteczka” nie przestawała drzeć się nieludzkim głosem, a natężenie jej wrzasków wzrosło, kiedy Kinsey odjechał, a „ona” dostrzegła, że Brockton trzyma pannę C. w całkiem mocnym uścisku.

Simon zaczekał, aż gapie stracą zainteresowanie tym niewielkim dramatem i się rozejdą, po czym skinął na Gauthiera, żeby złapał „ciocię”, która teraz zaczynała już kwilić. Wspólnymi siłami zaciągnęli tę dziwaczną parę za róg ulicy, gdzie czekał powóz.

A teraz znajdowali się wszyscy w domu przy ulicy Portland: Simon, Bartholomew, Armand, wicehrabina, panna C, no i „ciocia”. Czworo z nich zastanawiało się w salonie, co robić dalej, a dwoje siedziało zamkniętych na klucz na piętrze, pary z ust nie puszczając, w efekcie czego motywy ich działania nadal były nieznane.

- Każmy im zejść tu na dół, dobrze? - zaproponował wicehrabia, idąc w kierunku drzwi. Ryknął na Emery'ego, by przekazać mu, o co chodzi, tym niewytwornym zachowaniem zdradzając, jak bardzo jest poruszony, a potem wysłał krążącego w pobliżu Roberta, by pomógł kamerdynerowi sprowadzić więźniów na parter.

- Wcale nie zachowuję się dziecinnie! - oświadczył pośpiesznie Lester, wysuwając dolną wargę.

- A właśnie że tak - odpowiedziała spokojnie Callie, która nonszalancko rozciągnęła się na brokatowej narzucie i skrzyżowała ręce za głową; na czubku jej obutej stopy tkwił czepek Lestera. W sumie było to aż dziwne, iż miała tak pogodny nastrój. - Zachowujesz się dziecinnie, boczysz się i, chociaż z wielkim bólem, muszę ci przyznać rację: w różowym jest ci nie do twarzy. Zdecydowanie.

Szaroniebieskie oczy Pluma zwięziły się groźnie, przez co zaczął przypominać rozwścieczonego amorka, lecz to podobieństwo ani trochę nie dodało mu powagi.

- Niekiedy naprawdę cię nienawidzę, Callie. Przysięgam. Dziewczyna ziewnęła szeroko (nie zadając sobie trudu, by zasłonić usta, mężczyznom wolno było tak postępować) i popatrzyła na stojącego w drugim końcu łóżka drogiego przyjaciela. Po namyśle doszła do wniosku, że naprawdę wygląda głupio: ubrany był cały na różowo, włosy zwisały mu w smętnych lokach po obu stronach okrągłej jak księżyc twarzy, która jeszcze poczerwieniała, kiedy spacerował tam i z powrotem po pokoju długimi krokami, w efekcie czego dosyć obcisła suknia podjeżdżała mu coraz wyżej. Całlie zaczęło dręczyć sumienie, miała świadomość, że to przez nią znaleźli się w tak trudnym do zniesienia jak jeżynowe chaszczce położeniu. Ale przecież to zawsze ona była inspiratorką przeróżnych wybryków, a te częstokroć kończyły się lądowaniem w czymś kolczastym.

- Pewnie mógłbyś z powrotem założyć czepek. Może wtedy nie domyśla się, że jesteś Lesterem, a nie Leslie - podsunęła, by podtrzymać przyjaciela na duchu.

Plum przestał spacerować, wziął się pod boki i spiorunował ją wzrokiem.

- To chyba oczywiste, że będę nadal udawał kobietę - powiedział rozdrażniony. - Może nawet będę musiał posunąć się do kłamstwa, że chodzę z brzuchem, by uciec katowi spod sznura. - Odwrócił się bokiem i objął rękami swój dosyć okrągły brzusek. - No? Czy sądzisz, że mi to ujdzie płazem?

- Och, z pewnością. Przynajmniej dopóki nie zaczniesz ci odrastać broda - odpowiedziała z powagą Całlie.

- Dobry Boże - jęknął młodzieniec i potarł dłonią już pokrywający się szczecinką podbródek, a następnie w mało elegancki sposób zwałił się na podłogę. - Czekają nas śmierć. Po prostu to czuję. Musimy umrzeć, i już. Nie potrafię ścierpieć nawet ciasnego kołnierzyka, jak więc przeżyję szubieniczą pętlę?

Całlie parsknęła śmiechem, popatrzyła na przyjaciela przez wilgotne od łez rzęsy i dalej chichotała nieopanowanie.

- Na szubienicy nie... nie powinieneś przeżyć - wyrzutu-

siła między jednym atakiem śmiechu a drugim. - Moim zdaniem... taki cel ma ta procedura.

Lester dalej siedział po turecku na podłodze; sięgnął teraz do kieszeni sukni i wyciągnął ostatnią lukrecjową laseczkę, jaka mu jeszcze została.

- No właśnie, Callie - powiedział bez humoru. - Śmieję się dalej. Śmieję się, aż zeza dostaniesz. To dobry sposób, żeby się dostać do Bedlam, gdzie przykują cię do ściany, a inni wariaci będą na ciebie sikali. Widziałem akwaforty, więc wiem. To straszne miejsce!

Dziewczyna gwałtownie usiadła i zwiesiła nogi z łóżka.

- Wiesz co, może ten pomysł nie jest tak całkiem do niczego. Możemy udawać wariatów. Ty mógłbyś obstawać, że jesteś kobietą, a ja... ja... Lesterze? Co ja mogłabym robić?

Jej współnik w potencjalnej zbrodni prychnął pogardliwie.

- Postępuj tylko dalej tak jak zawsze, Callie. Bóg mi świadkiem, że dość w tym wariactwa na trzy przeciętne osoby. Może nawet będzie im nas tak żal, że puszcza nas wolno. Ogłoszą am-am i resztę i pozwolą pójść swoją drogą.

- Am resztę? - Callie zastanowiła się przez chwilę. - Och, chodzi ci o amnestię. - Kiwnęła głową. - Tak, to może się udać. Nie ulega kwestii, że wyglądamy wystarczająco żałośnie. Ale nie możemy im podać naszych prawdziwych nazwisk, Lesterze. Rozumiesz to chyba.

Plum zmarszczył brwi, wyraźnie zakłopotany.

- Nie możemy? Ale sama wiesz, jakie ja mam trudności z zapamiętywaniem nazwisk. Zawsze je zapominam. Już wiem! - wykrzyknął, dźwignął się na nogi i prawie przewrócił, potknąwszy o skraj sukni. Wykorzystał lukrecjową laseczkę jako wskazówkę, którą najpierw wycelował w przyjaciółkę, a potem w siebie. - Ja będę tobą, a ty mną, i w ten sposób nie będę musiał niczego nowego zapamiętywać.

Callie przewróciła oczami, popatrzyła w górę i zwróciła się do Stwórcy przez pokryty sztukaterią sufit.

- Czy ty to widzisz, Boże? Czy widzisz, co ja muszę znośić? - Westchnęła, a potem wyjaśniła cierpliwie. - Nie, Lesterze, to nie przejdzie. Wicehrabia zwróci się po prostu do

twoich i moich rodziców, którzy następnie przyjadą po nas do Londynu. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak zaskoczony będzie twój papa, kiedy zorientuje się, że osoba w tej sukni to ty? To muszą być inne nazwiska, Lesterze. Świeżo wykrojone z nowej beli materiału. Kłamstwa, Lesterze. Musimy skłamać. Chyba potrafisz coś takiego zrobić?

- Czy potrafisz? - zapytał Plum z ustami pełnymi lukrecji, podnosząc czepek i wiążąc wstążki na supeł po lewej stronie podwójnego podbródka. - A pamiętasz, jak nas przyłapali na zmienianiu drogowskazów?

Callie sapnęła kilka razy, w jej pamięci odżyło wspomnienie pewnego wyjątkowo fatalnie zakończonego wybruku, którego celem było skierowanie dyliżansu z Londynu na zupełnie niewłaściwą drogę. Dyliżansem tym jechała nowa guwernantka Callie, tymczasem mająca wtedy czternaście lat dziewczynka doszła do wniosku, że ma już dość uczenia się, jak składać odpowiedni ukłon przed księciem, zwłaszcza że nic nie wskazywało na to, by miała się kiedyś w pobliżu kogoś takiego znaleźć.

Potrząsnęła głową.

- O ile dobrze pamiętam, miałeś wtedy tylko powiedzieć, że ten słup zwaliliśmy przypadkiem i że usiłowaliśmy go z powrotem postawić. Zamiast tego padłeś na kolana, Lesterze, i błagałeś: „Proszę, papo, nie zabijaj mnie, to Callie mnie do tego zmusiła!” - Westchnęła ponownie, przypomniawszy sobie, jak ją ukarano za to, że jeszcze raz wciągnęła Pluma w swoje psie figle. Przez cały tydzień musiała siadać na poduszce! - Pewnie masz więc rację, Lesterze, żaden fortel się nie uda, skoro masz zajęcze serce.

- No więc? - zapytał głuchy na obelgi młodzieniec, a następnie odgryzł jeszcze kawałek ulubionego smakołyku. Jedzenie lukrecji sprawiało mu tyle radości, że przyjaciółka powstrzymała się i nie powiedziała mu, że jego wargi i język przybrały zdecydowanie nieapetyczny, czarniawy kolor i że czepek w najmniejszym stopniu nie dodaje mu urody. - Co nam pozostaje?

Callie wzruszyła ramionami.

- Prawda? - Przeszedł ją dreszcz. - Och, jakież to poniżające. Za nic nie wyznam prawdy, jeżeli będę coś na to mogła poradzić.

- Rzucimy się na łaskę wicehrabiego?

- Zdamy się na jego łaskę, tak - zgodziła się z roztargnieniem Callie; teraz ona z kolei zaczęła przechadzać się po wyłożonej dywanem podłodze, a wszystko się w niej skręcało ze złości na myśl, że wykorzystwała już wszystkie nadające się do eksploatacji cygaństwa. - Właściwie nie pozostaje nam nic innego - zakończyła i uniosła dłonie, by poprawić sobie fular, kiedy usłyszała, jak obraca się klucz w zamku. - Nie przestawaj przeżuwać, Lesterze, i pozwól, żebym to ja wzięła na siebie składanie wyjaśnień, dobrze?

Plum posłusznie wpychał sobie właśnie do ust ostatni, długi kawałek lukrecji, kiedy drzwi otworzyły się i pojawiło się w nich dwóch służących Brocktona. Jeden trzymał w ręce szablę, a drugi stał niepewnie z tyłu i wytrzeszczał oczy, przez co wyglądał kropka w kropkę tak, jakby spodziewał się, że Callie i Lester zmieniają się w parę nietoperzy, przefruną przez pokój i wkręcą mu się we włosy.

Callie bez wahania podjęła decyzję, jak postąpi. Zachowała się wyniosłe. Wyniosłość miała opanowaną, jako że jej ostatnia guwernantka, ta, która nie zgubiła się pomimo przekręconego drogowskazu, była istnym wcieleniem wyniosłości. Jako druga córka zubożałego arystokraty zmuszona była osobiście zarabiać na życie, a lekcji pychy mogłaby udzielać nawet pawiom.

Będąc przekonana, że wcale dobrze prezentuje się w swoich niewymownych i w butach z cholewami, Callie zadarła brodę do góry, popatrzyła na służących z wysoka i spytała:

- No co tam? Zamieniliście się w kamień czy może macie coś do powiedzenia? Słucham. Mówcie, człowieku! Nie ociągajcie się!

Kamerdyner dość niechętnie wyprostował się; z przyzwyczajenia zareagował na władczy głos, mimo iż przemawiał nim taki podłotek przebrany w męskie ubranie.

- Ja... to jest my... nie! Wicehrabia... Wielmożny pan...

- Nie tyle w kamień, co raczej w bulgoczące błotko. Słucham. Dalejże, człowieku! Czy nasza obecność jest pożądana w salonie? I jakże się nazywacie, człowieku? Gdybyście byli w pułku mego ojca, kazałby was wychłostać!

- Emery, sir... chciałem powiedzieć, madame... to jest, Emery! - wyjąkał kamerdyner, będący najwyraźniej pod wrażeniem. - A wicehrabia i wicehrabina Brockton z radością oczekują w salonie pańskiego towarzystwa oraz towarzystwa tej... osoby towarzyszącej, jeśli państwo tak łaskawi - kończył coraz ciszej, wbijając wzrok w dywan.

Jego reakcja uradowała Callie do tego stopnia, że musiała walczyć z pokusą, by się szeroko uśmiechnąć, a może nawet zatańczyć. Ale to był dopiero początek. Wicehrabiego nie tak łatwo będzie zastraszyć, wiedziała o tym.

- Bardzo dobrze, Emery - oświadczyła i podała ramię Lesterowi, który, utknąwszy gdzieś między jedną płcią a drugą, oparł się na nim, zamiast je opiekuńczo podtrzymać. - Może jednak jest jeszcze dla was jakaś nadzieja. - Zrobiła krok do przodu i zatrzymała się. - Czy powiedzieliście „wicehrabina”? A więc Brockton jest żonaty? - Nie miała pojęcia, czemu ta akurat informacja miałyby osłabić nieco wiatr, który dopiero co wyduł jej żagle, ale tak się stało.

- Nie, wielmożny panie... pani. Pani wicehrabina to matka wielmożnego pana, a nieczęsto się takie damy spotyka, jeżeli pozwolą państwo, że tak powiem - piskliwie wtrącił drugi służący, wysuwając się do przodu. - Należy uważać w jej towarzystwie, bo nie jest w ciemną bitą, jeżeli rozumieją państwo, o co mi chodzi. A ja nazywam się Roberts, jestem lokajem i z przyjemnością będę panu służył, wielmożny panie. - Tu spojrział na Lestera. - To jest, chciałem powiedzieć, pani.

Emery wbił w kolegę spojrzenie, które miało go sparaliżować i odebrać mu głos.

- No, co jest? - burknął Roberts, który najwyraźniej przekonany był, że ma coś istotnego do powiedzenia, i nie zamierzał się powstrzymywać. - Wielmożny panie czy pani, co za różnica? Jak ich wziąć oboje razem, to się nie mogłem pomylić.

Callie doszła do wniosku, że Roberts jej się podoba. Zdecydowanie bardziej niż Emery, który znowu spoglądał na nią z góry, jakby oboje z Lesterem wypełzli przed chwilą spod jakiegoś paskudnego, zmurszałego kamienia.

- Może już chodźmy - wtrąciła, zanim dwaj mężczyźni zdążyli się pobić, i skierowała się z Plumem prosto na korytarz. Służący rozstąpili się niczym Morze Czerwone i pozwolili im przejść.

Chociaż Callie zachowywała się brawurowo, serce tłukło się jej w piersi, a kolana zdecydowanie się pod nią ugiwały; chwyciła mocno ciemną, mahoniową poręcz i pospiesznie ruszyła w dół do salonu. Robiła, co mogła, żeby nie zwracać uwagi na zniekształcone lukrecją bełkotanie Lestera, który, zakasawszy spódnicę, podskakiwał u jej boku i błagał ją, by „na litość boską zwolniła”.

W holu słychać było jej energiczne postukiwanie obcasami o białe i czarne kafelki posadzki, dopóki nie zatrzymała się w pół drogi między schodami a dwuskrzydłowymi drzwiami, które, jak zakładała, prowadziły do salonu, i nie zaczęła, aż Emery ją zaanonsuje. Pomyślała sobie, że będzie to niezła sztuczka, jeżeli uda mu się czegoś takiego dokonać, ponieważ kamerdyner płatał się w tytułach z równą częstością, jak Lester w fałdach sukni.

Okazało się jednak, że Emery zdołał opanować panujący w jego myślach zamęt. Obdarzył ją lekkim skinieniem głowy, otworzył! obydwie skrzydła drzwi, postąpił krok do środka, stanął na dywanie z Aubusson, odchrząknął i oznajmił typowym dla kamerdynerów, stentorowym głosem:

- Pozwalam sobie zaanonsować hałastrę, wielmożni państwo.

I z ukłonem się wycofał.

- *Touché* - szepnęła z uznaniem Callie, kiedy ją mijał.

Emery ukłonił się jej ponownie, rozluźniając się tym razem na tyle, że zgiął się wpół.

- Słowo ostrzeżenia, jeżeli pani pozwoli. Wielmożna pani mieni się wicehrabiną, nie wicehrabiną-wdową. Jeżeli ceni pani swoje życie.

- Dziękuję wam, Emery - odpowiedziała dziewczyna z promiennym uśmiechem i od tego zaczęła się ich nieoczekiwana przyjaźń, chociaż nie mieli powodów sądzić, że przetrwa ona dłużej niż następną, niezbyt miłą godzinę.

Uściskawszy raz jeszcze lekko zwilgotniałą łapę Lestera, Callie głęboko wciągnęła powietrze, wycelowała brodą w bogato zdobiony sufit i niespieszonym krokiem weszła do pokoju. Zaczęła od tego, że zaszczębiotała:

- Jakże miło móc się znowu swobodnie poruszać po tym, jak mnie niedawno w tak pożałowania godny sposób uwięziono. Nawiasem mówiąc, chleb z masłem był pyszny, dziękujemy serdecznie, że zechcieliście go nam państwo przysłać na górę. Gdyby ktoś z państwa był tak łaskaw i zwrócił mi jeszcze kapelusz, moglibyśmy od razu ruszać w drogę.

- Co za tupet! - wykrzyknął z podziwem głęboki damski głos gdzieś na lewo od Callie. Dziewczyna odwróciła w tamtą stronę głowę i górną połowę ciała. Takiego fortelu używał każdy znakomity dandys, z jednej strony po to, by wyrzucić na rozmówcy odpowiednie wrażenie, a z drugiej dlatego, że w przeciwnym razie mogłoby pokaleczyć sobie uszy o szpice wysokich, wykrochmalonych na sztywno kołnierzyków.

Osoba, którą zobaczyła, musiała być wicehrabiną. Usadowiona w głębokim fotelu, stopy w pantoflach oparła o obitą brokatem otomanę. Nawet na siedząco wyglądała na roślą kobietę, wyraźnie ponad przeciętną; robiła wrażenie kogoś krzepkiego i energicznego. Oczy miała bystre, żywo niebieskie, włosy jaskrawo, wręcz skandalicznie żółte; jej wzrok przestrzegał, że język ma ostry jak brzytwa i nie zawaha się go wykorzystać, by pociąć oponenta na drobniutkie kawałeczki. Krótko mówiąc, groźna kobieta. Z miejsca przypadła Callie do gustu.

- Milady - powiedziała, kłaniając się z całym szacunkiem. - Jeśli chodzi o naukę tupetu, po głębokim namyśle dochodzę do wniosku, że pani mogłaby z powodzeniem dawać lekcje. Przekonana również jestem, że syn pani pobierał takie nauki u kolan matki, a potem, uświadomiwszy sobie, że ani w połowie nie dorównuje jej dowcipem, uległ pokusie i zdał się na

brutalność i tyranie, niekiedy tylko usiłując zniszczyć oponenta przez zagadanie go na śmierć. Pani jest oczywiście świadoma faktu, że ostatnio prosto z ulicy uprowadził moją towarzyszkę i mnie?

Wicehrabina szeroko otworzyła usta i wsunęła w ich różową czeluść cukierek, po czym z taką energią otrzepała z drobinek cukru przód ciemnofioletowej sukni, że zadźwięczały wszystkie trzy, nie, cztery bransoletki na jej ręce.

- Uprowadził, tak powiadasz, moja panno? Przekonana jestem, że mój syn widział w tym raczej coś w rodzaju akcji ratunkowej. Ale tak czy owak zbadam tę sprawę. Simonie? Czy zechciałbyś odpowiedzieć na zarzuty tej młodej damy? Nawiasem mówiąc, sama chodziłam kiedyś w spodniach. Cholernie to wygodne, nie uważasz, dziewczyno? - Zmarszczyła czoło i głęboko westchnęła. - Chociaż twoje leżą dużo lepiej, niż moje kiedykolwiek leżały. Albo to - dodała, puszczając oko - albo miałam za szerokie lustro.

- Jeżeli skończyła już mama deprawować tę do gruntu zdeprawowaną osóbkę - zaczął wicehrabia, oderwał się od gzymsu kominka i wszedł w pole widzenia Callie - to od tej chwili ja poprowadzę tę rozmowę. Oczywiście, jeżeli mama pozwoli.

Wicehrabina zamrugała, a potem zmarszczywszy nos, zwróciła się do Callie:

- Sztyniak, dokładnie tak, jak jego ojciec. Ale da się go podejść. Bóg mi świadkiem, że, chociaż dopiero od dzisiejszego ranka przyzwyczajalam się do tej myśli, pogodziłam się z nią. Daj mu trochę czasu, moja droga, a owinesz go sobie dookoła twojego ślicznego paluszka, dokładnie tak, jak ja to robiłam z jego ojcem. Ale zaczekasz, aż najpierw złapię sobie jakiegoś hrabiego, dobrze? Będziesz taka miła?

Callie bez reszty była skołowana, ale zauważyła, że na dźwięk słów matki twarz syna sposepniała, i to ją ogromnie uradowało; wypowiedź wicehrabiny skwitowała lekkim skinieniem głowy, a potem odwróciła się i spiorunowała wzrokiem Simona Roxbury'ego, wicehrabiego Brockton i króla wszystkich natrętnych potworów.

- Milordzie - rzekła, ratując się znowu brawurą i dając mu sposobność, by się odezwał, zwłaszcza że była pewna, iż zrobiłby to i bez jej pozwolenia. - Pozwalam sobie wnieść, że zamierza pan dokonać prezentacji.

- To może być trudne, smarkulo - odpowiedział, podchodząc do niej na tyle blisko, by go nikt nie podsłuchał - jako że nie mam najbledszego pojęcia, kim, do stu tysięcy fur bezcepek, jesteś ty i obecna tu kaczka dziwaczka.

- Słuchaj no, Calłie - zaprotestował Lester, który stał jednak na tyle blisko, że wszystko słyszał - to nie było miłe. Powiedział do ciebie: smarkula. Tak mówi tylko twój papa i Justyn.

- A może byś tak poszedł i usiadł na swojej kokardzie? - przynaglił go Simon, raczej niezbyt życzliwie, a potem znowu skupił przenikliwe spojrzenie na dziewczynie. Plum, którego nigdy nie było trudno zastraszyć, bezzwłocznie zastosował się do polecenia.

- Naprawdę jest pan okropny, wie pan? - szepnęła Callie. Rozejrzała się po pokoju i zobaczyła dwóch dżentelmenów, którzy wcześniej podtrzymywali Lestera na chodniku, a teraz stali w kącie, popijali coś z kieliszków i w milczeniu przyglądali się jej. - Wyobrażam sobie, że powinnam być panu wdzięczna, iż nie kazał pan tamtym dwóm panom torturować po drodze mojego towarzysza. Chociaż pewnie się pan nad tym zastanawiał.

- Właściwie to nie - odparł Simon. - Zastanawiałem się jednak, czy nie spuścić pani lania. Calłie, czy tak?

Callie znowu zadarła brodę do góry, lecz powoli zaczęła ją to już nużyć. Nie miała pojęcia, jak tej nakrochmalonej guwernantce udawało się coś takiego robić całymi godzinami. Na dodatek od spoglądania z góry na wszystkich zaczynało jej się kręcić w głowie.

- No zgoda - westchnęła - przypuszczam, że równie dobrze mogę tę przeszkodę wziąć Z marszu. Nazywam się Caledonia Johnston, a mój przyjaciel to Lester Plum. Czy jest pan już zadowolony, milordzie?

- Zadowolony? Ależ dużo więcej niż tylko zadowolony,

panno Johnston. Niebawem wpadnę w euforię - odpowiedział wicehrabia nawet dosyć grzecznie, a Callie gwałtownie zapragnęła, żeby go ktoś powiesił na haku na najbliższej ścianie i żeby mogła rzucać w niego strzałkami. - A czy mówiła pani panu Plumowi, że... chociaż przynajmniej jeden dżentelmen z naszej grupy uznał go za całkiem ujmującą osobę... to kolor różowy nie był najlepszym wyborem?

Callie zakryła sobie usta dłonią, żeby jej rozmówca nie dojrzał, jak się wyginają w uśmiechu, z rozmysłem udała kaszel, a potem pochyliła głowę w kierunku dwóch jak dotąd bezimiennych dżentelmenów.

- Czy nie zamierzał pan dokonać prezentacji, milordzie? - podsunęła.

Wicehrabia dotrzymał słowa i to wyraźnie wcale nie za namową Callie. Nie tracąc czasu, poprzedstawił sobie wszystkich obecnych.

- A więc cioteczka jest wujkiem! - wykrzyknął aż do przesady wychudzony pan, którego Brockton przedstawił jako Bartholomew Boothe'a, i najpierw zbladł, a potem policzki jego okryły się ciemną purpurą; zerknął spod oka na Lestera. - Dobry Boże, rzeczywiście! Doprawdy, muszę się zastanowić nad okularami. Jakież to żenujące. Armandzie, przysięgam, że jeżeli słówko piśniesz na ten temat...

Dżentelmen, którego wicehrabia przedstawił jako Armanda Gauthiera - a Callie uznała za całkiem przystojny okaz - śmiał się tylko ze swego towarzysza, a potem przeszedł przez pokój ze swobodą i wdziękiem, których można mu było tylko pozazdrościć. Ujął zwisającą luźno przy boku dłoń dziewczyny i wycisnął na niej pocałunek.

- Jestem oczarowany, panno Johnston - oświadczył, a potem odwrócił się do Simona Roxbury'ego i szeroko się uśmiechnął. - Robi się coraz lepiej, czyż nie, stary? Sam nie wiem, jak ci dziękować, że włączyłeś nas z Kościejem do swojej rozrywki.

- A po cóż innego ma człowiek przyjaciół, jeśli nie po to, by ich radować? - zamruczał Simon w odpowiedzi, a Callie poczuła dreszcz niepokoju. Wicehrabia, z powodów, któ-

rych z pewnością nie rozumiała, dał właśnie przyjacielowi do zrozumienia, by nie posuwał się dalej. Gauthier również musiał wyczuć powiew chłodu, ponieważ już tylko raz pochylił przed dziewczyną głowę, a potem zajął się znowu swoim przyjacielem i kieliszkiem brandy.

- Czy zechce pani usiąść? - zwrócił się do niej Brockton, lecz nie było to pytanie, tylko polecenie.

Kiedy Callie zajęła już miejsce przy Lesterze, któremu chyba musiało być zimno, bo trząsał się jak galareta, Simon Roxbury wyszedł na środek pokoju i zaczął przemowę.

- Skoro mnie teraz wszyscy państwo słuchacie, chciałbym zacząć od samego początku i przekonać się, czy uda nam się całą sprawę rozwikłać. Armandzie? Może każesz przynieść pióro i papier, żebyś mógł robić notatki. Powinna wyjść z tego całkiem przyzwoita farsa, a nasz zacny przyjaciel Sheridan ogromnie potrzebuje nowego sukcesu w teatrze.

- Nie bądź nieznośny, Simonie - zwróciła mu uwagę matka. - Nic ci z tego nie przyjdzie. W zasadzie jest to bez znaczenia, jak panna Johnston się tu znalazła, ważne jest tylko jedno, że jest tutaj. Ona i żadna inna, a ja będę musiała jeszcze trochę pochodzić w gorsecie, jeżeli mam cię przegonić w drodze do ołtarza. Czuję to, jestem o tym przekonana. Dziwne, wcale mnie ten pomysł nie wytrąca z równowagi, co tylko dowodzi, że przede wszystkim leży mi na sercu twoje szczęście, Simonie. Jestem taką dobrą matką. Jeździsz na koniu okrakiem, prawda, pannico? Zresztą wszystko jedno. Oczywiście, że jeździsz.

- Matko... - usiłował ją pohamować Brockton, zaraz jednak zamknął usta, ponieważ przerywanie wicehrabinie było równie niewdzięcznym zajęciem, jak podejmowanie próby opróżnienia Atlantyku za pomocą filiżanki.

- A wiesz, Simonie - ciągnęła nieposkromiona Imogena - to oznacza, że będziesz się musiał pozbyć tej kocicy, Sheili Lloyd; moim zdaniem to dodatkowa korzyść, nie uważasz? Tak, w sumie jestem całkiem zadowolona. Całkiem zadowolona. Kościeju, niech pan zadzwoni po Roberta, dobrze? Mam pusty talerzyk.

Ciche przekleństwo Simona zagłuszył wybuch śmiechu Armanda Gauthiera i atak kaszlu Bartholomew Boothe'a. Tymczasem do Callie zaczynał docierać sens przemowy wicehrabiny, zwłaszcza kilku zdań, które madame Brockton wypowiedziała w odniesieniu do niej. Zerwała się na równe nogi, jej policzki płonęły oburzeniem.

- Jeżeli wydaje się wam, że możecie porwać mnie z ulicy, a potem zrobić ze mnie coś w rodzaju kochanki tego nieznośnego zarozumialca, to ja...

Teraz przysłała kolej na wicehrabinę, by się zakrztusić. Robiła to z niesłychanym rozmachem, cera jej przybrała upiornie śliwkowy kolor i dopiero silny cios między łopatki, który wymierzył Lester Plum - mógł nie być najbardziej błyskotliwym ze wszystkich klejnotów, ale miał bogate doświadczenie w ratowaniu swego ukochanego ojca przed skutkami nadmiernego opychania się każdym jedzeniem, które mu wpadło w oczy - pozwolił jej wykrztusić niemal cały cukierek.

- Ko... kochanką? - wysapała na koniec i za pomocą rękawa sukni otarła ciekące z oczu łzy. - Na Boga, dziewczyno, kochankę to on już ma. Ja mówię o żonie!

- Żonie? - powtórzyła bezgłośnie Callie i ciężko opadła na krzesło, bo nogi się pod nią ugięły. - Lester kazał mi udawać obłąkaną - wymamrotała do siebie. - Dobrze, że tego nie zrobiłam, bo w tym domu wariatów nikt by niczego nie zauważył!

Wpadł mi do głowy niespodziewany pomysł,
może przysięglibyśmy sobie wieczną przyjaźń.

- George Canning

5

Wicehrabia Brockton, wyznający zasadę, że - mówiąc językiem teatru - w żadnej scenie roli mówionej nie powinny mieć więcej niż trzy osoby, skorzystał z chaosu, jaki zapanował w salonie przy ulicy Portland, i skinieniem głowy dał do zrozumienia swoim dwóm przyjaciołom, że ich dalsza obecność nie jest już konieczna.

- Tylko przez wielką miłość, jaką do ciebie żywimy - szepnął Armand, wychodząc z Bartholomew z pokoju. - I tylko dlatego, że spodziewamy się, iż dziś wieczorem u lady Bessingham zdasz nam szczegółowo sprawę z każdego słowa i gestu.

Tak więc na miejscu pozostała wicehrabina - a Simon wiedział, że nie dałoby się jej ruszyć z pokoju, nawet gdyby w tym celu ściągnął cały pułk dragonów - dwoje intrygantów i on sam. Wciąż jeszcze o dwoje więcej, niż życzyłby sobie, ale ponieważ nie podejrzewał, żeby Lester Plum miał się obszernie wypowiadać, postanowił pozwolić mu zostać.

Upewniwszy się, że matka doszła już do siebie po ataku kaszlu, i skinąwszy na Lestera, by wrócił na swoje dawne miejsce, Simon pokrzepił się dużym haustem wina i zaczął jeszcze raz.

- Zgodzimy się chyba, że są sprawy, które powinniśmy omówić, panno Johnston?

Caledonia Johnston popatrzyła na sufit, rozejrzała się na prawo i lewo, a jej wydęte wargi dość zabawnie przesuwwały się to w jedną, to w drugą stronę, jakby już od kilku chwil obracała odpowiedź w ustach i smakowała ją, zanim wypowie ją głośno.

- Przypuszczam, że pana zdaniem powinnam przeprosić, iż wczoraj wieczorem niewiele brakowało, bym pana postrzeliła. Jeśli pan nalega.

- O tak, panno Johnston, zdecydowanie nalegam - odparł Simon; był pełen podziwu dla jej odwagi, chociaż równocześnie miał ochotę smarkulę udusić. - Nalegam również, by zapomniała pani, że cały ten incydent kiedykolwiek miał miejsce, bo o żadnym z nas zbyt dobrze nie świadczy.

- Jak pan sobie życzy, chociaż taka bzdura w głowie się nie mieści; przecież oboje wiemy, że nie stało się nic oprócz tego, że został pan wyprowadzony przeze mnie w pole. Dobry Boże, niech no pan chwilę zaczeka, to mogłoby być dla pana żenujące, prawda? Gdyby się rozeszło po pana klubach i różnych takich? Tak czy owak, przepraszam - zakończyła Callie krótko i raczej nieszczerze, a następnie wstała, patrząc w kierunku drzwi. - No, to już po wszystkim. Chodź, Lesterze. Ruszamy w drogę.

- Proszę... usiąść - polecił jej przez zęby Roxbury, czując w głębi czaszki nasilające się bolesne łupanie.

- No wiesz, Simonie - zbeształa syna wicehrabina, kiedy i Callie, i Lester opadli z powrotem na swoje miejsca. - Czy nie uczyłam cię, że więcej much złapiesz na miód niż na ocet? Bądź miły dla tej pannicy.

- Miły. Miły? Wolałbym głaskać dzikiego lwa - rzucił uszczypliwie Simon, a potem potrząsnął głową, wiedząc, że do niczego nie dojdzie, jeżeli się nie opanuje. - Panno Johnston, czy istnieje taka możliwość, by powiedziała mi pani, by powiedziała pani nam, skąd przyszedł pani do głowy pomysł zamordowania hrabiego Filtona?

- Widzisz? A nie mówiłem ci, Callie - odezwał się radośnie Lester Plum, dając przyjaciółce sójkę w bok. - Mówiłem ci, że będzie to wyglądało na morderstwo.

Brockton popatrzył na Lestera, ponieważ zastanawiając się, dlaczego ten młody człowiek ma czarne wargi, opamiętał się jednak: przecież młodzieniec zdecydował się udawać kobietę, więc przypuszczalnie nie ma to większego znaczenia, na jaki kolor maluje sobie usta.

- A na co to miało wyglądać, drogi panie? - zapytał i pomyślał, że Lester może mu się mimo wszystko przydać przy tym przesłuchaniu.

Plum zaczął wiercić się na poduszkach, przesuając się przy tym do przodu, widać było, iż gorąco pragnął się wypowiedzieć. Nieczęsto się zdarzało, by ktoś go naprawdę słuchał, pytał o zdanie czy uważał, że istnieje najmniejsza choćby szansa, iż będzie miał cokolwiek ważnego do powiedzenia.

- Więc tak się składa, że Callie sądziła, że najlepiej będzie postrzelić go w kolano. Rozumie pan, wcale nie na śmierć. Tylko go okaleczyć, żeby cierpiał w niepogodę i nie mógł tańczyć przez całą noc.

- A, to mi się podoba! - wykrzyknęła wesoło wicehrabina. - Krwiożercze, ale niekonieczne śmiercionośne. Naprawdę, Simonie, wydaje mi się, że, zamiast nie pozwalać tej dziewczynie się zemścić, mogłeś okazać pewną słabość ducha. Bo ty się usiłujesz zemścić, prawda? Tylko mi nie mów, że on cię zrujnował, bo to z pewnością by mnie przygnębiło.

- Zrujnował mnie? - powtórzyła Callie; przez chwilę patrzyła pytająco na wicehrabinę, a potem plecy jej zeszywniały, kiedy dotarło do niej, co lady Brockton miała na myśli. - Ależ skąd!

- Och, to dobrze - powiedziała Imogena ze słonecznym uśmiechem. - Tak więc wszystko jest w porządku, prawda, Simonie?

- Matko... - zaczął wicehrabia, ale tylko potrząsnął głową. Doszedł do wniosku, że w tym momencie ma i tak już wystarczająco dużo kłopotów i lepiej będzie nie wdawać się z rodzicielką w dyskusję na temat jej szalonego planu, by połączyć go z tym zuchwałym brzdącem o skandalicznej fryzurze i całkiem ślicznych nogach.

Przymknął oczy, policzył szybko do dziesięciu, powtarzając sobie, że w zasadzie wcale go nie obchodzą nogi Caledonii Johnston, niezależnie od ich urody. Ani jej szeroko rozstawione, przejrzyste zielone oczy, ani brzoskwiniowe policzki, ani ten osobliwie atrakcyjny, ochrypły głos, którym wypowiada tyle oburzających, niepojętych stwierdzeń.

Wolał stanowczo zauważyć, że pierś ma płaską jak jakaś dziesięciolatka.

- W porządku, panno Caledonio Johnston, zaczniemy jeszcze raz. Dlaczego chciała pani postrzelić Filtona w kolanach i go okaleczyć?

- Na pana miejscu nie mówiłbym do niej Caledonio - wtrącił usłużnie Lester i Roxbury ponieważ zauważył, że leżące na kolanach dłonie panny Johnston zacisnęły się w pięści. - Wepchnęła w zeszłym roku Ruperta Almsteda do sadzawki za to, że tak do niej mówił, a to było w jego urodziny.

- Ale tak ma pani na imię, czyż nie? - zapytał Simon, w głębi duszy zgadzając się, że to okropne imię. Zdrobnienie „Callie” też zresztą było niewiele lepsze. - Zakładam, że ponieważ jest to łacińska nazwa Szkocji, pani przodkowie muszą stamtąd pochodzić?

- Można tak założyć - odpowiedziała Callie, wzruszając szczupłymi ramionami - tyle, że to nieprawda. Mojemu ojcu po prostu spodobała się ta nazwa, jako że ogromnie lubi łowić łososie w Szkocji. Całe szczęście, że nie przepada za polowaniami w Melton. Z czasem mu to przebaczyłam, jemu, ale nie tym, którzy zwracają się do mnie per Caledonia, mimo iż wiedzą, co o tym sędzę. Rupert Almstead został ostrzeżony i z głupoty to ostrzeżenie zignorował. Pan ma wiele różnych wad, milordzie, ale jak dotąd nie zauważyłam u pana objawów głupoty. Aczkolwiek - zakończyła, uśmiechając się, jak na niewinną, młodą panienkę, dosyć złośliwie - przedwcześnie byłoby sądzić, prawda?

Następnie klepnęła się po kolanach i wstała, przeszła przez pokój do stołu z napojami, wzięła karafkę z sherry i chlapanęła trochę wina do kieliszka. Pociągnęła łyczek, z drwiącą miną oddając uprzednio Simonowi honory, a potem powiedziała:

- Wygląda na to, że ma pan trudności ze skupieniem się na sednie sprawy, więc może usiądzie pan, jak na miłego, londyńskiego dżentelmena przystało, i pozwoli, bym opowiedziała to, czego, jak mi się zdaje, chciałby się pan dowiedzieć? Dużo prędzej się ze wszystkim uporamy, a pana słu-

zacy będą mogli przestać kryć się za drzwiami, zza których wystają ich spiczaste nosy, i zabrać się z powrotem do roboty. Poza tym w pobliżu „Zielonego Człeka” mamy uwiązane dwa konie; martwię się o nie.

Wicehrabia nigdy nie zetknął się z taką arogancją, z takim, jak to jego matka ujęła, tupetem, u żadnej młodej kobiety. Ani młodego mężczyzny. Czy któregośkolwiek ze znajomych. Zdumiewające, ale rozbawiła go ta buńczuczna fanfaronada Caledonii Johnston, podobnie jak delikatny dreszcz wstrętu, który niemal udało jej się ukryć, a który wstrząsnął nią w reakcji na smak pierwszego - o tym był przekonany - łyeczka sherry.

Zgodził się na propozycję dziewczyny, usiadł i gestem zaprosił ją, by wyjaśniła to, co jego zdaniem powoli stawało się niemożliwe do wyjaśnienia.

Callie, trzymając wciąż w długich, smukłych palcach kieliszek - chociaż po pierwszym łyeczku nie umoczyła w nim już więcej ust - zaczęła spacerować po dywanie; z rozmysłem przez dziesięć kroków stawiała jedną stopę przed drugą i przenosiła ciężar z pięty na palce, a potem nagle wykonała w tył zwrot, przystanęła i akurat zdażyła przytapać Simona na tym, jak gapi się na jej długie, proste nogi; czysty pech.

- Czy zechciałby pan zwrócić uwagę na moje słowa? - zapytała, dając mu do zrozumienia, że zauważyła, jak na nią patrzył; zuchwały, rozpuszczony brzdąc! - Odnoszę wrażenie, że powinnam zacząć od samego początku, czy tak?

- Ponieważ jest to pierwsze logiczne stwierdzenie, jakie wygłosiła pani od chwili, kiedy miałem nieszczęście panią poznać, panno Johnston - wycedził Roxbury - muszę się z panią zgodzić.

- Ta pannica ma rację - wtrąciła Imogena. - Naprawdę za dużo gadasz. Przestań wreszcie mamrotać i pozwól jej mówić. Zgłodniałam już trochę, a do obiadu jeszcze kilka godzin.

- Nie byłoby źle, żeby Kathleen również pokrzepiła się jakąś kanapką, matko - powiedział Simon złośliwie, świadom, że źle się zachowuje - będą jej potrzebne wszystkie siły, żeby dziś wieczorem wepchnąć mamę w suknię.

- Nędzniku - odparowała wicehrabina, ale odstawiła talerz z cukierkami na stojący obok stolik. - Powinam po prostu umrzeć, a potem cię straszyc.

- I zdaniem mamy stanowiłoby to jakąś odmianę? - zażartował wicehrabia i uśmiechnął się do niej. Naprawdę bardzo ją kochał, zwłaszcza że potrafiła się natychmiast zorientować, kiedy się z nią droczy; teraz zatrzepotała w nagrodę raz czy dwa przyciemnionymi rzęsami, a potem przesłała mu pocałunek.

- Chodź, Lesterze, idziemy sobie - powiedziała Callie, przywołując tym Brocktona do porządku. - Możemy wynająć jakiś wóz czy coś w tym rodzaju i pojechać po te konie, zanim poumierają z głodu.

- Poślę kogoś po nie - wtrącił pospiesznie Simon i tak zrobił. Zanim wezwał służącego, zdążył jeszcze pomyśleć, że dziewczyna uwiązała je pewnie między drzewami w pobliżu oberży z zamiarem wykorzystania podczas ucieczki po ostrzeleniu porwanego Noela Kinseya, a kiedy wyjaśniła, gdzie należy szukać dwóch koni, ogarnął go niepokój, że tak dobrze rozumie, jakimi drogami wędruje zdecydowanie nietuzinkowy umysł Caledonii Johnston. Uczucie to jednak szybko minęło.

- A teraz - rzekł ze zmęczeniem, kiedy służący wyruszył już z misją ratunkową - sędzę, że wszyscy jesteśmy aż nadto gotowi, by wysłuchać pani opowieści.

Ale przejrzyście zielone oczy dziewczyny patrzyły z wyraźną przekorą.

- Chyba już nie mam na to ochoty. Po pierwsze, pan pewnie uzna, że honor nakazuje panu napisać do naszych ojców, a po drugie, nie wydaje mi się, żeby pan docenił piękno mojego planu. W przeciwieństwie do matki pana, która wydaje się zupełnie wspaniała i która pana kocha, chociaż tak skandalicznie ją pan traktuje.

- Jakież to urocze. Po głębokim namyśle dochodzę do wniosku, że zawsze chciałam mieć córkę - oświadczyła wicehrabina, westchnęła radośnie i wsunęła sobie następny cukierek do uróżowanych ust. - Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ta perspektywa tak mnie wytrącała z równowagi. Chociaż ja-

kiś hrabia wciąż jeszcze by mi się przydał, jak sądzę.

- Na litość boską! - wybuchnął wicehrabia i przeczesał palcami włosy, co skłoniło jego matkę do wygłoszenia kolejnego komentarza:

- Prawda, że słodko tak wygląda, moja droga? Naprawdę, jak go już raz okiełznasz, podobnie jak ja zrobiłam to z jego ojcem, nie będziesz z nim miała najmniejszych kłopotów.

- Tego już za wiele! - Simon podszedł do matki... mocno tupiąc nogami... wziął ją pod łokieć i niemal siłą postawił na nogi. - Do widzenia, mamó, życzę miłego życia. Plum, pan również. Proszę wyjść!

Lester wstał niezdarnie, wygładzając sobie spódnice.

- A gdzie mamy pójść? - zapytał i popatrzył na Całlie, czekając na odpowiedź; zapewne podobnie patrzył na nią, zanim pozwolił sobie głębiej odetchnąć.

- Idźcie do oranżerii i zerwijcie sobie kilka pomarańczy - zasugerował Roxbury, prowadząc matkę do drzwi. - Idźcie do kuchni, gdzie każde z was będzie mogło pożreć kurczaka. Idźcie do diabła, jeżeli macie na to ochotę. Tylko już idźcie!

- Władczy jest, prawda? - zapytała wicehrabina Lestera, z ochotą opierając się na jego ramieniu. - No cóż, wiem, kiedy posuwam się za daleko, chociaż bawiłam się świetnie. Simonie, żebyś mi trzymał łapy z daleka od tej dziewczyny, nadal uważam siebie za przyzwoitkę, nawet jeżeli nie jestem z wami w pokoju. A teraz idziemy, panie Plum. Zobaczymy, czy Emery nie znajdzie dla pana odpowiedniego ubrania, chyba że lepiej się pan czuje w sukni, w co trudno mi uwierzyć, ale może nie zakłada pan gorsetu? Może mi pan powiedzieć prawdę. Zrozumiem pana, przecież Simon miał wujka, właściwie to był wujeczny dziadek, który chyba nadmiernie lubił bieliznę swojej żony. Czy pan tę suknię włożył tylko na dziś, czy może ma pan taki zwyczaj...

Dwuskrzydłowe drzwi zatrzasnęły się z pewnym impetem, ucinając pytania matki; Brockton odwrócił się gwałtownie na pięcie, przeszył rozpalonym wzrokiem Caledonię Johnston i równocześnie wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Mów, dziewczynko! Mów do mnie teraz!

- Czyż nie to właśnie chciałam od dłuższego czasu zrobić? - odparła Callie oskarżycielsko, jakby to on osobiście powstrzymał ją od udzielenia wyjaśnień. Potem niespodziewanie szeroko się uśmiechnęła i... cały gniew Simona jakos się ulotnił. - Naprawdę ma pan pełne ręce roboty, prawda, milordzie? - zapytała. - Czy jest pan całkiem pewien, że nie oddałabym panu większej przysługi, gdybym po prostu zabrała Lestera i sobie poszła?

Simonowi ścisnął się żołądek na te słowa, jego gniew rozgorzał od nowa, bo wiedział - nie rozumiał dokładnie dlaczego, ale bez cienia wątpliwości wiedział - że ostatnią rzeczą, którą chciałby widzieć, to jak to absurdalne stworzenie pokazuje mu plecy i odchodzi z jego życia. A przynajmniej jeszcze nie teraz, kiedy utknął w pół drogi między przekonaniem, że to nieznośny bachor, a przeświadczeniem, że to jedyna w swoim rodzaju, fascynująca młoda kobieta. Poza tym nie miał ochoty tłumaczyć się przed sobą samym, czemu spędził tyle czasu na ratowaniu Caledonii Johnston przed jej własną głupotą, zamiast zajmować się celem, jaki sobie wyznaczył.

- Pozwolić pani odejść? To zależy. Gdybym panią i pana Pluma wypuścił, czy podreptałyby pani grzecznie do domu, obojętnie gdzie on się znajduje, czy może obstawałyby pani uporczywie przy realizacji tego niedorzecznego planu, żeby zrobić dziurkę w hrabim Filtonie?

- Oczywiście, że dalej bym go ścigała - odpowiedziała szczerze Callie i zupełnie nie wiedząc o tym, przypieczętowała swój los, a przynajmniej miejsce swego pobytu na następne kilka tygodni. - Zmyślam tylko w nieistotnych sprawach. To jest ważne. Chcę zobaczyć, jak ten człowiek cierpi. Zasługuje na to.

- Tak właśnie sądziłem. - Gestem zaprosił ją, żeby usiadła, sam również usiadł i założył nogę na nogę. Będzie musiał posuwać się powoli, kroczonek po kroczonek. Przywołał na twarz uśmiech, miał nadzieję, że życzliwy, i powiedział: - Ponieważ do pewnego stopnia zgadzam się z pani opiniami na temat tego człowieka, acz nie z pani metodą wymierza-

nia kary, skłonny j'estem panią wysłuchać. Skłonny również jestem zapewnić panią, że nie mam najmniejszego zamiaru przekazać ani pani, ani pana Pluma władzom.

Callie parsknęła. Zdecydowanie parsknęła.

- Wiem to, milordzie. Gdyby zamierzał pan zrobić coś tak podłego, już siedziałabym w jakimś więzieniu. Co nie oznacza, że panu ufam - dodała pospiesznie. - Tyle że nie-specjalnie się pana boję.

Nie po raz pierwszy w przeciągu ostatniej pół godziny Simon poczuł wdzięczność, że kazał się wynosić Armando-wi i Kościejowi. Wolał, by nie doszła do ich uszu opinia dziewczyny, że właściwie nie jest w stanie jej zagrozić.

- Proszę mówić dalej - ponaglił już chyba po raz dziesiąty. - Proszę mi opowiedzieć wszystko. Bardzo panią proszę - dodał z przymilnym uśmiechem, przypominając sobie uwagę matki na temat much i miodu.

- Mieszkam w Dorset, bliżej North Downs niż Sturminster Newton - zaczęła Callie i osunęła się niżej na fotelu. Najwyraźniej czuła się całkiem swobodnie. - Lester jest naszym najbliższym sąsiadem i moim najdroższym przyjacielem. Jest w tej sprawie kompletnie niewinny, jak pewnie zdążył się pan już domyślić. Przyjechał do Londynu tylko po to, żeby mi zrobić przyjemność. Żaden z naszych ojców nie wie, gdzie jesteśmy, a my z radością utrzymalibyśmy ich w niewiedzy, dopóki nie będziemy mogli wrócić do domu dyliżansem pocztowym pod koniec tygodnia lub wtedy, kiedy uda nam się zakończyć naszą misję. Czy jechał pan kiedyś dyliżansem na zewnątrz? Jest to orzeźwiające, chyba że pogoda się zepsuje. A teraz proszę mi obiecać, że nie napisze pan do naszych ojców.

- Zgoda - powiedział Brockton, usiłując sobie wyobrazić Caledonię Johnston jadącą na zewnątrz rozpędzonego dyliżansu pocztowego, wczepiającą się w poręczę, kiedy pojazd szaleńczo przechyła się, biorąc ostre zakręty na gościńcu, i cieszącą się każdą chwilą wielkiej przygody. Było to aż do przesady łatwe. - Proszę mówić dalej. Jak to się stało, że Noel Kinsey ma coś wspólnego z młodą damą z okolic Sturminster Newton?

- Nie ma. Ale miał bardzo wiele wspólnego z moim bratem, Justynem, kiedy ten przyjechał do miasta na ostatni sezon - wyjaśniła Callie, a twarz jej spochmurniała na to bolesne wspomnienie. Pochyliła się do przodu i z napięciem wpatrzyła w wicehrabiego. - Wie pan, że Filton oszukuje przy kartach, prawda? Rujnuje młodych ludzi dla pieniędzy, a niekiedy, jak powiadają, po prostu dla zabawy.

- Nigdy tego nie dowiedziono - zwrócił jej uwagę Simon, pilnując się, by wyglądać jak ktoś niespecjalnie zainteresowany jej oświadczeniem. Wiedział już jednak, co dziewczyna zaraz powie.

- Justyn był taki młody, taki zielony - rzekła, potrząsając głową. - Przegrał wszystkie pieniądze, co do pensa, a potem popadł w taką desperację, że nagryzmolił swój podpis na obligu i postawił drugą taką samą sumę. Nasz papa, jako człowiek honorowy, czuł się w obowiązku zapłacić Filtonowi. On... on tak okropnie się wstydził, to znaczy Justyn, że uciekł do Indii, przyrzekając, że wróci dopiero z majątkiem, co jest już takie głupie, że w głowie się nie mieści, bo mój brat ani w polowie nie jest tak genialnie pomysłowy jak ja, biedaczysko. Może już nigdy go nie zobaczę. Papę tak przygniotło brzemień długów, że martwię się o jego zdrowie i pomyślność. Musieliśmy zwolnić większość służby i podnieść czynsze dzierżawcom. Po utracie takiej ilości pieniędzy, i po tej mokrej wiośnie, i w ogóle... jesteśmy w okropnych tarapatach. I to wszystko jest wina Noela Kinseya!

- A to dla pani maleńkiego, choć lojalnego rozumku jest dużo łatwiejsze do przyjęcia niż obwinienie nieobecnego i ukochanego Justyna o którykolwiek z państwa kłopotów. Oczywiście.

Dziewczyna natychmiast się najeżyła.

- To nie była wina Justyna! - A potem przycichła i westchnęła w głąb fularu. - No, dobrze już, dobrze. Na Justyna też jestem zła. A nawet w pierwszej chwili byłam wściekła. Ale go kocham i wybaczyłam mu. W końcu jest moim jedynym bratem. A Noela Kinseya zdecydowanie nie kocham.

- Tak więc, nie kochając Noela Kinseya, postanowiła go

pani postrzelić. Całkiem to... hm... logiczne - rzekł na zakończenie Roxbury, pocierając ze znużeniem czoło. - A czy zechciałaby mi pani powiedzieć, co by to rozwiązało?

Callie uniosła wyprostowane nogi gdzieś na wysokość czterech cali nad podłogę i powoli zaczęła uderzać butem o but, po dziecinnemu wyrażając w ten sposób zniecierpliwienie i frustrację; nie wiedzieć czemu Simonowi wydało się to zrozumiałe i własna reakcja w niemałym stopniu go zaniepokoiła.

- Tak naprawdę to by niczego nie rozwiązało - przyznała, opuszczając nogi, po czym zaraz je skrzyżowała w kostkach i znowu zaczęła uderzać butem o but. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do wicehrabiego. - Ale tyle bym miała radości, wiedząc, że cierpi za to, co zrobił.

I nagle, całkiem jakby wyrwała się spod czyjejś władzy, usiadła prosto, pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach, a kiedy wpatrywała się w Simona, jej zielone oczy znowu błyszczały, znowu zapaliły się w nich iskierki.

- Widzi pan, zastanawiałam się i zastanawiałam, planując zemstę. Najpierw myślałam, żeby przebrać się tak jak teraz, przyjechać do Londynu i zagrać w karty z tym sukini... no, z tym osobnikiem. Ale na to miałam za mało pieniędzy. Poza tym prawie nie umiem grać w karty, znam tylko kilka sztuczek, których nauczył mnie Justyn, a już wiedziałam, ile jemu te sztuczki dały, więc musiałam przemyśleć swoje plany od nowa. A potem, zeszłej zimy, kiedy było tak wilgotno, przyglądałam się, jak ojciec utyka na chorą nogę, w którą trafiła go kula całe lata temu, podczas pierwszych problemów z Bonapartem, i przyszło natchnienie. Postrzelę go! - Oparła się znowu o poduszki, a jej uśmiech i resztki brawury się ulotniły. - I udałoby mi się, gdybym nie włązła do niewłaściwego powozu.

Właściwie ma rację, pomyślał Brockton. Zakradła się do niewłaściwego powozu. Do jego powozu. Który stał przed tą szczególną jaskinią hazardu tamtej szczególnej nocy, ponieważ jego właściciel podejmował właśnie pierwsze kroki mające doprowadzić do podcięcia skrzydeł Noelowi Kinseyowi.

Gdyby istniało coś takiego jak fatum, mógłby zacząć wie-

rzyć, że kosmicznym dekretem jego życie zostało splecione z życiem Caledonii Johnston. Co było po prostu śmiechu warte.

- Zostanie pani tutaj aż do powrotu do Dorset - powiedziała, zanim zdążył dokładniej niż tylko pobieżnie przeanalizować powodujące nim motywy czy swoje chwilowe szaleństwo. - I pani, i Plum. Proszę podać mi, gdzie się pani zatrzymała, a wyślę kogoś po państwa rzeczy.

- Nie.

No cóż, pomyślał Simon, przynajmniej nie zaczęła mi tu z miejsca histeryzować. Jedno krótkie „nie”.

- Ten temat nie podlega dyskusji, panno Caledonio Johnston - rzekł i uśmiechnął się, kiedy jej żywo zielone oczy spojrzały na niego morderczo za to, że z rozmysłem użył jej pełnego imienia. - Albo to, albo więzienie dla pani i pana Pluma. Wywoła niezłe zamieszanie w tych swoich różowych szatach, nie sądzi pani?

- Łobuzie! Powiedział pan, że tego nie zrobi! - wykrzyknęła, zrywając się na równe nogi, a policzki jej pobjadły.

- Skłamałem - odpowiedział gładko. - Niewielka to rzecz oszukać panią, ale w jakiś dziwny sposób sprawia mi przyjemność. Zresztą nic lepszego się pani nie należy po tym, jak mnie pani wczoraj porwała.

- I pan poniża się do małostkowej zemsty? - Wargi Callie wykrzywiły się szyderczo. - A pana matka myśli, że z pana taki skarb. Ha! Co ona, nieszczęsna, może wiedzieć.

Roxbury podszedł do drzwi prowadzących do holu i gwałtownie je otworzył. Emery i Roberts, którzy obydwoj przyciskali uszy do malowanego drewna, niemal rozciągnęli się jak dżdżycy na podłodze w salonie.

- Proszę odprowadzić pannę Johnston z powrotem do jej pokoju, Emery - rozkazał wicehrabia, kiedy kamerdyner czerwienił się i zajmował poprawianiem klap surduta. - I proszę zamknąć za nią drzwi na klucz. A gdzie podziewa się różowa makabra? Chcę go za pięć minut widzieć w swoim gabinecie albo ktoś za to odpowie.

Zwrócił się znowu do Callie.

- Imię pani ojca, poproszę, Caledonio. No już, proszę się nie ociągać. A może powinienem po prostu spytać pana Plumę? Coś mi się zdaje, że wystarczy mu podsunąć pod nos udko kurczaka, a w mgnieniu oka opowie mi historię pani życia.

- Camber - rzuciła gniewnie dziewczyna i gwałtownie usiadła. - Sir Camber Johnston. Ale chyba nie ma pan zamiaru informować go o tym, co zrobiłam? Nawet pan nie zachowałby się tak podle w stosunku do starego człowieka.

- Nie, nie postąpiłbym tak niemiłosiernie - przyznał Simon, a kółeczka w jego bystrym umyśle obracały się z coraz większą szybkością. - Za pani pozwoleniem, mam jedynie zamiar poprosić moją matkę, wicehrabinę, by napisała do niego liścik, w którym wyjaśni, dlaczego przez resztę sezonu będzie pani przebywała tutaj, przy ulicy Portland. Pani i oczywiście pan Plum, jak zdobędę już również adres jego ojca. Matka ma płodny umysł, kiedy w grę wchodzi psoty i intrygi, i wymyśli jakieś rozsądne wytłumaczenie. Widzi pani, Caledonio - zakończył, wiedząc, że jego uśmiech można było nazwać wręcz niegodziwym - teraz, kiedy zdaje się w końcu zaczęła pani słuchać i zrozumiała, kto jest tu panem, mam zamiar uczynić panią najszczęśliwszą z kobiet.

- Nie wysłabym za pana, nawet gdyby pan groził, że przestrzeli mi oba kolana! - wykrzyknęła Callie, najwyraźniej przypominając sobie szalone pomysły jego matki.

- No, ta wiadomość raduje moją duszę - uciał Simon, starając się ukryć rozczarowanie, że dziewczyna nie zmieniła swej kiepskiej opinii o nim. - Nie, zamierzałem panią uraczyć czymś całkowicie innym, jeżeli zaufa mi pani na tyle, żeby razem ze mną spiskować.

Callie przechyliła głowę na bok, z wyraźną niechęcią, ale i zdecydowanym zainteresowaniem, dokładnie tak, jak miał nadzieję.

- Spiskować z panem? W jakim celu?

- Ależ po to, żeby doprowadzić Noela Kinseya do ruiny, to oczywiste. Może się to wydać szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ale i pani, i ja, ze względów, których nie musi pani znać, przybyliśmy wczoraj wieczorem na Curzon Street

w tych samych zamiarach, żeby rzucić hrabiego Filtona na kolana, choć w moim przypadku tylko symbolicznie. Zbyt długo już wykorzystywał swoją szczęśliwą passę w stosunku do nieopierzonych młokosów, takich jak pani brat, i zasłużył sobie na karę. Postrzelenie tego łajdaka jest działaniem trochę na chybił trafił, jeżeli wybaczy pani mój kiepski żart. Jednak bardzo podoba mi się pomysł, żeby trochę pocierpiał. Niech pani sobie na przykład wyobrazi jego cierpienie, gdyby okazało się, że jest pani z nim zaręczona.

- Zaręczona z nim?

Brockton przytaknął, teraz on mocno chwycił wędzidło w zęby i rwał do przodu całkiem przyzwoitym galopem.

- Kiedy zostanie pani wprowadzona w towarzystwo na balu, który wyda moja matka, i kiedy damy już hrabiemu do zrozumienia, że jest pani majątną dziedziczką. Kiedy będzie pani przez pewien czas wodziła go za nos, a jestem przekonany, że nikt tego nie potrafi tak, jak pani, doprowadzając tego człowieka niemal do obłędu. Kiedy będzie pani przyjmowała jego emablowanie to z żarem, to z chłodem, tak że ani przez chwilę nie będzie wiedział, na czym stoi. Potrafi pani to zrobić, panno Johnston. Gdybym nawet nic innego nie wiedział, tego jednego byłbym pewny: zdolna jest pani mężczyznę o najzdrowszej psychice doprowadzić do stanu kompletnego zidiocenia.

Callie podniosła się znowu i stała bez ruchu, przypominając zaskoczoną na polance sarnę, najwyraźniej zaintrygowana i coraz bardziej podniecona jego pomysłem.

- Dziękuję panu. A przynajmniej sądzę, że to był komplement. Naprawdę zamierzał pan ukarać Filtona? Jak to się stało?

- Innym razem, panno Johnston - odparł Simon, machając ręką, i dalej spacerował, a w głowie aż roiło mu się od pomysłów. - Podsuniemy Filtonowi pod jego chciwy nos przynętę w postaci pani osoby i pani posagu, a pani już narobi mu kramu. Dzięki czemu będzie mi nawet łatwiej przy zielonym stoliku obrać go do gołej skóry. A kiedy tak się stanie, bez trudu zachęcimy pana hrabiego do podpisania

obligu, podobnie jak to zrobił pani brat, bo przez cały ten czas przekonany będzie, że spłaci mnie z pani ogromnego posagu, kiedy się państwo pobierzecie. Widzi pani, w przeciwieństwie do pani brata, ja bardzo dobrze gram w karty. Im bardziej go pani zbałamuci, tym więcej będzie ryzykował przy grze.

Callie pominęła milczeniem przechwałki Brocktona na temat jego talentów karcianych i zapytała:

- Jaki posag?

- Oczywiście ten, który wymyślimy, Caledonio - wyjaśnił jej wicehrabia powoli, jakby się zwracał do nieco opóźnionego w rozwoju dziecka. - Daję słowo, zdawało mi się, że dumna jest pani z posiadania obfitującej w pomysły głowy. Proszę nie wyprowadzać mnie z błędu teraz, kiedy stoję już niemal na starcie, a cały wyścig przed nami. Niech się pani skupi. Jak mówiłem, Kinsey będzie się spodziewał, że pani za niego wyjdzie, a co za tym idzie, uratuje go *od* ruiny po tym, jak ja zarządzam spłatą długów. Ale pani tego nie zrobi i rzuci go niemal publicznie, może w Almacku? Wtedy pozostali wierzyciele szybko wywęszą, że spotkało go nieszczęście i, jeżeli będziemy mieli bardzo, bardzo wiele szczęścia, Filton skończy w więzieniu za długi razem ze swoimi licznymi ofiarami. Albo może ucieknie na kontynent. Jeden i drugi rezultat jest do przyjęcia.

Przestał spacerować, ale wciąż jeszcze był podekscytowany przebłyskami własnego geniuszu; odwrócił się, by popatrzeć na swą rozmówczynię.

- Rzecz jasna, trzeba będzie nad panią trochę popracować, a przy tym konieczna będzie pomoc ze strony mojej matki. Garderoba, włosy, maniery, i w ogóle. Wszystko to będzie ciężka praca, panno Johnston, ale konieczna, od początku do końca. I co teraz ma pani do powiedzenia?

- Do Almacka? Ja? No cóż, pewnie bym mogła. Mam prawie dziewiętnaście lat, z pewnością jestem wystarczająco dorosła, by pójść do Almacka. Społeczna pozycja ojca pozwala na to, a ponieważ jestem gościem pana matki, zaproszenie pewnie dałoby się załatwić. Ale to się już naprawdę w głowie

nie mieści. Ja... w Almacku! - Oczy Callie zrobiły się okrągłe jak talerzyki, klapnęła z powrotem na fotel; niewiele brakowało, a nie trafiłaby i z łomotem wylądowała na siedzeniu na podłodze. - Ja... nie wiem, co powiedzieć.

- Ach, oniemiała pani. Następną wiadomość, która raduje moją duszę - żartował Simon, którego humor poprawiał się z minuty na minutę. - A teraz proszę pójść na górę z Emerym, jak na dziełnego, małego spiskowca przystało. Spotkamy się znowu jutro rano, będę się pani spodziewał w moim gabinecie o dziewiątej. Ani sekundy później. Czekaj nas sporo roboty.

Już miał wychodzić z pokoju, kiedy odwrócił się i obrzucił ją szacującym spojrzeniem.

- Wydaje mi się, że zacniemy od włosów. - I trzeba będzie w jakiś oszukańczy i twórczy sposób zastosować wate, żeby powiększyć ten nieistniejący biust, dodał w myśli.

- Czemu się panu nie podobają moje włosy? - zapytała dziewczyna i uniosła rękę, by dotknąć źle ostrzyżonej, kasztanowej grzywy.

- Jeżeli pani tego nie wie, Caledonio Johnston, to oznacza, że realizacja mojego nowego planu będzie tak pracochłonna, iż sami z matką temu nie podołamy. Proszę się spodziewać, że w moim gabinecie zastanie pani również pana Gauthiera i pana Boothe'a. I może jakąś niewielką armię zakonnic, które się za nas wszystkich będą modliły.

- A... a jeżeli wykonamy całą tę pracę, a Noel Kinsey nadał nie będzie się chciał ze mną ożenić, ty nieznośny zarozumiałcze? Czy pomyślał pan o tym? - zawołała Callie za Roxburym, który przystanął w drzwiach i popatrzył na Emery'ego; kamerdyner tylko potrząsnął głową i szeroko się uśmiechnął.

- Gdyby posag był wystarczająco duży, Noel Kinsey zgodziłby się połączyć nawet z pani przyjacielem, Lesterem - wyjaśnił cierpliwie wicehrabia. - Widzi pani, mamusię większości młodych dziewcząt z dużymi posagami nie dopuszczają Kinseya bliżej niż na milę do swoich córek. W tym będzie się pani od nich różnić.

- Och - rzekła Callie niepewnie, udając, że jego odpo-

wiedź jest dla niej całkowicie zrozumiała. Zaraz potem się opanowała i zawołała za nim: - Ale ostrzegam pana, Brockton, niech pan przestanie do mnie mówić: Całedonio!

Simon wahał się przez moment, czy jej nie odpowiedzieć, ostatecznie tylko uśmiechnął się i wyszedł z salonu. Miał rację od samego początku. Mimo swoich prawie dziewiętnastu lat Caledonia Johnston była tylko wyrosniętym dzieckiem. Niezwykle pociągającym dzieckiem. Psotnym. Zuchwałym. Łatwym do oszukania. Dawała się łapać na jego dziwaczne kłamstwa z tą samą szybkością, z jaką lęły się one w jego głowie i były ubierane w słowa.

Niech się matka rozerwie, cywilizując tę młodą dzikuskę, w przekonaniu, że będzie mogła najpierw popisać się swą protegowaną przed towarzystwem, a potem wydać ją za swego jedynego syna. Może to odwróci jej myśli od piekielnego planu, żeby najpierw zmienić się z dębu w bluszcz, a potem owinać się wokół jakiegoś hrabiego.

A panna Johnston niech sobie wyobraża, że jest integralną częścią wielkiego planu mającego doprowadzić Filtona do zguby i niech dzięki temu z zapałem przeistoczy się w lalczkę Imogeny.

Niech obie te podobnie myślące, wścibskie niewiasty bawią się do utraty tchu, a równocześnie niech nie płaczą mu się pod nogami i powstrzymają się od wszelkich działań.

Dając mu swobodę, której potrzebował, żeby zniszczyć Noela Kinseya, dokładnie tak, jak to przez cały czas planował.

Księga druga

Pokrewne dusze?

- Przeciwnie wprost - ciągnął Tweedledee,
 - gdyby tak było, mogłoby tak być,
 - a gdyby mogło tak być, byłoby tak;
- a ponieważ nie jest, nie jest. To logiczne.

- Charles Lutwidge Dodgson
(przekł. M. Słomczyńskiego)

Jeżeli jesteś w Rzymie, żyj, jak żyją Rzymianie;
jeżeli jesteś gdzie indziej, żyj, jak żyją gdzie indziej.

- św. Ambroży

6

Wbrew wielokrotnie wyrażanym przez syna życzeniom, a nawet jego żądaniom, popieranym pogroźkami, które wypowiadał z niebywałą wprost elokwencją, napomykając przy tym o stojących na odludziu domach dla wdów i dzieci ograniczonej do czerstwego chleba oraz wody z rowu, pełna determinacji wicehrabina nie dopuściła do tego, by spotkanie w gabinecie Simona odbyło się następnego ranka zgodnie z planem.

Prawdę mówiąc, do końca tego tygodnia i połowy następnego trzymała syna na taką odległość od Caledonii Johnston, że nie miał nawet szansy dziewczyny usłyszeć, nie mówiąc już o tym, by mógł ją zobaczyć. Zamknęła tę pannicę szczelnie w najlepszej sypialni gościnniej i nie pozwalała nosa wytknąć za drzwi, które uchylały się wyłącznie po to, by wpuścić Imogenę, jej pokojówkę Kathleen oraz małą armię służących rodziny Roxbury, zwywanych z tego czy innego powodu.

Przywilej przekraczania drzwi otrzymał również niewielki batalion modystek, krawcowych i innych szeroko uśmiechniętych dostawców. Ci ostatni opuszczali rezydencję przy ulicy Portland w ukłonach, usta ich wygłaszały peany dziękczynne, oczy napełniały się łzami wdzięczności, a w głowach mąciło się na samą myśl o przewidywanych zyskach.

Roberts powiedział Callie, że słyszał, jak jeden z dostawców szeptał do swojej ładniutkiej, rozchichotanej pomocnicy, iż stać ich już teraz będzie na tę chatkę w Tunbridge Wells, którą miał na oku i chciał wynająć na cały miesiąc, kiedy sezon się skończy, a żona uda się z wizytą do swojej

matki w Liverpoolu. Callie, będąca dobrze ułożoną panienką, ale wcale nie głupią ani nie sztywną, uznała, że chyba niczego śmiesznieszego już od kilku dni nie słyszała, a potem znowu zaczęła się boczyć, ponieważ wciąż tkwiła w gościnnym pokoju, gapiąc się na jego cztery ściany, a reszta świata mogła sobie w tym czasie chodzić, gdzie jej się podobało.

Prawdę mówiąc, to więzienie było wcale wygodne, z pewnością o całe niebo bardziej niż skromny pokój w jej domu, i mogło poszczycić się staromodnym łóżem z baldachimem, które nocą lulało ją do snu, tak że zasypiała niczym niemowlę. Każdego ranka budziła się wypoczęta i niecierpliwie czekała, co przyniesie następny dzień.

Okna pokoju wychodziły na ulicę Portland, a chociaż w dzień nie wolno jej było nawet stopy postawić na balkonie, kilkakrotnie uchylała sięgające od podłogi do sufitu okna nocą. Wymykała się wtedy na zewnątrz, siadała, podkuliwszy okryte koszulą nocną nogi pod brodę, i wpatrywała się w gwiazdy, które świeciły nad Londynem i całym tym światem, do którego się chcąc nie chcąc zabłąkała; upadła przy tym co prawda na głowę, ale mogła z równą łatwością skończyć w więzieniu albo jeszcze gorzej.

Wreszcie uświadomiła sobie prawdziwą głupotę swojego planu, z którego już zresztą zrezygnowała, żeby mścić się na hrabim Filtonie za to, iż Justyn miał pecha przy kartach, i gryzło ją to teraz niemiłosiernie. Wolnego czasu miała aż w nadmiarze i mogła spokojnie wszystko przeanalizować, zrozumieć w pełni niefrasobliwość, z jaką brała się do realizowania zemsty. Działała, nie poświęciwszy jednej nawet chwili na zastanowienie się nad własnym bezpieczeństwem ani, co ważniejsze, nad chronieniem Lestera. Na myśl o tym ogarniał ją wstyd, pałacy wstyd.

Dość było również czasu, by zastanowić się nad planem wicehrabiego mającym doprowadzić do upadku Filtona. Plan zaczynał jej się coraz bardziej podobać. Od swego nowego przyjaciela, Emery'ego, dowiedziała się, jak po mistrzowsku radzi sobie Brockton przy kartach. Nie ulegało kwestii, że doprowadził swoje umiejętności do perfekcji

dzięki Armandowi Gauthierowi, który na przestrzeni lat był, również według Emery'ego, i rekinem karcianym, i sławnym korsarzem. Zdaniem pełnego podziwu kamerdynera, Gauthier żeglował nawet z Jeanem Lafitte, piratem, który kiedyś napawał i grozą, i dumą mieszkańców Nowego Orleanu w Ameryce.

Takie przynajmniej opowieści miał Gauthier dla tych, którzy ośmielali się pytać o jego przeszłość, powiedział jej Emery, który sam ani w połowę z nich nie wierzył. A mimo to przekonany był, że Gauthier zdobył swój znaczny majątek w jakiś niezgodny z prawem sposób.

Callie nie mogła się doczekać, kiedy znowu zobaczy Armanda Gauthiera.

Poza tym był jeszcze Bartholomew Boothe, ten, którego, jak mówił Emery, nazywano Kościejem. Emery nie zachwycał się nim aż tak bezgranicznie, bo Boothe niczym szczególnym się nie wyróżniał. W przeciwieństwie do Gauthiera nie wciskał kamerdynerowi do ręki monety za każdym razem, kiedy ten podawał mu kapelusz i rękawiczki.

Emery opowiadał też, że rozpaczliwie wprost wychudzony Bartholomew Kościej potrafi pochłoniąć dwa rozbratle w czasie krótszym, niż trzeba, żeby je przyrządzić, a między jednym kęsem a drugim znaleźć jeszcze czas na pouczanie wszystkich biesiadników o szkodliwości spożywania wołowiny i baraniny. Coś takiego, jak twierdził Emery, robiło wielkie wrażenie! Pan Boothe miał w zwyczaju rozwodzić się nad wywoływanych przez te mięsa chorobami, takimi, jak podagra, reumatyzm oraz wszelkie inne, przy czym objaśniał je z tak drastycznymi szczegółami, że nie raz się zdarzyło, iż wicehrabina, chcąc go powstrzymać, rzucała w niego gorącą bułeczką.

O, tak. Posiłek w towarzystwie Bartholomew Kościeja z miejsca trafił na listę rozrywek, na które się Callie cieszyła, tylko niech wypuszczą ją wreszcie z tego luksusowego więzienia!

Jednym z powodów jej niezadowolenia był fakt, że po tym, jak odzyskano ubrania z Horsemonger Lane, oswojo-

ny już Lester mógł się swobodnie poruszać po całej rezydencji. Co prawda w bogato zdobionej jadalni na parterze pojawiał się nie częściej niż trzy razy dziennie na posiłki, ale dla nich zdolny byłby ryzykować nawet życie, a nie tylko narażać się na przeszywające spojrzenia wicehrabiego i jego sarkastyczne pytania, jakim cudem pozostający przy zdrowych zmysłach człowiek mógł dać się namówić na taki najbardziej dziecinny i niedorzeczny plan w historii.

Tak więc najczęściej to właśnie Lester brał udział w zabawie, która zdawała się nieustannie trwać w luksusowej celi Callie, i jako jedyny, zamieszkały przy ulicy Portland osobnik płci męskiej, poza Emerym i Robertsem, miał pozwolenie na przekraczanie progu tego nowego, prywatnego sanktuarium.

Callie zdawała sobie sprawę, że zostanie wypuszczona z sypialni dopiero wtedy, kiedy Imogena będzie zadowolona z jej powierzchowności: z sukni, z włosów oraz z jej zachowania. A ponieważ, wbrew opiniom ostatniej guwernantki, panna Johnston nie chowała się w stajni, była przekonana, że nie sprawi wicehrabinie zawodu, kiedy przyjdzie czas, by przedstawić ją któremuś z arystokratów czy wybrać odpowiednią łyżeczkę na oficjalnym przyjęciu.

Potrafiła też pochylić się w siodle i w pełnym galopie podnieść z ziemi chusteczkę, zestrzelić z odległości dziesięciu kroków pestkę z karty - Justyn potrafił tego dokonać z dwudziestu, wspiąć się na drzewo szybciej niż Lester i pokonać jego ojca w szachy dziewięć na dziesięć razy.

Ale nie sądziła, by wicehrabina musiała o tych sprawach wiedzieć; poza tym przekonana była, że ta wnikliwa dama i tak mogła już się wszystkiego domyślić.

Tak więc, spędziwszy w pokoju gościnnym dziesięć dni, podczas których szorowano ją i polerowano, mierzono i kłuto szpilkami, Callie musiała przyznać, że właściwie jest dosyć zadowolona i nawet ma ochotę pozachowywać się trochę jak grzeczna dziewczynka.

Jedynym powodem jej niezadowolenia było od samego początku, i nadal pozostawało, istnienie pewnego Simona Roxbury'ego, wicehrabiego Brockton. Nie lubiła go. Lubiła

jego matkę. Lubiła jego służących. Lubiła jego przyjaciół. Lubiła jego dom. Nie lubiła tylko jego samego. Ani odrobiny. Ani ciut, ciut. Ani ani.

Po pierwsze był arogancki. Wiedziała to, ponieważ sama była arogancka i potrafiła rozpoznać tę cechę.

Był również despotyczny, wielomówny... jeżeli słowo „wielomówny” znaczy, że ktoś potrafi człowieka zagadać na śmierć... zbyt pewny siebie, miał dyktatorskie zapędy, bywał nieuprzejmy dla swej kochającej, acz dosyć niezwykłej matki i niewykluczone, że na dodatek był po prostu wstrętny. Callie dobrze wiedziała, że bez najmniejszych skrupułów porwał ją prosto z ulicy, a potem uwięził w swoim domu, jakby miał do tego prawo.

To, że był przystojny, tylko ją dodatkowo irytowało. Nie miała wątpliwości, że świadom jest, jak ujmująco wygląda, kiedy przeczesuje sobie palcami włosy i z rozmysłem je rozburza, chcąc wyglądać na niewinnego, zakłopotanego i uroczego aż do mdłości.

Wiedział, że kiedy się uśmiecha, jego muśnięta słońcem skóra układa się wokół oczu o kolorze sherry w atrakcyjne zmarszczki, więc umyślnie się często uśmiechał, wyłącznie po to, by Callie zirytować.

I wiedział, że jest wysoki i kiedy się wyprostuje, może górować nad nią, jak najkorzystniej prezentując przy tym wspaniale leżące ubrania. Pewnie wywierał wielkie wrażenie na niekończącej się liczbie głupiutkich młodych pańienek, które z uwielbieniem podnosiły na niego wzrok, kiedy mijał je na spacerze i uchylał kapelusza z podwiniętym rądem, kręcąc młynka głogową laseczką.

W sumie stanowił istne utrapienie. Nie, nie lubiła go. Wcale go nie lubiła. Zdecydowanie. Wykorzysta go, pozwolili mu w pewnym zakresie wykorzystać siebie, razem popracują nad zniszczeniem Noela Kinseya. Prawda, że zamierzał dać jej ten sezon, w pewnym sensie. Tak, pójdzie do Almacka. Ale wszystko to stanowiło część planu pana wicehrabiego, a nie podarunek, za który powinna czuć się wdzięczna.

Wcale nie będzie. To znaczy wdzięczna. Zrobi tylko to,

co musi zrobić: ukarze Noela Kinseya. A potem odejdzie, bez oglądania się za siebie, bez skrupułów, bez cienia żalu, że wicehrabia Brockton widział w niej tylko środek do celu, a nie osobę.

Nagle rozpromieniła się. To prawda. Wcale nie widział w niej osoby. Chyba że go rozdrażniła.

Przy odrobinie szczęścia będzie go mogła rozdrażniać dowolną ilość razy na nieskończenie wiele sposobów.

Gdyby tego chciała. Ale wcale nie chce.

A może jednak?

Nie, nie chce! I ma po temu powody. Bardzo dobre powody!

Sheila Lloyd. Imię i nazwisko tej kobiety, wymienione tylko raz, kilka dni temu, nadal jak zadra tkwiło w jej pamięci.

- Mówiłaś coś, Callie? - zapytał Lester, który siedział po turecku na podłodze z miską dojrzałych śliwek na podółku.

- Nic, co warto by powtarzać - odpowiedziała dziewczyna, pospiesznie wymierzając sobie w myśli solidnego klapsa za tracenie cennego czasu na przypominanie sobie Sheili Lloyd, będącej mężatką, o ile dobrze zrozumiała wicehrabinę. Co ją w końcu obchodzi życie Simona Roxbury'ego czy ludzie, którzy je wypełniają?

- Długo jeszcze będziesz miała tak wymalowaną twarz? - zapytał Lester, komicznie marszcząc nos na widok przyjaciółki, która odetchnęła, wdzięczna, że przerwano jej niepokojące rozmyślenia. - Psuje mi to apetyt, naprawdę, nie kłamię.

Callie poruszyła nosem; zaczynał ją swędzieć, bo różowa pasta ze śmietanki i zgniecionych truskawek zasychała na skórze. Odpowiedziała, nie poruszając wargami.

- Imogena boży się, że piegi już bledną - rzekła, popatrując w dół, na grzbiety dłoni, również obficie posmarowane słodko pachnącą, ale lepką mazią. Nadal nie rozumiała, po co to całe zamieszanie, żeby pozbyć się kilku piegów, które jej wyskoczyły, kiedy chodziła po mieście bez parasolki; ta ostatnia wyglądałaby niesłychanie dziwnie w połączeniu z niewymownymi. Ale jeżeli Imogena pragnie ich się pozbyć,

Całkie będzie z nią współpracować i pozbędzie się ich. - Czy masz przy sobie nóż, Lesterze?

Młodzieniec uniósł brwi pytająco i jednocześnie z udawanym przerażeniem. Miał poczucie humoru i był to jeden z powodów, dla których go ubóstwiała.

- To zależy, jak przypuszczam. Kogo planujesz zabić?

- Nikogo, ty głupolu. Już od całych wieków nie miałam ochoty nikogo zabić - odrzekła i uległa nieopanowanej pokusie podrapania się tuż nad lewą brwią. - Ach, już mi lepiej. Pomyślałam sobie tylko, że mógłbyś ukroić mi kawałeczek śliwki i wsunąć go do ust. Nie mogę rozchylić warg szerzej niż na cal, dopóki ta breja nie wyschnie, albo Imogena ze skóry mnie obedrże, jak tutaj przyjdzie.

Plum kiwnął głową, sygnalizując tym gestem, że zrozumiał.

- Przepraszam. Nie mam noża. Pewnie będziesz musiała poczekać. Wstrzemięźliwość dobrze robi na duszę. Wicehrabim powiedziała tak dzisiaj rano, dokładnie w chwili, kiedy Roberts nakładał jej kopiałą porcję jajeczniczy na talerz. Wydaje mi się to dziwaczne, a tobie? Podobnie jak to, że do jaśnie pani zwracasz się „Imogeno”. Jakoś to nie brzmi właściwie.

- Zgadza się - przyznała uczciwie Callie i poczępała na bosaka do lustra, jakby miała nadzieję, że kiedy się przejrzy, to krem na twarzy i dłoniach szybciej wyschnie; rąbek starego szlafroka znacznie wyższej i tęższej od niej Imogeny ciągnęła się za nią po podłodze. - Ale ponieważ ostatnim razem, kiedy ośmieliłam się do niej zwrócić zgodnie z tytułem, rzuciła we mnie półtuzinem kandyzowanych moreli, musiałam przyzwyczaić się do tej poufałości. Oczywiście będę musiała uważać, żeby przy ludziach zwracać się do niej „milady”.

Dzięki Bogu, jeszcze kilka minut i będzie mogła pozbyć się tego ostatniego środka na poprawienie urody. A jeżeli wicehrabia Brockton i Noel Kinsey nie docenią jej wszystkich starań, to może ich po prostu obydwoh zastrzelić!

Odwróciła się od lustra i spojrzała na przyjaciela.

- Czy nie jesteś po prostu zakochany w Imogenie, Lesterze? Czyż ona nie jest najwspanialsza na świecie? Wiesz, tak

się zastanawiam, może nadawałaby się dla papy. Nie może być więcej niż o pół głowy od niego wyższa ani starsza o więcej niż pół tuzina lat, a ponieważ i jedno, i drugie z nich jest już w podeszłym wieku, nie ma to chyba większego znaczenia. A jak ty sądzisz?

- Jaśnie pani i sir Camber? - Pluma przeszedł dreszcz. - Och, raczej nie, Callie. Po tym, jak udało jej się nabrać i jego, i mojego papę przy sposobności, na to jakieś cygaństwo, które im napisała w listach? Jakby się pobrali, to spędziłyby pewnie resztę swoich dni na kryciu się po stajniach oraz upijaniu się do nieprzytomności, bo nie mógłby znieść tego, że połączył się z taką chytrą intrygantką, taką starą... oj!

- O, nie przerywaj sobie, Lesterze - zamruczała wicehrabina niczym kotka; stała tuż za progiem, jedną rękę "wciąż jeszcze trzymając na kłamce. - Chytrą intrygantką, starą... czym?... Plotkarą? A może jeszcze gorzej?

Lester zarumienił się, twarz miał niewiele jaśniejszą od niedojedzonej śliwki, którą trzymał w ręce.

- Callie? - powiedział błagalnie, patrząc na nią tak, jakby była jego ostatnią deską ratunku.

- Prawdopodobnie plotkarą, Imogeno - odpowiedziała dziewczyna rzeczowo i ośmieliła się uśmiechnąć do wicehrabiny, wskutek czego zaschnięta, swędząca pasta na jej twarzy popękała i zamieniwszy się w delikatny, różowo-biały proszek, spadła na przód szlafroka. - Ale on szczerze panią kocha, naprawdę. Mam rację, Lesterze?

Plum niezdarne podniósł się z podłogi, przy czym przechylił miskę ze śliwkami, a jej zawartość rozsypała się po dywanie.

- Och, tak, tak! Uwielbiam panią niczym własną matkę, przysięgam! - Pochylił się, by ocalić jedną ze śliwek, wytarł ją o kamizelkę i podał wicehrabinie. - Są pyszne. Naprawdę.

- Idiota! - warknęła Imogena, wyrwała mu śliwkę, odgryzła spory kęs i dopiero wtedy kazała Callie pójść umyć sobie twarz i ręce w miednicy za chińskim parawanem, który stał w kącie. - Nie potrafię wam powiedzieć, dzieci, o ile czuję się młodsza, od kiedy wy dwoje płaczecie mi się pod

nogami. Krzątania, krzątania przez cały dzień. To cudowne. Callie, pamiętasz, że za niecałą godzinę przychodzi madame Yolanda?

Dziewczyna ochlapała twarz następną porcją zimnej wody, a potem po omacku zaczęła szukać na stole ręcznika, walcząc równocześnie ze łzami, bo odrobina truskawkowo-śmietankowej mikstury dostała jej się do oczu. Trąc twarz, wystawiła głowę i ramiona zza parawanu, opuściła ręcznik i z ukosa zerknęła na wicehrabinę.

- Madame Yolanda?

- Ta fryzjerka, moja droga - wyjaśniła Imogena, oblizując jeden palec po drugim i pozbywając się w ten sposób lepkiego soku ze śliwki, którym się pobrudziła, kiedyssała pestkę, a potem wydłubywała ją z ust i rzucała w kierunku zimnego kominka.

Trafiła prosto w sam środek wystygłych popiołów. Natchnięty przez nią Lester uśmiechnął się szeroko i natychmiast cisnął swoją pestkę mniej więcej w ten sam rejon. Jego rzut okazał się jednak mniej celny i pestka dźwięcznie brzęknęła o wilki.

- Osioł - zbesztła go Imogena z sympatią, a potem odwróciła się ponownie do Callie. - Przychodzi ze świetnymi referencjami.

Callie osuszyła dłonie ręcznikiem, odłożyła go z powrotem na stół i przezornie kuląc się za parawanem, spytała:

- Jak już mówimy o tej madame Yolandzie, Imogeno. Czy ona zajmuje się również pani włosami?

- Och, nie, nie, Kathleen wystarczająco dobrze mi służy. A czemu?

Callie, z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu, wyszła zza parawanu i ponownie spojrzała na wicehrabinę, na tę masę beczelnie żółtych loków, które pasowałyby raczej do młodszej i nie tak dobrze urodzonej osoby.

- Bez żadnego powodu, Imogeno. Ale denerwuję się na myśl, że ktoś będzie robił coś przy moich włosach. Czy myśli pani, że mogłybyśmy dziś popołudniu obydwie skorzystać z usług madame Yolandy, a pani byłaby pierwsza? Wtedy może bym się aż tak nie... no, nie niepokoiła.

- Kłamie nie lepiej od ciebie, Lesterze, chociaż tak się przechwala swoimi rzekomymi wadami - stwierdziła wicehrabina, opadając na fotel, przy czym dzienna suknia w fioletowe i białe pasy wyduła się wokół jej niemałej postaci niczym balon na gorące powietrze, który lada chwila ma wystartować z Hyde Park Corner. - Simon nie znosi tego koloru, wiesz przecież. Przypuszczam, że Kathleen nie poczułaby się nadmiernie zmartwiona, gdybym pozwoliła madame Yolandzie podjąć jedną czy dwie próby. Zastanawiałam się tym razem nad rudym, nad czymś, co pociągnęłoby oczy dżentelmenów do góry, ponad moje kształty. Co o tym sądzisz, Lesterze? Czy to by podziałało? Czy pomogłoby mi złapać jakiegoś hrabiego?

Plum przeszukiwał wzrokiem dywan, prawdopodobnie usiłując znaleźć w podłodze drzwi, przez które udałoby mu się pierzchnąć.

- Ja... właściwie to ja nie... to jest, nie znam się aż tak dobrze na... rudym, mówiła pani?

- Gratulacje, Lesterze - powiedziała Imogena, odgarniając dziewczęce loki. - Masz więcej taktu niż mój syn, który powiada, że najbardziej przypominam mu przerośniętego kankarka, który właśnie fatalnie się pierzy. - Z westchnieniem podniosła oczy na Callie. - Jeżeli madame Yolandzie nie uda się wrócić do tego mysiego brązu, którym się szczyliłam, zanim siwizna zaczęła się wkradać, a raczej ruszyła galopem do ataku na moje włosy, co byś powiedziała na turban? Jak rozumiem, turbany to ostatnia szansa dla nieszczęsnych, starych dam, które straciły już nadzieję na małżeństwo. Ale niech mnie piorun strzeli, jak coś takiego włożę! Za nic, dopóki na świecie ocalał jeszcze jakiś słoiczek farby!

Callie pochyliła się, by pozbierać pozostałe śliwki, które nadal w nieładzie leżały na dywanie, potarła jedną z nich o biodro i łakomie odgryzła kawałek słodkiego owocu. Przez chwilę przeżuwała, zastanawiając się nad słowami wicehrabiny i nad wyrazem jej twarzy, świadczącym o oślim wręcz uporze.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego tak obawia się pani tytułu wicehrabiny-wdowy, Imogeno.

- Nie możesz tego rozumieć, moja panno, bo jesteś młoda i wciąż jeszcze wierzysz, że tak będzie wiecznie. Patrzę na ciebie... - Wicehrabina westchnęła i potrząsnęła głową. - Wydaje mi się, że jeszcze wczoraj zaśmiewaliśmy się z ojcem Simona, żartując z życia. A teraz zrobiła się ze mnie pomarszczona jak suszona śliwka wdowa, z konieczności siedzę na skraju parkietu i przyglądam się, jak cała zabawa mija mnie tanecznym krokiem, przyglądam się, jak mija mnie życie. Jak mi za mój tytuł wetkniesz jeszcze tę wdowę, dziewczyno, to będę mogła już tylko wrócić do rodzinnych lasów i przebić się mieczem albo zacząć hodować całą czeredę kotów, które będą się wdrapywały na zasłony albo wykrztuszały z siebie obrzydliwie wyglądające grudki nie wiadomo czego na sam środek mojej najlepszej, jedwabnej narzuty. Mnie w łóżku potrzebny jest mężczyzna, pannico, a nie kulka futra!

- Nie wydaje mi się, że powinienem czegoś takiego słuchać. - Lester pochylił głowę, chcąc ukryć zaczerwienione policzki, i ruszył w kierunku drzwi. - Och, papa powiedziałby, że zdecydowanie nie powinienem czegoś takiego słuchać.

- Ależ siadaj - rozkazała mu Imogena i machnęła upierścienioną dłonią. - Nie mówi się tu niczego, co by nie było prawdą. Tematem naszej rozmowy jest życie, moi młodzi przyjaciele, życie. Mężczyźni i kobiety dawali sobie pod kołdrą radość od chwili, kiedy narodził się czas. A może wierzyłeś, że twoja matka znalazła cię w kapuście?

Plum padł na niski, obity pasiastym jedwabiem fotelik i wbił spojrzenie w sufit.

- Wolałbym nie zastanawiać się nad tym, gdzie matka mnie znalazła, jeżeli pani pozwoli. A po namyśle wolałbym nawet nie próbować sobie tego wyobrazić. Cała ta sprawa jest apolityczna.

- Apokaliptyczna, Lesterze - poprawiła go Callie, próbując powstrzymać się od śmiechu na widok konsternacji przyjaciela - chociaż wydaje mi się, że apokaliptyczna może być zbyt mocnym określeniem. Imogeno, ocyganiła nas pani teraz trochę, prawda? W rzeczywistości wcale nie marwił panią tytuł matrony ani wicehrabiny-wdowy. Wcale nie

martwi panią to, że pani syn może się ożenić, a nawet usiłuje mnie pani mu narzucić. Wszystkie te pani narzekania to nic innego jak stek kłamstw. Naprawdę martwi panią tylko jedno, że może stracić pani ostatnią szansę na... jak pani to ujęła... dawanie sobie radości pod kołdrą, czyż nie?

- Och, Boże, niech one wreszcie przestaną - jęknął Lester, opuścił w dół głowę i zakrył sobie uszy rękami. - Błagam!

- Wiedziałam, że bystra z ciebie dziewczyna, Callie - powiedziała wicehrabina i trzepnęła się otwartymi dłońmi po udach. - Chociaż nie mogłabym oczywiście tego wszystkiego powiedzieć Simonowi, ponieważ synowie nie są w stanie w swoich mamusiach dostrzec nikogo innego poza starymi plotkarami, które haftują pantofle i czekają, aż w zasięgu słuchu zbierze się najmarniej tuzin osób, zanim zapytają swoje potomstwo, czy włożyło czystą bieliznę.

Z gardła Lestera wyrwał się zduszony kaszel, chociaż od dobrych pięciu minut nie miał w ustach ani kawałeczka śliwki.

- Uszy do góry, synu, już prawie skończyłam - pocieszyła go Imogena. - Wiecie, mam pewne powody, żeby się lękać. Przypuśćmy, że Simon ożeni się, zanim mnie uda się znaleźć chętnego partnera i doprowadzić go do punktu, z którego nie będzie odwrotu? No i co wtedy? Jestem za stara, żeby rzucać zalotne spojrzenia stajennym, jak to mogłam robić jeszcze kilka lat temu, a za dumna, żeby żebrać. A jeżeli doda mi się do tytułu tę wdowę, to już na zawsze odłożą mnie na półkę. Matrona, Callie. Wicehrabina-wdowa. Pomyśl tylko o tym! Równie dobrze mogłabym sobie nad głowę powiesić szyld z napisem: „Za stara do łóżka, za młoda do trumny”.

- Tego już za wiele! - wykrzyknął Plum, zerwał się na równe nogi, popędził do drzwi i szarpnął je z takim impetem, że aż uderzyły o ścianę, po czym zaraz je za sobą zatrzasnął.

Imogena uśmiechnęła się szeroko.

- Nie wiem jak ty, ale ja zaczynałam już się bać, że nigdy nie wyjdzie - wyznała i usiadła znowu na poduszkach. - Przypuszczam, że następna rzecz, o którą chciałabyś zapytać, skoro rozmawiamy już całkiem bez ogródek, to dla-

czego sądzę, że będzie z was z Simonem para, zanim sezon się skończy, i dlatego ten szczególny rozwój sytuacji wcale mnie nie martwi.

Callie wzięła do ręki końce związanej ciasno wokół talii szarfy i zaczęła skubać frędzle, którymi była ona wykończona.

- Słowem pani nie wspominała o tym od dnia, kiedy się poznałyśmy, miałam więc pewną nadzieję, że o całej tej sprawie pani zapomniała.

- Wcale nie - zaszczębiotała radośnie Imogena, oparła ręce na poręczach fotela i dźwignęła się na nogi. - Ty albo żadna. Zdecydowanie. Rozumiesz, on wcale nie planuje się żenić. Powtarzał to tak często, że sam w to uwierzył, chociaż ja wcale nie uwierzyłam. No a odkąd ostatniej zimy przeczytałam tę Austin... nie ma to nic do rzeczy... lecz zrozumiałam, że Simon nie uniknie swojego losu i postanowiłam dokładnie przyjrzeć się stajennym. Żałosna zbieranina! Zresztą, tak czy owak, nagłe uświadomiłam sobie, że gwałtownie zaczyna mi brakować czasu na to, by znowu znaleźć dla siebie szczęście. Żadna ze mnie bojaźliwa koteczka, Caledonio Johnston, a z ciebie również nie. Mężczyzna może nam nie być konieczny do życia, ale jakbyśmy go miały, to potrafiłybyśmy się nim cholernie cieszyć.

Callie z zaciekawieniem przechyliła na bok głowę.

- Dlaczego?

Imogena ujęła ją za ręce i podprowadziła do łóżka, pochnęła na skraj materaca i sama usiadła obok niej.

- Caledonio, ile miałaś lat, kiedy umarła twoja matka?

- Dwanaście - odparła dziewczyna, odwracając twarz i zerkając spod oka na wicehrabinę. - A co to ma wspólnego z czymkolwiek innym?

- Powiedziabym, że całe mnóstwo, jeżeli znam panów i to, jak bełkotliwie i kulawo porozumiewają się z młodymi córkami - odparła Imogena. - A twoja guwernantka, czy ona mówiła ci o... o tym, co się dzieje w bardziej intymnych momentach między mężem a żoną?

Callie przekonana była, że rumieńce na jej policzkach

dorównują teraz wcześniejszej purpurze na twarzy Lestera.

- Panna Haverly uczyła mnie rachunków, geografii, jak się mam trzymać i jak popijać zupę małymi łydkami. Moja edukacja nie ograniczała się jednak do tego, co panna Haverly wiedziała o świecie, jeżeli o to pani pyta. Widywałam zwierzęta na polach. Rozumiem, co leży w naturze rzeczy. Słyszałam nie raz chichoty służących, dobiegające późną nocą zza drzwi sypialni mojego ojca, kiedy przy księżycu wymykałam się na przejażdżkę z Lesterem nad sadzawkę, żeby łapać żaby. To o to mnie pani pyta, prawda?

- W istocie, tak. Chociaż trudno mi uwierzyć, że może istnieć kobieta, niezdolna cieszyć się „naturą rzeczy”, jak to ujęłaś, to jestem przekonana, że są wśród nas takie, które mają predyspozycje, by dociekać tajemnic i przygody z tym związanej. - Uścisnęła dłonie Callie. - Ty, dziewczyno, należysz do tych szczęśliwców. Chwytasz życie oboma rękami, tak jak ja to zawsze robiłam. Cieszysz się życiem, cieszysz się przygodą. Z chęcią podejmujesz ryzyko. Masz w sobie odwagę i ogień, i charakter. Gdyby nie to, że jesteś takim ślicznym drobiazgiem, a ja jestem brzydka jak siedem grzechów głównych, mogłabym przysiąc, że jesteś moją córką, słowo daję. Z czystym sumieniem mogę jednak przysiąc, że jesteś tym, czego Simonowi trzeba. To dlatego z radością myślę o waszym ślubie, nawet gdybym nie zdążyła wcześniej nikogo sobie złapać. A nawet jestem z tego powodu szczęśliwa.

Uścisnęła znowu dłonie Callie, potem wstała, odwróciła się i dodała:

- Chociaż, rzecz jasna, on sam nie zauważył tego, co ma pod nosem, tak samo, jak niczego nie zauważał jego ojciec.

- Pochyliła się, przysuwając twarz do twarzy Callie. - I to dlatego siedzisz tu zamknięta, dziewczyno, aż pozłocę szczere złoto. Simon sądzi, że wdał się w tę przygodę wyłącznie po to, żeby wziąć górę nad tym całym Filtonem, a my pozwolimy mu dalej tkwić w nieświadomości, przynajmniej przez jakiś czas. Ale swoje wiemy, prawda?

- Wcale nic takiego nie wiem! - wykrzyknęła Callie i przeturlała się po łóżku, żeby uciec od widoku szeroko uśmiech-

niętej wicehrabiny. Przeturlała się jeszcze dwa razy, aż w końcu udało jej się spuścić nogi na podłogę po drugiej stronie łóżka i stanąć, po czym wyprostowała się na całą swoją wysokość, w miarę możliwości, bo zbyt obszerny szlafrok spowijał ją teraz jak kokon. - A gdybym wiedziała, to w jednej chwili opuściłabym ten dom i ruszyła na poszukiwanie następnego pistoletu!

Imogena tylko wzruszyła ramionami.

- Jak tam sobie chcesz, pannico - zgodziła się, dokładając przy tym wszelkich starań, żeby wyglądać na przygnębioną, po chwili jednak zrezygnowała z udawania, sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła jakiś papier, który następnie rozłożyła i podała Callie. - Kazałam służącemu zaczekać na odpowiedź. Proszę, tu jest list od twego ojca.

Dziewczyna spojrzała na papier tak, jakby obawiała się, że ją ugryzie, i objęła się w pasie ramionami.

- Niech pani to przeczyta - poprosiła, a serce zaczęło jej bić gwałtownie, bo wyobraziła sobie, co wicehrabina mogła napisać do ojca i co ojciec mógł na to odpowiedzieć.

Imogena złożyła papier i schowała go z powrotem do kieszeni.

- Nie ma co tego czytać, nauczyłam się tych kilku linijek na pamięć. Zaraz, zaraz, jak to szło? Aha. „Moja droga pani wicehrabino”. Oficjalnie, a przecież z intymnym posmaczkiem, zgodzisz się ze mną? „Właśnie wróciłem z podróży i przekonałem się, że Caledonii nie ma w domu; pani służący już czekał, by ulżyć memu strapionemu sercu w niepokoju, co się z nią dzieje. Jakże zdołam wyrazić pani wdzięczność za wyratowanie mojej najdroższej Caledonii i tego bezmózgiego Lestera Pluma z tarapatów, które sami sobie ściągnęli na głowę przez swój upór, kiedy w jakimś nędznym wozie usiłowali przejechać przez wezbrany po deszczach strumień, wracając ze swojej nierozważnej wyprawy do majątków ciotki. Caledonia zawsze miała skłonności do zwariowanych wybryków i bez wątpienia uznała, że zaproponowana przez Lestera krótka wyprawa będzie czymś właśnie takim. A pani życzliwość, kiedy ściągnęła ich pani oboje do Londynu, by

Lesterem mógł zająć się pani osobisty lekarz, przekracza już wszelkie granice. Składam pani raz jeszcze podziękowania za okazaną im wielkoduszność". No, może dodałam słówko czy dwa, ale tak to mniej więcej szło.

- Napisała mu pani, że Lester i ja mieliśmy wypadek i że pani nas uratowała? - zapytała Callie i obeszła róg łóżka, trzymając się za słupek. - Jakież to pomysłowe. Ale proszę powiedzieć mi, jak ciężko jest Lester ranny? Czy przeżyje?

Wicehrabina ponownie wzruszyła ramionami.

- Złamał sobie rękę. Tylko jedno skrzydełko, nic gorszego. Ale ponieważ ja jechałam akurat do Londynu i dosyć się spieszyłam, a ręka Lestera, po podwieszeniu na temblaku, który sporządziłam z własnych halek, miała się zupełnie dobrze, uznałam, że prościej będzie kontynuować podróż, niż cofać się, by odwiedzić was, wagarowicze, z powrotem do domu. W końcu narobiliście mi już dość kłopotów. Naprawdę wysłałam na bohaterkę: mój służący przywiózł mi jeszcze drugie posłanie, autorstwa ojca Lestera, w którym wygłasza na moją cześć peany, jakbym była osobą bliską świętości. Albo to, albo papa Lestera i twój to dwóch najbardziej łatwowiernych dżentelmenów w całej Anglii.

- Tak, właśnie. To drugie. Łatwowiernych - zauważyła Callie z roztargnieniem, puszczając słupek i zaczynając spacerować po pokoju. - Papy nie było już w domu, kiedy wyjeżdżałam, więc sugestia, że uciekłam, by być razem z Lesterem, wydaje mi się całkiem prawdopodobna. Lester już wcześniej wybrał się do Londynu, więc jego papa nie widział w tym nic nadzwyczajnego, że nie wraca. Chociaż pewnie uśmiecha się od ucha do ucha na myśl, że synalek wylądował tak wspaniale, spadł na cztery łapy, i znalazł się przy ulicy Portland. Tak Tak. Rozumiem teraz, dlaczego i papa Lestera, i mój tak ochoczo przyjęli do wiadomości wyjaśnienie, które dotarło do ich rąk z hrabiowską koroną odcisniętą na woskowej pieczęci.

Popatrzyła na wicehrabinę.

- Kłamałabym mówiąc, że chcę stąd odejść. W życiu się tak świetnie nie bawiłam, cieszą mnie wszystkie przygotowania i nie mogę się już doczekać pójścia na bal do Ałmacka.

A do tego jeszcze perspektywa drażnienia hrabiego Filtona rzekomym posagiem, który, zdaniem pani syna, powinien go ogłupić do tego stopnia, że nie zauważy własnej ruiny, nim będzie już za późno. Cieszy mnie każda chwila z tym związana i będzie mnie cieszyć. Ale wszelkie pani wysiłki, mające na celu wydanie mnie za pani syna, Imogeno, są kompletnie chybione, rozumie pani?

- Och, tak. Oczywiście. Doskonale rozumiem - zgodziła się wicehrabina z bijącą w oczy nieszczerością i przechyliła głowę na bok, kiedy obie usłyszały delikatne skrobanie do drzwi. - Wystarczy, jeżeli asystując ci w towarzystwie, zwrócę na siebie uwagę kilku dżentelmenów w moim wieku. Jeżeli tobie brak rozumu, by do maksimum wyzyskać plany Simona, to trudno, ja z pewnością nie będę taką ślamazarą, żeby nie skorzystać z nadarzającej się sposobności. A ponieważ za drzwiami czeka pewnie madame Yolanda, proponuję, byśmy chwilowo zostawiły ten temat w spokoju. Chciałam po prostu, żebyś wiedziała, że jest to nie tylko twoja przygoda i że winna mi jesteś pomoc. Rozumiesz?

- Doskonale, Imogeno - zapewniła ją Callie i owinęła się szczerzej szlafrokiem, wiedząc, że zupełnie nie trafiła wicehrabinie do przekonania i pewnie nigdy nie trafi. - I jestem również pewna, że Lester zgodzi się zapomnieć o wszystkim, co słyszał. A nawet podejrzewam, że w tej właśnie chwili kłęczy i modli się o błogosławione zapomnienie.

- Biedne, pozbawione kręgosłupa stworzenie - powiedziała Imogena. - Ale jakoś dziwnie zaczynam być do tego chłopaka przywiązana. Niemałego wymagało ode mnie wysiłku powstrzymanie się od wysłania Roberta z karteczką do Westona, kiedy wyposażaliśmy Lestera w nową garderobę, i poproszenia, by przygotowali wielką, niebieską kokardę, którą mogłabym mu wiązać na szyi.

- Powinna się pani wstydzić, Imogeno. Lester to nie jest zwierzątko domowe - zaprotestowała Callie.

Ale musiała z pełnym zażenowaniem uśmiechem przytaknąć, kiedy, tuż przed wpuszczeniem do pokoju madame Yolandy, wicehrabina zażartowała:

- Ależ oczywiście, że jest, dziewczyno. Twoim ukochanym kotkiem-pieskiem. A teraz i moim. I obie jesteśmy prawie że zakochane w tym głuptasie. Och, popatrz tylko, to wcale nie jest madame Yolanda. To Roberts z pudłami, w których muszą być pierwsze z twoich nowych strojów. Cudownie! Będiesz mogła dziś wieczorem zejść na obiad. Ależ Simon będzie zadowolony!

Callie nie miała serca zwracać swojej dobrodziejce uwagi, że jest mało prawdopodobne, by Simon Roxbury okazał najmniejsze chociaż zadowolenie, niezależnie od tego, czy ona wystroi się w bryczesy, czy w tiule, czy też przyjdzie do niego nago z różą w zębach. Przecież jemu wcale na niej nie zależy. Gdyby mu choć trochę zależało, znalazłby jakiś sposób, żeby porozmawiać z nią w ciągu tych ostatnich dni, a nie zrobił tego. Zadowolił się scedowaniem na matkę „tworzenia narzędzia”, które zamierzał wykorzystać przeciw Noelowi Kinseyowi.

A to odpowiadało Callie w zupełności!

A przynajmniej tak sobie powtarzała za każdym razem, kiedy stała za zasłoną i przypatrywała się, jak elegancko ubrany wicehrabia, z nadzwyczaj pewną siebie miną, przechodzi przez chodnik i wskakuje do swojej kariołki czy powozu, żeby, nie poświęciwszy Callie nawet jednej myśli, wyjechać na cały dzień lub wypełniony przyjemnościami wieczór.

No pewnie, że musiałam dziś wstać lewą nogą,
we wszystkim prześladował mnie taki cholerny pech.

- Mrs. Alpha Behn

7

Jednej rzeczy Anglii z pewnością w tej chwili nie było trzeba, a mianowicie deszczu, który na przekór wszystkiemu lał, i to jak z cebra. Sirnon miał takie wrażenie, że większą część roku spędził na przemykaniu się między kroplami i przeskakiwaniu przez kałuże. Przez resztę czasu wysłuchiwał lamentów Silsby'ego nad okropnym stanem butów pana, nad stanem jego wieczorowych pantofli, jego pantalonów oraz jego peleryn i opończy, które w domowe pielesze wracały nieodmiennie przesiąknięte wodą na ramionach i ubłocone na dole.

Z tego wszystkiego najgorsze było posępne zawroждение Silsby'ego i pewnie dlatego, przechodząc ostrożnie przez ulicę i kierując się do White'a, wicehrabia niemal nie zwrócił uwagi na coraz donośniej szy stukot kopyt i turkot kół powozu. Zamiast im się przysłuchiwać, wzrok skupił na kałużach, które zostały po porannym oberwaniu chmury, a w myślach obracał pytanie, po co ktoś miałby wrywać kawałki bruku i gdzieś z nimi uciekać. Na co się komu mogły przydać „kocie łby”?

I wtedy usłyszał hałas, przytłumiony odgłos uderzeń, głosy podniesione w gniewie. Przyspieszył kroku, żeby wejść na chodnik, gdzie mógł odwrócić się i spojrzeć na drugą stronę ulicy; a tam znalazł wyjaśnienie tego, co go zaciękało: grad kamieni brukowych frunął w powietrzu i grzmocił w bok kanarkowo żółtego powozu.

- Prinny - mruknął Simon pod nosem, kiedy powóz księcia-regenta przemknął obok niego; z pół tuzina forsyków do-

kładało wszelkich starań, by opanować swoje spłoszone konie, a stangret biczyskiem poganiał zaprzęg, wrzeszcząc równocześnie na wszystkich, by usunęli się z drogi. - Człowiek sądziłby, że starczy mu rozumu, by siedzieć bezpiecznie w zaryglowanym Carlton House, gdzie nie zdołają osiągnąć go drobne dowody przywiązania od jego lojalnych poddanych.

Zanim forysie, powołani na to stanowisko z osobistej straży księcia, zdążyli zareagować, napastnicy w liczbie czterech czy pięciu - sądząc po wyglądzie, byli nimi wyrzuceni z roboty młynarczycy - upuścili resztę kamieni, które przywłaszczyli sobie wcześniej, by mieć czym obrzucić powóz jego wysokości, i już dobiegali do najbliższej bocznej uliczki, na której mogli się skryć.

- A niech to szlag najjaśniejszy trafi! - wykrzyknął wicehrabia, kiedy jeden z konnych strażników zawrócił tuż koło niego i bryznął błotnistą wodą na jego nowe pantalone. - Mam wielką ochotę osobiście rzucić kilka kamieni, niech mnie piorun strzeli, jeśli kłamię!

- Czyżbyś doświadczał jakichś trudności, stary przyjacielu? - zapytał Armand Gauthier zza pleców Simona, który właśnie potrząsał pięścią w kierunku ostatniego z jeźdźców podążającego za umykającym powozem. - Prinny powinien z góry uprzedzać ludzi, jeżeli się gdzieś wybiera. Wtedy wszyscy moglibyśmy pozostać w swoich domach i uniknąć złapania w ogień krzyżowy. Albo to, albo powinien jeszcze raz przemyśleć sprawę wydawania wszystkich pieniędzy swoich poddanych na takie głupstwa, jak ten dziwaczny powóz. Żółty? Stanowczo zbyt łatwo daje się go rozpoznać.

Roxbury, który przez cały ten czas usiłował za pomocą delikatnej, batystowej chusteczki przynajmniej z grubsza oczyścić się z błotnistej, kompromitującej go mazi, spojrzął na swego elegancko ubranego... i czystego... przyjaciela i zaczął gderać:

- A ja chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że nie trafił w ciebie? Nie mogłeś być dalej niż o kilka stóp od miejsca, gdzie teraz stoję. Mówię ci, Armandzie, że prześladowe mnie dziś najokropniejszy pech.

Dwaj mężczyźni weszli razem do White'a, gdzie wymie-
nili pozdrowienia ze znajomymi w drodze do wykuszowe-
go okna, przy którym czekał na nich Bartholomew Boothe.

- Wiesz, Simonie, skoro już o tym wspomniałeś, to za-
uważyłem, że prześladuje cię, i to nie od dzisiaj - powiedział
Gauthier, który szedł przodem. - A wszystko chyba zaczę-
ło się tamtej nocy na Curzon Street, od porwania w wyko-
naniu naszej drogiej panny Johnston.

Wicehrabia nie warknął, bo dżentelmen czegoś takiego
nie robi, ale był tego bliski; spiorunował wzrokiem smoli-
sto czarne włosy przyjaciela.

- Ona mnie wcale nie porwała - wycodził przez zaciśnię-
te zęby, kiedy już usiedli i kiwnęli Kościejowi głowami. -
Pozwoliłem jej się uwieźć.

- Ależ oczywiście, że tak - wymruczał kojąco Armand.
Brockton nagle zrozumiał, dlaczego tak wielu znajomych
marzy o tym, żeby znaleźć się z jego przyjacielem na ringu
w salonie boksinerskim Dżentelmena Jacksona i tłuc go, aż
mu się świat straci. Tyle że nikt nie ośmielił się tego zrobić
poza Simonem, który raz położył Gauthiera na łopatki pod-
czas wyjątkowo udanego sparingu.

- Och, wszystko jedno - rzekł wicehrabia i uśmiechnął
się, odzyskując częściowo dobry humor; wiedział, że praw-
dopodobnie pozwolił wystrychnąć się na dudka. - Przyzna-
ję. Wymierzyła mi pistolet prosto w nos i nie miałem wy-
boru: musiałem robić, co kazała. Chociaż pewnie udałoby
mi się wyprowadzić ją w pole, gdybym tylko miał przed so-
bą jeszcze kilka mil, a zmysłów nie przytępiłoby mi tyle
kieliszków szampana. A jak ty się miewasz dzisiaj, Koście-
ju? - zapytał serdecznie przyjaciela.

- Suchszy jestem od ciebie, Simonie - żartobliwie odpo-
wiedział Bartholomew i mrugnął do Armanda. - Przygląda-
łem wam się przez okno. Najpierw nie mogłem uwierzyć,
że nie słyszysz, jak nadjeżdża powóz Prinny'ego, a potem
podziwiałem, jak wyprysnęłaś w powietrze, kiedy cię całe-
go ochlapał ten foryś. Co powiesz, Armandzie? Jak wysoko
podskoczył nasz przyjaciel? Może moglibyśmy zgłosić go

do zawodów i zakładać się, czy skoczy wyżej niż, powiedzmy, żaba, którą złapiemy w parku? Przychodzi mi na myśl co najmniej trzech jegomościów, którzy chętnie by coś na to postawili.

- Trzech? Mnie przychodzi na myśl co najmniej tuzin! - odparł Gauthier, wyraziście poruszając brwiami. - Dwa tuziny, jeżeli zgodziłbyś się wygrać trzy skoki na pięć.

- Są takie chwile, kiedy wydaje mi się, że tylko i wyłącznie wy, moi lojalni i żałośnie zabawni przyjaciele, utrzymujecie mnie przy zdrowych zmysłach - oświadczył Simon, z uśmiechem przyjmując kieliszek szampana od kelnera i, odchyliwszy głowę do tyłu, pociągnął łyk chłodnego płynu z bąbelkami. - Gdyby nie to, pewnie oszalałbym przez ostatnie dziesięć dni do reszty. Ale kiedy się wam przysłuchuję, uświadamiam sobie również, że mogę być ostatnim w Anglii człowiekiem, który jeszcze nie zwariował. A przynajmniej jedyną wykazującą odrobinę rozsądku osobą w pewnym domu przy ulicy Portland - dodał ponuro.

- Nie widziałeś jej jeszcze, prawda? - zapytał Boothe, objął dłońmi brodę, oparł łokcie na stole i pochylił się do przodu. Miał nadzieję, że się nie myli, bo zgodnie ze swą naturą założył się już o pięćdziesiąt funtów z Gauthierem o to, jak długo wytrzyma ich przyjaciel, zanim wyłamię drzwi do sypialni Caledonii Johnston i wdrze się do środka... po spowiewieranym ciele matki, jeżeli będzie trzeba.

Bartholomew obstawiał niedzielę. Armand wybrał dzień dzisiejszy jako ten, który zakończy pojedynek na siłę woli między Simonem a jego groźną matką. Jeszcze tylko dwanaście godzin, myślał Kościej, więc pięćdziesiąt funtów już tak jakby należało do niego, a on na to konto zdążył upatrzyć sobie u Tatta wspaniałą klacz.

- Zaczny człowiek z ciebie, Simonie. Zaczny. Podziwiam twoją cierpliwość. Naprawdę.

Przyjaciele ukrywali co prawda przed Roxburym takie sekretne zakłady, ale wicehrabia znał ich równie dobrze, jak oni znali jego; popatrzył przymrużonymi oczami na jednego, potem na drugiego i, jak mu się zdawało, doszedł, o co tu chodzi.

- Obydwaj jesteście załośni - oświadczył stanowczo, dopijając szampana. - Ktoś mógłby sobie pomyśleć, że żaden z was nie ma nic lepszego do roboty, tylko niemądrze zakładać się o moje życie.

- Wcale tego nie robimy, Simonie - zwrócił mu uwagę Armand, poprawiając obszyte koronkami mankiety. - A wielka szkoda. Obydwaj siedzimy tutaj i czekamy, rwąc się już do działania, żebyś zaczął realizować ten swój wymierzony przeciw Filtonowi planik. Oczywiście pan hrabia jest nieobecny, ale kiedyś musimy wreszcie zacząć, trzeba przedstawić przed końcem sezonu tę dzierlatkę towarzystwu, i w ogóle. Czy wspominałem już, że gotów jestem się poświęcić i osobiście poprowadzić ją w pierwszym tańcu?

- Mogę tę dziewczynę oszukiwać, by uwierzyła, że przypadnie jej jakaś naprawdę istotna rola do odegrania w moim planie doprowadzenia Filtona do upadku - powiedział Brockton, który poczuł się urażony błyskiem w oku przyjaciela, chociaż sam właściwie nie rozumiał dlaczego - ale nie znaczy to, że poszczuję na nią ciebie, Armandzie. Jest na to o wiele za młoda i o wiele za zielona. Tak więc nie będziesz jej prosił do żadnych tańców, chyba że po moim trupie.

- Uda ci się go przeskoczyć, Armandzie? - zapytał Bartholomew i skinął na kelnera, by mu napełnił kieliszek. - Co prawda nasz Simon nie jest jakoś wyjątkowo wielki. Z pewnością nie jest taki okrągły, jak na przykład Alvanley, ani tak fantastycznie tęgi jak Prinny. Ale zastanów się nad tym. Obojętne, czy podejdziesz od przodu, czy z boku, bez rozbiegu skok nadal nie będzie łatwy, jeżeli uwzględnisz fakt, że...

- Zamknij się, Kościeju - powiedzieli równocześnie Armand i Simon, a Bartholomew osunął się na fotelu pokonany, uderzając przy tym brodą w fular, ale nadal szeroko się uśmiechał, zadowolony ze swego dowcipu.

Wicehrabia poczuł na sobie szacujący wzrok Gauthiera.

- Trafiła ci do serca, prawda? - zapytał cicho. - Trafiła ci do serca ta mała, wymachująca pistoletem złośnica.

- Trafiła mi do serca? Mnie trafiła? - Simon potrząsnął głową. - Nie bądź idiota, Armandzie. To niewiele więcej niż

dziecko, a na dodatek marudne dziecko. Jestem od niej o dobre dwanaście lat starszy, to po drugie. A po następne, wcale mi się jakoś przesadnie ta dzierlatka nie podoba. Dodaj do tego fakt, że mojej matce podoba się ona aż za bardzo, a zrozumiesz, dlaczego już pożałowałem, iż wdałem się w tę zwariowaną historię. Powiniennem był smarkuli kazać się spakować i ruszać do domu, i niech by się o nią troszczył ten jej bezrozumny ojciec.

- A ona ukradkiem wróciłaby, przestrzeliła Filtona na wyłot i skończyła w jakiejś okropnej celi, opędzając się od szczurów - powiedział Boothe. Można by nawet rzec, wyprorokował. - Postąpiłeś właściwie, Simonie. Naprawdę. Żeby nikt nie ucierpiał. Roztropnie. Chociaż oczywiście okropnie to pokrętne z twojej strony. Czy zastanowiłeś się, co się stanie, kiedy ona połapie się, co zrobiłeś, jak ją oszukałeś?

- Jeżeli mam być szczery, to wolę myśleć, iż nigdy się nie dowie, Kościeju. - Roxbury przyklnął oczy i westchnął. - Dziś wieczorem ma zejść na dół na obiad. Miało się to stać cztery wieczory temu, ale tym razem zapowiedziałem Imogenie, że nie ścierpę następnego opóźnienia.

Otworzył oczy i zauważył, że Bartholomew piorunuje wzrokiem zaskakująco promiennego Armanda. Simon też spiorunował go wzrokiem, a następnie zdał sobie sprawę, co musiało zajść między tymi dwoma. Znowu się zakładali. Chociaż jemu to nie robiło różnicy, nawet najmniejszej.

- Moja matka chciała czekać, aż da się coś zrobić z paskudnie przystrzyżonymi włosami smarkatej, czy coś takiego - ciągnął, jakby go ktoś jeszcze słuchał - a potem upierała się przy przeróżnych damskich środkach upiększających, nad którymi nie chciałem nawet, i nadal nie chcę, się zastanawiać.

Podniósł napełniony na nowo kieliszek - to zdumiewające, jak wspaniałą obsługę można sobie było zapewnić, jeżeli tylko pamiętało się, by doskonałość nagradzać brzęcząca monetą - i czekał, trzymając brzeg kieliszka o cal od ust, dopóki nie zyskał pewności, że obydwaj mężczyźni znowu go słuchają.

- Oczywiście stanowczo przestrzegałem naszą najdroższą Imogenę przed słoiczkami z farbą.

- Oczywiście - zgodził się z roztargnieniem Gauthier i wszyscy trzej zaczęli kiwać w milczeniu głowami, dumając nad osobliwymi splotami, które wicehrabina nosiła na głowie. - Czy jesteśmy zaproszeni na dziś wieczór? Muszę przyznać, że dosyć jestem ciekaw, co twoja droga matka chciała osiągnąć, że potrzebowała pełnych dziesięciu dni, by dokonał się cud.

- Prześlę wam wystawiane za tę osobliwość rachunki, tak jak mnie je przedkładano. Powinny zaspokoić waszą ciekawość - skomentował sucho wicehrabia, a potem zmienił temat. - Czy były jakieś wieści na temat słabującej ciotki Filtona? Kościeju? Czy porozmawiałeś z jego przyjaciółmi, tak jak obiecałeś? Co prawda nie życzę tej niewieście szybkiego zejścia, ale chciałbym mieć niedługo Kinseya z powrotem w mieście, w taki czy inny sposób.

- Staruszka, wykazując dość dużą stanowczość, ociąga się, jak mi mówiono ostatnio dwa dni temu - doniósł Bartholomew, wzdychnąwszy. - Ale mam dobre wiadomości. Wydaje się, że ciotka Filtona nie była... a raczej nie jest... aż tak zamożna, jak wszyscy, łącznie z nim samym, wierzyli. Jeżeli nam szczęście dopisze, może on nie dostać ani pensa. - Uniósł kieliszek i wypił za zdrowie mądrych, starych dam. - Tak kocham plotki, a ty, Simonie? Armandzie?

- Będziemy wszyscy trzej przynajmniej raz na dwa tygodnie wkładać czepki, rozsiadać się jak stare kocice w salonie i wymieniać ploteczki o tym, co się ostatnio niesamowitego wydarzyło w towarzystwie - zaproponował wicehrabia ironicznie. - Wszystko, byle tylko cię uszczęśliwić, Kościeju.

Bartholomew zaczerwienił się aż po uszy.

- Jakbym ja kiedykolwiek zgodził się włożyć czepkę! - odpalił i prychnął.

- Ale ta wiadomość o Filtonie jest dobra, czyż nie, Simonie? - zapytał Gauthier, równocześnie wykrzywiając się do speszonego Boothe'a. - Założę się, że pan hrabia już zaczął wydawać pieniądze, mając tylko sperandę.

- Na ile go znam, to masz absolutną rację, Armandzie. Będzie przez to miał dwa razy większy apetyt na nowy dopływ funduszy - powiedział z namysłem Roxbury. - Jest dość majątny, ale wydaje pieniądze lekką ręką i często zapomina spłacać swoich wierzycieli. Ostrożnie wysondowałem w zeszłym miesiącu mojego winiarza na temat Filtona, po tym, jak dowiedziałem się, że hrabia również korzysta z jego usług. Wystarczy powiedzieć, że człowiek ten nie darzy Noela Kinseya nadmiernym szacunkiem, chociaż nie ośmiela się odmówić mu sprzedaży wina, ponieważ wtedy całkowicie straciłby klienta. I na tym polega cały problem. Kupcy mają dylemat: albo będą dostarczali towary, za które mogą nigdy nie zobaczyć zapłaty, albo mogą odmówić sprzedaży takim ludziom, ale wtedy muszą pożegnać się z nadzieją na odzyskanie choćby złamanego pensa z tego, co im się już należy.

Bartholomew pochylił się do przodu, potakując.

- Jak długo Filton i jemu podobni będą mieli pozornie głębokie mieszki, kupcy uzbroją się w cierpliwość. Czy nie mam racji, Armandzie?

- Tak jest, Kościeju - zgodził się Gauthier. - Ale niech tylko wkradnie się do ich duszy podejrzenie, że mieszki te są tak puste, że można by je wynajmować, a rzucą się na tychże dżentelmenów jak muchy, które ciągnie do świeżego nawozu. U biednego Sheridana natrętni wierzyciele tak długo przesiadywali w salonie, że aż zaczął im podawać obiady. Co w połączeniu z gryzącym go wstydem... chociaż tak wdzięcznie ten wstyd ukrywał... pewnie go w końcu zabije.

- Chyba zaczynamy się robić sentymentalni - powiedział Simon, kiedy przy stoliku na kilka minut zapadło milczenie. - Co więcej, błoto na moich pantalonach już wyschło i zaczyna mi być niewygodnie. Pewnie udam się z powrotem na ulicę Portland, by przygotować się na uroczyste, wieczorne podniesienie kurtyny. Chyba że macie jeszcze jakieś wiadomości...

- Tylko jedną, że właśnie zdecydowałem się nie kupować tej wspaniałej klaczy, którą widziałem u Tatta - oznajmił

z goryczą Bartholomew. Patrzył spode łba na Armanda, dopóki obydwaj przyjaciele nie zaczęli chichotać, i w końcu sam również się uśmiechnął.

Callie była już ubrana i gotowa, by zejść na dół na obiad, jak tylko rozlegnie się gong; chodziła teraz tam i z powrotem po swojej sypialni - po tym ślicznym pokoju, którego z czasem serdecznie zaczęła nie cierpieć - i martwiła się swoim wyglądem.

Czy naprawdę prezentuje się cudownie, jak to oświadczyła Imogena, zanim popędziła z Kathleen dokończyć własną toaletę? Czy może wygląda „głupio”, jak stanowczo, choć niezbyt wyraźnie dał jej do zrozumienia Lester, spożywający właśnie kanapkę z ogórkiem, taką późnopołudniową przekąskę, mającą zapobiec głodowej śmierci przed obiadem.

Plum widział w niej zawsze tylko ukochaną przyjaciółkę, co mogło tłumaczyć jego reakcję na widok Callie w czymś innym niż sukienka prosta, skromna i zdecydowanie dziecinna. Zwróciła uwagę, że kiedy po raz pierwszy zobaczył ją wystrojoną podług londyńskiej mody, z trudem przełknął ślinę i wychrypiął:

- Ale chyba narzucisz na siebie jakiś szal albo coś, Callie? Z taką odsłoniętą piersią człowiek się może zaziębić.

Przypomniawszy sobie jego słowa, dziewczyna podeszła do lustra i badawczo przyjrzała się swemu odbiciu. Uniosła ręce do głęboko wyciętego stanika skromnej, białej sukienki i szarpnęła go, równocześnie kręcąc górną połową ciała, próbując w ten sposób podciągnąć suknię do góry o cal czy dwa.

A może nawet trzy, pomyślała, skrzywiła się, położyła sobie płasko dłoń przy szyi i patrzyła z pewną fascynacją na wypukłość biustu oraz dosyć wyraźny i zenująco widoczny rowek między piersiami. Naprawdę czuła się naga, chociaż ramiona i plecy miała okryte, rękawy kończyły się poniżej nadgarstków, a spódnica, w przeciwieństwie do niektórych co starszych, pozostawionych w domu, w Dorset, sięgała skromnie za kostki.

- Tyle wspaniałego materiału - dumiała na głos - a ani trochę tam, gdzie pewnie najbardziej jest potrzebny.

Ale podobała jej się ta suknia. Bardzo jej się podobała. Po pierwsze, była taka miękka i tak wdzięcznie układała się podczas chodzenia. Dziewczyna zachwycała się szerokim pasem dość zawiłego haftu, białego na białym tle, przy przybranym falbaną rąbku sukni, a ostatnie dziesięć minut spędziła na chodzeniu tam i z powrotem, aby móc rozkoszować się falowaniem falbany i przyglądać się, jak za każdym krokiem wyglądają spod niej żółte, giemzowe pantofelki.

Podziwiała też wąską, żółtą wstążkę, zawiązaną ściśle tuż pod stanikiem i krój sukni, która spływała fałdami do ziemi, muskając płaski brzuch Callie, przy czym na biodrach się rozszerzała, dzięki czemu dziewczyna czuła się w niej niemal równie swobodnie, jak w spodniach.

A już rękawami była zupełnie zuroczona. Chociaż były dopasowane, krawcowa wykończyła je przy ramionach drobnymi, luźnymi riuszkami, w które powtykała ułożone w bukieciki, maleńkie pączki różane z żółtego jedwabiu. Całość dopełniała przygotowana przez modystkę żółta wstążeczka, która teraz opasywała szyję Callie; końce wstążeczki zawiązane zostały na prostą kokardkę, a jej ozdobą był jeszcze jeden mały pączek róży.

Krótko mówiąc, Callie uważała, że suknia jest cudowna, chociaż dekolt kończył się o cal czy dwa niżej, niż powinien, żeby mogła czuć się całkiem swobodnie.

Pochyliła się do przodu i znowu bacznie popatrzyła w lustro, przesuwając czubkiem palca po policzkach i po grzbiecie nosa. Piegi nie zniknęły ku wielkiej frustracji Imogeny, ale dziewczyna uważała, że wygląda całkiem znośnie z tymi kilkoma, które pozostały; rozproszone po całej twarzy dodawały charakteru - tak, właśnie to, charakteru - raczej przeciętnym rysom Callie.

Kości policzkowe miała za wysokie, to po pierwsze, a przynajmniej tak twierdziła panna Haverley, cmokając w ten swój poniżający sposób i mówiąc, że wszystko, co odbiega od różanych, kragłych jak jabłuszka angielskich po-

liczków, jest „nie na miejscu” u przyzwoitej młodej panny. Callie wiedziała, że jej broda jest zbyt kanciasta i nie ma, znowu zdaniem panny Haverley, „ani odrobiny tej miękkości, tej krągłości właściwej dla podbródka Angielki, no i stanowczo wygląda zbyt zuchwale”.

Była to pewnie prawda, myślała sobie Callie, bo szczękę miała nie dość że lekko kwadratową, to jeszcze zeszepeconą na samym środku małym dołeczkiem. Ale, do takiego doszła wniosku, unosząc podbródek i przedrzeźniając wyniosłą pozę panny Haverley, prawdą było również to, że natura obdarzyła ją tylko jedną brodą, podczas gdy jej dawna guwernantka posiadała dwie!

Cała reszta twarzy była zdaniem Callie całkiem przeciętna. Zielone oczy wcale nie były niczym aż tak rzadkim czy egzotycznym. Dużo bardziej podobały jej się oczy Simona Roxbury'ego. A chociaż brązowe oczy trafiały się często, a niebieskie jeszcze częściej, ten szczególny odcień sherry bardzo ją u wicehrabiego pociągał. A może chodziło tylko o to, jak jego oczy połyskiwały i śmiały się, kiedy był rozbawiony...

Callie obróciła głowę na lewo i popatrzyła na swoje prawe ucho, które dzięki madame Yolandzie niemal całkowicie wystawało spod krótkiej czupryni. Śmieszne ma człowiek uszy. Uszy Lestera były uroczo komiczne, odstawały mu od głowy tak, że podczas mocnego wiatru niemal powiewały, a zarówno od mrozu, jak i wielkiego zażenowania robiły się jaskrawoczerwone.

Justyn, jak pamiętała, miał uszy płaskie, podobnie jak ona, przylegające do głowy. Chociaż te Justynowe były dosyć duże, tak, że zawsze pilnował, by aż do płatka nakrywać je włosami. Mówił, że nie chce, by go jakiś zapalony myśliwy pomylił z dzikim słoniem i zastrzelił, zanim zdąży wyjaśnić, że odziedziczył to szczególne oszpecenie po rodzine ojca.

Callie westchnęła, a westchnienie przeszło w stłumiony szloch. Tak bardzo tęskniła za bratem! Otrzymali z ojcem od niego tylko dwa, odległe od siebie w przestrzeni, listy. Jeden został wysłany z Hiszpanii, a drugi z Włoch. A w żąd-

nym z nich nie było za wiele wiadomości. Justyn zamierzał wsiąść na statek płynący do Indii i przysięgał, że nie wróci, dopóki się nie okryje sławą, dopóki się nie stanie nababem i nie będzie mógł wynagrodzić sir Camberowi wszystkich kłopotów, jakie mu sprawił. Cieszył się dobrym zdrowiem. Nie powinni się o niego martwić. I to wszystko.

Co by Justyn pomyślał, zastanawiała się, gdyby ją teraz zobaczył? Zawsze mówił do niej „smarkulo”, tak samo jak Simon Roxbury. Ale Justyn mówił to z sympatią i czochrał siostrę, kiedy mijał ją w jadalni, kierując się na swoje miejsce. Nazywał ją również swoją smarkulą, kiedy jak zwykle ogrywała go w szachy podczas długich, zimowych wieczorów. Tak bardzo tęskniła za nim i za tymi długimi wieczorami, spędzanymi na rozmowach, żartach i planowaniu cudownych przygód, jakie „któregoś dnia” przeżyją.

Nie ma co, Justyn z pewnością przeżywał teraz wielką przygodę, chociaż z trudem udało mu się przetrwać tę pierwszą, to znaczy wyprawę do Londynu w celu podwojenia niewielkiego majątku, który zostawiła mu w spadku matka. Wszystkie długie, spędzone przy kartach wieczory nie zdały się na nic. Był w mieście od niecałych dwóch tygodni, kiedy natknął się na Noela Kinseya, który oskubał go co do pensa, co do ostatniego marzenia, a potem nakłonił do podpisania obligu, zapewniając, że prędzej czy później zła passa na pewno się odwróci.

Callie nie spodziewała się, by Justyn miał zrobić w Londynie wielki majątek, ponieważ wiedziała, że brat nie ma głowy do strategicznych rozgrywek. Było to oczywiste, skoro raz za razem pokonywała go przy szachach. Zaczynała już nawet dosyć regularnie wygrywać z nim w wista, chociaż to on sam nauczył ją tej gry.

Ale Justyn był zdecydowany zaryzykować, a teraz z podobną determinacją wyruszył do Indii, szukać tam majątku. I pomyśleć, że przez kogoś takiego, jak Noel Kinsey, mógł siedzieć zamknięty w podłym więzieniu, gdzie odżywiały się spleśniałym chlebem i karaluchami. Przez całe tygodnie była taka wściekła na brata, że niemal wzrok jej się mącił,

a teraz potrafiła się już tylko o niego martwić, tęsknić za tym, żeby go znowu zobaczyć.

Callie odwróciła się od swojego odbicia i zamrugła oczami, które piekły od łez. Nie będzie teraz myślała o niczym takim. Z Justynem wszystko jest w porządku. Musi być! Niedługo napisze znowu, opowie ojcu i jej o swojej wielkiej przygodzie i o tym, że planuje już powrót do Dorset, ponieważ uświadomił sobie, że ucieczka z domu nie jest żadnym rozwiązaniem.

A kiedy wróci, przekona się, że ona, Caledonia Johnston, już zemściła się za to, że tak brutalnie się z nim obszedł ten hrabia oszustów karcianych, Filton. Brat będzie mógł znowu chodzić z podniesioną głową i nie martwić się, że natknie się gdzieś na hrabiego i będzie musiał mu rzucić wyzwanie.

Bo chociaż Justyn nie był pierwszorzędnym graczem, i tak o całe niebo lepiej grał w wista, niż walczył białą bronią czy strzelał na dziesięć kroków z pistoletów. Co prawda strzelał nadzwyczaj celnie, ale nigdy nie widziała, żeby coś zabił, nawet pająka, i nie odczuwał potem wyrzutów sumienia z tego powodu. A wycelowanie pistoletu w żywego, oddychającego człowieka, nawet tak niegodziwego jak Noel Kinsey, przekraczało kompletnie, zdaniem Callie, możliwości jej romantycznego brata o miękkim sercu.

I to z tego powodu właśnie na Callie, która uważała siebie za osobę dużo bardziej krwiożerczą i rezydentną, spadł obowiązek pozbycia się z Londynu, a może nawet z całej Anglii, osoby Noela Kinseya, na dodatek przed powrotem Justyna.

I z tego powodu oferta pomocy Simona Roxbury'ego była nie do odrzucenia.

I z tego powodu łatwo dawała się wyjaśnić obecność Callie przy ulicy Portland, jej chęć, by się stroić, popisywać; w końcu miała omotać hrabiego Filtona i rozpraszać jego uwagę, podczas gdy Brockton będzie powoli, metodycznie opróżniał portfel tego łobuza.

I z tego też powodu skłonna była znosić i ignorować niemądrą paplaninę Imogeny na temat małżeństw będących rządzeniem losu, i temu podobne bzdury.

To wszystko było zrozumiałe, ale dlaczego wcale nie martwi się swoim wyglądem ze względu na siebie samą, tylko błaga Boga, by pozwolił jej spodobać się Simonowi Roxbury'emu? Temu Simonowi Roxbury'emu, który nie zadał sobie trudu, żeby chociaż raz zapukać do jej drzwi, od chwili kiedy trafiła pod jego dach, pod jego opiekę, i zapytać, czy przypadkiem cicho i spokojnie nie wyzionęła ducha na swoim łóżku, bądź sprawdzić, czy jej gnijące zwłoki nie zaczną wydzielać w niedługim czasie niemiłego odoru.

Pozwalając, by nagromadzone w ciągu kilku ostatnich dni frustracja i gniew zbliżyły się do zenitu, Całtie przechadzała się teraz w sposób coraz bardziej przypominający niegodne damy tupanie. Zacisnęła w pięści swe od niedawna miękkie, wolne od piegów dłonie i odwróciła się, by spiorunować spojrzeniem drzwi do holu, myśląc przy tym, że niewykluczone, a nawet pewne, iż i jej, i temu nieznośnemu wicehrabiemu Brocktonowi dobrze zrobi rozmowa na osobności, zanim dziś wieczorem przy stole obiadowym Imogena zacznie popisywać się nią niczym ulubioną gęsią.

Simon trwał w absolutnym bezruchu, kiedy Silsby za pomocą szczotki usuwał niedostrzegalne, czepiające się materiału nitki; tylko bystre oczy oddanego kamerdynera potrafiły zauważyć je na butelkowo zielonym anglezie, który jego pan wybrał na dzisiejszy wieczór. Wicehrabia poświęcił tego dnia swemu wyglądowi więcej troski, niż to miał w zwyczaju i udało mu się pogodzić dyktat mody z własnym pragnieniem posiadania stroju odpowiedniego na każdą z zaplanowanych imprez, a należało w to wliczyć krótką obecność na nie mniej niż trzech rautach oraz, jako ukoronowanie wieczoru, odwiedziny u kochanki.

Nie widział się z lady Sheilą Lloyd od kilku tygodni, jako że przebywała ona poza miastem z wizytą u przyjaciółki, która właśnie odbywała swój trzeci połóg. Ale teraz była w Londynie już od pięciu dni i przysłała mu tyleż liścików z prośbą, by pojawił się u jej boku na dowolnej wieczornej imprezie.

Simon postanowił, że nie odpowie na zaproszenia jaśnie pani, ponieważ jego zdaniem wyrażona w nich prośba przypomina raczej żądanie. Niech go piorun spali, jeżeli stanie się oswojonym pieskiem pokojowym jakiejś damy, choćby najpiękniej nawet wyglądała, leżąc na atłasowych prześciera-
dłach koloru kości słoniowej, kiedy jej długie, czarne włosy rozsypią się na wspaniałych, nagich piersiach, a pełne, czerwone wargi wygnie zachęcający i dosyć dekadentcki uśmiech.

Był taki czas, kiedy sądził, że to straszliwe marnotrawstwo przykuwać Sheilę do lorda Lloyda, który był co najmniej o siedem lat starszy od ziemskiego globu. Ale po zastanowieniu zdał sobie sprawę, że Lloyd jest również bogatszy niż Krezus i że Sheila poślubiła go ze szczęściem w oczach, w nadziei, że za sześć miesięcy go pochowa. Jednak, podobnie jak "wiele innych słodkich marzeń, także i to nie miało się ziścić, jako że Lloyd już niemal od dekady przeciągał sprawę, a uroda Sheili, chociaż wciąż oszałamiająca, zaczynała blaknąć z upływem lat, które popychały milady najpierw w stronę trzydziestki, a potem jeszcze dalej. Fałdki wokół ust, które kiedyś robiły wrażenie rozkosznych promyczków, teraz znacznie się pogłębiły i coraz wyraźniej przypominały zmarszczki świadczące o niezadowoleniu z losu.

To prawda, że Roxbury nie należał do ludzi, którzy uwagę zwracają tylko na piękno ciała. Ale tam, gdzie w grę wchodzi kochanka, mężczyzna nie goni za zgodnością intelektualną. Nie wydawało mu się konieczne, żeby taka osoba w długie zimowe wieczory miała zwiajać się naprzeciw niego w kłębuszek, na przykład po drugiej stronie szachownicy. Sześć miesięcy temu zawarli pewien układ: korzystny dla obu stron związek ciał, bez żadnych obietnic i bez żadnych oczekiwań, że mógłby on przerodzić się w coś bardziej permanentnego.

Tyle, że Sheila zaczynała się robić odrobinę Zachłanna. Żądania, żeby się pojawił? Też coś! Simon miał w życiu dużo ciekawszych rzeczy do zrobienia niż wybijanie pokłonnów przed jakąś niewiastą, abstrahując już od faktu, że niewiasta ta nie była nawet jego żoną. Wybrał perłowe spinki,

pasujące do butelkowego surduta, i wygonił nieodwołalnie z garderoby strapionego Silsby'ego, kiedy ten zasugerował, by jego pan zdjął surduta, bo przydałoby się go jeszcze trochę wyszczotkować. A między jedną czynnością a drugą postanowił, że czas pozbyć się lady Sheili Lloyd.

Musi skoncentrować się na planie, którego realizacji ostatnio się podjął, zdecydował, biorąc jedną z dwóch srebrnych szczotek, które tkwiły na jego toalecie, i podejmując następną próbę opanowania nieposłusznego pasma włosów, które uparcie opadało mu na czoło.

Osobiście i dokładnie obejrzy sobie Caledonię Johnston dziś wieczorem przy obiedzie, modląc się do tego czasu, by jego matka nie zwariowała do reszty i nie przystroiła dziewczyny niczym bożonarodzeniowy pudding.

Osobiście sprawdzi, do czego dziewczyna jest zdolna, dopóki Filton wciąż jeszcze siedzi przy łożu swej nieszczęsnej ciotki niczym jakiś wygłodniały sęp.

Osobiście zabierze ją na poranną przejażdżkę po parku, żeby nie gapiła się na wszystko jak jakaś prowincjuszka, kiedy po raz pierwszy pojedzie z nią na Promenadę.

Osobiście pokaże jej niektóre z widoków i zwróci uwagę, że nie należy przejeżdżać obok co bardziej interesujących budynków w Londynie z otwartą buzią, tak się naprawdę „nie robi”.

Osobiście udzieli jej pouczeń w takich sprawach, jak podstawy etykiety, surowe przepisy obowiązujące w Almacku, a nawet - chociaż miał szczerą nadzieję, że do tego nie dojdzie - będzie nadzorował lekcje zachowania się przy stole, jeżeli zajdzie taka konieczność.

Krótko mówiąc, przejmie pałeczkę od matki, nada szlif temu, trzeba to przyznać, młodziutkiemu i naiwnemu dziecku, któremu - w jakiejś chwili szaleństwa, a nie potrafił jej sobie nawet teraz przypomnieć - zdecydował się zamydlić oczy niemądrą intrygą, uknutą tak, by podać hrabiemu Filtonowi czubatą porcję tego, co mu się należało.

Winien był tej dzierlatce trochę rozrywek za to, że ją tak bezczelnie okłamał. Musi mieć gwarancję, że kiedy już upo-

ra się z Kinseyem, panna Caledonia okaże się panienką na poziomie i będzie mógł udobruchać ją, zapewniając odrobinną zabawę podczas londyńskiego sezonu, który zresztą jej obiecał. Winien był jej tyle w nagrodę, że przez kilka tygodni będzie zajmowała jego najdroższą matkę i nie pozwoli Imogenie myśleć o gorsetach i hrabiach.

Jednak zabiegi, które miały utrzymać Caledonię w bezpiecznym miejscu, dostarczyć matce zajęcia i pomóc jemu samemu w realizacji planu, musiały się również okazać kosztowne. Przypuszczał, że sobie na te koszty zasłużył, i dostał to, na co zasługiwał, w ilości hurtowej. Matka szastała zamówieniami na prawo i lewo, tak że drzwi się za dostawcami nie zamykały. Sytuacja doprowadziła rozważnego Emery'ego do takiego stanu, że wziął swego pracodawcę na stronę i zasugerował, aby ukrócić trochę wybryki fantazji jaśnie pani i szybko zatrzasać przepastną szkatułę wielmożnego pana, zanim przekroczone zostaną granice królestwa rozsądku.

Wicehrabia nie trudził się wyjaśnianiem temu najbardziej lojalnemu z domowników, że od chwili kiedy Caledonia Johnston nastała w ich domu, jego droga matka ani razu nie poruszyła tematu gorsetów ani domów dla owdowiałych matron. Słowem nie wspominała o swoim całkowicie zwariowanym pomysłe, że musi sobie złapać jakiegoś hrabiego, zanim syn doszczętnie zniszczy jej życie, żeniąc się z pierwszą lepszą niewiastą, jaka mu wpadnie w ręce podczas sezonu. Obojętne, jak wysokie będą rachunki, obojętne, jakie niewygody będą musieli ze służbą znosić, wszystko to było bez znaczenia w porównaniu z przyglądaniem się, jak matka odchudza się niemal na śmierć, farbuje sobie włosy na kolor jaskrów, maluje twarz jak jakaś dziewczka, zlewa się od stóp do głów perfumami, a potem udaje się na wieczorne „polowanie”.

Tak, pobyt Caledonii w domu, pobyt, jak sobie wyobrażała matka, tej „idealnej żony” w domu, już przyniósł większe profity niż wszelkie małostkowe oszczędności, jakie mógł wymyślić Emery, który urodził się z wężem w kieszeni.

Co prawda Simon nie uważał, by matka była w głębi duszy przekonana, że Caledonia Johnston została im zesłana przez kaprys Opatrzności, by stać się tą synową, która zawsze ją przerażała, ale którą teraz przyjmowała z radością, jak kwiaty w maju. Ale, jak znał swoją matkę - a Bóg mu świadkiem, że znał ją dobrze - mogła ona równie dobrze zawrzeć z Caledonia umowę, że ta ostatnia nie pozwoli się Simonowi powlec do ołtarza, dopóki Imogena nie zdąży bardziej przyzwyczać się do myśli, iż będą ją tytułować hrabiną-wdową Brockton.

Zresztą wszystko to nie miało znaczenia, było nieważne. Przez resztę sezonu Caledonia będzie dostarczała zajęcia jego matce. Imogena zajmie z kolei Caledonię zakupami i przymiarkami strojów, i lekcjami dobrych manier. A tymczasem on będzie mógł swobodnie poświęcić się doprowadzeniu Noela Kinseya do klęski pod względem towarzyskim i ekonomicznym oraz do jego banicji.

I naprawdę wcale nie był to taki nędzny plan.

A potem Caledonii Johnston będzie można pozwolić na kilka tygodni świetnej zabawy podczas niekończących się imprez towarzyskich. Z pewnością tak się poczuje przejęta, że tańczy w Almacku, że flirtuje z oficerami, iż nawet się nie pogniewa, że Filton został ukarany, zanim zdążyła wprawić go w stan umysłowego otępienia i doprowadzić do nieprzemyślanych postępków.

A potem on, Simon Roxbury, zapomni o tejże Caledonii Johnston, jak tylko pomacha jej na do widzenia, kiedy powóz będzie skręcał za róg na końcu ulicy.

Wicehrabia bacznie rzucił okiem po raz ostatni na swoje mankiety; był całkiem zadowolony tak ze swego wyglądu, jak ze swego genialnego, perfekcyjnego planu. Następnie zmarszczył brwi, słysząc, że ktoś drapie w drzwi prowadzące do holu.

- Silsby! - zawołał zniecierpliwiony, pewien, że to powrócił jego kamerdyner, zamierzający błagać, by mógł raz jeszcze skontrolować wieczorny strój pracodawcy. - Jeżeli nie rozumiesz słowa „odejść”, zamieszczonego w kontekście mówiącym o opuszczaniu pokoju, kiedy twoja obecność nie

jest już pożądana, to może zależy ci na tym, żeby „odejść” na serio, odejść ode mnie ze służby!

Drzwi uchyliły się odrobinę, Roxbury patrzył na nie spode łba i usiłował zamknąć je siłą woli. W chwilę później bezwiednie wciągnął głęboko powietrze, bo w szparze pojawiła się głowa Caledonii Johnston. A przynajmniej zakładał, że była to Caledonia Johnston. Z pewnością nie przypominała podlotka, którego widział ostatnio w swoim salonie, przebranego za mężczyznę i robiącego takie wrażenie, jakby go ktoś przeciągnął przez żywopłot i to tyłem.

- Widzę, że jest pan jak zwykle w świetnym humorze - powiedziała Caledonia, pchnęła drzwi i wsunęła resztę swej osoby do garderoby. - Pomyślałam sobie, że moglibyśmy odbyć króciutką rozmowę, zanim zejdziemy na dół, milordzie.

Do umysłu Simona dochodziło tylko co drugie słowo. Za bardzo był zajęty gryzieniem się w język, na końcu którego drżały słowa takie jak: „Mój Boże, czy ta lśniaca, kasztanowa aureola to naprawdę są twoje włosy?” oraz „Wiedziałem, że masz ogromne oczy, ale teraz zdają się całkowicie wypełniać tę piękną, anielską buzię”. A już pograżyłyby się bez reszty, gdyby tylko, jak ostatni tuman, pozwolił sobie na otwarcie ust, bowiem natychmiast wymknęłoby się z nich pytanie: „To ty masz biust?”

A ponieważ wicehrabia nie był tumanem i mógł czerpać z wieloletnich zasobów samokontroli, zamiast tego po wielkopańsku zbeształ dziewczynę.

- Ma pani wycucie towarzyskie godne pchły, prawda, smarkulo? Skąd przyszło pani do głowy, że jest w najmniejszym nawet stopniu dopuszczalne, by wchodziła pani do garderoby dżentelmena?

Caledonia wzruszyła tylko ramionami, wcale niezastraszona jego tonem. Na ten ruch spojrzenie Simona skierowało się natychmiast, całkiem machinalnie, na odsłaniający jej piersi dekolt, dokładnie, tak jak to planowała matka, a niech ją za to, że tak dobrze zna swego syna. Następnie powiedziała rzeczowo, chociaż szalenie irytująco:

- Ponieważ nie było pana w pana sypialni, poszukałam w następnym najbardziej prawdopodobnym miejscu. Przecież chyba nie sądzi pan, milordzie, że konieczna jest nam przyzwoitka. A może żywi pan nadzieje na zgwałcenie mnie?

- Doszły do mnie głosy, wielmożny panie - rozległ się głos Silsby'ego, który wpadł do pokoju przez otwarte drzwi i zatrzymał się tuż za Caledonia, zaskarbiając sobie tym natręctwem dozgonną wdzięczność swego pracodawcy. - Czy coś się stało? Czy panna Johnston zmyliła drogę, idąc do salonu?

Brockton wycelował w służącego palec wskazujący.

- O, to, to, Silsby - przyznał z nieco przesadnym entuzjazmem, że kamerdyner trafił w samo sedno. - To zrozumiałe, że panna Johnston, poznawszy tak niewielką część naszej rezydencji, pogubiła się. Bądź tak dobry i pokaż jej drogę, ja sam zejść na dół za chwilkę; wydaje mi się, że właśnie słyszałem ostatni gong.

- Bardzo dobrze, wielmożny panie - odrzekł Silsby z porozumiewawczym uśmiechem. - Zaprowadzę panienkę, a potem wrócę tu, żeby jeszcze ostatni raz przejechać szczotką po surducie wielmożnego pana?

Człowiek nigdy nie czuje się komfortowo, uginając się przed szantażem, ale Simon przyjął swoją porażkę z wdziękiem. Przytaknął, zgadzając się na plan Silsby'ego, a potem unikał wspaniałego, cudownego, poirytowanego spojrzenia Caledonii, dopóki w końcu nie odwróciła się na pięcie i nie opuściła garderoby.

I w tej samej chwili Simon Roxbury, wicehrabia Brockton, człowiek, który uważał, że wojna go zahartowała, a po latach spędzonych w najlepszym towarzystwie stał się twardy jak stal, pozwolił sobie oprzeć się ciężko o toaletkę, jako że jego kolana straciły przyrodzoną im sztywność.

- A za moje grzechy wiem jeszcze, że poza tym wszystkim dysponuje najwspanialszą parą długich, prostych nóg - szepnął cicho. Przymknął oczy i potrzasał głową w obawie przed kiłkoma następnymi godzinami tego już generalnie

rzecz biorąc przygnębiającego i oszałamiającego dnia. I przed wszystkimi dniami, które rozciągały się pomiędzy tą chwilą a momentem, kiedy pomacha opuszczającej jego życie pannie Caledonii Johnston na do widzenia.

- Dobry Boże - jęknął, przesuając dłonią po ustach i myśląc o możliwości przedstawienia tej irytującej, irytująco pięknej, ale naiwnej, zielonej jak szczypiorek Caledonii Armandowi Gauthierowi. - Co ja narobiłem?

Miłość jest ślepa, przyjaźń przymyka oczy.

- francuskie powiedzonko

8

Jeżeli człowiek dopiero po śmierci może trafić do czyśćca, to Simon ciekaw był, jak powinien nazwać ten bliski wieczności czas, który spędził przy stole poprzedniego wieczoru.

Prawda, że matka dokonała niemal cudu - jeżeli już trzymać się religijnych skojarzeń, które same mu się nasuwały za każdym razem, kiedy o tym wieczorze pomyślał - i wcale nie było to przesadne określenie jej sukcesu. Ale konieczność spędzenia całego wieczoru na słuchaniu, jak rodzicielka pieje z radości, że udało jej się czegoś tak wspaniałego dokonać, wystawiłaby na próbę cierpliwość samego Hioba, tego wicehrabia był pewien.

- Popatrz tylko, Simonie - rozkazywała matka. - Przyjrzyj się, jak ona chodzi. Płynie, prawda? Pewnie spodziewałeś się, że będzie człapać po pokoju, jak większość amazoнок, ale nie robi tego. Kazałam jej przez cały tydzień chodzić z książką na głowie. A pod koniec tego ćwiczenia z dwoma książkami, a potem z całym kompletem. Możesz mnie uważać za osobę o wypaczonym charakterze, ale to nie znaczy, że nie wiem, co jest właściwe i stosowne.

Roxbury uśmiechnął się i przytaknął, po czym odwrócił spojrzenie od gniewnych oczu Caledonii Johnston.

- Widzisz? Widzisz, Simonie? - ciągnęła matka, kiedy już usiedli przy stole. - Widzisz, jak ona trzyma widelec? To ja ją tego nauczyłam. Nie mogę powiedzieć, by była kompletnie surowa, kiedy do mnie trafiła, ale to ja nadałam jej szlif i, że tak powiem, spatynowałam ją. Mogą mi się te wszystkie gierki i wymyślne maniery wydawać bezcelowe, ale nie znaczy to, że nie dostrzegam ich istnienia czy roli, jaką od-

grywają w cikliwym świecie, który wciąż otacza podobne bzdury.

Simon i Roberts wymienili bolesne spojrzenia.

- I nie sprawi ci wstydu, zapewniam. O... o, widziałeś to? Przeżuwa, trzymając buzię tak ładnie zamkniętą. Nie jak twój przyjaciel Kościej. Chwała Bogu, starczyło mi rozumu, by przesłać tym dwóm chłopcom dziś po południu liściki z ostrzeżeniem, żeby trzymali się wieczorem z daleka od nas, bo chciałam, żebyśmy byli sami, jak rodzina. Mili są obaj i w ogóle, ale Gauthiera stanowczo zbyt łatwo można rozbawić, a Kościej siorbie przy jedzeniu jak prosię u koryta. Naprawdę czekam tylko, aż wetknie ryj prosto w zupę. Roberts, mam ochotę na repetę... psiakość, dobry jesteś w uprzedzaniu życzeń, co? Widziałeś, że mam jeszcze ochotę na buraki chyba nawet wcześniej niż ja sama. Ale jak mu ponownie podniesiesz pensję, Simonie, to nie tyle my będziemy mieli służącego, ile on będzie miał nas. Już tak dużo im w tej chwili płacisz, że gdybyś poprosił, to służba pewnie przeżuwałaby za ciebie jedzenie!

Brockton poczuł się zmuszony wbić wzrok w obraz nad kredensem, ponieważ sufitem zajmował się już sumiennie Roberts.

- A te włosy, Simonie. Co myślisz o jej włosach? Trochę za krótkie, żeby mi się miały podobać, ale madame Yolanda twierdzi, że to właśnie jest ostatni krzyk mody. Co ona powiedziała? A, tak. Ma wyglądać jak andrus, ot co. Oczywiście domyty andrus. Czy sądzisz, że może mieć za długą szyję? Bo ja nie. Powinieneś być z tego zadowolony, Simonie. Och, synku, uśmiechnijże się wreszcie... a może masz zamiar siedzieć zachmurzony przez cały wieczór? Wiesz, że jakbyś porządnie oberwał po głowie, gdybym na przykład kazała Robertowski, by palnął cię raz a dobrze, mógłbyś wcale nie zmieniać wyrazu twarzy? Przemyśl to sobie, Simonie, to wszystko, o co proszę.

Roberts, przypomniał sobie z cichym chichotem wicehrabia, postąpił wtedy wbrew wszelkim regułom zachowania służących, jakie mu wpojono, jęknął głośno i osłabły ośmie-

lił się usiąść na jednym z ustawionych pod ścianą krzeseł, gdzie opuścił głowę i zakrył twarz rękami.

Ale Simon rzeczywiście przemyślał sobie wszystko to, co powiedziała matka, kiedy przeprosił panie natychmiast po tym, jak tylko sprzątnięto ze stołu ostatnie danie. Zastanawiał się nad jej słowami, czmychając z jadalni i w ogóle z domu, i ani nie pomyślał o całej serii zaplanowanych na ten wieczór spotkań towarzyskich, tylko skierował się do klubu i tam do późnej nocy popijał samotnie, pogrążony w rozmyślaniach.

I doszedł do kilku wniosków. Jeden z nich z miejsca odrzucił, a mianowicie, żeby matkę wysłać do Ameryki pierwszym statkiem, który będzie wypływał z portu. Uznał, że to tylko pobożne życzenie, które zrodziło się w jego głowie wskutek wypicia nadmiernej ilości szampana.

Ale następnego dnia wezwał wczesnym rankiem pannę Johnston do swego gabinetu. Musieli omówić pewne sprawy, zanim Caledonia zamorduje go we śnie albo zanim on sam wybierze godne tchórza wyjście i postara się całkowicie i nieodwołalnie zwariować.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i Roxbury odwrócił się w chwili, gdy dziewczyna wchodziła do środka. Wyglądała na damę, podobnie jak wczorajszego wieczoru; ubrana była w prostą, muślinową dzienną sukienkę w gałązkowy wzór, a w swoich króciutko przyciętych włosach zawiązana miała, nie wiedzieć jakim sposobem - a cholernie jej z tym było do twarzy - wąską, szmaragdową wstążeczkę.

- Wzywał mnie pan, milordzie? - zapytała, a w jej lekko ochrypłym głosie pobrzmiwała stal.

Tego ranka również wyglądała prześlicznie, może nawet jeszcze piękniej niż poprzedniego dnia... jeżeli to możliwe.

- Nie wzywałem pani, panno Johnston - poprawił ją w nadziei, że dziewczyna zauważy, iż skłonny jest zachowywać się przyjaźnie, chociaż bez przesady. - Po prostu prosiłem Robertsa, by zapytał, czy zechciałaby pani poświęcić mi chwilę albo dwie, jeżeli nie sprawi to pani kłopotu.

- Poświęcić panu chwilę? - Caledonia zamknęła drzwi i stała jak wmurowana tuż za progiem. - A może zabawić

pana? Może życzyłby pan sobie popatrzeć znowu, jak chodzę, a może nawet jak przeżuwam? To wprost nie do wiary, jak ja ślicznie umiem żuć. A może wolałby porozmawiać pan o żalnym stanie angielskiej pogody? Zostałam wyćwiczona we wszelkiego rodzaju czezej paplaninie, chociaż wczoraj wieczorem nie miałam okazji, by popisać się mistrzowskim opanowaniem niestworzonych bredni, jako że pana matka nie zechciała zamknąć buzi na czas wystarczająco długi, bym zdążyła wtrącić słowo. O, tak, zamordowałam ją, gdyby pan zastanawiał się, dlaczego jest nieobecna dzisiaj rano, i kazałam niesłychanie posłusznemu Robertsovi, by zakopał ciało gdzieś w okolicach stajen. A Emery poszedł poszukać drugiej łopaty; jest co prawda tak sztywny, że nie mógł się zaczerwienić, ale był tego bliski, kiedy Imogena poprosiła go wczoraj, by pochwalił zgrabny i wdzięczny fason stanika mojej sukni. A kiedy udawał się na poszukiwania, w jego kroku dawała się zauważyć niezwykła sprężystość, mimo że jest już w podeszłym wieku i w ogóle.

Simon patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zauważając gniewny wyraz pełnych różowych ust, stanowczość w sztywnych jakby kij połknęła plecach... i złośliwe błyski humoru w cudownych, zielonych oczach. Boże. Dlaczego nagle, nie wiadomo skąd, przyszła mu ochota pocałować mocno tę niepoprawną smarkulę?

- Biedna, stara Imogena - oświadczył ze smutkiem i zagonił swe błądzące myśli z powrotem na miejsce, a potem zatrzaskał za nimi w wyobraźni drzwi. Nagle ogarnął go taki dobry nastrój, że z trudem udało mu się powstrzymać uśmiech. - Będzie mi jej brakowało.

I wtedy, w tej niesłychanie znaczącej chwili, która miała na zawsze pozostać żywa w pamięci wicehrabiego, rzucili się sobie z Caledonia Johnston w objęcia, niczym para najlepszych przyjaciół, zaśmiewając się przy tym jak dwoje niegrzecznych dzieci.

- Jak miło - powiedziała Callie, otwierając usta, by Simon mógł nakarmić ją następnym winogronem. Mówiąc to, le-

żałą na plecach, głowę miała opartą na kolanach wicehrabiego, a oboje spoczywali na kocu rozłożonym w odosobnionym zakątku Richmond Park. - Wydaje mi się, że byłby ze mnie dobry materiał na dekadenta, prawda?

- Dokładnie rzecz biorąc, nie o dekadenta nam chodziło w naszych staraniach, smarkulo, ale tak, zgadzam się, że dobrze by pani to wychodziło - odrzekł Brockton i obrał jej następne winogrono, a dziewczyna zachichotała zachwycona.

Jakie to dziwne, początek był taki fatalny - Callie wciąż odczuwała zażenowanie na wspomnienie incydentu z pistoletem i drewniakiem - a skończyło się na płomiennej przyjaźni. Ależ się zaśmiewali dziś rano, kiedy ona całkiem udatnie przedrzeźniała wczorajsze zachowanie Imogeny przy stole, a wicehrabia odgrywał rolę Roberta, boleśnie się krzywiąc i przewracając oczami niczym jakaś primadonna w operze.

Dopiero kiedy usłyszeli, że wicehrabina wykrzykuje w holu imię Callie, Simon opamiętał się i przyłożył palec do warg, nakazując dziewczynie milczenie, dopóki matka nie skręci do pokoju porannego, skuszona zapachem świeżo gotowanej szynki.

Następnie wziął Callie za rękę, nadal nakazując jej milczenie, i oboje wymknęli się w kierunku kuchni i schodów dla służby.

Nie minęło dziesięć minut, a dziewczyna pędziła na górę, żeby zabrać czepek i cienki szal, a z kolei Roxbury przekonywał kucharkę, by zapakowała im do kosza jedzenie, jakie znalazł przy pospiesznym przetrząsaniu spiżarni i kredensów.

Nie minęło piętnaście minut, a już siedzieli w kariolce i jechali do Richmond Park, chichocząc jak para rozdokazywanych malców, które uciekły z pokoju dziecinnego, żeby trochę napsocić.

- Mamy szczęście, że pogoda okazała chęć do współpracy - odezwał się Simon i dał Callie następne winogrono, a ona odpowiedziała mu uśmiechem; okazał się nieskończenie bardziej ludzki, niż dotychczas sądziła. Czuła się przy nim całkiem swobodnie, jakby był jeszcze jednym starszym bratem, bardzo podobnym do ukochanego Justyna. Brock-

ton wsunął sobie nieobrane winogrono do ust. - Wygodnie ci, smarkulo?

Callie wciąż jeszcze nie była całkiem pewna, jak to się stało, że leży z głową na kolanach wicehrabiego i spogląda w jego przystojną, nieodgadnioną twarz, ale kiedy, siadając na trawie, powiedział jej, żeby się nie krępowała, wydało jej się to dobrym pomysłem. W końcu w towarzystwie Lestera zawsze zachowywała się równie swobodnie, a Simon Roxbury był bardzo dobrym przyjacielem.

No właśnie. Zawsze dobrze się czuła w towarzystwie mężczyzn. Simon Roxbury był jak Lester. Jak Justyn. Naprawdę nie trzeba się go było bać, na pewno nie trzeba.

Okryte pończochami palce stóp wyglądały spod rąbka jej sukni. Poruszyła nimi, a potem cała zaczęła się wiercić, by po chwili inaczej ułożyć głowę na udzie Simona.

- Lista obowiązujących zasad... wie pan, Imogena dała mi coś takiego, a ja natychmiast podarłam ją na strzępy, jak tylko wyszła z pokoju... obejmowała uzyskiwanie sporadycznego pozwolenia na udanie się bez przyzwoitki z dżentelmem do kościoła albo odbycie wczesnym rankiem spaceru do parku - poinformowała go z szerokim uśmiechem. - Jednakowoż nie potrafię sobie przypomnieć pikników w parku pod nieobecność przyzwoitki. Krótko mówiąc, wydaje mi się, że łamiemy jedną z zasad Imogeny, podobnie jak to zrobiłam wczoraj, kiedy ośmieliłam się odwiedzić pana w garderobie.

- Wydaje się pani słusznie w obu przypadkach, smarkulo - odrzekł wicehrabia przyjaźnie, ale Callie wyczuła, że jej uwaga przynajmniej na moment wyprowadziła go z równowagi. Chciała rozładować nagłe napięcie, a że zabrakło jej słów, obdarowała Brocktona promiennym uśmiechem.

- O co chodzi? - zapytał. - Nie jestem pewien, czy ten uśmiech powinien mnie cieszyć.

- O nic - odparła pospiesznie. - Tylko że lubię, jak mówi pan do mnie smarkulo. Ma pan pozwolenie, żeby mówić do mnie: smarkulo, kiedy tylko będzie pan chciał.

- Jakże to miło dla nas obojga - zamruczał Simon i potrząsnął głową. Następnie ujął ją pod pachy i podciągnął do

góry tak, że musiała podkulić nogi pod siebie, by zachować równowagę; siedziała teraz, patrzyła na niego i zastanawiała się, dlaczego ma wrażenie, że nagle zrobiło się chłodniej, przecież się tylko z nim droczyła. Prawda?

- Jednakowoż - ciągnął tym samym dobrotliwym tonem, oparłszy się o drzewo w pozycji niemal leżącej - ponieważ jesteśmy teraz przyjaciółmi, a poza tym druhami w planowanej przez nas eskapadzie, przypuszczam, że można nam wybaczyć kilka drobnych, niewinnych odstępstw od reguł przyzwoitości. Od tej chwili, na osobności, ja jestem Simon, a pani Callie. W porządku? No a teraz, czy dojrzała już pani do tego kurczaka, czy też chce pani, żebym ją przez całe popołudnie karmił winogronami?

W odpowiedzi Callie sięgnęła po koszyk, otworzyła go i aż pisnęła z radości na widok całego pieczonego kurczaka, którego kucharka owinęła w kraciatą ściereczkę.

- Wezmę udko, jeżeli nie ma pan nic przeciw temu, i będę jadła palcami, tak jak robiłam to w domu. Och - westchnęła, odrywając jedną nóżkę - sam pan nie wie, jak marzyłam, żeby skończyć już z tym udawaniem damy!

Roxbury przyglądał się, jak z apetytem odgryzła kawałek chrupiącej, brązowej skórki i ciemnego mięsa, a nawet własnoręcznie otarł jej zatłuszczoną bródkę jedną z lnianych serwetek, które wyciągnął z kosza. Potem oparł się znowu o pień, pozornie zadowolając się patrzyeniem, jak jego towarzyszka je.

- Jest pani damą, Callie - rzekł, a ona uśmiechnęła się na to z pełną buzią, zadowolona, że przestał wreszcie upierać się, by mówić do niej Caledonio. - Proszę powiedzieć mi, tylko po to, by zaspokoić moją ciekawość, czy pani ojciec jest baronetem, czy też został tylko nobilitowany? To, że przed jego nazwiskiem tkwi owo „sir” wydatnie nam pomogło usunąć wszelkie problemy przy wprowadzaniu pani w towarzystwo. Ale ja nadal jestem ciekaw.

- Och, obawiam się, że papa nie jest żadnym baronetem - odpowiedziała Callie swobodnie, oderwała drugą nóżkę od kurczaka i wręczyła ją wicehrabiemu, który zabrał się do po-

Żerania jej z równie wielkim entuzjazmem, jak ona. - I został nobilitowany z całkiem głupiego powodu.

- Jak to? - zapytał Simon, siadając znowu, by wygodniej mu było obgryzać kość.

Całlie opowiedziała mu całą historię, pogryzając przy tym udko kurczaka.

- No więc tak się przypadkiem złożyło, że podczas bankietu w jakimś lokalnym majątku papa siedział w pobliżu, kiedy jedna z dam dworu jej królewskiej mości zaczęła dławić się ością, tak że dwanaście lat temu. Nobilitacja była nagrodą za to, że ją uratował, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru.

- Nie miał?

- Och, nie - wyjaśniła dziewczyna ze śmiechem. - Papa, który miał już troszkę w czubie po kilku kolejkach toastów za zdrowie jego królewskiej mości, zobaczył, że biedaczka się dławi i zerwał się w panice na równe nogi, chcąc pobiec po pomoc. Ale kiedy odwracał się od stołu, potknął się o rąbek sukni tej damy, przez co oboje zwalili się na stół; w tym momencie ość wyskoczyła jej z gardła, a wszyscy uznali papę za bohatera. Niech pan tylko pomyśli - ciągnęła wesoło, kiedy Roxbury zaczął się śmiać, i powtórzyła coś, co Justyn mówił wielokrotnie - gdyby papa był na tyle przewidujący, by upaść na samą królową, byłibyśmy dziś wszyscy arystokratami.

Na te słowa Simon przeturlał się na plecy i, trzymając się za boki, śmiał się tak, że aż w kącikach oczu pokazały mu się łzy.

- A czym był... był pani ojciec, zanim się tak szczęśliwie potknął? - zapytał w końcu, ocierając zażawione oczy brzegiem serwetki.

- Był ziemianinem - odparła Całlie, usiłując opanować wesołość. - Całkiem właściwie zamożnym, ale kiedy został sir Camberem, wywołało to w nim głęboką zmianę, a ponieważ nie było już mamy, która mogłaby ukrócić wybryki jego fantazji, skoncentrował się na takim wychowywaniu mojego brata i mnie, jakbyśmy mieli obracać się kiedyś w londyńskim towarzystwie. Oboje byliśmy już podrostkami i to dosyć niesfornymi, typowe dzieci bez matki, ale nic

nie mogło przytłumić entuzjazmu papy. Nagłe okazało się, że Justyna wprost widać nie było zza chmary korepetytorów, a mnie, niestety, zza całej procesji guwernantek, z których każda była gorsza od poprzedniej. Dzięki Bogu, Justyn pozwalał mi uczestniczyć w swoich lekcjach, więc nie wszystko było takie straszne. Czy chciałby pan, żebym powiedziała coś po grecku? Potrafię to zrobić.

Simon popatrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem.

- No tak. To mi pozwala panią lepiej zrozumieć, jak sędzę.

Dziewczyna skwitowała jego uwagę wzruszeniem ramion, nie całkiem pewna, czy jej się ona podoba.

- To uszlachcenie nie ma dla nas większego znaczenia, rozumie pan, zwłaszcza że zaszczyt wygasa ze śmiercią papy, ale papa okazał wielką stanowczość - powiedziała, marszcząc brwi. - Myślę też, że był to jeden z powodów, dla których Justyn udał się do Londynu, kiedy już doszedł do pełnoletności: żeby poszukać szczęścia i ewentualnie zbić majątek, jako że mizerna była nadzieja, by trafiła się nam jeszcze jedna opatrnościowa ość.

- A Lester?

Callie uśmiechnęła się w myśli do swego przyjaciela.

- Och, Lester. Jego ojciec jest miejscowym dziedzicem; chodził przez kilka lat ze skwaszoną miną po szlachetnym wyczynie mojego papy, dzięki któremu znalazł się on o szczebelek wyżej w tym, co uchodzi za towarzystwo z wyższych sfer w Sturminster Newton. Ale teraz już wszystko jest w porządku. Wydaje mi się, że pan Plum zamierzał zaaranżować małżeństwo między Lesterem a mną, dopóki nie uświadomił sobie, że zwykłam rutynowo wodzić biedaka za nos, co dowodziło, że nigdy nie będziemy niczym więcej, jak dobrymi przyjaciółmi. I tak jest. To mój najdroższy przyjaciel.

- Biedny ten Lester, jeżeli chce pani powiedzieć, że właśnie pani głębokie przywiązanie do niego tłumaczy, dlaczego pozwolił przebrać się za taką różową maskarę - rzekł Simon z wesołymi błyskami w oczach, świadczącymi, że tylko żartuje.

- Lester... Lester jest dosyć podatny na sugestie - rzekła Callie ostrożnie, czerpiąc z nauk panny Haverley. A potem opamiętała się i postanowiła, że przyszedł czas na kilka słów prawdy. - A pan, milordzie, przekonany jest, że ja również. Ale to nie jest prawda, nie do końca. Nie byłoby mnie tutaj, nie pozwoliłabym sobie stać się częścią pana planu, gdybym nie widziała jego sensu, piękna i prostoty.

Wzrok Brocktona, do tej chwili skupiony na niej, przesunął się na horyzont.

- Naprawdę?

- O, tak. Zrobił na mnie wielkie wrażenie, wie pan, i to dlatego tak sumiennie odrabiałam lekcje. Wciąż jeszcze trudno mi uwierzyć, że pozwoliłam sobie wcierać w twarz truskawki ze śmietanką albo że spędzałam godzinę dziennie na spacerowaniu po mojej celi z trzy tomowym wydaniem *Dumy i uprzedzenia* na głowie. A musiałam się z tymi książkami obchodzić bardzo ostrożnie, jako że pana matka wydaje się cenić pannę Austin na równi z Szekspirem.

Simon, który wciąż jeszcze leżał całkiem rozluźniony na kocu i zadawał jej pytania, jakby nie miał nic lepszego do roboty, rzucił ogołoconą drobiową kość z grubsza w kierunku kosza, a potem wytarł palce w serwetkę.

- W pani celi, Callie? Czy to troszkę nie za ostro?

Dziewczyna uniosła się na kolana, odchyliła do tyłu głowę, za pomocą ogryzionej kości nakreśliła na sercu znak krzyża, a potem podniosła ją ku niebu niczym miecz.

- O, dajcie mi wolność, bo nawet gdyby więzieniem mym był raj, nadal zaprawdę przeskoczyć przez kryształowe mury. - Nie zmieniając patetycznej pozy, popatrzyła wyniośle na Simona i oznajmiła dumnie: - John Dryden.

- Ta zuchwała, mała smarkuła zasługuje na lanie - odparł bez wahania, rzucając serwetkę do koszyka. - Simon Roxbury, wicehrabia Brockton.

Callie padła rozbawiona na koc, mając głowę oddaloną tylko o kilka cali od głowy wicehrabiego. Słońce świeciło na nich oboje i swoim ciepłem dodatkowo ogrzewało pączkującą przyjaźń, która do końca wyparła resztki wrogości, ja-

ka jeszcze mogła ich dzielić. A przynajmniej tak na to patrzyła Callie. A przynajmniej miała nadzieję, że tak na to patrzy...

Nie zmieniając swobodnych pozycji, z twarzami tylko o kilka cali oddalonymi od siebie, dyskutowali przez następne pół godziny, a może nawet dłużej, o filozofii, o minionej wojnie i o problemach biedaków, a potem, z grubsza przez ostatnie pięć minut, o tym, jaką przewagę ma czekolada nad wołowiną w sytuacji, kiedy człowiek utknie na cały rok na bezludnej wyspie i będzie mógł jeść wyłącznie albo jedno, albo drugie. Argument Callie, że wołowina się psuje, a czekolada trzyma się niemal w nieskończoność, pozwolił jej wygrać dyskusję, ale w tym samym momencie Simon zapytał, czy nie mógłby zamienić wołowiny na wędzoną szynkę, i dyskusja zaczęła się od nowa.

To była taka świetna zabawa, móc znowu z kimś porozmawiać, tak naprawdę porozmawiać, zwłaszcza po wyjeździe Justyna z Anglii, zdecydowała Callie, kiedy oboje z wicehrabią równocześnie usiedli i zaatakowali ponownie kosh z prowiątem, bo przez całe to gadanie o jedzeniu zgłodnieli. Lester był poczciwy, był cudownym przyjacielem, ale nie miał błyskotliwej inteligencji Justyna czy kogoś typu Simona Roxbury'ego. Przy Lesterze to ona zawsze była przywódcą, a chociaż bardzo jej się ta pozycja podobała, to zmagania intelektualne z bratem czy z wicehrabią stanowiły dla niej wyzwanie, sprawiały, że czuła się żywa. Taka bardzo żywa.

- Zrobimy to, prawda, Simonie? - zapytała po chwili, kiedy już reszta starannie rozczłonkowanego kurczaka została pozarta. Przez moment siedziała z kieliszkiem w wyciągniętej ręce, zachmurzona, że Roxbury nie zgodził się napełnić go więcej niż do połowy ciężkim, białym winem. - Zadamy Noelowi Kinseyowi tak druzgocącą klęskę, że nie będzie się w stanie rozeznaczyć, jaki był jej powód, dopóki nie znajdzie się twarzą w dół w rynsztoku, a jego pokruszone na małe kawałeczki życie niczym grad będzie spadało na sponiewierane ciało.

- Ależ z pani krwiożercza istota, prawda? - uśmiechnął się Simon. Potem spoważniał, chociaż Callie szybko zorien-

towała się, że właściwie wcale nie odpowiedział na pytanie ani nawet nie przyznał jej racji. - Muszę przychylić się do zdania, że jednak Imogena jak dotąd odniosła wspaniałe sukcesy, nawet jeżeli tylko dokończyła to, co zaczęła pani guwernantka; z tym, że w trosce o własne zdrowie słowa z tego nie powtórzę w jej obecności, ani mojej pochwały, ani wzmianki o guwernantce.

- No myślę, że nie! - zgodziła się dziewczyna z entuzjazmem. - Imogena nie robiła mi wielkich nadziei, kiedy na samym początku zobaczyła mnie w spodniach, ale potem z żelazną wolą zabrała się do roboty. Nie miałam serca mówić jej, że zwykle nie jadam palcami i że nie chodzę tak, jakby mi stopy grzęzły po kostki w błocie; po prostu pozwoliłam jej wierzyć, że dokonała cudu.

- A ja jestem pani za to wdzięczny. - Wicehrabia zerwał długie źdźbło zakończoną kłosem trawy i zaczął ją beżmyślnie obracać w palcach. - Tym niemniej wciąż jeszcze czeka nas wiele pracy, zanim będzie pani mogła wniknąć wystarczająco głęboko w towarzystwo, by celnie ugodzić Filtona. Co prawda nie brak nam czasu na kolejne lekcje. Ostatnio dowiedziałem się, że nasza ofiara przebywa na wsi, i nie wiem, kiedy wróci do Londynu.

- To wszystko prawda. - Callie miała wrażenie, jakby ją coś bez przerwy lekko poszczypywało w kark, jakby działo się coś, czego nie zaaprobowałyby, gdyby tylko wiedziała, o co chodzi; uciekła się do przekomarzania. Naśladując sposób mówienia Imogeny, powiedziała: - Został nam tylko jeden mały problemik, niech to piorun spali. Ona potrafi chodzić, potrafi mówić, potrafi nawet jeść... ale ta niesfor-na pannica nie potrafi tańczyć.

Brockton miał sobie właśnie wsunąć źdźbło do ust, ale zawahał się o cal od celu. A niech go, wyglądał tak, jakby niemal z ulgą usłyszał o tej jej żalostnej ułomności.

- Ona nie... pani nie tańczy?

Callie zmarszczyła nosek i potrząsając głową, przyznała:

- Ani jednego pas. Panna Haverley miała właśnie zaangażować dla mnie tancmistrza, kiedy Justyn wrócił do domu

okryty hańbą i papy nie było już stać na to, by ją dłużej opłacać. Papa planował, że przedstawi mnie zeszłej jesieni, podczas małego sezonu, bo jest on krótszy i mniej kosztowny. Ale to nie ma nic do rzeczy, i właściwie nawet nie czułam się bardzo zawiedziona, naprawdę. Tylko że teraz zrobiło się to ważne, prawda? To, że nie umiem tańczyć?

Simon machnął dłonią i odrzucił trawkę.

- O, tak, Callie, to ma znaczenie. Ale, jak się zdaje, nie dla mojej matki. Chociaż Imogena jest taka kochana i pomocna, oświadczyła dziś rano, że bez wcześniejszej konsultacji ze mną rozesłała już zaproszenia na skromny bal ku pani czci. Odnoszę wrażenie, że ma się ochotę pochwalić panią przed przyjaciółkami czy coś takiego. To był jeden z powodów, dla których chciałem z panią dziś rano porozmawiać. Chciałem się upewnić, czy osiągnęła pani odpowiedni poziom, żeby pokazywać panią jak ulubionego medalowego kucyka. Bo zdaje sobie pani sprawę, że z łatwością możemy całą imprezę odwołać. Zwłaszcza że nie umie pani tańczyć; gdyby choć trochę miała się pani martwić brakiem towarzyskiego...

Callie pochyliła się raptownie do przodu, wymachując rękami, by powstrzymać słowa wicehrabiego, a jakiegokolwiek wątpliwości rozwiały się wobec napięcia, z jakim czekała, by dowiedzieć się czegoś o swoim debiucie.

- Skromny bal? Będę mogła zakosztować uroków wielkiego świata, może nawet zanim Filton wróci? Będę się mogła sama trochę pobawić? Wie pan, aż do tej chwili tak naprawdę nie wierzyłam, że cokolwiek z tego może się ziszczyć. Och, rozmawiałyśmy na ten temat i pozwoliłam Imogenie robić koło siebie wiele zamieszania, i w ogóle... ale nie wierzyłam. Nie naprawdę. Och, Simonie, jak cudownie!

Roxbury ponownie spojrzął w kierunku widnokregu, a następnie przypiął się do kieliszka z winem. Callie znowu poczuła, jak kiełkują w niej podejrzenia, ale bezlitośnie je stłamsiła i ze szczęściem w oczach zdecydowała się cieszyć.

Przycisnęła dłonie do policzków i potrząsnęła głową.

- Ja, Caledonia Johnston, będę miała swój własny bal. To wprost nie do wiary! Co za szkoda, że musieliśmy odprawić

pannę Haverley, zanim zdążyliśmy wyjść poza globusy, rachunki i akwarele, i przejść do spraw, które naprawdę są istotne.

Simon popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Nie rozumiem. Do spraw, które naprawdę są istotne?

Dziewczyna kiwnęła głową, wciąż jeszcze pogrążona w marzeniach o swoim pierwszym walcu.

- Tak, oczywiście. Tańczenie, właściwe posługiwanie się wachlarzem, zasady flirtowania... istnieją przecież jakieś zasady, prawda? W londyńskim towarzystwie wszystko regulują jakieś zasady, jak amen w pacierzu. A jedna z nich - dodała stanowczo, wracając z obłoków na ziemię akurat w chwili, kiedy wicehrabia wyciągał krótkie cygaro z kieszeni - mówi, że w towarzystwie damy nigdy nie wolno zapalać cygara.

- Czy tak? - skomentował Simon z łątwą do zauważenia obojętnością, szybko i zręcznie zapalając koniuszek cygara. - Nigdy?

- Nigdy! - Czy poddawał ją jakiejś próbie? Jak daleko może pozwolić mu się posunąć w profanowaniu londyńskich manier i pozostać w zgodzie z towarzyskimi przykazaniami? - Przypominam sobie dokładnie. Było to na liście pana matki. Numer trzy, o ile dobrze pamiętam.

- I nie może być żadnych wyjątków? - zapytał wicehrabia, jego głowę spowijał teraz dym, a on sam najwyraźniej dobrze się bawił.

- Och, nigdy. Zdecydowanie nigdy - powtórzyła Callie, wciągając zapach dymu, który to aromat przypominał jej Justyna i sprawiał wielką przyjemność, chociaż nie miała zamiaru pozwolić, by Brockton się tego domyślił. - Powinam się natychmiast obrazić i nalegać, byś pan bezzwłocznie wyrzucił tę niemile pachnącą rzecz.

- Nalegać, powiada pani?

Callie zignorowała wesołość pobłyskującą w oczach Simona, tych oczach koloru sherry, które tak dziwnie, niepokojąco na nią działały, i skupiła się na toczącej się rozgrywce, bo chyba to była jakaś rozgrywka.

- Tak. Nalegać.

Brockton zacisnął cygaro w swoich wspaniałych zębach i uśmiechnął się.

.- To ciekawe. A jeżeli nie posłucham?

Dziewczyna rzuciła okiem na kariolkę, która stała w pobliżu; konie skubały rosnącą pod kopytami trawę. Westchnęła teatralnie.

- Hmm... mamy tu pewien problem, czyż nie? Nie mogę poskarżyć się przyzwoitce, bo jesteśmy całkiem sami. Nie zdołam, w tej głupiej sukni, przegonić pana do kariolki, żeby mogła odjechać wielce obrażona, poza tym oznaczałoby to, że musiałabym powozić sama po ulicach Londynu. A jestem całkiem pewna, że to nie wypada.

- Zdecydowanie nie wypada. Co sprowadza całą sprawę do tego, żeby przede wszystkim nie jeździć bez przyzwoitki na pikniki, czyż nie? - podsunął Simon usłużnie, a przynajmniej za taki można by uznać jego ton, gdyby się przez cały czas szeroko nie uśmiechał. - Może powinna pani była nauczyć się całej listy Imogeny na pamięć, zanim podarła ją pani na strzępy?

No dobrze. Dowiódł swoich racji, udzielił jej lekcji. I to całkiem nieźle. A teraz kolej na nią!

- Może - zgodziła się z nim. - Jednakże tak się składa, że nie zostałam całkiem pozbawiona wyboru. - Tu uniosła kieliszek z winem, z namysłem mu się przyjrzała, a potem popatrzyła znacząco na czubek cygara wicehrabiego.

- Nie zrobiłaby pani tego! - wykrzyknął Simon, szybko chowając cygaro za plecami.

Callie umyślnie nie otwierała ust, uśmiechała się i równocześnie z namysłem unosiła brwi; przyglądała się Brocktonowi, wciąż trzymając kieliszek w takiej pozycji, by dało się go wykorzystać jako broń. Wicehrabia patrzył na nią przez jakiś czas pytająco, a potem powiedział ze swobodą, dzięki której jak dotąd podbijał jej serce:

- Grozi pani mi z jakiegoś powodu, smarkulo, prawda?

Callie opuściła kieliszek.

- Tak, właśnie tak - przyznała, a potem zaczęła mówić szybko, żeby jej nie mógł przerwać. - Pana matka była ko-

chana, naprawdę, ale nie potrafię sobie wyobrazić, żebym to właśnie od niej miała uczyć się, jak zwrócić na siebie uwagę mężczyzny. A to jest ważne, prawda? Nie wystarczy wyglądać na debiutantkę, a przynajmniej nie wystarczy, jeżeli chcemy znieść Noela Kinseya, który raczej nie będzie przesadnie interesował się bojaźliwymi koteczkami, odbywającymi swój pierwszy sezon. Muszę być jedyna w swoim rodzaju, inna. Może odrobinę zuchwała? Czy rozumie pan o co mi chodzi, Simonie? Jakim podstępem mam go skłonić do tego, by myślał, że jestem nim zainteresowana, a mimo to zachowywać się jak dama? A pan chce, żebym go więcej niż zainteresowała, pan chce, żebym go oszołomiła, czyż nie?

- Wystarczająco oszołomi go pani rzekomy posag - odparł Roxbury, znowu umieścił cygaro w kąciuku ust i przestał się mieć na baczności, a o to właśnie Callie chodziło. Biedaczysko, chociaż sądził, że ją rozumie, wcale jej dobrze nie znał. Niemal się jej go zrobiło żal. I naprawdę wyglądała przystojnie z tym cygarem. Właściwie to nawet bardzo przystojnie. Flirtowanie z nim nie sprawiłoby jej najmniejszych trudności, chociaż oczywiście flirtowałyby tylko po to, by zyskać doświadczenie.

Tak myśląc i kując przysłowiowe żelazo, póki gorące, skwitowała jego odpowiedź machnięciem ręki.

- Tak, tak, ta rzekoma fortuna, którą odziedziczyłam po mojej ciotecznej babce, a ona umarła dopiero przed rokiem, tak że "właśnie skończyła mi się żałoba i mogłam przyjechać do Londynu, by mnie tu wprowadziła w towarzystwo wicehrabim Brockton, serdeczna przyjaciółka babci. Imogena mówiła mi te wszystkie bzdury. Ale podczas londyńskiego sezonu w dziedzińkach można pewnie przebierać jak w ulęgawkach. Trzeba czegoś więcej niż nabita sakiewka, żebym się stała wyjątkowa, żeby zwrócił na mnie szczególną uwagę Noel Kinsey.

- Zawsze zostaje pani jeszcze walka wręcz w ogrodzie, jak przypuszczam - podsunął Simon; jego usta uśmiechały się, ale oczy zrobiły się nieobecne, jakby pomyślał właśnie o czym paskudnym.

Dziewczyna potrząsnęła głową, puszczając jego słowa mimo uszu, tak samo jak ignorowała powracającą i coraz bardziej niepokojącą myśl, że wicehrabia mógł zrewidować swoje, dotyczące jej osoby, plany; pospiesznie mówiła dalej:

- Z rozmysłem stara pan się mnie nie rozumieć, prawda, Simonie? Przypuszczam więc, że będę swoją myśl musiała wyrazić niezręcznie, nie owijając niczego w delikatne batysty, co pewnie zrobić powinnam. Chcę, by mnie pan, milordzie, nauczył flirtować. Chcę, by mnie pan nauczył, jak stać się pociągającą dla mężczyzny. Jak, jeżeli trzeba będzie, nawet go pocałować. Widzi pan, nigdy tego nie robiłam. To znaczy, nikogo nie całowałam.

Roxbuiy, który akurat w tym momencie, kiedy dziewczyna wystąpiła ze swoją ostatnią prośbą, zaciągał się cygarem, musiał chyba połknąć sporą porcję dymu. Zakrztusił się, rzucił cygaro na trawę, oczy zaczęły mu łzawić i rozkaszał się, zasłaniając dłonią usta.

- Och, biedny, kochany Simon! - zaszcebiotała Callie, wystawiając na próbę swoją biegłość w demonstrowaniu przekonującej kobiecej głupoty. - Czy nic panu nie jest?

Zapytany nagroził ją zabójczym spojrzeniem.

- Pani chce, żebym ja co zrobił? - zapytał oskarżycielsko, powoli odzyskując oddech i głos.

Callie, znudzona krążeniem wokół tematu, straciła w końcu resztki cierpliwości.

- Och, niechże pan przestanie zachowywać się tak, jakbym prosiła, żeby pan podpalił parlament! Wydawało mi się, że mówił pan, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? - powtórzył Simon, znowu piorunując ją wzrokiem. Naprawdę ten człowiek wyczelował akt piorunowania wzrokiem i zrobił z tego sztukę! - Widzę, że będę musiał pospiesznie udać się do domu, do mojego gabinetu, poszukać słownika starego Samuela Johnsona i odświeżyć sobie w pamięci pewne niuanse definicji tego słowa.

- Niech pan nie udaje tępaka, na litość boską, bo mnie pan nie oszuka! - Callie przewróciła oczami zdegustowana. Naprawdę, Lester nigdy nie przysparzał jej ani jednej dzie-

siałej tych kłopotów, co jego lordowska mość, kiedy stawiała go wobec tak bardzo nieskomplikowanej i rzeczowej prośby. - Powiedziałam tylko, że chcę, by pan nauczył mnie flirtować, przyciągać uwagę takiego człowieka jak Noel Kinsey. Czy to tak trudno zrozumieć? A może woli pan, żeby lekcji udzielała mi pana matka? Albo niech pan przez moment skupi się na możliwości, że mógłby mnie uczyć Lester. Proszę sobie to wyobrazić, Simonie, jeżeli pan tylko zdoła. Pana matka? - skrzywiła się. - Lester?

Wicehrabia podniósł przed sobą dłonie, sygnalizując, że się poddaje.

- W porządku, w porządku. Zrobię to. Miej mnie, dobry Boże, w swojej opiece. Zrobię to.

- Świetnie! - wykrzyknęła dziewczyna i poczuła się ogromnie usatysfakcjonowana. - Od czego zaczniemy?

Simon westchnął i popatrzył na nią; wierciła się po dziecinnemu, uśmiechała triumfalnie, cudownie i kusząco, i zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak groźną bronią może być jej uroda.

- Coś mi się zdaje, że już zaczęliśmy, smarkulo - powiedział głucho, a Callie zmarszczyła czoło. - Za moje grzechy, sądzę, że już zaczęliśmy.

W tym momencie gdzieś w mózgu Callie błysnęło zrozumienie i okazało się, że kobieca dojrzałość była jej dużo bliższa, niż się dotąd zdawało; dziewczyna oblała się cała rumieńcem.

- Czy ja flirtowałam, Simonie? - zapytała cichutko, w zdenerwowaniu opuszczając wzrok na koc.

- W tej chwili też pani flirtuje, Callie, i całkiem nieźle to pani idzie - mrukiwie odrzekł jej przyjaciel, po czym wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. - Ale zacznijmy od bardziej oficjalnych, zhierarchizowanych aspektów fazy wstępnej, prowadzących do rytuału łączenia węzłem małżeńskim, a rozgrywanych zgodnie z zasadami przyjętymi przez towarzystwo, dobrze? Skupmy się chwilowo na wkładzie mężczyzny w tę grę.

Pod jego dotknięciem palce zaczęły Callie mrowić, poczuła rozlewający się po żyłach żar. Nie mogło to wróżyć

nic dobrego. Absolutnie nie mogło. Ale to ona poruszyła ten temat i ona go zakończy!

- To... to chyba będzie odpowiedni początek, tak. Proszę mówić dalej.

- Dziękuję pani - rzekł Simon; zauważyła, że w jego głosie słychać wesołość, a jej, po zastanowieniu się nad tym, o czym mówili, kolana zrobiły się jak z waty; poczuła głęboką wdzięczność, że zajmuje pozycję siedzącą. - Zaczniemy od tego. - Uniósł jej dłoń do ust i złożył na niej lekki pocałunek. - Na to, Callie, można się zgodzić. Rozumie pani?

Dziewczyna usiłowała zapanować nad rozchodzącym się po jej wcześniej rozpalonej ręce drżeniem oraz lekkim zawrotem głowy.

- Można się zgodzić. Rozumiem - powiedziała z całym spokojem, na jaki ją było stać, i kiwnęła głową.

Wicehrabia pocałował ją w rękę po raz drugi, tym razem w same czubeczki palców, a potem unosząc brwi, popatrzył na nią. Callie zastanawiała się, czy widać po niej, jak pospiesznie zapada w dziwną, słodką omdłałość. Pewnie widać, diabli nadali!

- Ten, jak może pani zauważyła, należał do pocałunków świadczących o raczej większej zażyłości, do których dopuszczać nie wolno, chyba że mężczyzna, o którego akurat chodzi, jest pyszałkowatym, francuskim tanmistrzem, jakiego zaangażuję dla pani z miejsca, jak tylko wrócimy na ulicę Portland.

Callie musiała odchrząknąć, bo gardło miała coraz bardziej niepokojąco ściśnięte. Zamrugała dwa razy, usiłując skoncentrować się na omawianym temacie.

- Zbyt zażyły. A jak powinnam zareagować?

- Musi pani natychmiast odebrać mu dłoń i mierzyć tego łotra spojrzeniem, aż skruszeje, po czym zacznie panią błagać o przebaczenie i prawdopodobnie poprosi, byś pozwoliła ze sobą zatańczyć. Pani wtedy okaże się cudownie łaskawa i wyrazi zgodę, ponieważ jeżeli odmówi pani tańca jednemu dżentelmenowi, będzie pani musiała albo opuścić towarzystwo, albo przesiedzieć cały wieczór, odrzucając

wszystkie zaproszenia. Jeśli skłonna jest pani odczuwać sympatię do tegoż dżentelmena, zyska sobie pani niewolnika na całe życie. Jeżeli jednak przyjmuje pani jego prośbę niechętnie, zwłaszcza, że na dobrą sprawę wymusił na pani zgodę na taniec, w takim przypadku proponowałbym, by pani z premedytacją raz czy dwa nadepnęła mu na palce, żeby wiedział, iż mogła mu pani przebaczyć tupet, ale o obrazie pani nie zapomniała.

- Droczy się pan ze mną, Simonie, prawda? - zapytała Callie, ani na moment nie zapominając o tym, że wicehrabia nie wypuścił jej dłoni. Pozwoli mu ją potrzymać jeszcze z godzinke, a potem będzie nalegała, by ją puścił. - Bo muszę panu powiedzieć, że w życiu czegoś tak niemądrego nie słyszałam!

- Towarzystwo z wyższych sfer jest niemądre, Callie - zwrócił jej uwagę wicehrabia, jak nauczyciel uczennicy, a potem ponownie uniósł jej dłoń do warg, nie spuszczać oczu z twarzy. - A teraz ostatnia lekcja na dziś, jako że trzeba nam już wracać na ulicę Portland.

Tym razem w ostatniej chwili odwrócił jej dłoń grzbietem do dołu, wycisnął pocałunek od strony wewnętrznej, czubkiem języka nakreślił malutkie, palące kółeczko na skórze, a dopiero potem pozwolił, by odebrała mu rękę.

- A jak, moja droga uczennico, moja mała prowincjuszko, która życzysz sobie odgrywać rolę *femme fatale*, jak zareaguje pani na to?

- W ten sposób? - zapytała drżącym głosem Callie. I odnosząc wrażenie, jakby cały świat przesunął się nagle wzdłuż swojej osi, uderzyła wicehrabiego prosto w szeroko i złośliwie uśmiechniętą twarz.

Wcale nie jestem tego typu osobą,
za jaką mnie oboje uważaliśmy.

- Jane Welsh Carlyle

9

- Wytłumacz mi to jeszcze raz, Armandzie - prosił Bartholomew Boothe, siedząc późnym popołudniem tego samego dnia w gabinecie Simona, z kieliszkiem w dłoni i wyrazem zakłopotania na twarzy. - Chcesz powiedzieć, że ta moja nowa gniada, równocześnie jest i nie jest tą samą klaczą, którą kiedyś widziałem u Tatta? A coż ty możesz mieć na myśli? Throckmorton zapewniał mnie, że właśnie ją kupił. I do tego u Tatta... pokazał mi nawet umowę sprzedaży. Wziąłem ją od niego, żeby pomóc mu spłacić karciany dług. Paskudnie wpadł, mam na myśli Throckmorta, to jego własne słowa, i nie miał wyboru, musiał ją sprzedać. Co nie przeszkodziło mi zrobić piorunsko wspaniałego interesu, bo zapłaciłem tylko połowę tego, co musiałbym zapłacić, gdybym ją brał od Tatta.

Przeniósł wzrok z Brocktona na Armanda Gauthiera, gładząc przy tym starannie zawiązany, zbyt duży fular; w swoim zmieszaniu przypominał zmartwionego gołębia... niedożywnego, zmartwionego gołębia z nastroszonymi piórami na przerośniętej piersi.

- Czy chodzi ci o to, że Throckmorton nie był wobec mnie uczciwy? Czy właśnie to chcecie mi obydwaj powiedzieć?

- Spójrz prawdzie w oczy, Kościeju. Throckmorton nabrał cię i tyle - oznajmił Armand, dyskretnie uśmiechając się do Simona, który tylko przytaknął.

Bartholomew piorunował przyjaciela wzrokiem.

- Wcale nie wpadł? Wcale nie miał szeryfów na karku? -

Przeniósł coraz bardziej niespokojne spojrzenie na wicehrabiego, najwyraźniej z całych sił starając się przyjaciom nie uwierzyć. - Wcale nie tonie w długach? Nie ma pustych kieszeni do wynajęcia? Nie ugrzązł na mieliźnie?

- Kwitnie jak zawsze, Kościeju - zapewnił go Simon, pociągając łyceczek szampana. Miło było odprężyć się w towarzystwie przyjaciół przed czekającym go w domu obiadem i oderwać się myślą od tej młodziutkiej dziewczyny, która mogła człowieka do furii doprowadzić, a która przebywała piętro wyżej. No, oderwać się na tyle, na ile to było możliwe, pomyślał pocierając z roztargnieniem swój ostatnio znieważony policzek. - Pewnie w tej chwili płąsa gdzieś z radości, szczęśliwy, że pozbył się swojej pomyłki i odzyskał połowę pieniędzy.

Boothe z wściekłością potrząsał głową.

- Nie! Żaden z was nie ma racji. Ten koń zapada po prostu chyba na jakąś chorobę. Taka była bystra i żwawa w zeszłym tygodniu u Tatta, i wtedy, kiedy ją kupowałem również, taka bystra i żwawa! A teraz tylko by stała. Stała! Cienia werwy się w niej nie dopatrzy, a ja chciałem wystawić ją w wyścigach!

- Wpuść jej następnego żywego węgorza do żołądka - mruknął Armand w głąb swego kieliszka z brandy - a zobaczysz, jaką ci werwę znowu pokaże. - A zaproponowawszy to, puścił nad kieliszkiem oko do Simona.

Wicehrabia roześmiał się w kułak, wiedząc, że ich łatwowny przyjaciel Kościej, Throckmorton, a nawet najbardziej znający się na rzeczy Tattersall, dali się nabrać, a był to zupełnie prosty podstęp. Ospały koń nieodmiennie nabierał animuszu, jeżeli miał w brzuchu żywego węgorza... przynajmniej dopóki ten wijący się stwór nie został strawiony. Podobnie jak krnąbrnego, napojonego mocnym piwem rumaka można było sprzedać jako spokojnego konia pod wierzch dla damy... dopóki nie wytrzeźwiał i nie rozniósł przegród w stajni.

- Poddaj się, Kościeju - poradził Simon, kiedy Bartholomew nie przestawał piorunować Armanda wzrokiem - ode-

ślij tę nieszczęsną klacz do majątku, gdzie będzie mogła drzemać do końca swoich dni. Albo to, albo złóż jutro wczesnie rano wizytę w jakimś sklepie rybnym.

- Perfidia ludzkości - zaczął w końcu utyskiwać Bartholomew, potrząsając głową. Rozczarowanie wzięło wreszcie górę nad gniewem, że dał się wystrychnąć na dudka... a gniew ten zaraz potem rozlał się szeroko, obejmując nie tylko perfidnego Throckmorta, ale i resztę ludzkości, jako że osady Boothe'a były równie często wszechogarniające, jak spóźnione. - Słowo daję, odbiera to otuchę człowiekowi sumienia, takiemu jak ja, naprawdę.

- Biedny Kościej - litował się nad nim Gauthier, patrząc na najwyraźniej załamane Boothe'a, który wstał, gwałtownie postarzały i jakby sterany życiem, i podreptał do stolika z trunkami, by napełnić sobie znowu kieliszek. - Jakże mnie to boli, gdy widzę, jak gaśnie jasny płomień miłości do bliźniego. Jestem zdruzgotany tym, co ci się przydarzyło, kompletnie i niedwuznacznie, i muszę ci powiedzieć, iż dzielę z tobą twój ból. - Tu puścił oko do "wicehrabiego. - Simonie, czy sądzisz, że udałoby ci się nakłonić kucharkę, by podała dziś wieczorem naszemu przyjacielowi węgorza w sosie pietruszkowym?

Roxbury zdusił śmiech, patrząc, jak sztywnieją plecy Kościeja, który właśnie napełniał sobie kieliszek i nie przestał, aż trunek przelał się na stolik.

- Okrutny człowiek z ciebie, Armandzie - powiedział wicehrabia z całym potępieniem, na jakie mógł się zdobyć, a nie było ono silne. - Zawsze cię za to podziwiałem.

Gauthier skłonił swą ciemną, kształtną głowę, uznając słowa Simona za komplement.

- Podobnie jak ja zawsze podziwiałem mistrzostwo, z jakim obracasz ostrym, bezkrwawym nożem łotrowskiej pomysowości, mój przyjacielu. A skoro już o tym mowa, co słyhać u naszej protegowanej? Czy gryzie wędzidło, nie mogąc doczekać się, aż będzie ci mogła pomóc w powaleniu Filtona na kolana? To jest, jeśli wreszcie pozwolono ci dowiedzieć się, do jakiego etapu doszła twoja droga matka

w pracy nad tą dziełką? Co prawda kiedyś odwołano moje zaproszenie na obiad, ale teraz zostałem przywrócony do łask, więc pewnie nie powinienem narzekać.

Brockton powstrzymał odruch, nakazujący mu dotknąć palcami policzka.

- Przypuszczam, że w tłoku ujdzie - powiedział, kwitując urodę, dowcip i inteligencję Callie tym jednym zwrotem, niczego nieujawniającym, wypranym z zachwytu, leciutko pochwalnym. - Czekają nas jeszcze ogromne ilości pracy, zanim Imogena będzie ją mogła pokazać, to pewne. Dzięki Bogu, sezon trwa już zbyt długo, żebyśmy musieli zabiegać o przedstawienie jej u dworu, chociaż może to ograniczyć ilość otrzymywanych przez nią zaproszeń. Ale nadal nie zgadzam się, by wplątywać ją w moje plany dotyczące Kinseya. Co prawda, ona o tym nie wie. I nie dowie się - zakończył, spoglądając spode łba na Boothe'a, jakby pragnął wyrzucić mu tę wiadomość w pamięci.

Bartholomew wrócił na swoje miejsce z kieliszkiem już na wpół opróżnionym.

- Co to za praca, Simonie? - zapytał, puszczać oko do Armanda i wyraźnie pragnąc choć trochę odegrać się na przynajmniej jednym ze swoich przyjaciół za to, że wykpił jego łatwowierność, Z jaką dał sobie wcisnąć bezwartościową szkapę zamiast konia. - Lekcje konnej jazdy? Nie, coś mi się zdaje, że nie są jej potrzebne. A może lekcje celowania obuwem w głowy arystokratów? I znowu odnoszę wrażenie, że ta młoda dama radzi sobie z tym biegle. Och, ale czy dałaś jej podobiznę swego rodzinnego herbu, by mu się bacznie przyjrzała i dobrze go zapamiętała, bo inaczej może się skończyć na tym, że z Almacka odjedzie nie swoją kareta?

Wicehrabia śmiał się razem z przyjaciółmi, chociaż jakoś nie miał serca do żartów.

- Właściwie to mam ochotę przekazać Callie tobie, Koscieju, żebyś się nią opiekował do końca nauki - zagroził - jako że poinformowała mnie, iż nie umie tańczyć.

- Callie? - zamruczał Armand pytająco. - Jakże uroczo nieoficjalna forma, bez wątpienia.

Simon zerknął na niego i w myśli wymierzył sobie kopniaka za tę werbalną nieostrożność. Przy Armandzie Gauthierze nie można sobie było pozwolić na takie lapsusy i, jak znał tego człowieka, nie minie godzina, a będzie musiał za swoją pomyłkę zapłacić.

Uśmiech Boothe'a również ulotnił się, a on sam skonsternowany gwałtownie wychylił się z fotela.

- Nie umie tańczyć?

- Ani jednego pas, a przynajmniej tak twierdzi, i czuję się zmuszony jej uwierzyć. No więc jak, Kościeju, czy zgłosisz się na ochotnika, żeby ją uczyć?

- Co to, to nie! - Bartholomew energicznie pokręcił głową. - Od trzech lat moja noga nie powstała na tanecznym parkiecie i nie mam zamiaru zmieniać zwyczajów. To ten walc, wiecie - oznajmił znacząco, pragnąc wyrzeć odpowiednie wrażenie na przyjaciółach. - Walc to prawdziwe podzwonne tańca.

- To samo można sformułować w nieco inny sposób, a mianowicie nasz Kościej ma fatalny zwyczaj deptania partnerce po śródstopiu w każdym tańcu wymagającym zbliżenia większego niż w kadrylu - wpadł mu w słowo Armand. - Czyż nie, Kościeju?

- Panna Milson musiała opuścić towarzystwo podczas sezonu, ale nie mnie to zawdzięcza - wycedził Bartholomew przez zaciśnięte zęby, powtarzając po raz kolejny znaną im wszystkim od trzech lat opowieść. - Miała do wyboru albo to, albo kuśtykanie z kulą wetkniętą pod ramię, co w najmniejszym stopniu nie zwiększyłoby jej słabych szans, zwłaszcza że już fatalnie zezowała. - Westchnął głęboko na dowód, że to on, jak zwykle, padł ofiarą okrutnego świata. - Jej papa nadal udaje, że mnie nie widzi, kiedy mijamy się w klubach. Wiem, że zawiniłem, ale nie można obciążać mnie odpowiedzialnością również za to, iż ta niemądra dzierlatka uciekła na koniec z jakimś prowincjonalnym doktorkiem bez grosza przy duszy, prawda? No, prawda? - powtórzył, badawczo przyglądając się Armandowi i Simonowi. - Mam rację?

- Masz, masz, zdecydowanie masz - odpowiedzieli obydwoj mężczyźni jednym głosem, bo gdyby się nie zgodzili, musieliby odgrzewać na nowo całą tę śmiechu wartą historię; im nic by to nie dało, a Kościeja wytraciłoby tylko jeszcze bardziej z równowagi.

- Tak więc wracamy do panny Johnston i jej godnego pożałowania braku umiejętności tanecznych - naprowadził ich na temat Armand, patrząc na Simona. - Zakładam, że zaangażujesz tancmistrza i umówisz się na kilka lekcji?

- Potwierdzam jedno i drugie, jako że dzięki Imogenie pewien pan, nazwiskiem Odo Pinabel, płynie w tej chwili na paluszkach po moich dywanach - rzekł Roxbury, pochylając głowę w kierunku frontu domu, skąd dochodziły dźwięki muzyki. - Jeżeli natężycie słuch, usłyszycie, jak moja droga matka, waląc w klawisze, fałszuje pierwsze nuty... walca, jak mi się zdaje. Czy nie słyszeliście jej wcześniej? No cóż, może mój słuch wyczulił się na kakofonię. Ale mizerna nadzieja, byśmy osiągnęli zadowalający skutek, jeżeli Imogena uprze się, że to w rytm jej łupania dziewczyna będzie się uczyć, prawda?

Przysłuchiwali się wszyscy jeszcze przez kilka chwil, przy czym Bartholomew aż się skrzywił, kiedy wicehrabina, brnąc przez dosyć trudny pasaż, wygrywała dwie fałszywe nuty na jedną czystą.

- Słyszałem ten harmider, Simonie, ale sądziłem, że droga dama tylko ćwiczy gamy. Prosić pannę Johnston, żeby się przy czymś takim uczyła tańczyć? To do niczego nie podobne. Absolutnie do niczego! - oświadczył, odstawił kieliszek i podniósł się, energicznie obciągając kamizelkę na nieistniejącym brzuszku. - Przynajmniej temu jednemu problemowi mogę zaradzić. Poza tym chciałbym rzucić okiem na tę osobę której pilnowanie wchodzi od niedawna w zakres obowiązków Simona, z czystej ciekawości, rozumiecie.

Wicehrabia również się podniósł.

- Jej pilnowanie wcale nie wchodzi w zakres moich obowiązków, Kościeju - poprawił Boothe'a i puścił obu przyjaciół przodem do drzwi. - Okazuję jedynie rozważę, trzyma-

jąc ją w bezpiecznym miejscu, dopóki się nie uporam z Kinseyem, a wtedy w nagrodę za swoje starania otrzyma kawałek sezonu... no i za to jeszcze, że dzięki niej Imogena była zajęta. Ani mniej, ani więcej.

Armand przystanął w drzwiach, kiedy Bartholomew już przez nie przeszedł, i odwrócił się, by popatrzeć na przyjaciela.

- Naprawdę mówisz to serio, Simonie? - zapytał, przyglądając mu się bacznie.

- Naprawdę - zapewnił Brockton, starając się zawrzeć w tej odpowiedzi cały zapas przekonania, jakie zdołał znaleźć w swoim wnętrzu. Był wstrząśnięty faktem, że po spędzeniu z Callie popołudnia, jakby byli parą najlepszych przyjaciół, przekonania uzbierała się żałośnie drobna garstka.

Gauthier uśmiechnął się, błysk jego białych zębów był niemal równie złośliwy, jak lśnienie ciemnych oczu.

- A więc, wykorzystując nieszczęsnego Kościeja jako przykład, nie nastąpiłbym nikomu na odcisk, gdybym zdecydował... oczywiście po bliższym zaznajomieniu się... że nasza droga panna Johnston mogłaby potencjalnie stać się dla mnie czymś więcej niż jest dla ciebie?

- Ona wcale nie jest w twoim guście, Armandzie - zwrócił mu uwagę Simon, świadom, że mięśnie szczęk nieprzyjemnie mu się napinają. Co się z nim, u diabła, dzieło? - Mimo całej swojej odwagi, swoich spodni, swojego skandalicznego zachowania, jest dziewczyną dobrze urodzoną i odpowiednio chowaną. Jako jej opiekun...

- Jej opiekun? - przerwał mu Gauthier. - Ho, ho, węszyć tu jakąś sprzeczność. Dopiero co powiedziałeś mi, iż pilnowanie jej nie wchodzi nawet w zakres twoich obowiązków, nie mówiąc już o tym, byś miał uważać ją za podopieczną. A może chodzi ci tylko o odpędzenie mnie od tego smacznego kąska?

- Callie to... - Wicehrabia zawahał się, głęboko wciągnął powietrze i ostrożnie dokończył, świadom, że przyjaciel z premedytacją go podpuszcza. - Panna Johnston to nie jest żaden smaczny kąsek, Armandzie.

- Ależ, mój przyjacielu, już po tak krótkim zetknięciu się

z nią przekonany jestem, iż o całe niebo przerasta, powiedzmy, pannę Milson - zwrócił mu uwagę Gauthier z typową dla siebie, mogącą do wściekłości doprowadzić pewnością. - Potrzebuje, a nawet zasługuje na człowieka inteligentnego, z charakterem. Z pewnością zmarnowałaby się przy jakimś prowincjonalnym lekarzu czy kimś takim.

Źródłem następnych słów Simona była desperacja, ale zabrzmiały one imponująco, chociaż wiedział, że gdyby Callie je usłyszała, parsknęłaby pełnym zachwytu śmiechem.

- Jej ojcem jest sir Camber Johnston, człowiek nobilitowany za bezcenną przysługę, jaką oddał samej królowej. Pozbądź się z myśli widoku jej spodni, Armandzie. Jeżeli nawet przez chwilę zachowywała się skandalicznie, nadal jest nietykalna, jak każda debiutantka.

- A przez to moje wnioski stają się jeszcze bardziej prawdziwe i jeszcze bardziej smutne - powiedział Armand, przy czym głos miał obojętny, a twarz drewnianą. - Oboje z matką zamierzacie dołożyć wszelkich starań, by zmienić tę czarującą, małą złośnicę we wzorec wszystkich najbardziej nudnych cnót, wykazywanych przez niekończącą się procesję mdłych debiutantek, które co sezon zagracają sale balowe, czyż nie? A to, moim zdaniem, byłaby cholerna szkoda. Może zgodziłybyś się na drobny zakład, Simonie? Wydaje się, że sprawiedliwa byłaby cena, jaką Kościej zapłacił za tę swoją przypominającą ślimaka klacz, a wygrana pójdzie na jeden z lokalnych zakładów dobroczynnych. Nie uda się zrobić świńskiego ucha z małej jedwabnej sakiewki. Ani po to, by rozerwać Imogene, ani żeby odwrócić moją uwagę od wspomnienia, jak panna wyglądała w spodniach, ani żeby przekonać ciebie, iż jesteś niewrażliwy na jej, jak sam to określiłeś, skandaliczne uroki. Przyjmujesz?

- Planujesz jakąś złośliwość, prawda? - Roxbury wpastrywał się w przyjaciela, ten zaś odwrócił wzrok, wyciągnął przed siebie rękę i zaczął bacznie przyglądać się skórkom przy paznokciach. - Dobry Boże, Armandzie, mam rację, prawda? - zapytał, przynajmniej tym razem nie potrafiąc zorientować się, co kieruje przyjacielem. - Dlaczego?

- Ponieważ podoba mi się ta twoja mała Callie, stary przyjacielu - odparł Gauthier, a w jego nieco rozwlekłym amerykańskim akcencie dały się słyszeć tony francuskie. Z rozmysłem użył głosu, który Simon bardzo dobrze znał - Armand z powodzeniem stosował go, odkrywając wygrywające karty. - I jeszcze dlatego - ciągnął - że, chociaż przyznaję się do tego z wielkim bólem, żywię do ciebie serdeczne uczucia. Widzisz, niewiastę można zrujnować na więcej sposobów niż jeden. I mężczyznę też. Krótko mówiąc, przekonany jestem, że mogłeś sobie upatrzeć niewłaściwy cel, Simonie.

Wicehrabia odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się w głos.

- Zwariowałeś! - wykrzyknął i cofnął się po swój kieliszek z szampanem. - Idź już, idź za Kościejem do pokoju muzycznego, uratuj pannę Johnston przed jej tancmistrzem i postaraj się w miarę możliwości oczarować ją swą przystojną obecnością. Przypomniałem sobie właśnie coś, co musisz zrobić, jest kilka papierów, które obiecałem podpisać.

- A więc otwierasz pole dla konkurencji, Simonie? Naprawdę jej nie chcesz dla siebie? - dopytywał się Gauthier, zwracając się do pleców wicehrabiego, który stał przy stoliku z trunkami i nalewał sobie następny kieliszek. - Czy jesteś pewien?

Brockton odwrócił się i z nonszalancją oparł biodrem o róg małego stolika.

- Bezwzględnie, Armandzie. Ruszaj do ataku z moim błogosławieństwem, jeżeli nie możesz się już doczekać, kiedy zatrzśnie ci się na karku księża pułapka. Uważaj tylko, bo panna Johnston wyraziła zainteresowanie nauką flirtu - dodał; teraz on z rozmysłem przeciągał słowa, po raz pierwszy widząc w swym rozmówcy nie ukochanego towarzysza, ale potencjalnego przeciwnika.

Kiedy Armand uśmiechnął się, energicznie zsalutował i wyszedł z pokoju, Simon uświadomił sobie, że chyba również po raz pierwszy skłamał swojemu najlepszemu przyjacielowi.

Martwiła go tylko myśl, że mógł również skłamać samej sobie, ale odrzucił ją z miejsca jako śmieszna.

Callie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo liczyła na to, że jej nauczycielem tańca będzie Simon, dopóki nie pokazał się prawdziwy instruktor, zasapany i zlany potem. Bez wątpienia całą drogę na ulicę Portland pokonał biegiem, być może przedtem żabim skokiem przeleciawszy nad rozłożonym na płask ciałem nieszczęsnej panny, którą aktualnie uczył, tak spieszył się, by mieć już w kieszeni niebotyczną sumę, jaką Simon wydawał się skłonny płacić każdemu, kto chociażby skierował go we właściwą stronę, kiedy szukał jadalni we własnym domu.

Nie chodziło o to, żeby miała być niezadowolona z pana Odo Pinabela. Był z pewnością całkiem miłym osobnikiem, jeżeli komuś nie przeszkadzało afektowane seplenienie czy fakt, że dłonie miał nieodmiennie zimne i lepkie. Albo to, że jego oddech pachniał cebulą.

No i te brwi. Biedaczysko posiadał chyba tylko jedną... rozciągała się na całą szerokość czoła, gruba i czarna, jak jakaś kudłata, pełzająca gąsienica. Callie nie mogła oderwać od niej oczu.

Chociaż ta brew okazała się nawet przydatna, skoro Callie uczyła się liczyć „i rrraz, dwa, trzy” w rytm jej ruchów. Urzeczona była tym, jak podskakiwała ona na wysokim czole Odo Pinabela, hop-hop-hop! za każdym taktem, przy czym ostatni skok sygnalizował, że przyszedł czas, by pochylić się, obrócić i zacząć liczyć od nowa.

Tak więc wszystko to razem: wilgotne dłonie, cebulowy oddech, umyślne seplenienie, pojedyncza brew, a na dodatek nieubłagany atak przypuszczony przez wicehrabinę na fortepian, spowodowało, że tańczenie walca nie bardzo przypominało romantyczną przygodę, jak wcześniej Callie sobie to wyobrażała.

- I rrraz dwa tsy, i rrraz dwa tsy! Sybciej, panno Johnston, sybciej! - rozkazywał pan Odo Pinabel, jego brew pięła się coraz wyżej, aż zaczęło wyglądać na to, że zniknie w gęstej, czarnej czuprynie, która wyglądem tak nie pasowała do głowy mężczyzny, jakby wylądowała tam przez przypadek i mogła w rzeczywistości należeć do kogoś inne-

go. - Panno Johnston, proszę słuchać, bardzo proszę! To byłoby strasne, gdyby miała się pani potknąć publicznie, a już moja reputacja byłaby po prostu zniweczona.

- Tak, proszę pana - powiedziała Callie, odwracając głowę, bo tancmistrz nie dość że seplenił, to jeszcze wymowę miał równie „mokrą”, jak dłonie. Niewiele brakowałoby, a utopiłaby się, kiedy mówił o „zniweczeniu”. - Spróbuję.

- To nic strasnego, tylko muzyka, to wszystko - zapewnił ją pan Pinabel, kiedy wicehrabina wyrabiała następny akord, który powinien być dać się słyszeć tylko raz, a potem przepaść w pomroce dziejów. Tak sobie Callie jednak pomyślała dopiero potem, pierwszą jej myślą było, że w wyjaśnieniu pana Pinabela znalazły się aż trzy fatalnie wilgotne „s”. Gdyby miało ich być pół tuzina, doszła do wniosku, przeczornie uchylając głowę i przewracając oczami, kiedy nauczyciel zataczał z nią następny krąg, musiałyby uczyć się tańczyć walca, osłaniając twarz parasolką.

Gdy drzwi do holu otworzyły się i do pokoju muzycznego wszedł Bartholomew, dziewczyna popatrzyła na niego z tak entuzjastycznym uśmiechem, że wyraźnie się spłoszył, a rumieniec wypłynął mu aż nad szpice kołnierzyka.

- Przyszedłem uratować panią przed tym, czynionym w najlepszych zamiarach, zgiełkiem, który usłyszałem, przechodząc właśnie obok drzwi, panno Johnston - oświadczył pospiesznie, kłaniając się jej i równocześnie ogarniając ją wzrokiem od stóp do głów, przy czym błysk uznania w męskich oczach w cudowny sposób poprawił jej humor. - I czy pozwoli pani, że powiem - ciągnął, prostując się - iż nigdy nie czułem się tak zaszczycony, jak się poczuję, akompaniując pani do końca lekcji.

- Ha! Po moim sponiewieranym i posiniaczonym trupie - oświadczyła stanowczo wicehrabina, waląc oboma upierścienionymi rękami w klawiaturę i w ten sposób odkrywając następny akord, który powinien przepaść raz na zawsze. - Już się prawie w tym rozeznałam, Kościeju, i będę panu wdzięczna, jeżeli pan przestanie poządlawie łypać okiem na tę dziewczynę i pójdzie sobie stąd. Nie jest mi pan tu potrzebny. Do

niczego się pan nie przyda. I nikt pana też nie zapraszał, jak się nad tym zastanowić. A może się mylę? Może przysłał pana mój wścibski syn?

- No, jakby to... - jękał się Bartholomew, nie przestając przyglądać się Callie, która, dość dumna ze swego wyglądu i pełna chęci, by się troszkę sobą pochwalić, z rozmysłem odsunęła się od pana Pinabela, ujęła spódnicę po bokach w dłonie, a potem wykonała pełny obrót, żeby Kościej mógł podziwiać pannę Johnston w całej jej krasie. Następnie znowu szeroko się do niego uśmiechnęła i figlarnie zmarszczyła nosek, by dać mu do zrozumienia, że celowo się z nim droczy. A może to był flirt? Będzie musiała zapytać Simona, jeżeli kiedykolwiek zniży się on do tego, by udzielić jej jeszcze jednej lekcji.

- Kościeju! Mówię do pana! - naciskała Imogena, ponownie waląc w klawisze. - Czy to mój syn pana przysłał?

Bartholomew popatrzył na Callie, przybrawszy wyraz powagi, następnie pospiesznie się uśmiechnął, chociaż bardziej przypominało to grymas bóleści, potem znowu się opanował. Zupełnie jakby wiedział, że nie powinien się uśmiechać i w ten sposób okazywać akceptacji jej zuchwałości, a równocześnie świadom był, że może ją obrazić, jeżeli w jakiś sposób nie odpowie na jej radosne powitanie. Taki był słodki, taki rozkoszny, tak wyraźnie skrępowany i zbity z pantałyku, że Callie miała wielką ochotę pocałować go w policzek.

Stojąc plecami do Imogeny, która dużo mówiła o skandalicznym zachowaniu, ale jakoś dziwnie nie zalecała go swej protegowanej, Callie, posłała mu ten pocałunek.

Boothe'owi oczy niemal wyszły na wierzch i szybko odwrócił się do wicehrabiny.

- Pani pytała o coś, milady? Czy Simon... czy on... czy ja? Hm, to jest, hm... o co właściwie pani pytała, czy mogłaby pani powtórzyć?

- A ja myślałam, że będzie pan miał więcej do powiedzenia, Bartholomew - stwierdziła Imogena i ze dwa razy cmoknęła, a dopiero potem triumfalnie się uśmiechnęła. -

Oniemiał pan na jej widok, co? I tego wszystkiego dokonałam sama, bez żadnej pomocy Simona. Prawdziwy cud, nie uważa pan?

Bartholomew pospiesznie wypuścił powietrze i odprężył się w sposób dostrzegalny, otrzymawszy pozwolenie, by się szczerze wypowiedzieć.

- O, tak, pani wicehrabino - oświadczył z uczuciem. - Prawdziwy cud. Trudno wprost uwierzyć, że Simon uważa, iż czeka was jeszcze ogromna ilość pracy, zanim nie będzie można jej nic zarzucić i da się ją wypuścić między ludzi.

Callie odwróciła głowę, jakby ją ktoś uderzył.

- On... on tak powiedział, proszę pana?

- Całkiem dobrze panu szło, jak się pan jąkał i wgapiał w nią cielecym wzrokiem, Kościeju - odparowała wicehrabina; podniosła się z wyścielanego taboretu i ruszyła w stronę Boothe'a krokiem wielce przypominającym marszowy. - Powinien się być pan tego trzymać i nie próbować poskładać do kupy jednego niemądrego zdania, wykorzystując przy tym słowa kogoś innego.

Wyminęła go niczym statek pod pełnymi żaglami, a Bartholomew niemal zemdłał ze szczęścia, że wicehrabina odprawiła go, ograniczając się do besztania, zamiast dać mu w ucho. Tymczasem Imogena wytknęła głowę za drzwi i ryknęła:

- Simon! Pozwól no na słówko! Teraz! Och, witaj, Armandzie. Pan też się przyszedł pogapić, jak ten idiota Kościej? No dobrze, nie stój pan tak, tylko wchodź do środka! Dajemy przedstawienia codziennie o drugiej i czwartej, bilety są po dwa pensy. Tak mi przykro, że tresowana małpa pojawi się dopiero jutro, ale robimy co w naszej mocy. Si-mon!

Callie, słysząc tę tyradę, wetknęła sobie kostki rąk do ust, by powstrzymać się od chichotów, a potem z pewnym zdziwieniem popatrzyła na Armanda Gauthiera, który bezczelnie wycisnął pocałunek na pokrytym pudrem policzku Imogeny. Najwyraźniej ani odrobinę się tej kobiety nie bał, w przeciwieństwie do pana Boothe'a, który robił takie wrażenie, jakby był równie bliski płaczu, jak pokojówka z parteru, Letty, tego ranka, kiedy wicehrabina ośmieliła się krzy-

wo na nią popatrzeć, bo pojawiła się z tacą śniadaniową, na której brakowało dzbanka z herbatą.

- Proszę mi wybaczyć, panienko - powiedział Gauthier, wchodząc do pokoju muzycznego z taką swobodą, jakby był jego właścicielem; podszedł do Callie, ujął jej dłoń, wycisnął pocałunek na nagle rozpalonej skórze, a potem pogładził jej palce kciukiem. - Powiedziano mi, że zastanę tu gdzieś pannę Caledonię Johnston, ale nie widzę po niej śladu ni popiołu. Może po prostu zbyt oślepiła mnie pani uroda? Czy nie wie pani, gdzie podział się ten mały andrus? - pytał, teatralnie rozglądając się przy tym po pokoju, jakby nieobecna panna Johnston mogła tkwić za oparciem fotela w którymś kącie. - No cóż, nie będzie nam jej brakowało, prawda? O, ty czarujące stworzenie, oddalmy się stąd: czeka na nas zarówno wodniste angielskie słońce, jak i mój powóz.

Callie, która zdawała sobie sprawę, że ten nieprzyzwoicie przystojny mężczyzna tylko się z nią droczy, ale nie miała pojęcia, jak zareagować na to beztróskie przekomarzenie się, spojrzała na Boothe'a z niemą prośbą.

Z równym skutkiem mogła zwracać się do popiersia Marka Antoniusza stojącego na gzymsie nad kominkiem. Bartholomew bez *reszty zajęty* był niewchodzeniem w drogę Imogenie, która to zacna dama ponownie pojawiła się w pokoju; umknął przed błagalnym wzrokiem Callie i pospiesznie podszedł do taboretu, który tak niedawno wicehrabina opuściła. Usiadł i robił, co mógł, by wydawać się niewidzialnym.

Callie aż się w głowie kręciło, ponieważ zdawała sobie sprawę, że pocałunek, który Armand Gauthier złożył na jej dłoni, i to czułe uściśnięcie palców trafiały gdzieś w szarą strefę pomiędzy tym, co bezosobowo uprzejme, a tym, co stanowczo prowokacyjne. Zaczerpnęła powietrza, popatrzyła mu prosto w oczy i wymamrotała:

- Bez wątpienia bardzo mi miło znowu pana zobaczyć. - Potem podniosła wzrok na sufit w przekonaniu, że nie mogła już udzielić głupszej i bardziej bezmyślnej odpowiedzi, chyba żeby skomentowała jakoś jego uwagę na temat pogody.

A ponieważ tak pomyślała, a do tego wcale nie była za-

chwycona, że ją Armand tak zmieszał, dodała z uśmiechem:

- Ale obawiam się, że naprawdę muszę tu pozostać, bo za niecałą godzinę podadzą nam obiad. Jednak, gdyby udało się panu znaleźć gdzieś mały kapelusik i tamburyn, panie Gauthier, może zechciałby pan odegrać rolę tej tresowanej małpki, o której wspominała wicehrabina? Wydaje mi się, że ma pan konieczne do tego zamiłowanie do psot, chociaż brak panu ogona. Och, i może mi pan oddać moją dłoń w każdej chwili, kiedy będzie to dla pana wygodne, okazało się ostatnio, iż ogromnie się do niej przywiązałam.

- No, to mi się bardziej podoba! - powiedział ze śmiechem Gauthier, puścił jej rękę i odwrócił się do Boothe'a. - Kościeju, zapamiętaj ten wyjątkowy dzień. Wydaje mi się, że się zakochałem!

- A to cholerna szkoda, Armandzie Gauthier, i nic innego - oświadczyła Imogena stanowczo od drzwi - ponieważ ta dziewczyna nie jest już wolna. Si-mon! NATYCHMIAST!

- Naprawdę? Wciąż jeszcze żywi pani takie nadzieje, Imogeno? To ogromnie interesujące - wycedził Armand i odwrócił się z ciekawością w stronę wicehrabiego, który właśnie wchodził do pokoju z twarzą przystojną, to prawda, ale zdecydowanie zgnębiają.

Callie doszła do wniosku, że to zgnębienie jej się podoba, zwłaszcza w połączeniu z faktem, że wicehrabia tak dokładnie stropił ją i wytrącił z równowagi tego ranka swoim beztroskim przekomarzaniem się, po którym nastąpiła pozornie niewinna propozycja przyjaźni, a następnie ta okropnie żenująca lekcja całowania rączek, a jeszcze później policzek, który mu wymierzyła, i na koniec niemiłe milczenie, trwające przez cały czas, kiedy pakowali kosz z prowiantem i odbywali długą podróż powrotną na ulicę Portland, gdzie bez słowa, pospiesznie porzucił ją w holu.

- Czy mama była łaskawa coś ryknąć? - zapytał Simon żartobliwie, ale zaraz zacisnął wargi w wąską kreskę. - A cóż się teraz stało? - Zwrócił stalowe spojrzenie na zdecydowanie Je *trop* i niemal komicznie zawstydzonego Odo Pinabella. - A pan - powiedział niemal przyjaźnie - niech już idzie.

Tancmistrz w mgnieniu oka pozbiierał swoje papiery, podniósł pelerynę i wyszedł z pokoju z pośpiechem, jaki mógłby wykazywać obwieszony kotletami jagnięcymi człowiek próbujący desperacko wydostać się z jaskini wygłodniałych lwów.

- No i masz, właśnie za drzwiami znalazła się papla, która będzie cię kosztowała oczy z głowy za ledwie piętnaście minut służby - zauważyła Imogena, nawet dość wesoło, przyglądając się ucieczce tancmistrza. - A ty jesteś zdania, że dużo płacisz za suknie tej dziewczyny? Ha! Ta kwota to nic, w porównaniu z pieniędzmi, jakie wydasz, żeby utrzymać obsługę tego domu wariatów w stanie, w którym nie będzie się czuła zmuszona wyjawiać wszystkich naszych sekretów rodzinnych w tych plotkarskich pubach, do których uczęszcza. Albo to, Simonie, albo nasze prywatne sprawy będą podawane jako smakołyki na kolację w całym Mayfair.

- A mama byłaby tym zachwycona - odpalił Brockton, najwyraźniej niezadowolony. - Ale co się tu, u diabła, dzieje? Czy bez mojej pomocy nie potrafi mama pokierować czymś nawet tak prostym jak lekcja tańca?

- Och, ty żałosny szczeniaku! Jakby to była moja wina! - wybuchnęła Imogena i wyprostowała się na całą swoją zdecydowanie imponującą wysokość. - Wcale nie jesteś jeszcze tak dorosły, żebyś nie mógł dostać lania, Simonie, ostrzegam cię.

Callie już otwierała usta, by bronić wicehrabiny, ale zauważyła, że Armand Gauthier, zamiast mieć przez te rodzinne niesnaski zdecydowanie zażenowaną minę, uśmiecha się i spokojnie zażywa tabakę, przenosząc spojrzenie z matki na syna, jakby się przyglądał sztuce teatralnej.

- Bawi to pana, prawda? - zapytała go, jako że stał tuż przy niej. - Ale czy nie wydaje się to panu chociaż odrobinę dziwaczne?

- Imogena niczego tak nie kocha, jak porządną awanturę, tak więc Simon, który jest obowiązkowym synem, od czasu do czasu folguje jej zachciankom - wyjaśnił. - Ona twierdzi, że to konieczne, by jej się krew nie zastała. Prawdziwa herod-baba z tej naszej Imogeny. Ożeniłbym się z nią

z miejsca, gdyby mnie przyjęła i gdyby nie ważyła więcej niż ja.

Wargi Callie rozciągnęły się w szyderczym uśmiechu.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o pana wielką miłość do mnie, panie Gauthier - rzuciła. Musiała mówić głośno, by przekrzyczeć wicehrabinę, która w tym akurat momencie uskarżała się, że Lester odkrył ostatnio przepyszne czekoladowe ciasteczka na małym straganie w pobliżu Piccadilly, że gorset ją uwiera i że hańbiąca jest dla niej perspektywa... niech ją piorun spali!... zostania matroną.

Bartholomew przeciągnął palcem po klawiszach, a ten niespodziewany dźwięk zwrócił uwagę wszystkich.

- Jeżeli pozwolisz, Simonie - powiedział z ważną miną. Wstał z taboretu i wyprostował swą rozpaczliwie chudą postać; przemawiał z miną człowieka, którego najbardziej cieszony wygłaszanie prorocत्व o zagładzie, a który na dodatek swoje wypowiedzi nieodmiennie kończy stwierdzeniem: „A nie mówiłem!”

- Chyba nie, Kościeju - zawarczał Roxbury i przyszpilił oszołomioną Callie do podłogi jednym mrocznym spojrzeniem. Po jego minie poznała, że tym razem Armand Gauthier był w wielkim błędzie. To nie była żadna zabawa wicehrabiego z matką, on naprawdę był rozgniewany. I to nie na matkę, tylko na nią.

Jego kolejne słowa dowiodły, że miała rację.

- Callie? Wydaje się, że mamy jakiś problem, bo w salonie zebraliśmy się wszyscy, minus jeden tanecmistrz. Dlaczego właściwie jestem taki pewien, że to pani robota? A wydawało mi się, że zrozumiała pani, iż na lekcje manier mamy ograniczoną ilość czasu. Wytłumacz się, pani, proszę. Wytłumacz się teraz.

Rozgniewany? On był rozgniewany? I chciał, żeby to ona się tłumaczyła? Jak on śmie! Wiedział dobrze, co robi tego ranka, kiedy równocześnie próbował pokpiwać sobie z niej i ją straszyć, nie pozwalając jej mieć się na baczności ani odzyskać równowagi, aż zdana była na jego łaskę (gdy tymczasem zaplanowała sobie, że to właśnie ona doprowadzi jego

do tego stanu, ale to nie miało nic, mniej niż nic wspólnego z tym, o czym teraz była mowa!).

O, tak, wiedział. Równie dobrze, jak wiedział, że to właśnie on okazał się tak irytująco złośliwy, by kazać matce zaangażować tancmistrza, zamiast samemu pokazać Callie tych kilka prostych pas. A potem go odprawił. Wszystko to świadczyło o tym, jak mało zależy mu, by jego plan zakończył się sukcesem, i jak bardzo niewiele zamierza dawać z siebie w trakcie jego realizacji.

O, nie. To nie Simona Roxbury'ego dźgali i ściskali, i mierzili, i kłuli szpilkami. To nie Simona Roxbury'ego trzymali przez niemal dwa tygodnie pod kluczem i zmuszali do uczenia się, jak stać się głupiutkim i nudnym, to nie jego traktowali tak, jakby go wcześniej wychowywały dzikie wilki i dopiero teraz uczył się chodzić na dwóch nogach. A po tym wszystkim... po tym wszystkim!... jeszcze zachowuje się tak, jakby to z jej winy, a nie jego, opóźniały się plany wprowadzenia jej do wyższych sfer towarzyskich, gdzie miała oczarować Noela Kinseya?

Jak on śmie!

No cóż, chciał dowiedzieć się, co się dzieje, więc pewnie da się nakłonić prośbą, choć nie groźbą, by wyświadczyć mu tę uprzejmość... w ilości hurtowej!

Tak myśląc, z przyklepionym do twarzy uśmiechem, mąskującym, jak miała nadzieję, głęboką antypatię, którą w tej chwili do Simona czuła, Callie przykucnęła w całkiem godnym pochwały ukłonie.

A potem, objawszy wdzięcznym ruchem ręki zgromadzone towarzystwo, pokój, rezydencję i Londyn w ogólności, zaczęła:

- To naprawdę jest bardzo proste, milordzie, jeżeli tylko uda się panu za mną nadażyć. Proszę słuchać uważnie. Przyjechałam tu, by postrzelić Noela Kinseya. Pan wetknął nos w całkiem nie swoje sprawy, o co pana nikt nie prosił, pokrzyżował moje bardzo dobre plany, a potem uzyskał pan moją zgodę, nie, raczej zaszantażował mnie pan, bym zgodziła się podporządkować pana własnemu, pokrętnemu planowi mają-

cemu doprowadzić do upadku Filtona. Zmusił mnie pan, bym kłamała ojcu... co prawda nie było to wydarzenie bez precedensu, ale nie powinien był pan mnie do tego zachęcać. Wypuścił pan Lestera bez towarzystwa na ulice Londynu, co na pewno mu dobrze nie zrobi, a i Londynowi również nie, jeśli już o tym mowa. A Noela Kinseya nie ma nawet w mieście! Pozwoliłam się panu na to wszystko namówić, za co ponoszę winę. Za resztę jednak -winę ponosi pan, wicehrabio Brockton, i nigdy panu nie przebaczę, że pan tak nie doceniał mnie, a tak przeceniał siebie!

- Nie ma co, bez dwóch zdań, uwielbiam to dziecko - rzucił w przestrzeń bogaty, przystojny, elegancki i czarujący obiekt wielu kobiecych westchnień i uczuć, Armand Gauthier.

- Och, niech pan przestanie! - ostrzegła go bez entuzjazmu Callie, a potem mówiła dalej, niemal bez przerw na zaczerpnięcie powietrza. Nie spuszczała ani na moment oczu z twarzy Simona, słowa jej płynęły coraz szybciej, a głos podnosił się -wraz z narastaniem gniewu i frustracji. - Potem przekazał mnie pan swojej słodkiej, ale skandalicznej matce, która przekonana jest, że przygotowuje mnie do roli synowej. Naprawdę powinniście państwo porozmawiać sobie na ten temat, jak mi się zdaje, ponieważ ja nie przyjąłabym pana nawet wtedy, gdyby podano mi go na srebrnej tacy z jabłkiem wepchniętym w paszczę.

- Można by pomyśleć, że to moje własne, rodzone dzieciątko, prawda, Simonie? - zaszczębiotała wicehrabina, patrząc na Callie z niemal wniebowziętą miną.

Dziewczyna przewróciła oczami w reakcji na to, że jej przerwano.

- Imogeno, proszę panią! - Uniosła wyprostowaną rękę, tym razem celując w fortepian. - Nasz Kościej... nie będzie mi pan miał za złe, jeżeli będę mówiła o panu Kościej, prawda? Tak myślałam. No więc Kościej wyznaczył sobie rolę usłużnego, acz pesymistycznego obserwatora. - Tu odwróciła się, by spiorunować wzrokiem drugiego z mężczyzn. - A pan, panie Gauthier, i nadal będę się tak do pana zwraca-

ła, gapi się na mnie od dziesięciu minut i posunął się pan przed chwilą do tego, że oświadczył, iż mnie kocha, chociaż nie przyssał się pan do mojej dłoni tak, jak to dzisiaj rano zrobił pan, milordzie.

- Przyssał? - Armand wymówił to słowo bezgłośnie, przez cały czas uśmiechając się do wicehrabiego, i Callie miała ogromną ochotę trzepnąć go w ucho.

- A teraz pan, Simonie Roxbury! - ciągnęła, piorunując Z kolei wzrokiem wicehrabiego, dobrze już rozgrzana. - Ma pan rozliczne wady, a jest ich zbyt wiele, by je wymieniać; do tego teraz, gdy na horyzoncie straszy bal, który rzekomo pana matka chce wydać dla mnie, pan, a raczej wy -wszyscy zmówiliście się, by wypłoszyć stąd mojego sepleniącego, plującego tancmistrza o mokrych rękach, który uczył mnie liczyć: „i rrraz, dwa, tsy”. Co prawda nie ma to najmniejszego znaczenia, zrozumcie państwo, ponieważ ten wasz plan po prostu spali na panewce. Odchodzę!

I z tymi słowy - przy czym Kościej siedział z niedomkniętymi ustami, ten irytujący Armand cicho klaskał, wicehrabina miała zaskakująco potulną, a nawet przygnębioną minę, Simon piorunował ją wzrokiem i wyglądał tak, jakby miał ochotę albo dać jej lanie, albo ją pocałować (zastanowi się nad tym później w dylizansie jadącym do Sturminster Newton), a w drzwiach nie wiadomo skąd pojawił się Lester ze sterczącą z ust połową czekoladowego ciastka - Callie uniosła spódnicę o dobre trzy cale nad kostki, minęła swojego przyjaciela i z kompletnym lekceważeniem elegancji wyszła, tupiąc nogami, z pokoju muzycznego.

- No i doprowadziliście ją do wściekłości, prawda? - usłyszała, jak Lester beszta zebranych, kiedy zatrzymała się o kilka stóp dalej w holu, usiłując złapać dech i równocześnie przełykając ślinę, co miało pomóc w zepchnięciu w dół serca, które podeszło jej do gardła. - A ja akurat przyprowadziłem do domu Scarlet. I co mam z nią teraz zrobić?

Scarlet? Kto to jest Scarlet? Callie wytknęła głowę zza rogu i zerknęła w kierunku foyer na parterze. Zobaczyła ładniutką uliczną handlarzkę, stojącą obok wyraźnie speszzone-

go Roberta, który ścisnął w dwóch palcach coś, co przypominało zdechłego szczura; Scarlet na szyi miała zawieszoną drewnianą tacę, na której piętrzyły się ciastka.

Można było liczyć na to, że Lester Plum zrujnuje to wspianiałe, dramatyczne wyjście!

- Lesterze? - zapytała, ostrożnie cofając się o kilka kroków, aż to dość bezmyślnie uśmiechnięte stworzenie zniknęło jej z oczu. Odwróciła się do przyjaciela, zęby miała zaciśnięte, a w oczach mord. - I co ty teraz nam, u diabła, narobiłeś?

A potem wybuchnęła łkaniem, co było równie zaskakujące dla niej, jak szokujące dla jej przyjaciela, i popędziła na górę po schodach, by rzucić się na łóżko i tam dalej płakać.

Dziwne! Żeby taką dysputę miał toczyć
akurat Tweedledum i Tweedledee.

- John Byron

10

Jeżeli istniał jakiś bardziej niesympatyczny sposób na spędzenie całej godziny, to Simon nie potrafił go sobie przypomnieć, siedząc we własnym gabinecie i słuchając, jak przyjaciele od serca i ukochana matka złorzeczą mu za jego gruboskórne, niemiłosierne, szkaradne, nonszalanckie, lekceważące i niemal że zbrodnicze potraktowanie tej słodkiej, młodej panienki, Caledonii Johnston.

- Nie ma innego wyjścia, Simonie - uroczyście skonstatawałam w końcu Bartholomew Boothe, który wyraźnie podjął decyzję w imieniu wszystkich obecnych. - Będziesz ją musiał odesłać do domu.

Po tym oświadczeniu na twarzy Brocktona pojawił się pierwszy i jedyny uśmiech, na jaki udało mu się zdobyć, od momentu kiedy zaczął się ten niefortunny incydent, ponieważ matka, Armand i nawet Lester - ten ostatni miał pewne kłopoty z mówieniem, jako że wcześniej zapchał sobie usta czekoladowym ciastkiem - wszyscy odwrócili się w tej samej chwili do Boothe'a i przemówili jednym głosem, chociaż ich wypowiedzi były demaskująco niepodobne do siebie.

- Och, nie sądzę, Kościeju. Przecież ona weźmie po prostu swój pistolet i znowu wyprawi się na polowanie na Filtona, przypomnij sobie tylko, jakie przyczyny miały te nasze praktyki - powiedział Armand, skłaniając głowę w kierunku wciąż jeszcze trwającej w nieświadomości wicehrabiny, która pojęcia nie miała, że Simon wykorzystuje Callie, by rozerać swą matkę.

- Odesłać ją do domu? Rozum ci odjęło, człowieku? Kie-

dy wszystko idzie tak wspaniale? - zaplula się niemal wicehrabina.

Prawa brew wicehrabiego podjechała do góry.

- Wspaniale, matko? Przed chwilą twierdziła mama, że cała sprawa nabrała cech typowych dla katastrofy o rozmiarach biblijnych. I, o ile dobrze pamiętam, obwiniała mama o to mnie.

Imogena zbyła zarzut podrzuceniem głowy.

- Zdarza mi się przesadzać. Wiesz o tym. Nie wypominaj mi teraz moich wad, Simonie.

- A czy ja też musiałbym wyjechać? - zamęczał Lester Plum, potrząsając żałośnie głową. - Tylko nie mówcie, że musiałbym, przecież akurat tak słodko wszystkim spływam.

- Mówi się: opływam we wszystko, Lesterze - poprawił go Simon gładko i wstał, by zasygnalizować, że dyskusja skończona. Pochylił się do przodu i oparł dłonie na biurku.

- To nas do niczego nie doprowadzi - powiedział następnie, z największym natężeniem wpatrując się w swoją ukochaną matkę, która już otwierała usta, najwyraźniej gotowa kontynuować potępiającą syna tyradę. - Idę na górę, porozmawiać z tą smarkulą.

Bartholomew z mądrą miną pokiwał głową.

- Idziesz ją przeprosić, pokajać się, włożyć wór pokutny i posypać głowę popiołem. To powinno zadziałać. Choć nie mówiłbym do niej „smarkula”, Simonie. Jest w tym jakaś sprzeczność.

- Spróbuję to zapamiętać, Kościeju - obiecał mu Roxbury, obszedł biurko i stanął przed Armandem Gauthierem. - No? Wykrztuś to z siebie. Widzę, że masz coś do dodania.

- Pójdiesz do jej sypialni? - zapytał tylko Gauthier, biorąc ze stołu dwie kostki do gry i zaciskając wokół nich palce z taką siłą, że mu ręka zbielała. - Bez przyzwoitki?

- Nie bądź idiotą, Armandzie! - odparł Simon, w którym ponownie zatliła się iskra gniewu. - Panny Johnston i mnie nie łączy nic oprócz wspólnego pragnienia, żeby zniszczyć Noela Kinseya.

Armand popatrzył na niego trzeźwo.

- Tak powiadasz, przyjacielu, tak powiadasz, a Bóg ci świadkiem, że nigdy nie kłamiesz, nawet sobie samemu. - Podniósł się również, schludnie obciągając mankiety surduta. - Opuszczę was teraz, jeżeli pozwolicie, jako że właśnie przypominałem sobie, iż jestem umówiony z moim spowiednikiem. Gdybyś zapragnął poznać jego adres, Simonie, wystarczy, że prześlesz mi liścik. Kościeju, czy idziesz ze mną?

- Idziesz do spowiednika? - zapytał skonsternowany Boothe. - A po cóż miałbyś coś takiego robić?

- Ponieważ ten spowiednik jest pewnie oberżystą w jakiejś nędznej speluncie na drugim końcu Bond Street - warknął Brockton z rozdrażnieniem. Matka patrzyła na niego z promiennym uśmiechem, który powodował, że wicehrabia miał coraz większą ochotę strzelić w oblicze swego przyjaciela Armanda o obrotnym języku. Tylko jeden zdrowy, solidny cios, żeby zmodyfikować tę porozumiewawczą minę, która dodawała odwagi jego i tak już mającej swoje ambicje matce i umacniała w niej przekonanie, że jednak istnieje bardzo duża szansa na związek syna z Caledonia Johnston.

- Pozwolę ci bawić u niej przez kwadrans, synu, nie więcej - oświadczyła wicehrabina, łapiąc Simona za rękę, kiedy chciał przejść obok niej. - Mogę się bawić w Kupida, ale niech mnie piorun spali, jeżeli pozwolę z siebie zrobić rajfurkę.

Wicehrabia głęboko zaczerpnął powietrza i popatrzył po kolei na wszystkich obecnych.

- Zaczynam się zastanawiać, czy upadek Noela Kinseya jest tego wart - powiedział, a potem wyszedł rozwścieczony, żałując, że nie może opuścić Anglii z następnym odpływem, jak to zrobił Byron, który bardzo mądrze zdecydował, że chwilowo ma dość Londynu.

- Milordzie? Chyba powinienem panu coś powiedzieć - zawołał za nim Lester. - Jej się zdarza rzucać różnymi rzeczami - ostrzegł go po przyjacielsku.

- Będę o tym pamiętał - odrzekł Simon i nie zwalniając ani na moment kroku, wyszedł do holu, gdzie zobaczył, że Roberts wciąż jeszcze stoi przy okrągłym stole i przygląda

się szpecącemu jego do połysku wypolerowany blat, czarnemu szkaradzieństwu.

- I co ja mam z tym zrobić? - zapytał lokaj, pokazując je palcem. - Emery mówi, żeby to dać Silsby'emu, ale on bo-ki zrywał ze śmiechu, więc chyba nie powinienem.

Wicehrabia wpatrywał się przez chwilę w leżący na stole przedmiot, potem wziął go i schował do kieszeni.

- Proszę, Roberts, jeden problem mamy rozwiązany. A co Emery zrobił z tą młodą kobietą?

- Ze Scarlet? - zapytał służący, a twarz mu się rozjaśniła w szerokim uśmiechu. - Zabrał ją do kuchni, wielmożny panie, tak jak rozkazała pani wicehrabina i jak ja sam już wcześniej zarządziłem, bo przecież dobrze wiem, jak jaśnie pani uwielbia pyszne ciastka i różne takie. Jaśnie pani mówiła, że nie będzie pan miał tego za złe, ponieważ wielmożny pan jest zachwycony, kiedy może opróżnić sobie kieszenie dla służby, a podatek od niewiast jest o całe dwa funty rocznie niższy niż od mężczyzn. - Coś mu nagle przyszło na myśl i zmarszczył brwi. - Nie będzie pan nas chyba chciał wszystkich powymieniać na niewiasty, wielmożny panie? Gdyby wielmożny pan musiał zacząć się liczyć z pieniędzmi czy coś takiego?

- Tylko w jednym wypadku, a mianowicie, gdybyś poczuł gwałtowną potrzebę udzielania mi rad, jak mam postępować z panną Johnston, Robertsie - przestrzegł go Simon i skrzyknął na schody.

- Och, ja, w żadnym wypadku, wielmożny panie! - zapewnił go służący z przekonaniem. - Ale to prawda, że sły-szałem, jak Emery mówił do Silsby'ego, że cały dom nie był-by postawiony na głowie, gdyby ta eksten... ekcetry...

- Ekscentryczna, Robertsie - usłużnie podsunął wicehra-bia, zdumiony własną wyrozumiałością.

- Tak, wielmożny panie, dokładnie tak. To jest to, co po-wiedział Emery. On mówił, że nie byłoby takiego zamiesz-a-nia w domu, gdyby ta eks-cen-tryczna młoda panna mogła sobie trochę pobyc w towarzystwie innych młodych panie-nek, pooglądać to, co ciekawe, powybierać wstążki i koron-ki, i różne takie, bo przecież przez cały dzień nie ma nic do

roboty, tylko kręcić młynka palcami. Czy to panu pomoże, wielmożny panie?

- Będę o tym pamiętał, Roberts - obiecał głucho Simon, wcale niezdziwiony faktem, że postępowanie pana domu stało się tematem ogólnej dyskusji w pomieszczeniach dla służby. - Będę o tym pamiętał. - W nagłym zniecierpliwieniu, by raz na zawsze skończyć z tą śmieszną sytuacją, popędził po dwa schody na górę, kierując się do sypialni Callie. Zapukał w drewniane drzwi z całym urokiem i subtelnością, jaką wykazuje armia biorąca szturmem bramy wrogiego miasta.

- Och, idź sobie, Lesterze! - zawołała Callie z zamkniętych drzwi. - Nie znajdziesz w całej Anglii tylu czekoladowych ciasteczek, żebym ci przebaczyła ten twój ostatni wygłup.

- Zgadzam się, smarkulo - powiedział Roxbury, który wcale nie był zadowolony, że w swoim własnym domu musi bez końca czekać na korytarzu. - Należy już tylko podjąć decyzję, czy go zastrzelimy, czy powiesimy. Proszę mnie wpuścić, a porozmawiamy, jak go ukarać.

- Simon... lord Brockton? - w zwykłe kusząco niskim głosie dziewczyny dało się słyszeć coś w rodzaju pisku. - To pan puka do moich drzwi?

- Nie zniżę się do udzielania odpowiedzi na to, co oczywiste. A teraz proszę otworzyć drzwi, zanim będę musiał uciec się do żenującego dla obu stron rozwiązania i poprosić Emery'ego, żeby przyniósł mi klucz.

Usłyszał lekki szelest po drugiej stronie drewnianej taflki, a następnie klamka opadła, drzwi uchyliły się i w powstałej szparze pojawiła się głowa Callie.

- Żenujące dla których obu stron, milordzie? Dla pana i Emery'ego? Bo ja w najmniejszym stopniu nie czuję się zażenowana. Jestem zła! Najbardziej na pana!

- Płakała pani - powiedział Simon, zauważywszy, że jej wielkie, zielone oczy są lekko podpuchnięte; i nagle poczuł, że jako dżentelmenowi nie pozostaje mu nic innego, jak tylko pójść i poderżnąć sobie gardło. Nie miał pojęcia, że jej żałość aż tak go wzruszy. - Ani przez chwilę nie zamierzałem doprowadzać pani do płaczu, Callie - zapewnił uczci-

wie i, kiedy puściła drzwi i cofnęła się, wszedł do pokoju gościnnego.

- A ja ani przez chwilę nie zamierzałam płakać i nie ulega kwestii, że zepsuło mi to cały dzień - odparła i usadowiła się wysoko na łóżku, tak że jej stopy huśtały się nad podłogą. - Chciałam ukarać pana za to, że traktuje pan mnie jak dziecko, a oczekuje, że będę się zachowywała jak kobieta, panu nad głową rozdzwonią się dzwony triumfalne i odejdzie pan jako zwycięzca. - Przechyliła głowę na bok i popatrzyła na niego pytająco. - Czy to zdanie ma choć odrobinę sensu, milordzie?

- Simonie - poprawił ją; marzył, żeby usiąść obok niej, ale równocześnie wiedział, że to ostatnie miejsce, na którym powinien się znaleźć. Że ten pokój to ostatnie miejsce, w którym powinien przebywać. Że takie sam na sam z Callie Johnston było nie tylko nieroztropne, ale i niebezpieczne. - I przepraszam.

- Za co? - podsunęła mu znacząco, a w jej oczach zapaliły się iskierki. Mogła czuć się przygnębiona wydarzeniami tego dnia, wydarzeniami kilku ostatnich dni, ale werwy nie straciła, i Simon zaczynał zastanawiać się, dlaczego ta cholerna dzierlatka ogranicza się do mieszkania pod jego dachem, a jeszcze wszystkim nie rządzi. Z pewnością starczyłoby jej inteligencji, odwagi i śmiałości, żeby zawojować większość Anglii, a nie tylko dom pod numerem czterdzieści dziewięć przy ulicy Portland.

Grzeszne skłonności wzięły górę i wicehrabia, na pewien czas odsyłając sumienie do wszystkich diabłów, przeszedł przez pokój i usiadł na atłasowej narzucie obok Callie. W końcu byli już przyjaciółmi, prawda?

- Od czego powinienem zacząć? - zapytał, przypominając sobie ich fatalny, poranny wypad do Richmond Park, który w ogóle nie powinien mieć miejsca, oraz swój plan doprowadzenia hrabiego Filtona do ruiny, który powinien być pozostać jego planem i którego nie należało naginać tak, by pozornie objął tę niewinną, choć ekscentryczną, młodą dziewczynę.

Callie patrzyła na niego przez chwilę - zdążył w tym czasie ponownie uświadomić sobie, jaka jest piękna na swój własny, niepowtarzalny sposób - a potem potrząsnęła głową.

- Wszystko jedno - powiedziała - pewnie tak czy owak bym panu przebaczyła. Wydaje mi się, że wina w równym stopniu leżała po obu stronach, jako że oboje chwilowo zapomnieliśmy, po co zawieraliśmy przymierze. Tylko że tak długo trzeba czekać na wcielenie tego planu w życie. Czy myśli pan, że udałoby się nam przekonać pana Pinabela, żeby tu wrócił?

- Och, na pewno wróci - stwierdził Simon z przekonaniem, sięgnął do kieszeni i wyciągnął matowo czarne paskudztwo, które wcześniej zabrał ze stołu w holu - chociażby po to, żeby odzyskać tę rzecz. Wychodził z takim pośpiechem, że za nim nie nadążyła.

Callie wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła jednym palcem kępki czegoś, co Brockton w głębi duszy uważał za końskie włosie.

- Co... co to jest? O mój dobry Boże, widziałam to już wcześniej! To włosy pana Pinabela!

Simon podniósł tupecik na czubku palca, żeby dziewczyna mogła mu się lepiej przyjrzeć.

- Pewnie był załamany, kiedy przez te podatki pełne, pudrowane peruki wyszły z mody - powiedział w zamyśleniu i roześmiał się, chociaż zakładał przecież, że dyskusja z Callie będzie poważna.

- Proszę mi to pokazać! - Wyrwała mu tupecik, zeskoczyła z łóżka i podeszła do toaletki. Przyklepała sobie peruczkę na czubku głowy i mocno pochyliła się, by podziwiać własne odbicie, równocześnie wykrzykując: - I rrraz-dwa-tsy! I rrraz-dwa-tsy! Nie, panienecko, to było strasne! - Wykrzywiając się komicznie, przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę. Wreszcie zdjęła peruczkę i odwróciła się, by spojrzeć na wicehrabiego. - Och, to rozkoszne! Czy przypuszcza pan, że brwi miał również z końskiego włosia? Czy myśli pan, że jest łyśy jak melon?

- Moglibyśmy pozastanawiać się nad tym, gdybyśmy

mieli ochotę. Jeśli chodzi o mnie, ochoty nie mam - rzekł Simon z całą powagą, jaką udało mu się z siebie wykrzesać; ale okazało się, że potrafi powstrzymać się od uśmiechu. - Jednak to przypieczętowało sprawę, smarkulo. Ten człowiek tu nie wróci. Ile razy bym na niego popatrzył, przypominałbym sobie, jak pani wyglądała w jego tupecie. Muszę mieć na względzie własną reputację, a nie dodałoby mi to ani trochę powagi, gdybym tarzał się po podłodze, trzymając się za brzuch i wyjąc jak wściekły pies.

Callie uśmiechnęła się szeroko, podeszła znowu do łóżka i oddała Roxbury'emu tupecik, a potem usiadła.

- Wygląda mi na to, że zostałam bez tancmistrza - powiedziała, zerkając na niego spod oka. - A może dałoby się skłonić pana Gauthiera, by zgłosił się na ochotnika na mojego nauczyciela? Czy poprosi pan go?

- Jak diabli w piekle zaczną jeździć na łyżwach - wymamrotał Simon pod nosem, nerwowo chowając tupecik do kieszeni. Słyszając odpowiedź, Callie zachichotała. - Znowu pani flirtuje, smarkulo. Wie pani o tym, prawda?

- Och, nie mam cienia wątpliwości, Simonie - oznajmiła, a wicehrabia uświadomił sobie, jak wielką przyjemność mu sprawia to, iż wargi Callie wypowiadają jego imię. - Chciałam zobaczyć, jak pan zareaguje, kiedy wspomnę o panu Gauthierze. Uważam, że jest dosyć sympatyczny, chociaż w nieco irytujący sposób. Zupełnie jakby miał swoje własne racje, by postępować tak a nie inaczej, i jakby uważał, że całą resztę świata stworzono dla jego osobistej rozrywki. I wydaje się dosyć tajemniczy, jakby znał jakiś dowcip, którego nie zna nikt inny.

- Właściwie to nawet dosyć wierny jego opis - przyznał wicehrabia. - Ale z wielkim powodzeniem stosuje swoje sztuczki wobec kobiet, niech więc pani uważa.

Callie spoważniała.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że ktoś mógłby go potraktować poważnie - rzekła, potrząsając głową. - Nie mogłabym przecież wierzyć mężczyźnie, który twierdzi, że się we mnie zakochał, zetknąwszy się ze mną dopiero drugi raz.

- On tak powiedział? - zapytał Simon, bacznie ją obserwując; w głębi serca cieszył się, że ta niedoświadczona kobieta-dziecko potrafiła przejrzeć grę Armanda, gdy tak wielu wyrafinowanym damom to się nie udało. - Kiedy?

Callie machnięciem ręki zbyła jego pytanie.

- To bez znaczenia, ponieważ tylko się ze mną droczył. Podobnie jak pan dziś rano w parku.

Brockton wbił wzrok we wzorzysty dywan pod nogami; wiedział, że ta nauka flirtu, ten intymny pocałunek, który złożył na dłoni dziewczyny, nie były li tylko lekcją udzieloną przez niezaangażowanego nauczyciela. Ale Callie, która na wylot przejrzała Armandowe flirtowanie, zdecydowała się nie wnikać głębiej w to, co kierowało Simonem. A on, niestety, się na to zdecydował. I nagle poczuł się jeszcze bardziej nieswojo niż wcześniej, i z każdą chwilą ogarniały go coraz większe wątpliwości co do tego, jakie właściwie ma plany względem ten dziewczyny.

- Pan Gauthier ma niesłychanie interesujący akcent - zauważyła Callie i zaczęła wymachiwać nogami, dzięki czemu wicehrabia zauważył poniewczasie, że pomimo stwarzania pozorów wyrafinowania, chodzi ona na bosaka. - Chwilami wydaje mi się, że musi być Francuzem, a potem, że Anglikiem, a nawet Amerykaninem. Emery powiedział mi o nim kilka rzeczy, ale tylko z ogromnym trudem mogłabym w nie uwierzyć.

- Armand chował się w Nowym Orleanie, w Ameryce - odrzekł z roztargnieniem Simon, niemal bez reszty zajęty podziwianiem widoku okrytych pończochami paluszków Callie i jej delikatnych kostek oraz wspomnianiem, jakie długie i kształtne wydawały się nogi panny Johnston, kiedy odgrywała rolę młodego mężczyzny. - A przynajmniej tak mówi.

- A przynajmniej tak mówi? - powtórzyła Callie. - Panu nie wierzy?

- Byłbym ostatnim osłem, gdybym wierzył - odparł Brockton - zważywszy na to, z jaką rozkoszą Armand opowiada różne niestworzone historie. Najbardziej pustogło-

wym damom z *ton* te opowieści wydają się wysoce atrakcyjne, co, jak mi się zdaje, bawi Armanda.

- I pan Gauthier celowo to wszystko zmyśla?

- Jego naprawdę cieszy wykorzystywanie słabostek bliźnich - przytaknął Simon - ale na ogół w towarzystwie zadowolona się rolą obserwatora, a nie uczestnika. Na ogół.

- Ale w tej akurat chwili nie - bardziej stwierdziła, niż zapytała Callie, dowodząc swej bystrości i inteligencji. - Nie trzyma się z daleka i nie ogranicza do przyglądania się naszym planom dotyczącym Noela Kinseya. Nie pochwała ich, prawda?

- Bywał już bardziej zadowolony - przyznał wicehrabia, a kiedy spuścił oczy, zobaczył, że dziewczyna impulsywnie położyła mu dłoń na ręce. - Chyba sądzi, że może pani się stać jakaś krzywda.

- Co za bzdura! - zaprotestowała Callie, która najwyraźniej nie dostrzegąca żadnego niebezpieczeństwa ani w planach Simona, ani w jego obecności w jej panińskiej sypialni. - Mam chodzić na bale i rauty, i sztuki. Mam tańczyć i flirtować, i nęcić hrabiego moim nieistniejącym posagiem, i tak go w sobie rozkochać, żeby pan mógł go oskubać przy kartach i uwolnić od majątku. Nic nie mogłoby być bardziej proste czy mniej niebezpieczne. Jakim cudem mogłaby mi się stać krzywda?

- Mogłaby pani zakochać się w Armandzie - podsunął Roxbury, bacznie jej się przyglądając.

- Zakochać się w... czy to dlatego przyszedł pan tu na górę? Żeby mnie przestrzec przed panem Gauthierem, jakbym była jedną z tych głupiutkich panienek z towarzystwa, które bez wahania uwierzą komuś tak rażąco nieszczeremu, jak pana rozmyślnie tajemniczy przyjaciel? Ależ to niemądre!

- On jest bogaty, przystojny, inteligentny, miły... to znakomita partia, Callie.

Dziewczyna przewróciła oczami.

- Oprócz tego jest nieszczerzy i zajęty tylko sobą, i zdecydowanie zbyt gładki, żeby mi się miał podobać. Coś jeszcze? Czy może w tej sprawie już pana uspokoiłam?

- Albo mogłaby pani z wdzięczności zakochać się we mnie - ciągnął Simon, aż do bólu świadom bliskiej obecności dziewczyny, świadom jej zapachu, urzekającej urody, wdzięku. A starał się oprzeć jej powabowi, od chwili kiedy odkrył to zuchwałe stworzenie w swoim powozie. Podupadając na duchu, stwierdził, że jeżeli ona porówna go teraz z Armandem albo ze swoim bratem Justynem, albo nawet ze swoim zacnym i spokojnym przyjacielem Lesterem, to spokojnie może zacząć gdzieś na stronie usychać i marnieć.

Przyglądał się, jak Callie zaciska wargi, jak zwilża je czubkiem języka.

- To jest nadzieja Imogeny, a nie moja - szepnęła i odwróciła wzrok, kiedy wicehrabia ujął jej dłoń i zaczął ją gładzić kciukiem, dokładając przy tym wszelkich starań, by zignorować fakt, iż jego serce wykonało właśnie coś w rodzaju salta. - Chyba w głębi duszy nie wierzy pan, że mogłabym coś takiego zrobić, nawet gdybym chciała sprawić przyjemność pana matce, którą naprawdę ubóstwiam?

- Nie wiem - odpowiedział uczciwie Brockton. Jego nadzieje wykazywały nadal niczym nieuzasadnione tendencje wzrostowe. - Mojej matce nie brak dziwacznych pomysłów.

- Te jej żółte włosy - szepnęła Callie, próbując się uśmiechnąć, lecz bez efektu.

- Jej gorsety - odpowiedział usłużnie Simon, nadal gładząc kciukiem dziewczęcą dłoń; pod zaciśniętymi na szczupłym nadgarstku palcami czuł przyspieszanie pulsu, jego własne serce reagowało podobnie.

- Wiara w to, że odkryte przez Lestera czekoladowe ciasteczka nie będą miały na nic żadnego wpływu, jeżeli schowa je w swojej sypialni i będzie je jadła po kryjomu. - Spuściła oczy na ich złączone dłonie. - Czy mógłby pan przestać, proszę?

- Nie. Przekonanie, że tytuł matrony i wicehrabiny-wdowy to los gorszy od śmierci.

- Przekonanie, że zniosłaby jakoś te tytuły, gdyby ożenił się pan ze mną. - Spojrzała na niego znowu, jej szeroko otwarte, zielone oczy patrzyły błagalnie i tylko troszkę niespokojnie. - Dlaczego nie?

- Bo sprawia ci to przyjemność - odparł wicehrabia, a głos jego opadł do cichego szeptu. - Bo mnie to sprawia przyjemność. Bo jestem cholernym idiotą.

Callie nie przestawała na niego patrzeć.

- O.

- No właśnie. O - powtórzył miękko, pociągnął delikatnie za trzymaną dłoń i przyciągnął dziewczynę bliżej do siebie, nie przestając zaglądać jej przy tym głęboko w oczy; odpowiadała mu pytającym spojrzeniem. - Diabli nadali - jęknął nagle i dał się ponieść chwili, a przyszłość odesłał tam, gdzie było jej miejsce, to znaczy daleko, bardzo daleko od tego zwariowanego, cudownego Teraz. Ostrożnie zbliżył usta do warg Callie, przekonał się, że pasują do siebie idealnie. Jej ciało również było dokładnie takie, jak trzeba, miękko wtulało się w ramiona Simona, który obejmował je coraz mocniej. W końcu zamknął dziewczynę w ramionach tak szczelnie, jakby cała należała już do jego świata, a teraz stawała się cząstką jego samego.

Ale Teraz nie trwało długo, realistyczny obraz przyszłości stanowczo zbyt szybko wdarł się w myśli wicehrabiego. W tej wizji jego przeszłego życia nie było miejsca na Caledonię Johnston, a to szaleństwo mogło się skończyć tylko i wyłącznie jakąś katastrofą. Zwłaszcza kiedy Callie dowie się, że ją oszukał, każąc wierzyć, iż naprawdę gotów był narazić jej niewinność na zetknięcie się z Noelem Kinseyem.

Oderwał usta od jej ust i przytulił jej głowę do ramienia, próbując odzyskać oddech i zdrowe zmysły.

- To szaleństwo - mruknął ochryple. I zamknął oczy, kiedy usłyszał swój drżący głos i zorientował się, że ma poważne kłopoty z przypomnieniem sobie, jak się właściwie oddycha.

- Ale nie musi pan tego mówić z taką złością, milordzie. - Dziewczyna oparła dłonie na jego piersi i usiłowała go odepchnąć. - A może po prostu obawia się pan, że może tu wejść Imogena i zacząć paplać o sukniach ślubnych? Nie jestem taką całkiem głupia, wie pan, a to, co pan teraz zrobił, wykracza daleko poza dopuszczalne zachowanie.

Pchnęła go mocniej i tym razem udało jej się wymknąć, bo uścisk ramion Simona zelżał po tych słowach.

- No - powiedziała, spoglądając na niego tak, jakby sprawdzała, jaki rozmiar trumny będzie mu potrzebny, i jakby rozkoszowała się myślą, że to na nią spadł obowiązek wykonania egzekucji - to z pewnością ostudziło pana zapały, milordzie, prawda? Zaczyna mi się wydawać, że z was dwóch Armand Gauthier jest mniej groźny. Doprawdy, jeżeli jakaś młoda dama ma wejść w towarzystwo z wyższych sfer, to nie tyle powinna ćwiczyć się w dyganiu i eleganckim zostawianiu wizytówek, ile w szermierce i strzelaniu z pistoletów.

Roxbury gwałtownie potarł czoło dłonią, usiłując równocześnie nakłonić swój mózg do znalezienia chociaż jednej konkretnej odpowiedzi, którą właściciel mózgu zdołałby wykrztusić zdrętwiałymi wargami. Ale nie udało się. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna znalazł się w impasie, nie znajdował słów, a zapędziła go w ten kozi róg młodziutka dziewczyna!

- Proszę panią o wybaczenie, Caledonio - rzekł w końcu, podnosząc się z łóżka... przez cały czas siedział na jej łóżku! No, to z pewnością był pierwszy błąd. Nie. To, że przyszedł do jej sypialni, to był pierwszy błąd. Nie! To, że wymyślił ten zwariowany plan, to był początkowy błąd. Powinien był odesłać ją do ojca z sugestią, by ten przywiązał ją do słupka przy łóżku, jak tylko córka wpadnie mu w ręce. Tak właśnie powinien być zrobić.

A dlaczego tak nie postąpił? Ostrzegał go Armand. Ostrzegał go Kościej. Co prawda Kościej zawsze ostrzegał przed wszystkim, od spania przy otwartym oknie począwszy, a skończywszy na spożywaniu jakiegoś niewątpliwie podejrzanego mięsa, które pani domu kazała na przyjęcie obtoczyć w panierce i zalać maskującymi sosami. Panierka? Sosy? O czym on właściwie myśli? Dlaczego wciąż jeszcze jest w tym pokoju? Dlaczego jeszcze nie zszedł na dół i nie zażył trucizny?

- Callie, ja...

- Prosi mnie pan o wybaczenie? No to go pan nie dostanie! Nie dam go panu! - oznajmiła dziewczyna, również zeskakując z łóżka. - I co pan teraz powie?

Simon patrzył na nią, jak stoi, trzymając się pod boki; odkryte pończochami stopy wyglądały spod rąbka sukni, połyskliwe loki spletały się przy policzkach, zielone oczy lśniły czymś pomiędzy słusznym oburzeniem a dziką radością, że dzięki niej znalazł się w niemożliwym do obrony położeniu; odrzucił nagle głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

- Dobry Boże, Callie! - wyrwało mu się szczerze, nagle ogarnął go beztroski nastrój, czuł się młody i niewiarygodnie żywy. - Gdybym był Armandem, powiedziałbym, że się w pani zakochałem!

Panna Johnston przyglądała mu się zmrużonymi oczami przez trzy uderzenia serca. Potem skwitowała jego wypowiedź kiwnięciem ślicznej główki i oświadczyła stanowczo:

- Ha!

- Ha! - powtórzył Brockton, zaskoczony więcej niż tylko odrobinę.

- Tak, Simonie, ha. Ha, ha, ha! - odrzekła, idąc w kierunku drzwi. - Powiedziałyby pan wszystko, żeby tylko mnie tu zatrzymać, żeby dowieść, iż Armand Gauthier nie ma racji, i żeby Kościej mógł panu powtarzać, że źle pan postępuje. Zrobiłby pan wszystko, żeby tylko Imogena miała zajęcie i żeby panu nie wchodziła w drogę, kiedy będzie pan się zajmował swoimi, obojętnie jakimi sprawami. I nadal chce pan zniszczyć Noela Kinseya, a do tego potrzebuje pan mnie. To dlatego powiedział pan to, co powiedział. Równie oczywiste jest, dlaczego zrobił pan to, co pan zrobił: jest pan nędznikiem, kanalią i prawdopodobnie człowiekiem godnym pogardy! I daję panu pięć sekund, lordzie Brockton, na opuszczenie mojego buduaru, bo jak nie, to poskarżę się pana mamie. Nie żartuję!

Simon poczuł, że przygasa w nim podniecenie i konsternacja, a na ich miejscu pojawia się narastający gniew.

- Może pani wodzić Lestera za kółko, które mu pani założyła do nosa - wycedził ze złością. - Może pani doprowadzić do tego, że moja matka będzie tak tańczyła, jak pani zagra, a wszyscy moi służący będą piali na pani temat i mówili mi, co powinienem zrobić, żeby była pani zadowolona,

ale niech mnie piorun spali, jeżeli będzie mi pani mówiła, co mam myśleć! Nic dziwnego, że pani ojciec tak gładko przełknął te wszystkie absurdalne kłamstwa mojej matki i zostawił panią tutaj, w Londynie: pewnie to pierwsze spokojne dni w jego życiu, od kiedy się pani narodziła

- Proszę się natychmiast wynosić! - rozkazała Callie, sięgając po małą figurkę mleczarki z wiadrem. - Nie mogę znieść pana widoku! A jeżeli chociaż przez jedną chwilę myślał pan, że byłem do pana dobrze usposobiona, kiedy mnie pan całował, to w życiu się pan tak nie pomylił!

- O nie nic z tych rzeczy - ostrzegł ją Roxbury, kiedy unosiła figurkę; ujął ją za rękę i przyciągnął mocno do siebie tak że Callie niemal dech w piersiach zaparło. - A teraz, smarkulo, może mi powiesz, że to cię nie porusza! - warknął, po czym zgniótł jej usta w mocnym pocałunku.

I z miejsca coś eksplodowało w głębi jego czaszki, z hukiem, który nie byłby chyba większy, gdyby Callie udało się rozbić mu tę figurkę na głowie, a nie upuścić ją na dywan, gdzie wylądowała z głośnym stukotem.

Na ich pierwszy pocałunek zareagował dużo spokojnie,, nie było porównania z tym, co czuł teraz, z tym nagłym głodem z tym pragnieniem, by natychmiast ją mieć, posiadać ją, już nigdy jej nie wypuścić. A kiedy Callie wsunęła dłoń pod jego rękę i zacisnęła mu je z tyłu w pasie, był stracony.

Nie była miękka i ustępliwa, jak wcześniej, ale płaciła mu pięknym za nadobne, wtulała się w niego niemal gniewnie, dopasowywała się do niego - czy zdarzyło się już kiedyś, by dwoje ludzi tak dobrze do siebie pasowało? - pozwalała mu wtargnąć językiem do swych ust.

Simon musnął rękami jej talie, potem zaczął wędrować nimi w górę po płaskich żebrach, aż dotarł do jędrnych, małych doskonałych piersi. Kciukami dotknął sutków przez cienki materiał sukni. Callie westchnęła mu prosto w usta i rozpoczęła pojedynek na języki, skutkiem czego prysnęły resztki przytomności umysłu, jakimi jeszcze dysponował, ulotniło się też całe życiowe oddanie zdrowemu rozsądkowi.

Nie miał pojęcia, jak długo ten ktoś, kto stał za drzwiami sy-

pialni, w nie pukał, zanim go usłyszeli. Callie musiała usłyszeć pukanie w tym samym momencie. Równocześnie odsunęła się od siebie, ona ze wzrokiem wbitym w podłogę, a on z oczami utkwionymi w sufit, jakby chciał prosić niebiańską opatrność o wyjaśnienie, co się właściwie, u diabła, tutaj stało.

- O co chodzi? - zawołał, chociaż równie dobrze mógł pytać o dzień, miesiąc i rok, bo czuł, że nie wie nic, że zapomniał o wszystkim na świecie poza dotykiem, zapachem i smakiem Caledonii Johnston.

- To pana matka, pani wicehrabina, wielmożny panie - usłyszał, jak Emery woła z drugiej strony grubych, drewnianych drzwi. - Jaśnie pani kazała mi powiedzieć, że zawsze była za tym, by patrzeć przez palce, kiedy sytuacja rozwija się zadowalająco, ale dla pana nie będzie szła do piekła, jeżeli wybaczy pan wyrażenie.

Simon popatrzył na Callie, która podeszła do toaletki i usiadła na skraju taboretu; minę miała taką, jakby właśnie przeżyła potężny wstrząs.

- Lepiej już pójde - powiedział cicho.

Dziewczyna tylko kiwnęła głową, unikając jego spojrzenia.

- Wie pani, będziemy o tym musieli porozmawiać.

Ponownie przytaknęła.

- Kiedyś, innym razem.

Znowu tylko to kiwnięcie głową.

- Ja -

Głowa Callie gwałtownie się uniosła, dziewczyna popatrzyła na niego oczami pełnymi łez.

- Jeżeli powie pan, Simonie Roxbury, że jest panu przykro, to obedrę pana ze skóry za pomocą nożyka do masła!

Tym razem przyszła na niego kolej, żeby kiwnąć głową, i zrobił tak, a potem odwrócił się i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Czy wszystko w porządku, wielmożny panie? - zapytał Emery, kiedy Brockton przystanął tuż za drzwiami, ponieważ uswiadamił sobie, że fular ma prawie rozwiązany; przypomniało mu się, że w pewnym momencie w jego fałdy wplątały się palce Callie. - Pani wicehrabina mówiła, że ta

młoda panienska tęskni za domem i że pan poszedł z nią porozmawiać. Ona od nas nie odjedzie, prawda, wielmożny panie? Wszyscy tam na dole polubiliśmy ją, i pana Pluma też.

- Naprawdę? - Simon z trudem wierzył swoim uszom, słysząc, jak nieoficjalnie odzywa się Emery.

- O, tak, wielmożny panie, to prawda. Panna Callie wniosła do tego domu trochę życia, że tak powiem, i nie pozwala jaśnie pani mieszać się za bardzo do naszych spraw. Zwłaszcza Roberts bardzo przywiązał się do panny Całlie, od kiedy jaśnie pani więcej czasu poświęca przymiarkom i takim różnym, a mniej próbom przechytrzenia go na każdym kroku. Naprawdę byłaby to wielka szkoda, gdyby panienska miała odjechać.

Wicehrabia popatrzył z namysłem na lokaja.

- Od jak dawna służysz u mnie, Emery? - zapytał, w tym samym stopniu zaszokowany, co uradowany przemową kamerdynera.

- Byłem lokajem ojca wielmożnego pana, niech spoczyna w spokoju, wielmożny panie, i patrzyłem na pana od dziecka.

- Tak, tak mi się wydawało. A przecież nie przypominam sobie, żebyś choć raz przez cały ten czas zachował się tak... powiedzmy... poufale.

- Tak, wielmożny panie - odrzekł kamerdyner, wyprostował się jak struna i wrócił do charakterystycznej dla siebie sztywności. - Czy mam się pakować, wielmożny panie? - zapytał z bólem w głosie.

Simon odwrócił się i popatrzył na zamknięte drzwi do sypialni Callie. Przypomniał sobie ich pocałunek. Przypomniał sobie kłamstwo, które ciągle wisiało między nimi. Potrafił wyobrazić sobie reakcję Callie na wieść, że właśnie ręcznie doprowadził do upadku Filtona, nie dopuszczając jej do działania. Potem odwrócił się znowu do kamerdynera z żalosnym uśmiechem na twarzy.

- Pod warunkiem, że będę mógł odejść z tobą, Emery - powiedział, kierując się do swego pokoju. - Tylko pod takim warunkiem.

Księga trzecia

Przyjaciele i wspólnicy

Lecz nadleciała ogromna wrona,
Ptak czarny i wielce okrutny,
I tak bohaterów strwożyła ona,
Że zapomnieli o kłótni.

- Charles Lutwidge Dódgson
(przekł. M. Słomczyńskiego)

Te wdowy, panie, to chyba najbardziej przewrotne stworzenia na świecie.

- Joseph Addison

11

Przez całe dwa długie dni i tyleż nocy Callie poważnie zastanawiała się, czy nie wracać do domu. Po pierwsze, co ona w ogóle robi tutaj, w Londynie? Miała powód, żeby przyjechać do stolicy, ale tylko jeden powód, a mianowicie chciała postrzelić Noela Kinseya, hrabiego Filtona.

Całkiem proste przedsięwzięcie, jeżeli rozumuje się tak jak Caledonia Johnston.

Ale nie. Musiała wkraść się do niewłaściwego powozu. Musiała trafić prosto na Simona Roxbury'ego, wicehrabiego Brockton. A on z kolei musiał okazać się najbardziej nieznośnym, irytującym, denerwującym i wścibskim osobnikiem ze wszystkich, którzy w pozycji wyprostowanej chodzili po zielonej ziemi dobrego Pana Boga. Mało, że tak długo się przymilał, aż namówił ją, by zrezygnowała ze swej misji, ale wetknął jeszcze swój elegancki, arystokratyczny nos w jej sprawy, a potem - co było już najbardziej upokarzające - przejął kontrolę nad nią, nad jej planami, nad wszystkim!

Jak to się stało, że ona mu na to pozwoliła? Nie należy przecież do tych, którzy za kimś podążają, wręcz przeciwnie. A gdyby ktoś sądził inaczej, wystarczy zapytać Lestera Plumę, który pewnie siedzi właśnie w buduarze wicehrabiny i omawia z nią w najdrobniejszych szczegółach francuskie ciasta, rozkosze podniebienia, jaką dają śmietanowe sosy, oraz menu na dzisiejszy wieczór, przez cały ten czas opychając się czekoladowymi ciasteczkami znakomitej Scarlet Upwode.

Noel Kinsey, obiekt mściwych rozmyślań Callie, przebywa nie wiadomo gdzie. Nie ma tego wrednego osobnika w mieście od dwóch tygodni. To już długo. Wystarczająco długo, żeby Callie została obdarowana nową garderobą, by spadła na nią plaga w postaci takiej ilości lekcji dobrych manier, że nawet ogłuszony wół poddałby się z pokorą, żeby wicehrabina obarczyła ją nadziejami, związanymi z matrymonialną przyszłością swego syna, a jakby tego było mało, by zawrócił jej dokładnie w głowie tenże wstrętny, nieznośny Simon Roxbury, który był nie lepszy, niż można się spodziewać, a pewnie nawet dużo gorszy.

Jak to się stało, że jej gniew przerodził się w zainteresowanie, a zainteresowanie w przelotne - o tym była głębokob przekonana - zadurzenie, z obfitą domieszką irytacji? Doznała chwilowego zmacenia serca i umysłu, które doprowadziło do tego, że ona - ona! - ukryła się w swojej sypialni, niczym jakaś omdlewająca pannica. Zwierzyła się nawet wicehrabinie, kłamiąc przy tym całkiem bezczelnie, że przyszła na nią miesięczna słabość, która tak jej dokucza, że nie jest w stanie opuścić swoich pokoi.

Nie była. tchórzem! Ani niczym podobnym! Ale jeżeli nie, to dlaczego nadal się kryje, zamknąwszy na klucz drzwi pomiędzy sobą a względną swobodą poruszania się po pozostałej części rezydencji przy ulicy Portland? Dlaczego marnuje czas, leżąc i czytając głupawe czasopisma albo tkwiąc przy oknie, jak jakaś potępiona dusza, gapiąc się na ulicę i żałując, że nie znajduje się na zewnątrz, w nikłym świetle słońca, które rozlało się nad Londynem, jak tylko położyła się do łóżka?

Powinna zamordować Simona. Nie, morderstwo było dla niego za dobre! Powinna wykorzystać jedną kartę z planów, jakie mieli wobec Noela Kinseya, tak właśnie powinna postąpić. Powinna za niego wyjść za mąż, naprawdę poślubić Simona Nieznośsława Roxbury'ego, ot co. Poślubić go i bardzo, bardzo dobrze o niego dbać, żeby dożył lat stu, a nawet więcej, i codziennie, karany przez nią, cierpiał.

Bo faktem było, że trafił jej do serca. Głęboko. Dotknął

jakiegoś miejsca, którego istnienia nawet nie podejrzewała, takiej miękkiej, gąbczastej cząstki jej osoby, która mniej myślała o rehabilitacji ukochanego brata, Justyna czy zemście na znenawidzonym Noelu Kinseyu, a więcej o miodowych pocałunkach, słodkich uściskach i długich nocach spędzanych na pogrążaniu się w ekstazie, obiecywanej przez pocałunki Simona i jego pieszczoty.

I oczywiście właśnie dlatego go nienawidziła.

Och, jak bardzo chciała móc go nienawidzić!

- Dobre wieści! - powiedział Bartholomew, przerywając gwałtownie samotność Simona, separację od rodziny i przyjaciół, którą sam sobie narzucił, a która trwała przez dwa długie dni i dwie niemal bezsenne noce, spędzone w towarzystwie karafki z brandy.

Wicehrabia z ciekawością popatrzył na przyjaciela, potem za jego plecami dostrzegł Armanda, który właśnie wchodził do gabinetu; pełen zadowolenia uśmiech na twarzy tego ostatniego niemal skłonił go do tego, by dźwignąć swe znużone ciało z fotela, przejść przez pokój i rozłożyć go na łopatki.

- Dobre wieści? - powtórzył, zastanawiając się, jakim cudem jego język mógł przez jedną noc pokryć się futrem, a potem potarł nieogolony policzek. Miłosierny Boże, jak nisko może jeszcze człowiek upaść?

Sam nie wiedział, co bardziej kazało mu szukać dna karafki. Czy ta katastrofalna wizyta u Callie? Czy może widok Silsby'ego, którego, wróciwszy wczoraj wieczorem na chwiejnych nogach do własnej sypialni, przyłapał na tym, jak przymierza tupecik Odo Pinabela na gwałtownie łysiejącą głowę? Czy może słuchanie wyjaśnień kamerdynera, że ktoś o imieniu Scarlet zamieszkał przy ulicy Portland i że Silsby niczego tak nie pragnie, jak zrobić na niej wielkie wrażenie?

Czy dawniej jego kawalerskie gospodarstwo było również takie dziwaczne? Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważył?

Bartholomew, najwyraźniej rozdrażniony tym, że nikt nie zwraca nie niego uwagi, nie przestawał wymachiwać gazetą Simonowi przed twarzą.

- Miałem rację, Armandzie. On tego nie widział. Mówiłem ci. Pewnie już od kilku dni gazety w rękach nie miał, pijaczyna nieszczęsna, od tej chwili, kiedy tak zdenerwował biedną pannę Johnston, a nam wszystkim kazał się wynosić. Nie przebaczyła ci jeszcze, stary przyjacielu, prawda? To teraz przebaczy ci na pewno! - zakończył i strzelił gazetą o biurko, na co Roxbury skrzywił się, bo ból mało mu nie rozsadził czaszki.

- Co to jest? - zapytał, przyciągając do siebie gazetę. Podniósł ją, przebiegł wzrokiem kilka słów i zadał sobie w myślach pytanie, od kiedy to przestał umieć czytać. Właściwie pamiętał tylko jedno, że pija wyłącznie szampana i że narzucił sobie to ograniczenie nie bez powodu. Po brandy, jeżeli pozwolił sobie na więcej niż jeden kieliszek, czuł się zawsze fatalnie. Gorzej niż fatalnie. Tragicznie. Poczul, że zbiera mu się na beknięcie, i zatuszował je kaszlem.

- Piekło i szatani! - utyskiwał, patrząc na Armanda. - Zamierzasz mi pomóc czy wolisz stać i szczyrzyć zęby jak jakiś niedźwiedź?

Gauthier zajął miejsce przed biurkiem, zginając swą długą postać i sadowiąc ją w fotelu, a potem założył nogę na nogę.

- Jest tak, jak powiada Kościej, Simonie. Dobre wieści. Dokładnie to, na co czekaliśmy, a przynajmniej tak nam mówiłeś własnymi ustami. Zobaczyłem ostatnio te sprawy w innym świetle. Panna Johnston jednak pewnie dopiero w ciągu ostatnich dwóch dni doszła do tej samej konkluzji, co ja, i uświadomiła sobie twoją perfidię, chociaż tak dzielnie z tym walczysz. Czy potraktowała cię z pogardą? Czy w ogóle jeszcze tutaj jest? Czy zamknęłaś ją na klucz w pokojach i założyłaś na drzwi ciężką sztabę? Ponieważ nie możesz jej wypuścić, Simonie. Nie teraz, kiedy zaczynasz przekonywać się, że Imogena przez cały czas miała rację.

- A idźże do wszystkich diabłów, Armandzie - mruknął

tępo Brockton i ukrył twarz w dłoniach. - I jeśli choć odrobinę mnie lubisz, nie biegnij do Imogeny. Ponieważ się mylisz. Całkowicie się mylisz. W każdym przypadku.

- Nadal walczysz z tym, co nieuniknione, jak widzę. Fatalna sprawa - powiedział Gauthier, wzdychając teatralnie. - Szkoda.

- Walczy z tym, co nieuniknione? Dlaczego szkoda? O czym wy dwaj mówicie? - zapytał Bartholomew, ponownie chwytając gazetę. - Czy nikt z tu obecnych nie chce usłyszeć dobrych wieści? Ciotka Filtona wzięła i puściła ostatnią parę! W zeszłym tygodniu, ściśle mówiąc. Tak mi się zdaje, że już ją zdążyli ułożyć do snu w krypcie rodzinnej.

Roxbury popatrzył na Armanda, który tylko pokiwał głową, mrugnął i rzekł:

- Ta kobieta umarła, Kościeju. A ty uznajesz to za dobre wieści?

- *Z pewnością nie dla samej ciotki, Armandzie* - zgodził się z nim Boothe i w końcu padł na fotel, oszczędzając Simonowi konieczności przyglądania się, jak miota się po pokoju niczym bardzo zdenerwowane ptaszysko. - Ale ona była stara, Armandzie. Śmiertelnie stara. A starzy ludzie umierają, taka jest kolej rzeczy: muszą robić miejsce młodszemu, rozumiecie?

- Zapewniam cię, że rozumiem, Kościeju - rzekł Brockton; miał wrażenie, że właśnie wróciła mu drobna cząstka dobrego humoru. - Chociaż nigdy nie słyszałem, by ktoś naturalny porządek rzeczy opisywał w ten akurat sposób, jako nieuniknione zasiedlanie nieruchomości wciąż od nowa. A więc ciocia nie żyje. A gdzież podziewa się szacowny Filton, ciekaw jestem? Jak sądzicie, czy powróci do Londynu, jak obiecywał, czy też pograży się w żałobie?

- Czy pograży się w żałobie? Zrobi tak pod jednym warunkiem, że ciocia nie zostawiła mu swego majątku. A jeżeli nie zostawiła, to bez świeżego dopływu gotówki bardziej niż kiedykolwiek będzie się spieszył z powrotem do Londynu, prawda? Jednak miejmy nadzieję, że względu na twój plan, że nie napełniła mu kieszeni - zakończył swój wywód Gau-

tier w chwili, gdy wszedł Roberts, balansując dwoma kieliszkami wina na srebrnej tacy. - Ach, dziękuję wam, zacny człowieku. Tego właśnie naszemu skromnemu zgromadzeniu brakowało. Nie poprosiłem o wino dla ciebie, Simonie - wyjaśnił, kiedy Roberts wyszedł z pokoju. - Czy miałbyś ochotę na kieliszek szampana, czy może wystarczy wiadro zimnej wody na głowę?

Roxbury przyglądał mu się zwężonymi oczami.

- Panna Johnston powiada, że jesteś dosyć sympatyczny, choć w nieco irytujący sposób. Wiesz, niech mnie piorun strzeli, jeżeli przynajmniej częściowo się z nią nie zgadzam.

- A mnie niech piorun strzeli, jeżeli chociaż w połowie rozumiem, co wy do siebie mówicie - poskarżył się Bartholomew, potrząsając głową i patrząc spode łba na przyjaciół. - No więc? Co teraz zrobimy?

Simon również potrząsnął głową, mając nadzieję, że mu się w niej rozjaśni, i z ulgą zauważył, że nie powypadały mu gałki oczne z oczodołów, co z łatwością mogło się zdarzyć. Zmrużył oczy i spojrzął na zegar nad kominkiem.

- Co teraz zrobimy? Ponieważ minęło już południe, proponowałbym, byście wy dwaj posiedzieli tutaj, a ja w tym czasie pójdę na górę i dam się odrestaurować Silsby'emu, a potem wszyscy trzej przejedziemy się obok rezydencji Filtona. Jeżeli na drzwi wróciła kołatka, będziemy wiedzieli, że możemy zacząć realizować mój plan. Zgoda?

- A więc ona już nauczyła się tańczyć? - zapytał Bartholomew, który najwyraźniej nadal przekonany był, że Callie ma swoje miejsce w tym planie, chociaż już z dziesięć razy tłumaczono mu, że tak nie jest. Kościej był zacnym człowiekiem, ale wnikanie w szczegóły sprawiało mu nieco problemów. - To dobrze. Już się tym martwiłem.

- Diabli nadali! - mruknął Simon. Walnął pięścią w blat biurka i skrzywił się, poczuwszy, jak jego zęby puszczają się w tan. Podniósł się z fotela i ruszył do drzwi. - Przyniosłeś mi egzemplarze dzisiejszej gazety, jak zakładam, Kościej u? Będę musiał kazać spalić mój własny, zanim Cal... to jest panna Johnston go zobaczy. Jak się dowie, że Filton wrócił

do miasta, nic jej nie powstrzyma. Będzie chciała z miejsca, już dziś dołączyć do towarzystwa i pewnie na dodatek uprze się, by tego zatraconego drania zaprosić na swój bal.

- Nie uda ci się dziś wieczorem wciągnąć panny Johnston w wir imprez towarzyskich, nawet gdybyś tego chciał, Simonie. Pamiętaj, że jest niedziela - przypomniał mu Armand, odchylając się do tyłu na krzesło, by popatrzeć na przyjaciela, kiedy ten mijał go rozwścieczony. - Jak każdej niedzieli będzie się ciebie spodziewała prześliczna lady Lloyd. Ponieważ zawiodłeś tę panią już w zeszłym tygodniu, zastanów się dobrze, zanim ją ponownie obrazisz. Jeśli wbi-je sobie do głowy, że porzuciłeś ją dla jakiejś młodziutkiej, prowincjonalnej panienki, sponsorowanej przez twoją matkę, może nam narobić kłopotów. Wątpię, by pannie Johnston potrzebne były tego rodzaju problemy, kiedy będzie wchodziła w towarzystwo w... jak to było?... w nagrodę za zabawianie twojej matki.

Na wzmiankę o swojej kochance wicehrabia stanął jak wryty i gwałtownie odwrócił się, by spojrzeć na Gauthiera.

- Masz rację. Pannie Johnston nie są potrzebne takie komplikacje. Zapomniałem zupełnie o tej kobiecie. Choler-ny świat, będzie się mnie dziś wieczorem spodziewała, a ja chciałbym dopaść Filtona i zacząć mu opróżniać kieszenie.

Zamyślił się, odczuwając zadowolenie, że w głowie zaczy- na mu się rozjaśniać.

- Sheila zawsze uważała cię za atrakcyjnego mężczyznę, Armandzie - powiedział po chwili lekko i potoczyście. - Chodzi mi o to, że przecież musimy mieć wzgląd na nasz plan dotyczący Filtona?

- Nasz plan, Simonie? - uśmiechnął się Gauthier. - Od kiedy to kilka moich lekcji kantowania przy kartach zmie- niły tę przygodę w nasz plan?

- To ty uczyłeś Simona, jak oszukiwać? - wykrzyknął naj- wyraźniej strapiiony Bartholomew. - Naprawdę tak zrobi- łeś? Och, to chyba nie było całkiem w porządku, tak mi się zdaje. A tobie?

- Nie oszukiwania, a przynajmniej nie w dokładnym te-

go słowa znaczeniu. Raczej umiejętności orientowania się, kiedy i w jaki sposób się to robi, Kościeju - poprawił go wicehrabia, który marzył już o tym, żeby się znaleźć na górze i zanurzyć się w wannie z gorącą wodą. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, że udałoby mi się pokonać Filtona podczas czystej gry, ale Armand zdecydował, że przydałaby mi się jeszcze drobniotka przewaga, jeżeli mam sprowadzić ruinę na człowieka, który kantuje przy kartach.

- A my... jako że ten plan stał się teraz naszym planem... chcemy oskubać Filtona, okryć go wstydem i pozbyć się go z miasta, zanim nasza droga panna Johnston wejdzie na firmamencie towarzystwa? - zapytał Armand, poganiając Simona w kierunku drzwi. - No to bierzmy się do dzieła. Im szybciej będziemy mieli Filtona z głowy, tym szybciej będę mógł przyglądać się prawdziwej zabawie. A żadna ilość lekcji, mój zacny przyjacielu, nie uchroni cię przed tą zbliżającą się rozgrywką.

- Armandzie, ostrzegam cię...

- Och, i będę za ciebie bawił szacowną lady Lloyd - przebrał mu Gauthier, a potem popatrzył na Boothe'a. - W przyszłym tygodniu może z kolei Kościej zajmie się tą drogą niewiastą. Prawda, Kościeju?

Obydwaj popatrzyli na chudego przyjaciela, który siedział na swoim fotelu z otwartymi ustami.

- Kościeju? - zapytał żartobliwie wicehrabia. - Czy nie masz nic do powiedzenia?

Bartholomew z kłapnięciem zamknął usta, otworzył je znowu, podniósł palec, jakby chciał im na coś zwrócić uwagę, a w końcu tylko potrząsnął głową i dopił resztkę wina.

- Pokrzepiające - wycedził Armand, a ostatki bólu głowy Simona ulotniły się.

Roberts podał wicehrabinie wachlarz dokładnie w chwili, kiedy zaczynała mówić:

- Wiesz, jak się tu pali na kominku, to okropnie się robi gorąco i...

Był najwyraźniej uszczęśliwiony, że znowu udało mu się

uprzedzić życzenie jaśnie pani, zanim zdołała je ubrać w słowa, i skłonił głowę przed Callie w podziękowaniu za jej milczącą pochwałę dla tak szybkiego refleksu.

- Robi się dużo za dobry w te klocki i dużo za bardzo zadowolony z siebie - rzędziła Imogena, kiedy Roberts wyjątkowo sprężystym krokiem wyszedł z salonu, zostawiając wicehrabinę, Callie i Lestera skupionych wokół tacy z herbata. Lester przedłożył ich towarzystwo nad towarzystwo wicehrabiego i jego dwóch gości, którzy spędzili przy ulicy Portland większość dnia.

Callie wciąż jeszcze czuła się podenerwowana. Była podenerwowana przez cały czas w trakcie obiadu, zwłaszcza że Armand Gauthier spoglądał na nią zagadkowo, a Bartholomew Boothe po prostu się gapił i niemal nie spuszczał z niej wzroku, dopóki na stole stała zupa. Zupełnie jakby się spodziewał, że dziewczyna weźmie w ręce miseczkę i zacznie z niej pić, albo jakby bez jej wiedzy po drodze z sypialni, gdzie ostatni raz rzuciła na siebie okiem, do jadalni wyrosła jej nie wiedzieć jakim sposobem druga głowa.

Wszystko to było bardzo tajemnicze, ale i absorbujące, więc miała niewiele czasu, by patrzeć na drugą stronę stołu, gdzie u szczytu siedział Simon. Jadł niewiele, popijał czystą wodę, rzadko się odzywał i sprawiał wrażenie, iż czuje się równie skonfundowany i nieszczęśliwy, jak ona.

Ta myśl, jak dotąd, była główną atrakcją dnia.

- Jego lordowska mość nie wygląda najlepiej, prawda? - zapytała, kiedy wicehrabina podawała jej filiżankę z herbata. - Niemal nie tknął kiełbi w sosie kardynalskim, a były przepyszne. I bardzo był milczący w trakcie obiadu, a chociaż taka odmiana po ciągłych oracjach jest miła, może trochę zaniepokoić, kiedy już zwróci się na nią uwagę. Czy nie należałoby mu zaordynować jakiegoś syropu wzmacniającego?

- Ha! - prychnęła wicehrabina i dotknęła dłonią jaskrawożółtych splotów na głowie; madame Yolanda zaproponowała jej wprawdzie śliczny odcień brązu, bardziej odpowiedni dla podeszłej w latach jaśnie pani, lecz Imogena w ostatniej

chwili się znarowila. - To nie syropu temu chłopcu trzeba, powinien raczej porządnie dostać po głowie. Zagląkanie do flaszki jeszcze nigdy żadnemu z nich dobrze nie zrobiło, tak zresztą powiedziałam jego ojcu tego dnia, kiedy dowiedział się, że odkryłam, iż posyła bukieciki pewnej tancerczce z Covent Garden. Taka mała tupecziara, przednie zęby wystawały jej nawet wtedy, kiedy szczelnie zamknęła buzię. Szczerze mówiąc, nigdy nie potrafiłam zrozumieć, co w niej było pociągającego. Ale zapamiętaj sobie dobrze, moja droga, jak się chłopcu porządnie przygrzeje w ucho, to na pewno zwróci na ciebie uwagę. Lesterze, czy byłbyś tak dobry i otworzył okno? Kochany chłopiec.

Wicehrabina z trzaskiem otworzyła wachlarz i zaczęła wymachiwać nim sobie pod brodą.

- Oczywiście tancerczka pojawiła się, zanim porządnie przygrzałam mojemu kochanemu w ucho. Pobraliśmy się w dwa tygodnie później i nigdy już, do samej śmierci, na żadną inną kobietę nie spojrzął, niech odpoczywa w spokoju - zakończyła i puściła oko do Callie, która wyczuwała, że jeszcze chwila, a uraczona zostanie następną porcją związanych ze swataniem aluzji.

Ale uratował ją Lester, niech mu Bóg da zdrowie.

- Jak to jednak możliwe, jaśnie pani? - zapytał ze szczerym zainteresowaniem. - Żeby zamknąć usta i żeby zęby nadal wystawały? Chce pani powiedzieć, że tak jak kły? Callie, co ma kły? Lwy? Tygrysy? Mój Boże, węże! Czy jaśnie pani znowu sobie dowcipkuje, Callie? Musi żartować, prawda?

Wicehrabina przewróciła oczami, a potem popatrzyła z sympatią na Pluma, wyciągając równocześnie spomiędzy obfitych piersi obszytą koronką chusteczkę i przyciskając ją lekko do skroni. Jej przywiązanie do tego chłopaka było równie oczywiste, jak zrozumiałe. W końcu Lester i ona stanowili pokrewne dusze, przynajmniej pod względem gastronomicznym. Podarowała mu nawet nowy komplet ubrań w podziękę za to, że sprowadził do jej domu Scarlet.

- Nie zastanawiaj się nad tym, kochany Lesterze - pora-

dziła mu życzliwie, nadal wachlując zaczerwienioną twarz.

- Od takich głębokich myśli może cię tylko głowa rozboleć. Zastanów się zamiast tego nad czekającą nas batalią podczas gry w wojnę. Wiesz, wygrywałam przez ostatnie trzy wieczory, więc najwyższy czas, żeby i tobie dopisało szczęście przy kartach. Albo to, albo pora na jakąś nową grę. Ja tak kocham gry.

Na wzmiankę o kartach myśli Callie przeniosły się lotem strzały do Noela Kinseya, nadal nieobecnego Noela Kinseya, i tego, jak zamierzała go potraktować, chociaż cała sprawa stanowczo już za bardzo się odwlekała.

- Czy pan Pinabel powróci jutro, Imogeno? - zapytała, przypominając sobie o zbliżającym się balu i o tym, że czeka ją jeszcze opanowanie kroków walca. Zresztą tak czy owak nie wolno jej tańczyć walca, dopóki nie pojawi się w Almacku i nie otrzyma zezwolenia od jego patronek. Ale gwałtownie zaczynało im brakować czasu, jako że tego popołudnia przyszedł karnet do Almacka; było to sensacyjne osiągnięcie Imogeny, która jakimś cudem dopięła swego i nie wahała się pisać z zachwytem nad tym przez blisko godzinę, niemal nie przerywając, by nabrać powietrza w płuca.

Chociaż i tak nie udałooby jej się pewnie ani razu głębiej odetchnąć, bowiem miała na sobie któryś ze swoich gorse-tów; nie przestawała ich nosić, a równocześnie nie przestawała jeść i jeść, i jeść. Callie przygryzła dolną wargę, patrząc na wicehrabinę, która siedziała na krześle sztywno wyprostowana, całkowicie unieruchomiona przez fiszbiny wszyte w gorset, który Kathleen ściągnęła ciasno w talii.

W tej akurat chwili kolejne ciasteczko śliwkowe znajdowało się w pół drogi do ust Imogeny, która zrobiła taką minę, jakby zauważyła w nim robaki i spodziewała się, że lada moment gdzieś odpełzną. Przybladła nagle, co było dostrze-galną zmianą w porównaniu z jej wcześniejszymi rumieńca-mi, na spopielałych policzkach ostro rysowały się placki różu. Czoło pokryła jej cieniutka warstewka potu, skórę nad górną wargą również.

- Imogeno? Czy dobrze się pani czuje? - zapytała Callie

nerwowo i zarazem z rezygnacją, gdyż wiedziała, co teraz nastąpi. Skinęła na Lestera, żeby przesiadł się na kanapę i przysunął bliżej do starszej damy. To pewnie to drugie ciasteczko z suszonymi śliwkami. Dobry Boże, przecież właśnie zjedli taki posiłek, że jedno powinno każdemu wystarczyć w zupełności. - Imogeno?

- Coraz cieplej i cieplej - zauważyła śpiewnie wicehrabina i mrugając oczami, uśmiechnęła się do dziewczyny. - I tyle ślicznych kolorów...

- Na lewą burtę, Lester! Łap ją! - rozkazała Callie i zerwała się z krzesła, kiedy uśmiech Imogeny przybladł, a oczy uciekły pod powieki. Uniosła spódnicę, wybiegła do holu i zobaczyła, że po schodach wchodzi właśnie wicehrabia z przyjaciółmi. - Simonie! Imogena zemdłała! - zawołała, po czym odwróciła się na pięcie i popędziła do salonu, gdzie okazało się, że nieprzytomna wicehrabina przyduśiła Pluma do oparcia kanapy.

- Niech jej pani rozsznuruje gorset - polecił Brockton, wbiegając do pokoju; najwyraźniej z miejsca zorientował się, w czym problem, ale nie miał ochoty sam się tym zajmować, skoro obecna była osoba płci żeńskiej, która mogła zastąpić go przy wypełnianiu tak wstydliwego obowiązku.

- A wy wszyscy tak będziecie tu stali? - fuknęła Callie, piorunując go wzrokiem. - Och, Imogena byłaby tym zachwycona, jestem pewna. Na litość boską, Simonie, niech pan uratuje Lestera, a potem niech pan każe wszystkim stąd iść. I niech ktoś przyprowadzi Kathleen.

Od tej chwili wszystko działo się bardzo szybko. Kochający syn dźwignął Imogenę ponownie do pozycji siedzącej, Armand i Bartholomew wyciągnęli spod niej zasapanego Lestera, którego niemal zmiażdżyła jej bezwładna masa, bez wątpienia niemarta. Potem trzech mężczyźni wyszli z pokoju albo raczej uciekli, termin zależałoby pewnie od tego, kto opisywałby wydarzenie, pomyślała Callie. Wicehrabia ukląkł na podłodze przed matką, podtrzymując ją od przodu, żeby Callie, przechylając się nad oparciem kanapy, mogła zacząć rozpinąć guziki i rozwiązywać tasemki.

- To już drugi raz w ciągu dwóch dni, donieśli mi przecież, że zemdłała wczoraj w pani pokojach - utyskiwał Simon, a jedno z piór, którymi przybrana była matczyzna głowa, dźgało go w oko. - Dlaczego, na litość boską, ona się upiera przy tych idiotyzmach...

- Obydwoje wiemy, dlaczego to robi - przerwała mu Callie i zaczęła mamrotać pod nosem, bo jej palce napotkały wielki supeł na tasiemkach gorsetu. Następnie, uświadomiwszy sobie, że nie wolno jej powiedzieć prawdy i ujawnić dość przyziemnych powodów, dla których Imogena nosi gorset - bo jakże mogłaby powiadomić syna, że jego matka chce, by ktoś ją wziął do łóżka? - uciekła się pospiesznie do półprawd. - Ona nie chce zostać wicehrabiną-wdową i uważa, że musi wyglądać młodo i ślicznie, jeżeli ma złapać męża. Przez jakiś czas myślała, że nie będzie jej ten tytuł przeszkadzał, bo pan ożeni się ze mną... wie pan, ona mnie naprawdę lubi i wierzy, że ja bym jej nie oddała do takiego wdowiego domu... no i gorsety zniknęły. Ale teraz wróciły, i to na poważnie.

Przerwała na moment, żeby spiorunować go spojrzeniem.

- Czy nie mógłby pan przynajmniej trzymać jej bez ruchu? Mam diabelne kłopoty z tymi sznurówkami.

- W każdej chwili możemy się zamienić miejscami - zaproponował przez zaciśnięte zęby wicehrabia; górna połowa potężnego ciała matki, odziana w żółciutką jak masa jajeczna, ałasową suknię, otulała go niczym omlet a la wicehrabina. - Czyżby chciała pani powiedzieć, że Imogena wybiła już sobie z głowy marzenia o skojarzeniu nas dwojga? Nie wierzę w to - zakończył stanowczo.

- Ja również nie - syknęła Callie i znowu skupiła uwagę na tasiemkach. - Nadal jest zdania, że los nas sobie przeznaczył. A chociaż ją tak uwielbiam, nie potrafię podważyć tego przekonania. Jednak dopóki my *dwoje* będziemy tacy niemądrzy i nie dostrzeżemy tego, co jej się wydaje takie oczywiste - dodała, przypominając sobie, że chcąc chronić Imogenę, musi trzymać się różnych żenujących kłamstw, w które Simon z łatwością uwierzy - ona będzie upierała się przy

małżeństwie, które uchroni ją przed etykietką starej kobiety. Chociaż w to również nie wierzę. Wydaje mi się, że pana matka chce doprowadzić do tego, żebyśmy się pobrali z samego poczucia wstydu i uratowali ją od życia, na które będzie składało się omdlewanie i trafianie twarzą prosto w pudding albo tracenie przytomności na spacerze w parku.

- Czy może pani równocześnie mówić i pracować? - zapytał z rozdrażnieniem Brockton, który wytężył wszystkie siły, by matka nie zsunęła się na podłogę. - Ten atlas jest śliski i muszę się cholernie starać, żeby mama nie wymknęła mi się z rąk.

- Ależ oczywiście - fuknęła Callie, czując, jak narasta w niej irracjonalny gniew i wbijając palec wskazujący pod następną napiętą tasiemkę. Nie rozmawiali ze sobą od dwóch dni, a teraz mówią o Imogenie? Jak on śmie! Mężczyźni! Byli kompletnie pozbawieni uczuć! - Poza tym już niemal skończyłam i jedno, i drugie. A więc, jak mówiłam... chociaż ta nasza wcześniej wzmiankowana głupota w pełni usprawiedliwia jej włosy... i jej gorsety... i te bezsensowne pióra... i te śliskie suknie - ciągnęła, sapiąc i rozluźniając kolejno długi szereg mocno zaciągniętych tasiemek - w najmniejszym stopniu nie usprawiedliwia pochłaniania przez nią w takich ilościach kiełbi w kardynalskim sosie... ani pasztetu z ostryg... ani gęsi na zielono... ani owoców kandyzowanych... ani całych stosów tych czekoladowych... no! Skończyłam! Może pan ją teraz położyć.

Jej również zabrakło tchu, oparła się więc ciężko o korpę, kładąc przedramiona na drewnianej poręczy, i popatrzyła w dół na wicehrabinę, która spoczywała na poduszkach; na policzkach starszej kobiety pojawił się już cień rumieńca, powoli wracała do przytomności. Zaczęła obracać głową na boki i cicho pojękiwać. Potem jej powieki zatrzepotały i uniosły się.

- Simon - powiedziała i uśmiechnęła się do syna, nadal klęczącego obok niej, a następnie wyciągnęła upierścienioną dłoń i przesunęła palcami po pasemku ciemnych włosów, które opadło mu na czoło, a może zostało tam zrzucone

przez jedno z piór. - Czy ty nie jesteś po prostu uroczy? Wiesz, jesteś. Całkiem uroczy.

Mimowolny i szybko zduszony chichot Callie zwrócił uwagę wicehrabiny, która uniosła dłoń do włosów, mierzwiąc pióra jeszcze bardziej.

- O, hej, Callie. Co ty tu robisz? - Następnie zmarszczyła czoło i popatrzyła na sufit. - A co ja tu robię? Gdzie ja jestem?

- Gdzieś w pół drogi między dwoma wydarzeniami: albo zostanie mama wysłana pod dozorem na wieś, albo siłą odholowana do Bedlam - poinformował ją sucho syn, powoli się podnosząc. - Mama zemdląła. Znowu.

- Naprawdę? O rety, pewnie tak.

- Tak, Imogeno... ojej - beształa ją Callie, poprawiając rozwichrzone pióra, co tylko pogorszyło sprawę, bo Brockton właśnie pochylał się, by pocałować matkę w policzek; wynik był taki, że następne pióro dźgnęło go w oko. Callie postanowiła zignorować ciche przekleństwo wicehrabiego. - Imogeno, to musi się skończyć, słyszy mnie pani? Po pierwsze, jest pani stanowczo za mocno zbudowana, by mdleć. Wygląda pani niemądrze, trochę jakby dog próbował udawać małego, nerwowego mopsika, jeżeli wybaczy pani porównanie. A tym razem mało brakowało, a zadusiłaby pani Lestera. Po drugie, może pani złapać męża na różne sposoby, ale przecież nie wywracając się na niego, prawda?

Wicehrabina najpierw się wykrzywiła, a potem wybuchnęła niskim, grzmiącym śmiechem, który zaczynał się gdzieś w trzewiach i od którego trzęsły się jej ramiona.

- Masz rację, Callie. Wielki dog. Albo wielkie, potężne drzewo, które próbuje grać rolę delikatnego krzewu róż. To porównanie bardziej mi się podoba, chociaż rozumiem, co miałaś na myśli. Wyjdź za naszego Simona, a z miejsca z tym skończę. Słowo daję. Pewnie zadowolę się byciem matroną i babcią, może nawet zacznę hodować kwiatuszki albo inną taką głupotę, i zrezygnuję z wszelkich planów, żeby złapać sobie jakiegoś wspaniałego...

- Imogeno! - wtrąciła się pospiesznie Callie, wiedząc, że

wicehrabina, wciąż jeszcze nieco oszołomiona omdleniem, ma właśnie zamiar powiedzieć coś takiego, po czym poczerwieniały Lester zwykle pędem uciekał sprzed jej oblicza.

- Matko - powtórzył niczym echo Simon, nie dlatego, żeby pojmował przyczyny zdenerwowania Callie, tego była pewna, ale by uniknąć następnego kazania na temat małżeństwa.

- Nie? Nie zrobicie dla mnie tej jednej drobnej rzeczy? No to gorset zostaje na miejscu - oświadczyła Imogena, znowu wzruszyła ramionami i mrugnęła do Callie, jakby chciała dać jej do zrozumienia, że już się czuje lepiej i będzie się kontrolować. Pozwoliła synowi dźwignąć się do pozycji siedzącej, przy czym Callie pospiesznie zarzuciła jej na ramiona szal, mając na względzie jej skromność. - Słyszałam, że hrabia Mitcham przyjechał do miasta, zaprosiłam go na twój bal, Callie. Znam Freddy'ego od zawsze, chociaż nie widziałam go już od wieków. Jego żona umarła dwa sezony temu, ale nigdy jej przesadnie nie lubił. Widzisz, chodziło mu o pieniądze, a nie o dziewczynę. Ja mam mnóstwo pieniędzy, całą masę pieniędzy. Może mnie zechcieć. Oczywiście nie widział mnie, od kiedy tak się roztyłam. Ależ był przystojny ten Freddy, i taki chudy. Przesadnie to mi się on nigdy nie podobał, ale jak się nie ma, co się lubi...

Popatrzyła znowu na Simona z miną tak o cztery stopnie powyżej upartej.

- Słyszysz mnie, synu? Gorset zostaje na miejscu. I kropka.

Wicehrabia wyrzucił w górę ręce, zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

- W porządku, mamó, jeżeli tego mama chce. Każę po prostu Robertowskiemu, żeby za mamą chodził z fotelem, tak żeby miała mama na co padać za każdym razem, kiedy jej się zrobi słabo. Powinno to prześlicznie wyglądać na balu Callie.

- Znowu powiedział o tobie Callie - zaznaczyła wicehrabina, uśmiechając się do dziewczyny, kiedy Roxbury, najwyraźniej wielce rozgniewany, wyniósł się z pokoju; przyjemnie się pozbyć takiego typu, pomyślała zgryźliwie Callie. Usłyszała, jak wicehrabia woła do przyjaciół i mówi im, że mogą już się zbierać; na całonocny hazard, a przynajmniej

tak powiedział jej wcześniej Roberts. - Wydaje mi się, że robimy postępy, nie sądzisz? Jeszcze parę razy zemdleję, i będziemy go miały.

- Chyba przez te gorsety wycisnęła pani sobie z mózgu krew do ostatniej kropelki, Imogeno, tak właśnie sędzę - oznajmiła Callie, obchodząc kanapę i siadając obok wicehrabiny. - Proszę, Imogeno, jeżeli mnie pani choć troszkę lubi, niech pani skończy z tymi bzdurami ze swataniem nas. Bo to jest po prostu nierealne. Chwilami wydaje mi się, że nawet nie bardzo lubię pani syna.

- Panno Johnston - zawołał władczo Simon od drzwi, przez które równocześnie wpadła do pokoju wzburzona Kathleen, by zająć się swoją panią. - Wróciłem, by upewnić się, że moja matka jest w dobrych rękach, zanim przeproszę panie na resztę wieczoru. A skoro, jak się wydaje, wróciła już ona do siebie, może mogłaby pani kontynuować naukę dobrych manier w ramach przygotowań do pani debiutu? Widzę bowiem, że do pani licznych niedociągnięć na tym polu zaliczyć również należy niewiedzę, iż zanim coś pani powie, powinna pani uprzednio sprawdzić, ile osób panią słucha.

Co powiedziawszy, z miną pełną wyższości i zadowolenia z siebie wicehrabia odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- Cofam to, co powiedziałam, Imogeno - oznajmiła Callie, opadając na poduszki. - Wiem, że nie lubię pani syna. Nie lubię go nawet odrobinę!

O, jakżeż miłość zwodzi sama siebie!

- William Shakespeare
(przekł. Stanisława Koźmiana)

12

Simon miał wrażenie, że rzeczywistość wywołuje w nim ostatnio wyłącznie konsternację, a na dodatek, kiedy się nad nią zastanawiał, robiło mu się diabelnie nieswojo. Mógł sam siebie oszukiwać, ale postanowił wierzyć, że przyszedł czas na następną lekcję tańca. Po ostrej wymianie zdań podczas omdlenia Imogeny, które zdarzyło się tak bardzo nie w porę, przez cały dzień trzymali się z Callie z daleka od siebie; czas ten powinien być, a przynajmniej taką miał nadzieję wicehrabia, ostudzić emocje i przypomnieć dziewczynie, że tak czy owak musi nauczyć się tańczyć, zanim będzie mogła iść między ludzi, by najpierw zwabić, a potem zniszczyć Noela Kinseya.

Nie miała się przecież dowiedzieć, że zaczął realizować swój plan już poprzedniego wieczoru, po tym, jak wściekły wypadł z domu. Nie mogła również wiedzieć, że po całonocnym hazardowaniu się w klubie, do którego należał Roxbury, Kinseya już zaczyna ssać w kieszeni, w związku z czym wicehrabia postanowił dać mu dwadzieścia cztery godziny na złapanie oddechu; po tym okresie pan hrabia pewnie z niecierpliwością zacznie wyglądać okazji, by odrobić straty.

I dlatego Simon zamierzał spędzić cały wieczór w domu, a na duchu mieli go podtrzymywać przyjaciele, i w trakcie obiadu, i później też. To był dobry plan, bezpieczny plan, praktyczny plan.

Jak się okazało, Callie, która tak ślicznie wyglądała

w miętowozielonej sukni, że aż się serce ścisnęło, spędziła całą poprzedzającą obiad godzinę, jak również cały posiłek, na rozmowach ze wszystkimi oprócz niego. Uśmiechała się do wszystkich oprócz niego. Pytała o zdanie wszystkich oprócz niego.

Ale to nic nie szkodzi. Stać go na to, by zignorować taki objaw niewieściego gniewu. Był w końcu mężczyzną, dżentelmenem. Mógł sobie pozwolić na wielkoduszność. Nawet jeżeli miał ogromną ochotę wejść na stół, przejść na drugi jego koniec, uważając, by po drodze nie potknąć się o gigantyczną solniczkę ani nie grzmotnąć głową w żyrandol, i udusić tę zuchwałą dzierlatkę!

Po obiedzie, kiedy Imogena zabarykadowała się na górze w towarzystwie Kathleen i słoiczków z farbą, a Bartholomew zajął się dobozem utworów w pokoju muzycznym, Armand z wdziękiem wszedł w rolę Odo Pinabela. Sprawdził, jak sobie Callie radzi w kadrylu i kilku innych tańcach, które znała, a następnie przeszedł do walca.

Roxbury przekonany był, że jeżeli tylko znajdzie się w odległości dziesięciu stóp od dziewczyny, to albo nią zacznie potrząsać, albo ją całować, trzymał się więc z boku i w miarę możliwości usiłował wyglądać na dobrego wujaszka. Najpierw z pewnym niepokojem patrzył na pełen uznania wyraz oczu Armanda, który trzymał dłoń Callie w jednej ręce, a drugą lekko opierał na jej filigranowej talii. Zdecydowanie wyprowadzało go to z równowagi, kiedy przyglądał się, jak Armand wpatruje się w partnerkę, która wbijała wzrok we własne stopy podczas ćwiczenia kroków.

A już szczególnie, kiedy Gauthier uniósł jej bródkę, tak że musiała patrzeć na niego i rozmawiać z nim, równocześnie kołysząc się i wirując w tańcu, zaś uznanie na jego przystojnej twarzy zastąpił jawny zachwyty, któremu towarzyszył błysk w oku oraz szeroki uśmiech.

Zaintrygowany Simon opuścił swoje miejsce i przesunął się o kilka kroków do przodu, starając się nie wchodzić tańczącym w drogę, ale równocześnie znaleźć się na tyle blisko, by usłyszeć, o czym mówią, kiedy wirując będą się prze-

suwali obok niego. W końcu Callie w tym samym stopniu miała ćwiczyć ogładę towarzyską, co taniec. Z pewnością było to usprawiedliwione, że sprawdza, w jakim stopniu opanowała sztukę uprzejmej, nieszkodliwej, niewyzywającej konwersacji.

- Czy kiedy był pan na morzu, panie Gauthier, zdarzyło się panu kazać komuś iść na śmierć po desce? - usłyszał pytanie Callie i musiał dłonią przesłonić niespodziewany uśmiech. Dzierlatka wcale nie ćwiczyła się w uprzejmych rozmowach. Najwyraźniej w świecie ćwiczyła się natomiast we flirtowaniu. A sądząc po wyrazie twarzy Armanda, oceniał on jej starania na wysoki stopień.

Bezczelna psotnica. Smarkula. Niepoprawna, irytująca, doprowadzająca człowieka do furii smarkula! Wicehrabie-mu z trudem udało się opanować głośny wybuch śmiechu.

- Tylko we wtorki - odpowiedział Gauthier z udawaną powagą, zręcznie zataczając z Callie następne kółko. - A ponieważ w trakcie tańca powinniśmy rozmawiać o pogodzie, dodam również, że tylko wtedy, kiedy świeciło słońce.

- To rozumiałe - odpowiedziała Callie logicznie, i nie zmyliła kroku, zauważywszy, że Simon, który poniewczasie robił, co mógł, by wejść w rolę przyzwoitki, rzuca jej mroczne, ostrzegawcze spojrzenie. - Nie da się przecież ukryć, że wydarzenie to z natury należy do raczej wilgotnych, prawda? A teraz proszę mi coś więcej powiedzieć o lupach, jeśli pan tak łaskaw.

Kiedy okrążali niewielki pokój po raz trzeci, Brockton usłyszał, jak Armand mówi do niej Callie, a ona odpowiadała, zwracając się do niego po imieniu, i było oczywiste, że zawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń.

I to dobrze, do takiego wniosku doszedł Simon, sam bardzo nim zaszokowany. Nagle uświadomił sobie, że gdyby go Armand Gauthier o to poprosił, podarowałyby mu połowę swego majątku, nie żądając żadnych wyjaśnień, ale niech go piorun spali, jeżeli dopuściłby przyjaciela jeszcze raz w pobliżu Callie, gdyby choć przez moment podejrzewał, że może on zechcieć do niej uderzyć w konkury.

Po jakimś czasie Callie objęła się rękami w pasie i zaczęła protestować, że już jej tchu brakuje i nieźle kręci się w głowie; Armand namówił Boothe'a, by ustąpił mu miejsca na taborecie i przejął jego rolę. Callie pociągnęła za sobą opierającego się Kościeja na parkiet, by jeszcze raz poćwiczyć kadryla, który to taniec miał otwierać jej bal. Bartholomew w pierwszej chwili zaoponował ze wszystkich sił, przepowiadając zmiążdżone palce u nóg i posiniaczone śródstopia. Ale w końcu wypadł zupełnie nieźle, a nawet się odprężył, dzięki beztróskiemu przekomarzaniu się partnerki i jej życzliwości.

Raczyła nawet uśmiechnąć się raz czy dwa do samego Simona, co ten uznał za zdecydowaną poprawę w porównaniu z miną, z jaką ostatni raz patrzyła na niego przy obiedzie, a która najbardziej kojarzyła mu się z określeniem: ośli upór.

Panował wesoły nastrój. Swobodny. Przyjazny. Miły. Nawet bezpieczny - a to słowo, kiedy się Roxbury nad nim zastanowił, kazało mu po raz pierwszy tego wieczora zmarszczyć brwi. Nawet gdyby niczego innego się nie nauczył, nic nie wiedział i nie miał najmniejszej ochoty zgłębiać swoich uczuć, przekonany był, że słowa „Callie” i „bezpieczny” nie powinny znaleźć się w bliskim sąsiedztwie. A przynajmniej nie tam, gdzie chodziło o niego.

Tym niemniej wieczór zakończył się sukcesem. Callie zaczęła ukradkiem ziewać przed jedenastą, a w końcu przeprosiła ich i poszła na górę się położyć; powiedzieli więc sobie dobranoc i rozeszli się, każdy do swoich spraw.

W sumie wieczór był całkiem sympatyczny i przyczynił się w znacznym stopniu do złagodzenia napięcia pomiędzy Simonem a Callie. Wicehrabia tak się poczuł tym rozradowany, że pochopnie obiecał zabrać ją następnego ranka na przejażdżkę po parku i okolicy.

Gdyby należał do ludzi, którzy wierzą w znaki wróżebne, być może anulowałby tę wycieczkę, jak tylko, rozluźniając po drodze fular, wszedł do garderoby i zobaczył Silsby'ego, dającego nura za stojący w rogu parawan; kamerdyner głowę miał owiniętą ręcznikiem.

- Silsby? - zaryzykował w nadziei, że ponownie go stamtąd wywabi. - Co ty masz na głowie? Czy tutaj coś pachnie? Tak. Zdecydowanie pachnie. Co to za okropny smród?

- Ja... ja sądziłem, że wielmożnego pana nie będzie aż do północy - odparł niemal oskarżycielsko kamerdyner, wysuwając się cal po calu ze swojej kryjówki i powłócząc nogami, przy czym z determinacją wbijał wzrok we własne palce u nóg.

- Domyślałam się, jako że tak ci właśnie powiedziałem, kiedy schodziłem na obiad. Wybacz mi, że cię zawiodłem. A teraz, skoro już znalazłem się w tak osobliwej sytuacji, że przeproszam własnego kamerdynera, może byś mi, u diabła, powiedział, czym żeś sobie takim wonnym wysmarował głowę?

- Nie chciałby wielmożny pan tego wiedzieć - wymamrotał tragicznym tonem Silsby, głos miał niewiele donośniej-szy od szeptu. - Naprawdę nie chciałby pan.

Simon skończył rozwiązywać fular i ściągnął długi kawałek materiału z szyi.

- Wręcz przeciwnie, Silsby, zapewniam cię, że zginę mar-nie z rozczarowania, jeżeli mi odmówisz. A teraz zdejmuj ten ręcznik, jeśliś łaskaw.

Ręce służącego same pofrunęły do góry, jakby wystarczy-ło słowo wicehrabiego, by usunąć zawój, gdyby go mocno nie przytrzymał na głowie.

- Nie mogę, wielmożny panie! - wykrzyknął, najwyraź-niej przejęty zgrozą. - Jeszcze przez godzinę nie mogę. Je-den pan Bóg wie, co się stanie, jeżeli nie zrobię dokładnie tego, co mi kazała.

Brockton rozważał przez chwilę słowa kamerdynera, za-stanawiając się, czy nie byłoby jednak lepiej, gdyby poham-ował własną ciekawość. Doszedł do wniosku, że nie.

- Dokładnie tego, co kto ci kazał, Silsby?

- Kathleen, wielmożny panie - odpowiedział żałośnie ka-merdyner i podszedł o krok bliżej do światła oraz swego chlebodawcy, który bezzwłocznie cofnął się o dwa kroki, a oczy zaczęły mu łzawić od obrzydliwego, atakującego noz-

drza fetoru. - To... to ma pomóc, żeby włosy odrosły, wielmożny panie - ciągnął Silsby, a każde słowo opuszczało jego usta z niechęcią, jakby siłą je z siebie wyduszał. - To dla Scarlet, wielmożny panie.

- Tak się zadurzyłeś, Silsby? - Simon wydał wargi, pozornie w zadumie nad słowami kamerdynera - w rzeczywistości starał się opanować głośny wybuch śmiechu; pokiwał z powagą głową, a potem powiedział: - Rozumiem. A szukając pomocy w tym zbożnym dziele, mającym ci... hmmm - tu zawahał się, szukając -właściwego słowa - polepszyć uwłosienie, zwróciłeś się naturalnie do kobiety, która zmieniła moją matkę w kanarka wagi ciężkiej?

Silsby ściągnął sobie na te słowa prowizoryczny turban; w blasku dwóch świec, które stały za nim na stole, wydawało się, że jego głowę otacza coś w rodzaju aureoli. Świece podświetliły długie na cztery cale, tłuste, splątane kosmyki, które kamerdyner na ogół zaczesywał prosto od czoła w nadziei, że zasłonią błyszczącą łysinę. Moc odoru wzrosła, i chyba nawet dobrze się stało, ponieważ oczy Simona łzawiły teraz tyleż od woni, co od z trudem powstrzymywanego rozbawienia.

- Boże, Silsby, musisz bardzo kochać tę boginię czekoladowych ciasteczek! - udało mu się w końcu wykrztusić, przy czym zasłaniał sobie nos i usta zwiniętym fularem, by chociaż częściowo nie dopuścić do siebie smrodu.

- Tak, wielmożny panie, tak bardzo, że zrobiłbym wszystko, byle zwróciła na mnie uwagę. Wywarła na mnie piorunujące wrażenie, jak tylko weszła do tego domu - zgodził się z nim uroczyście kamerdyner, kiwając głową. Po tym ruchu w kierunku Simona popłynęła następna fala czegoś, co pachniało jak kamfora pomieszana z cebulą. - Ale przecież wielmożny pan sam wie, jak ja się mogę czuć, prawda, wielmożny panie?

Dobry humor wicehrabiego ulotnił się. Patrzył teraz na kamerdynera przymrużonymi oczami.

- A to co ma znowu znaczyć? I na litość boską, człowieku, załóż sobie z powrotem ten ręcznik na głowę.

Wyglądasz, jakby cię właśnie coś śmiertelnie przeraziło.

Silsby zrobił, co mu kazano, a potem ponownie podniósł oczy na pracodawcę.

- Odezwałem się pochopnie, wielmożny panie - powiedział ze skrucą i może nawet odrobinę histerycznie, zerkając tęsknie na drzwi za plecami Simona.

- A czemu miałbyś się czymś różnić od reszty służby, Silsby - zauważył Brockton. - Mów dalej, powiedz, co zamierzałeś powiedzieć.

- No cóż, wielmożny panie - zaczął, odchrząknawszy, kamerdyner - to przecież nie jest żadna -wielka tajemnica ani nic takiego, prawda? Jeżeli kupuje pan pannie Johnston wszystko, czego dusza zapragnie, i wydaje pan dla niej ten bal, i w ogóle, i pozwala pan, żeby jej przyjaciel, pan Plum, tutaj mieszkał, i tak dalej? Kochana milady jest szczęśliwa, Roberts wniebowzięty, a nawet Emery mówi, że niczego lepszego nie mogliśmy sobie wymarzyć. Bardzo się cieszymy, że tak się panu układa, wielmożny panie - zakończył i uśmiechnął się promiennie, jakby właśnie powiedział coś niesłychanie błyskotliwego. - Bardzo.

- Rozumiem - rzekł Simon, kiwając głową. - No cóż, dziękuję ci, Silsby, ale zapewniam cię, że i ty się łudzisz, i cała reszta służby też. Panna Johnston przebywa u nas po to, by zabawiać moją matkę, a poza tym z... z powodów, które was nie dotyczą. Trudno byłoby w naszym domu znaleźć coś, co pachnie wiosną i majem, zwłaszcza w tym pokoju. Jednakowoż, by ocalić mnie przed własną matką, zatrzymasz, jak na dobrego służącego przystało, tę informację dla siebie.

- O, tak, wielmożny panie! To do niczego niepodobne, żeby denerwować jaśnie panią, kiedy ona sądzi, że wszystko układa się po jej myśli - zauważył kamerdyner, a potem pokazał na swoją okrytą ręcznikiem głowę. - A to, wielmożny panie? O tym też nie piśniemy słówka?

Roxbury wzniosł oczy w kierunku nieboskłonu.

- Och, nie ulega kwestii, Silsby. Możesz polegać na mojej dyskrecji.

- Dziękuję wielmożnemu panu - odpowiedział pospiesznie kamerdyner, a potem w ukłonach opuścił pokój, uprzednio uzyskawszy od Simona zapewnienie, że ten jeden raz zdoła się on fachowo rozebrać własnymi rękami.

Jednak kiedy wicehrabia pozostał już w pokoju sam, usiadł na krześle z prostym oparciem, z którego korzystał, kiedy Silsby pomagał mu zakładać wysokie buty, i przez długi czas wpatrywał się w przestrzeń, uzmysławiając sobie, że może, co sam przyznał przy Siłsbym, nie wszystko układa się tak wspaniale, jak to sobie dziś wieczorem usiłował wmawiać.

Callie nie potrafiła sobie wyobrazić niczego miłszego niż jazda po Londynie u boku Simona Roxbury'ego, chyba że oddałby jej lejce, a wtedy szczęście nie miałoby już granic.

Tego ranka zachowywał się jak wzorowy dżentelmen. Pochwalił wybór sukni. Osobiście pomagał jej, kiedy wdrapywała się na siedzenie w kariołce, która była ostatnim krzykiem mody, zaprzężonym w parę najwspanialszych rumaków, jakie w życiu widziała. Wziął na siebie rolę przewodnika, kiedy wiózł ją przez Mayfair, mijał Hyde Park, a potem jechał dalej na zachód, za miasto, w pagórkowatą okolicę.

I przez cały ten czas, lekko trzymając w dłoniach lejce, prowadził beztroską, żartobliwą rozmowę, która miała zabawić ją i oświecać. Słowem nie wspomniał o Noelu Kinseyu ani ich planie, ani o tym, i to było najgorsze, co się z nią stało, kiedy już ich wysiłki zostaną uwieńczone sukcesem.

Nie mówił również o tych chwilach w jej sypialni, kiedy najpierw oboje stracili zimną krew, a potem głowę, i zrobili coś, o czym najlepiej nie wspominać, a co należało w ogóle wyrzucić z pamięci. A przynajmniej przekonana była, że tak na to patrzy Simon, i gdyby ośmielił się słowem o sprawie napomknąć, straciłaby cały dobry humor i wybuchnęła płaczem - albo by go trzepnęła.

Dopiero kiedy znaleźli się w innej scenerii i domy oraz budynki publiczne zastąpione zostały przez pola i zielo-

ne drzewa, milczenie między nimi zmieniło się i stało się ciężkie, przykre, zaś wcześniejsza radość Callie zaczęła się ulatniać.

A wyparowała zupełnie, gdy wicehrabia odwrócił się do niej po szczególnie długim milczeniu, sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął pojedynczą, złożoną kartkę papieru.

- Proszę - powiedział i podał jej kartkę, nie odwracając oczu od drogi. - Zadałem sobie trud, by spisać jeszcze kilka podstawowych informacji dla pani.

Callie podejrzliwie spoglądała na papier.

- Powinna być wiedzieć - odparła, zaskoczona nagłą, niemal nieprzepatą chęcią, by odtrącić i jego rękę, i ten papier. - Próbuję i próbuję, ale pan nigdy nie będzie ze mnie zadowolony, prawda?

- Niech pani nie będzie...

- Niemądra? - przerwała gniewnie, wrywając mu papier z palców i drąc go na drobne strzępy, a następnie wyrzucając te strzępy przez ramię; lekki wietrzyk poniosł je w dal. - Nierozsądna? Nierozgarnięta?

- Nieustępliwa - podsunął Brockton - jeżeli ma pani życzenie trzymać się lirycznego nastroju oraz litery „n”. - Tu przełożył lejce do lewej ręki, nadal w pełni panując nad końmi (a niech go, za to niewymuszone mistrzostwo, z jakim nimi kierował), sięgnął ponownie do kieszeni kamizelki i wydobyl z niej następną złożoną kartkę. - Czy spróbujemy jeszcze raz?

- Oczywiście, czemu by nie? - wykrzyknęła gniewnie Callie, biorąc drugą kartkę i drąc ją na strzępy, a następnie rzucając strzępy na wiatr. - Czy teraz już skończyliśmy?

Simon odwrócił się do niej z tym swoim cudownym, poślizgliwym uśmiechem - a żeby go piorun spalił! - i sięgnął ponownie do kieszeni kamizelki.

- Możemy tę zabawę kontynuować tak długo, jak pani będzie chciała, panno Johnston. Pamiętając, jaki los spotkał listę zasad postępowania mojej matki, przedsięwzięciem pewne środki ostrożności, a mianowicie kazałem sekretarzowi sporządzić kilka egzemplarzy. Czy wystarczą trzy...

a może trzeba będzie pół tuzina... zanim uświadomi sobie pani, że nazwiska patronek Almacka mogą mieć niebagatelne znaczenie?

Callie wyrwała mu papier z ręki, rozwinęła go i szybko przeczytała spisane tam nazwiska.

- Rzeczywiście - oświadczyła takim tonem, jakby wicehrabia miał równie wielkie wątpliwości, jak ona co do treści notatki. - Wydaje mi się, że czegoś nie rozumiem.

Roxbury przełożył znowu leżce i trzymał je teraz oboma rękami.

- Mój Boże - powiedział, odwracając się do niej z uśmiechem. W odpowiedzi żołądek Callie wykonał coś w rodzaju niewielkiego salta. Zaczynało się to już stawać normą. - A ja myślałem, że czegoś takiego w życiu z pani ust nie usłyszę: przyznała pani, że być może nie wie wszystkiego. Jest to przypuszczalnie jednak moja wina. Zapewne powinienem był najpierw powiedzieć pani, że dziś wieczorem idzie pani do Almacka.

Szczęka Callie opadła w dół, żołądek chyba też.

- Ja idę gdzie? Wydawało mi się, że to ma być dopiero po... ale ja nie jestem gotowa! Czy jestem gotowa? Nie mogę być przecież gotowa, prawda? A co z balem? Czy będę jeszcze miała mój bal?

Simon wrócił wzrokiem na opustoszałą drogę, jakby spodziewał się, że lada chwila zza najbliższego wzgórza wypadnie prosto na nich olbrzymi dyliżans i spłoszy konie, i przagnął przygotować się na tę ewentualność.

- Faktem jest, że Imogena dosyć fatalnie wybrała datę, i bal został odłożony o trzy tygodnie - wyjaśnił jej tak spokojnie, jakby zwracał uwagę na jakieś następne, interesujące pod względem architektonicznym miejsce. Odwrócił się i znowu do niej uśmiechnął, wyglądając przy tym młodo i przystojnie, i jakoś tak ujmująco dziecinnie. Och, naprawdę mogłaby mu przyłożyć!

- Normalnie - ciągnął, a Callie zaczęło dziwnie szumieć w uszach - taka zmiana terminu oznaczałaby katastrofę, ale ja jestem wicehrabią Brockton i mogę robić to, na co inni

nie mogą sobie pozwolić. Czy jest pani pod wrażeniem? Kościej był.

- Odłożony - powtórzyła dziewczyna, uświadamiając sobie, że wargi jej zdrętwiały; czy tak czuła się Imogena tuż przed zemdleniem? - A może rozumie pan przez to, że został odwołany? To o to panu chodzi, prawda? Odwołał pan mój bal. Dlaczego?

- Na lewo od nas, panno Johnston, stoi śliczne, wysokie drzewo - zwrócił jej uwagę Simon, cedząc słowa tak, że zapragnęła go udusić; można by go zabić na tyle różnych sposobów, a ona nagle nabrała ochoty, by sprawdzić przynajmniej tuzin z nich. - Czy nie zechciałaby pani wdrapać się na sam czubek, bo widzę, że aż tak wielki poniósł panią gniew?

- Wcale mnie nie poniósł gniew, Simonie Roxbury! - odpaliła Callie. - Nie dopuszczę do tego, żeby mnie poniósł, bo uznałby pan to na pewno za dowód, że nie można mieć do mnie zaufania i że nie odegram swojej roli tak, jak powinnam ją odegrać, i Almacka też by pan odwołał. Ale to nie znaczy, że nie uważam pana za najbardziej niegodziwego, złośliwego, zdraдлиwego...

- Ślub jej wysokości, księżniczki Charlotty, ma odbyć się w Carlton House w ten wieczór, który Imogena wybrała na pani bal - przerwał jej wicehrabia i w tej samej chwili na nos Callie spadła kropla deszczu. Ku zdumieniu dziewczyny nie zasyczała, chociaż właścicielka nosa płonęła gniewem. - Ma to być niewielka, rodzinna uroczystość, ale odnoszę wrażenie, że w ostatniej chwili zorganizowano ku czci tych zaślubin wiele prywatnych imprez i przyjęć. Pani bal byłby jednym ze zbyt wielu, to wszystko. Chcemy, żeby Filton wybrał nasz bal, czyż nie?

Callie, piorunując go wzrokiem, opadła na poduszki, udobruchana tylko odrobinę.

- Och, przypuszczam, że w takim razie wszystko w porządku.

- Jakże to wielkodusznie z pani strony. Prinny odetchnie z ulgą, że nie będzie musiał rywalizować z Imogena o łaskawe przybycie gości.

Dziewczyna zmarszczyła nos.

- Niech się pan nie wyzłośliwia. Ale to nam nieco pokrzyżuje plany, prawda? Chodzi mi o to, że chociaż Almack jest wspaniałą i w ogóle, i to będzie cudowna praktyka, to Kościej mówił, że chyba od pięciu sezonów noga Filtona tam nie powstała.

Brockton uśmiechnął się do niej.

- Kościej ma rację. Jednak doszły do mnie słuchy, nie ma znaczenia jaką drogą, że cioteczna babka Filtona już nie żyje i że nie zostawiła swemu cioteczному wnukowi złamanego pensa; tak więc przekonany jestem, że nie miną dwa tygodnie, a pan hrabia zabierze się na poważnie do przeglądu posagów na głównym małżeńskim rynku Londynu.

- Dwa tygodnie? Tak długo?

- Cierpliwości, moja droga. Mając sperandę, Filton żył przez ostatni rok czy dwa na dość wysokiej stopie, tak naprawdę od chwili kiedy jego babka zachorowała. Ale nawet on musi zademonstrować żal i szacunek dla pamięci babki, zanim się pojawi w Londynie. Niech pani potraktuje ten wieczór w Almacku jako część koniecznych przygotowań, zarówno do balu, który szykuje dla pani Imogena, jak i do pani spotkania z naszym drogim hrabią. - We właściwym czasie Filton pojawi się i przy pani boku, i w Londynie, by mogła go pani oczarować i odrzucić, i zostawić, jak to pani zdaje się ujęła, rozciągniętego twarzą w dół w rynsztoku, a jego pokruszone na małe kawałeczki życie niczym grad będzie spadało na ciało. Musi okazać pani cierpliwość. Czy są jeszcze jakieś pytania?

- Jego sponiewierane ciało, tak tam było - poprawiła go Callie i wyciągnęła dłoń, patrząc na uderzające w nią kropelki wody. - A teraz mam już tylko dwa pytania, milordzie - dodała z całą słodyczą, na jaką mogła się zdobyć. - Po pierwsze, ponieważ dziś wieczorem jedna z patronek z pana listy udzieli mi pozwolenia, będę więc mogła tańczyć walca na moim balu, prawda? A po drugie, czy nie sądzi pan, że moglibyśmy znaleźć sobie jakieś suche miejsce i przeczekać tam ulewę? Kiedy słońce nasiąknie, robi się

wiotka, a ja jestem jak najserdeczniej przywiązana do tego kapelusika.

- Tuż przed nami znajduje się niewielka karczma, zaraz za następnym zakrętem - odrzekł Simon i pogonił konie, by przyspieszyły do kłusa, a potem odwrócił się do niej z uśmiechem. - Denerwuje się pani?

- Że idę do Almacka? - zapytała, żałując, że ten uśmiech robi na niej aż takie wrażenie. - Nie, nie sędzę. Nie miałam czasu się denerwować, co nawet jest korzystne.

- Nie chodziło mi o Almacka. Będzie tam pani wspaniała - powiedział z poważnym wyrazem twarzy. - Chodzi mi o to, czy nie denerwuje się pani, że ma pójść razem ze mną, a bez przyzwoitki, do wiejskiej karczmy?

Callie zmroziła go spojrzeniem. Słowem jeszcze nie wspomniał o tym, co wydarzyło się w jej sypialni. Czy tak miał zamiar traktować to, co między nimi zaszło - jak jakiś żart? Czy uważał ją za dziecko, które zadurzy się w nim po jednym czy dwóch niemądrych pocałunkach? Czy sądził, że będzie się bała zostać z nim sam na sam, zatrwożona, iż może rzucić się na niego i błagać o następny pocałunek? Ze straszny się jego dotknięcia?

Niczego się nie boi i o nic nie będzie błagać. Właściwie to bardziej zależy jej na połamanej parasolce niż na tym łajdaku, i czas, żeby się o tym dowiedział.

- Ha! - powiedziała, podrzucając głową i odwracając się od niego. - Niech pan nie będzie śmieszny. Jakiż, u licha, miałabym powód, by się denerwować?

- Żadnego - odpowiedział aksamitnym głosem i Callie zaczęła żałować, że nie była na tyle przewidująca, by ukryć w swojej torebce dużą cegłę, którą teraz mogłaby go okładać.

Dopóki nie wjechali na podwórze gospody, deszcz tylko kropił; ale kiedy się tam znaleźli, wyglądało na to, jakby zaraz miało nastąpić oberwanie chmury. Wicehrabia rzucił lejce stajennemu, który wybiegł ich powitać, potem pospiesznie chwycił Callie w pasie i ściągnął ją z wysokiego siedzenia. Prawie że wniósł ją do budynku, który z drogi przypominał skromną, wiejską karczmę i tym właśnie się okazał.

Callie zamruwała, żeby usunąć krople deszczu z rzęs i postąpiła kilka kroków do przodu, chcąc zajrzeć na wspólną salę.

- Och, jak miło - powiedziała, widząc z pół tuzina mężczyzn, siedzących przy stolikach, popijających piwo i jedzących coś, co wyglądało i pachniało jak aromatyczna potrawka z królika.

Odwróciła się do Brocktona, zauważyła, jak marszczy brwi, ale jego zdanie niezbyt ją obchodziło.

- Bardzo podobna karczma stoi w pobliżu naszego domu. Justyn co jakiś czas mnie tam zabierał, jak tylko przyjeżdżał do domu. Siadywaliśmy razem z dzierżawcami i rozmawialiśmy z pasażerami dyliżansów, i niekiedy nawet graliśmy w strzałki. Znakomicie sobie radzę przy strzałkach, Simonie. Czy nie sądzi pan, że moglibyśmy...

- Nie, smarkulo, nie sądzę! - Roxbury chwycił ją za łokieć i przyciągnął bliżej do swego boku. - Zgadzam się, że tu obecni wyglądają na dosyć nieszkodliwych. Jeżeli miałbym się czymś martwić, to raczej tym, by uchronić ich przed zetknięciem z panią. A skoro tak się sprawy mają, Callie, to nie będzie żadnych rozmów. Zdecydowanie żadnej gry w strzałki. Przede wszystkim chciałbym teraz wystrzeżać się kłopotów. Zrozumiano?

Następnie wprowadził ją na wspólną salę i dosyć brutalnie posadził przy stoliku znajdującym się najbliżej drzwi, odsunawszy krzesło bardzo prostym sposobem, to znaczy zahaczając butem o jedną z jego nóg.

- Proszę tu siedzieć i zachowywać się grzecznie. Idę poszukać karczmarza i załatwić dla nas prywatną salkę. Nie zajmie mi to więcej niż pięć minut.

Inna kobieta - a nawet większość młodych kobiet - pod wrażeniem władczej osobowości wicehrabiego Brocktona podniosłaby w tym miejscu na niego z uwielbieniem oczy i wyszemrałaby: - Tak, milordzie. Co tylko pan powie, milordzie.

Ale Callie właściwie nigdy nie zależało za bardzo na tym, by przypominać inne młode kobiety. Spiorunowała Simona

spojrzeniem i uświadomiła sobie, że właściwie wciąż jeszcze jest na niego zła, i to z niejednego powodu. Jak on śmie myśleć, że ona może narobić mu kłopotów? Jak śmie uważać, że ona nie wie, jak się zachować?

A co najgorsze, jak śmie ją całować, a potem zachowywać się tak, jakby to dla niego nic nie znaczyło, jakby tylko chciał się wtedy z nią podroczyć!

- Niech pan idzie do wszystkich diabłów, Simonie Roxbury - powiedziała, wrywając łokcie z jego uścisku. - Niech pan po prostu idzie do wszystkich diabłów!

Wicehrabia zdjął kapelusz z podwiniętym rondem, otrzepał go z wody, rozglądając się przy tym po karczmie, a potem westchnął.

- Niech mi pani da cztery minuty.

- Nie musi się pan spieszyć z" mojego powodu - fuknęła Callie, i kiedy Simon odwracał się i wychodził na korytarz, zdarła rękawiczki z rąk i rzuciła je na stół. Gotów był pewnie wdrzeć się do samej kuchni w poszukiwaniu karczmarza albo jakiejś niewiasty, którą mógłby usadzić razem z nią przy stoliku - a ona już tęsknie spoglądała na wiszącą na ścianie tarczę do strzałek.

Palce ją swędziały od ochoty, by poczuć w nich równo rozłożony ciężar strzałki.

Przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się do nadzwyczaj nieszkodliwie wyglądającego młodzika w roboczej bluzie i luźnych spodniach.

Cała sprawa okazała się aż nadto prosta.

Zanim Roxbury wrócił, dziewczyna zdjęła kapelusik i pozbyla się torebki, przezornie ukrywszy ją pod kapeluszem wicehrabiego. Stała, czubkami bucików dotykając nakreślonej kredą na podłodze linii, dwoma palcami ujmowała strzałkę, wzrok wbijała w tarczę, a dwaj dzierżawcy zakładali się o drobne sumy, czy tej „młodej panience” uda się drugi raz trafić w dziesiątkę.

Udało się.

-Jest pani niepoprawna - powiedział Simon cicho, stając za jej plecami. Nawet nie drgnęła, chcąc pokazać mu, iż ani

odrobinę nie obawia się jego gniewu, i przyglądała się, jak jakiś młody dzierzawca bezskutecznie usiłuje powtórzyć jej wyczyn. - I robi to pani tylko po to, żeby mnie ukarać, prawda?

Panna Johnston uśmiechnęła się do niego tak słodko, że sama pojąć nie mogła, czemu gęsta patoka nie spływa z kącików jej ust i nie cieknie po brodzie.

- Przyszło mi to na myśl, tak jest, chociaż to nie jedyny powód. Czy teraz wytargasz mnie za uszy, braciszku?

- Braciszku? - powtórzył Brockton, popatrując na mężczyzn, którzy zachęcali dziewczynę do następnej rundy. - No, przynajmniej okazała pani trochę rozumu. I dobrze się, smarkulo, bawisz, prawda?

- Och, tak! - wykrzyknęła Callie i tym razem jej uśmiech był całkiem szczery. - Byłam taka grzeczna, Simonie, nawet pan musi przyznać, że byłam. Siedziałam w tej mojej ślicznej celi i ani razu nie przelazłam przez kryształowe mury. Ale teraz muszę się trochę pobawić. Może nawet na to zasługuję. Co pan powie?

Roxbury popatrzył w kierunku drzwi, a potem znowu na mężczyzn siedzących przy stołach.

- Tam do wszystkich diabłów - mruknął i ściągnął z siebie surdut. - Dwa na trzy, Callie, a potem zjemy sobie trochę tej potrawy w jadalni, którą dla nas zarezerwowałem.

Następnie odwrócił się od niej i wyciągnął rękę po strzałki.

- Kto stawia, panowie? - zapytał. - Weźcie tylko pod uwagę, że to ja nauczyłem moją siostrzyczkę wszystkiego, co umie.

Potrąka z królika była pyszna, tak smaczna, że Callie - korzystając z tego, że nie znajduje się pod czujnym okiem Imogeny - ośmieliła się kawałeczkami skórki od chleba wytrzeć talerz z resztek sosu i cebulki, a następnie oblizać sobie palce.

Simon siedział naprzeciw niej w małej, prywatnej jadalni, łokcie oparł na ciężkim, dębowym blacie, brodę na rękach, pusty talerz odsunął na środek stołu.

- Społeczeństwa pewnych krajów uznają to, co pani robi - wycedził, kiedy wyciągała najmniejszy palec z ust i ssała go, wysuwając wargi do przodu - za bardzo prowokacyjne. Anglia też do tych krajów należy, jak mi się zdaje.

Callie przygryzła czubek palca i z pełną buzią powiedziała:

- Nie rozumiem. - Jeszcze raz possała palec, a dopiero potem wyjęła go z ust; następnie zaczerwieniła się po same białka, zobaczywszy, jak wicehrabia mimo woli się wzdrygnął. - Och.

- No właśnie. Och. - Wicehrabia wysączył do końca piwo, jako że jadłospis „Pod Kaczką i Kaczorem” nie obejmował szampana, podniósł się i podszedł do małego okienka wychodzącego na podwórze karczmy. Stał tam odwrócony, z rękami założonymi na plecy. - Deszcz niemal przestał padać - zauważył z pewnym napięciem w głosie. - Za jakieś dziesięć minut będziemy mogli ruszać w drogę.

Callie wytarła ręce w serwetkę, a potem porządnie ją poskładała i odłożyła na stół, patrząc na Simona. Wyglądał tak przystojnie w samej koszuli, kiedy jego wspaniały, szeroki tors okrywała tylko beżowa kamizelka, a obcisłe spodnie podkreślały szczupłość talii i bioder. Był taki przystojny, że chciało jej się płakać.

- Imogena będzie szalała - powiedziała, również wstając. - Bez wątplenia będzie lamentowała, iż w niecałe cztery godziny nie da się skompletować wymaganej w Almacku toalety. Czy jest pan całkiem pewien, że Noel Kinsey się tam nie pojawi? Skąd pan to wie, jak pan może być pewien? Wiem, że pan mówił, że powinnam być cierpliwa, ale naprawdę bym chciała, żeby cała sprawa już ruszyła z miejsca. Musi pan sam przyznać, że byłam grzeczna. Ale teraz chcę, by ten człowiek wrócił wreszcie do Londynu, abym mogła pomóc panu go zniszczyć. Armand twierdzi, że niewątpliwie jest pan w stanie tego dokonać, a sam przecież świetnie zna się na kartach.

Roxbury odwrócił się do niej i uśmiechnął się, chociaż ten jego uśmiech nie dotarł do oczu.

- Łatwiej nam mówić o nieobecnym Noelu Kinseyu i pla-

nach, jakie wobec niego mamy, niż rozmawiać o tym, co naprawdę leży nam na sercu, prawda?

- Co naprawdę leży nam na sercu? A cóż by nam mogło innego leżeć? - Callie przechyliła głowę na bok, udając, że nie rozumie, o czym Simon mówi. Tylko przez jedną krótką chwileczkę zastanawiała się, jak i kiedy doszło do tego, że ona, Caledonia Johnston, stała się takim śmierdzącym tchórzem. Zerknęła jeszcze raz na wicehrabiego i już wiedziała. Przestała być Caledonia Johnston, którą pamiętała z dawnych czasów, od kiedy ten okropny człowiek ją pierwszy raz pocałował, a niewykluczone, że nawet wcześniej.

Simon wpatrywał się w nią przez chwilę z natężeniem, a potem spojrzął na zamknięte drzwi prowadzące na korytarz.

- Jeżeli pani pozwoli, poszukam służącego i każę mu doprowadzić za dziesięć minut kariołkę przed karczmę, a potem porozmawiamy, dobrze?

Gestem zaprosił ją, by znowu usiadła, i kiedy wyszedł, zrobiła to bardzo chętnie. W końcu lepiej usiąść, niż upaść, a w tej akurat chwili kolana wyraźnie się pod nią ugiwały. Dobrze się bawiła, grając w strzałki i drocząc się z Simonem, że jest jej „bratem”, posunęła się nawet do tego, że poklepała go po plecach po jakimś świetnym rzucie. A potem z entuzjazmem zajęła się potrawką z królika - bo po przegranej przy strzałkach nabrała nie wiedzieć czemu wspaniałego apetytu.

Ale teraz uświadomiła sobie, że są tu sam na sam, we dwoje, podobnie jak tamtego dnia w jej sypialni, i przekonała się, że jakoś trudno zebrać myśli, trudno oddychać. Ciekawa tylko była, czy Simon uciekł z jadalni z tego samego powodu, to znaczy, żeby się opanować, żeby nie ulec pokusie sprawdzenia, czy pocałunki za drugim razem są równie słodkie, jak za pierwszym.

- No, nie trwało to nawet chwili - powiedział z energią, wracając do pokoju. - O czym to mówiliśmy? A, tak. Skąd tyle wiem o tym, co dzieje się z pewnym Noelem Kinseyem. To całkiem łatwo wyjaśnić - zaczął, zajmując znowu miejsce. - Jednym słowem, smarkulo: służący.

- Służący? - Callie potrząsnęła głową. Naprawdę trudno było nadążyć za wicehrabią, kiedy przeskakiwał z jednego tematu na drugi. Już jej się wydawało, że chce rozmawiać tylko o nich, o nich dwojgu, a tu wrócił do Noela Kinseya. - Ale jak?...

- W społeczeństwie daje się wyróżnić wiele poziomów - ciągnął Brockton - a jednym z najciekawszych jest ten, na którym znajdują się izby czeladne, zarówno w Londynie, jak i na wsi. W stolicy jest wiele gospód obsługujących wyłącznie klasę służących, a wszystkie podzielone są zgodnie z hierarchią w niej obowiązującą. Majordom i główny kamerdyner uczęszczają do jednej, lokaj do drugiej, kamerdyner do trzeciej. Rozmowy obracają się tam wokół ich własnego życia i życia ich państwa, przy czym każdy próbuje przelicytować wszystkich innych tym, jaki ważny jest jego pracodawca, gdzie to on nie bywał, z kim się nie hazardował, nie tańczył, nie żenił. Oprócz tego jest oczywiście cała litania skarg. Czy na przykład wiedziała pani, że Filton przed miesiącem odprawił lokaja i podkuchenną, pozbawiając ich płacy za ostatni kwartał? To tylko jeden z wielu powodów, dla których się cieszę, że doprowadzę go do upadku.

Callie zaczęła wiercić się na krześle, oczy jej lśniły, uśmiechała się szeroko.

- Nie! I pan naprawdę wie to wszystko? A co jeszcze pan wie?

Simon wyciągnął z kieszeni zegarek, otworzył go, sprawdził, która godzina, potem zatrzasnął kopertę i wsunął z powrotem do kieszeni.

- Czy chciałaby pani wiedzieć, co hrabia Filton jadł wczoraj wieczorem na obiad? - zapytał, wyraźnie bardzo z siebie zadowolony.

Dziewczyna uderzyła dłońmi w blat stołu, odprężywszy się teraz zupełnie. Ponieważ Roxbury miał rację. To nie miejsce i nie czas po temu, by omawiać nieprzyzwoite pocałunki. Żeby to wiedzieć, nie były jej potrzebne żadne krytyczne uwagi Imogeny.

- Och, pysznie!

- No, nie całkiem - zażartował wicehrabia i roześmiał się w głos. - Osobiście nie przepadam aż tak bardzo za flakami. Ale może byśmy już pojechali? Zaczyna mnie prześladować wizja rozhisteryzowanej Imogeny, która wysyła w charakterze ekspedycji poszukiwawczej Lestera, a nie mam cienia wątpliwości, że oznaczałoby to, iż stracimy naszego drogiego pana Pluma na zawsze.

Callie wstała i zaczęła wciągać rękawiczki, przypatrując się równocześnie, jak Simon nakłada surdut, a potem wzięła kapelusik i skierowała się do drzwi. I nagle zatrzymała się jak wryta i przymrużyła oczy.

- Coś mi się tu nie zgadza, Simonie.

Brockton odwrócił się do niej, powoli unosząc jedną brew.

- Naprawdę?

Dziewczyna pokiwała głową z wściekłością.

- Tak. Naprawdę. Z pana wypowiedzi wywnioskowałam, że Filtona nie ma jeszcze w Londynie. Napomykał pan, że niemal na pewno nie będzie go dziś wieczorem w Almacku, chociaż weźmie udział w którejś z imprez w ciągu najbliższych tygodni. A teraz powiedział mi pan, co on jadł wczoraj na obiad.

- Tak zrobiłem?

- Tak. Tak pan zrobił. Nie mógłby pan wiedzieć, co jadł na obiad, gdyby nadal przebywał na wsi. Plotki nie rozchodzą się aż tak szybko. - Jej kapelusik pofrunął w stronę stołu. Ściągnęła rękawiczki, jedną po drugiej, i rzuciła je ogólnie w tym samym kierunku, a potem znowu usiadła. - Noel Kinsey jest w Londynie, prawda? Teraz. Dzisiaj. Wczoraj. Proszę mi powiedzieć, milordzie. Czy to możliwe, że w ogóle nie wyjeżdżał z miasta?

Simon stał sztywno wyprostowany, nieruchomy.

- Jak mi już pani wcześniej zwróciła uwagę, Callie, i z czym zgodziła się moja matka, niekiedy po prostu za dużo mówię.

Callie niemalże go nie słuchała. Za bardzo była zajęta wspomnianiem wędrówek po pokoju ze stosami książek na

głowie, śmietankowo-truskawkowych mazidel i długich dni, kiedy siedziała zamknięta przy ulicy Portland, kontemplując zemstę, w której, jak teraz już wiedziała, zgodnie z planem Simona Roxbury'ego nigdy nie miała mieć swojego udziału.

- On jest tutaj. Tutaj, w Londynie. A panu już pewnie niewiele brakuje, żeby go doszczętnie zrujnować. Prawda? Jak pan mógł? - pytała, głos miała niski, ochrypły, pełen nienawiści i urazy, jego zdradę odczuwała jak fizyczny ból. - Jak pan mógł!

Wicehrabia podszedł i przysiadł na rogu stołu.

- Callie, niech mi pani pozwoli...

- Wyjaśnić? Pozwolić panu wyjaśnić? Nie musi pan, Simonie. Już rozumiem. Wszystko jest jasne jak słońce! - Zerwała się z krzesła jak ukłuta szpilką i z zadziornie wysuniętą do przodu bródką dźgała go raz za razem palcem w pierś dla podkreślenia swoich słów. - Nie mógł mnie pan nigdzie zamknąć. Nie mógł mnie pan odesłać z powrotem do ojca i mieć choć cień pewności, że tam pozostanę - mówiła, a z pośpiechu język jej się zaczynał plątać. - Ale była przecież jeszcze Imogena - mówiła szybko. - Ach, tak. Imogena. Ze swoimi gorsetami i niemądrym głodowaniem. Imogena, która upierała się, że tak długo będzie się odchudzać, aż zostanie co najmniej hrabiną. Polubiła mnie, wymyśliła taką sympatyczną fantazję, żeby z nas dwojga zrobić parę, żeby wydać mnie za swego drogiego, jedyne synalka. Ha! Czy to wtedy miał pan pierwszy przebłysk geniuszu, jak rozwiązać swój problem, a właściwie wszystkie swoje problemy? Wiedział pan, co może zrobić z Caledonia Johnston: wystarczy dać tej wścibskiej pannicy zajęcie, a nie będzie wchodziła panu w drogę. Och, tak, teraz to rozumiem, wszystko rozumiem. Imogena była dla pana zawadą. Ja byłam dla pana zawadą. Ale jak pan te dwie zawady połączył i kazał im gonić w kółko za własnym ogonem, kazał im wierzyć w to, co same planują, i w to, co pan im nakłamał, mógł pan swobodnie rozgrywać swoją własną grę.

Brockton usiłował chwycić ją za palce, ale Callie wyrwała się i dała mu po łapie.

- Ale wtedy Imogena zaplanowała bal. Bez pana wiedzy, tego jestem pewna. Nieźle musiało to panem wstrząsnąć, Simonie. Poza tym pewnie zaczynało się panu robić żal biednej prowincjuszki, którą pan tak brzydko oszukał. Tak 'więc załatwił mi pan karnet do Almacka, jednego jedyne miejsce, gdzie Filton się nie mógł pokazać. Dał mi pan w nagrodę trochę przyjemności, ponieważ tak ładnie przez kilka tygodni zabawiałam Imogenę, rzucił mi pan ochłap na otarcie łez, żebym była zadowolona, żebym nie zadawała zbyt wielu pytań. Pocałował mnie pan nawet, przez pana wydało mi się, że mogę być godna pożądanego. Robił pan wszystko, absolutnie wszystko, żebym tylko nie zbuntowała się przeciw wyczekiwaniu przy ulicy Portland. Wszystko, co tylko pan mógł, żebym nie wchodziła panu w drogę! Bastard! Czy wciąż mam rację? No? Czy mam? Proszę się nie krępować i przerwać mi, jeżeli tylko się w czymś pomylę.

Jednak Roxbury nie musiał jej przerywać, bo, jak się okazało, Callie samej zabrakło tchu, a do tego nie chciała mu pokazać, jak bliska jest zalania się łzami. Z cichym okrzykiem irytacji okrzykiem się na pięcie, podeszła do okna i zaczęła wyglądać na leżące w dole podwórze.

- Tamtego pierwszego dnia byłem w desperacji i chwyciłem się pierwszego pomysłu, który miał choćby pozory wiarygodności. Ponieważ nie pojechałaby pani do domu, nawet gdybym o to prosił, prawda? - odezwał się Simon gdzieś za jej plecami.

Callie lekko potrząsnęła głową, nie odwracając się, by na niego popatrzeć. Nie miała najmniejszej ochoty udzielać odpowiedzi, ale wiedziała, że będzie nalegał i nalegał, i nalegał, aż w jakiś sposób zareaguje.

- Dalej goniłaby pani za Noelem Kinseyem, ciągnąc za sobą biednego Lestera i rujnując moje starannie przemyślane plany. A w nagrodę pani znalazłaby się pewnie pod strażą, a Lester zostałby zesłany.

- Wcale nie! - wykrzyknęła Callie, tak już rozgniewana, że musiała na wicehrabiego popatrzeć, musiała zmusić go do spuszczenia oczu za tę jego arogancję, za tak protekcjo-

nałne traktowanie jej zdolności. - Poza tym Filton zrujnował mojego brata, niemalże zrujnował całą rodzinę. Miałam pełne prawo wziąć na nim pomstę. Pan go ściga tylko dlatego, że go pan ogólnie nie lubi. Sam pan tak mówił. Moja misja zdecydowanie ma pierwszeństwo. Pan się tylko bawi w grę dorosłych mężczyzn, i po prostu nie mógł pan znieść, że mnie mogłoby się udać, a panu nie.

Simon milczał dłuższą chwilę. Przez cały ten czas Callie usiłowała złapać oddech. Równocześnie zauważyła, że zaczyna drgać lewy policzek wicehrabiego, i z trudem przełknęła ślinę, widząc, jak jego jasne oczy robią się niemal czarne.

Kiedy odezwał się, głos miał cichy, a dłonie zaciśnięte w pięści.

- Zabawa, Callie? Czy tak pani myśli? Syn mojego prawnika palnął sobie dwa miesiące temu w głowę po tym, jak Filton swoimi sztuczkami doprowadził go do utraty całego, co do pensa, majątku, odziedziczonego po matce. Robert miał dziewiętnaście lat, Callie. Dziewiętnaście. Był jedynym dzieckiem owdowiałego ojca. I nie było się do kogo uciec, nic nie można było zrobić, żeby wymierzyć Filtonowi sprawiedliwość. James, mój prawnik, powiesił się w tydzień później.

- O mój Boże - szepnęła Callie, po omacku poszukała ręką krzesła i usiadła; w oczach piekły ją łzy. - Ja nie wiedziałam. Nie wiedziałam.

- Przez szacunek dla mojego starego przyjaciela i jego syna dopilnowałem, by niektóre okoliczności ich śmierci nigdy nie wyszły na jaw. Tak więc nikt tego nie wie, Callie, nie wie nawet Armand - mówił cicho Simon. - No, ale on mnie nie pytał. W przeciwieństwie do pani miał do mnie na tyle zaufania, by wierzyć, że muszę mieć swoje racje, by czynić to, co czynię.

- Wielmożny panie, jużem podprowadził powóz na podwórze! - zawołał jakiś męski głos zza drzwi i równocześnie ktoś mocno trzy razy zastukał w grube drewno.

Wicehrabia podniósł kapelusik Callie i podał jej, a potem cofnął się o krok, nie spuszczać palącego spojrzenia z twarzy dziewczyny, i powiedział wyraźnie:

- Dziękuję wam. Zaraz przyjdziemy.

Następnie, kiedy się nie poruszyła, wyjął jej kapelusik z odrętwiałych palców, umieścił na głowie i zawiązał kokardę pod lewym uchem.

- Musimy jechać - rzekł, pomagając jej wstać, przesuwając dłonią po policzku i muskając palcami bok szyi. - Wiele z tego, co pani powiedziała, Callie, jest prawdą, a wiele nie jest. Na przykład myli się pani co do tego, dlaczego ją pocałowałem. Potrzebne to było nie pani, tylko mnie. I był to błąd, który się nie powtórzy. Nie musi się pani tym martwić, zapewniam panią.

- Błąd - powtórzyła Callie, kiwając głową, a w duchu zdumiewała się, że w ogóle potrafi jeszcze mówić i stać. - Rozumiem. Co za ulga. Czy możemy już jechać?

Byli już w pół drogi do domu, kiedy Callie się odezwała.

- Czy Filton orientuje się, dlaczego pan go ściga, jak pan sądzi? Chodzi mi o to, że jeżeli miałby odkryć związek pomiędzy panem a synem pana prawnika...

- Filton kantuje przy kartach - odparł wicehrabia, biorąc zakręt z mistrzostwem, którym byłaby zachwycona, gdyby się nie czuła taka nieszczęśliwa i gdyby nie martwiła się tak o tego człowieka, który dopiero co powiedział, że popełnił „błąd”, całując ją. - W głębi serca jest tchórzem.

- A jednak - ciągnęła Callie - wydaje mi się, że ten pana plan, który miał zagwarantować, że nie będę panu wchodziła w drogę, jest lepszy od planu, żeby mu tylko opróżnić kieszenie. Jest bezpieczniejszy, bardziej go publicznie upokorzy. Chcę panu pomóc, Simonie. Chcę mieć swój udział w tym planie, tym razem bez żadnego oszustwa. Ponieważ to był dobry plan, naprawdę. Ten człowiek powinien zostać publicznie pohańbiony.

- Nie.

Współczucie Callie przywiodło, a plecy równocześnie zesztyniały.

- Oszukał mnie pan, Simonie. Proszę, niech pan przypomni sobie te książki. Niech pan przypomni sobie, jak Imo-

gena popisywała się mną niczym medalowym prosiakiem na targach. Należy mi się szansa. Mam prawo uczestniczyć w pana planie, teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek, teraz, kiedy wiem, jaki naprawdę niegodziwy jest Fil ton. Zapracowałam sobie na tę szansę! Simonie. Simonie?

Roxbury strzelił biczem nad głowami dobranych siwków.

- Powiedziałem: nie. Miałem na myśli: nie. Będę bez końca powtarzał i miał na myśli: nie. Czy rozumie mnie pani, Callie?

- O tak, oczywiście, rozumiem pana, milordzie - odpowiedziała z napięciem w głosie, a trybiki w jej umyśle kręciły się z szaleńczą szybkością. - Doskonale pana rozumiem.

I chociaż konie wicehrabiego znane były jako najszybsza para w całym Londynie, podróż z powrotem na ulicę Portland i tak okazała się nieznośnie długa i wyjątkowo uciążliwa.

O tak, intryga wokół nas wikła się, i to mocno.

- George Villiers, Drugi Książę Buckingham

13

Simon zaczynał się już obawiać, że zdąży się zestarzeć, i to bardzo, zanim lady Sarah Sophia Jersey, znana swoim bliskim jako Silence, przestanie do niego mówić i wypuści z zabójczo mocnego uścisku jego rękaw, w który go pochwyciła, by okazać zachwyt, że wicehrabia Brockton, razem z dwoma przyjaciółmi, pokazał się w Almacku. Prawdę powiedziawszy, nie miał on wcześniej zamiaru towarzyszyć damom do tej instytucji, ale po wyznaniu, które na nim wymusiła Callie, odłożył na później wszelkie projekty odszukania Filtona i dalszego, systematycznego opróżniania jego kieszeni.

Wszystko dlatego, że ten cholerny Filton, niech go piorun strzeli, mógł pokazać się w Almacku, dokładnie tak, jak to sugerowała Callie. A ten sam piorun mógł strzelić Simona, jeżeli dopuści on łajdaka na odległość dwudziestu jardów od dziewczyny.

Ani teraz. Ani kiedykolwiek.

- Powtarzam, Sally - zwrócił się do lady Jersey, kiedy, by zaczerpnąć powietrza, przerwała swój niekończący się monolog o towarzyskich ploteczkach i innych bzdurkach - nie potrafię wprost wypowiedzieć, jak jestem pani wdzięczny, że raczyła pozwolić tej chwilowej, młodziutkiej towarzyszece mojej matki przekroczyć próg jakże szacownych sal Almacka. Zapewniam panią, że panna Johnston jest równie wytworna i uległa, jak sugeruje jej wygląd, i do głębi świadoma splendoru, związanego z pani liścikiem. Tak, jest słodka i dobrze ułożona, i ma całkiem przyzwoity posag, co zawdzięcza swojej ciotecznej babce - dodał poufnie, wiedząc, że może liczyć na to, iż lady Jersey zatrzyma dla siebie ten

mały, z rozmysłem zdradzony sekret tylko do chwili, kiedy uda jej się dopaść z pół tuzina gości płci męskiej i zacząć przy nich mieć językiem, a jak powiadano jej język zawiasy miał na obu końcach.

Bo czy można było wymyślić lepszy sposób na trzymanie Filtona z dala od panny Johnston niż otoczenie jej dwoma tuzinami pozbawionych grosza młodszymi synami i łowcami posagów w średnim wieku? W ten sposób plan Simona, który naprawdę nigdy planem nie był, mógł dalej działać na jego korzyść.

- Ile? - zapytała szybko i rzeczowo lady Jersey; przynajmniej tym razem nie ubrała w dwieście słów tego, co dało się zamknąć w jednym. Oczy miała przymrużone, na jej dystygowanej twarzy malowało się olbrzymie, acz starannie skrywane zaciekawienie. Nie byłoby rzeczą roztropną zachowywać się w tych sprawach jak jakiś pospolity sklepikarz, ale interes to interes, a małżeństwa między panami z wyższych sfer a młodymi, dobrze sytuowanymi dziedziczkami należały do najważniejszych interesów ze wszystkich.

- No, no, Sally - przywołał ją ze śmiechem do porządku Brockton, a potem pochylił się nisko i szepnął coś do ucha. Patronka aż cicho pisnęła z zachwytem i z miejsca go porzuciła, ruszając prosto w kierunku grupki znudzonych epuzerów, którzy podpierali kolumny na skraju parkietu.

- Świetnie, to powinno dostarczyć Całcie zajęcia i zapewnić jej wystarczające bezpieczeństwo - mruknął Simon pod nosem. Zadowolony z siebie, odwrócił się w całkiem inną stronę i skierował do matki. Siedziała razem z innymi leczymi damami i ich najętymi paniami do towarzystwa, chociaż troszkę na uboczu, wściekle żółte włosy ukryła pod złocym turbanem; wachlowała się z zapałem, jako że panujący na sali zaduch w połączeniu z ciasnym gorsetem siały spustoszenie w jej na ogół krzepkim organizmie.

- Wszystko idzie tak, jak planowaliśmy, kochana - skłamał gładko, nie za bardzo mijając się z prawdą i pochylając się nisko, by szeptać jej prosto do ucha. Miał nadzieję, że słowa przebiją się jakoś przez całe jardy materiału, w które

spowita była głowa matki. - Nie minie chwila, a Callie będzie królową tego balu i jej karnet zapełni się, jeszcze zanim Filton się w ogóle pojawi, o ile się pojawi.

- No, taka głupota wprost się w głowie nie mieści - odrzekła Imogena; wachlarz zaczął poruszać się bardziej energicznie, a głos wicehrabiny podniósł się o ton czy dwa, tak że musiałby zwrócić niepożądaną uwagę każdego, kto by siedział w pobliżu; na szczęście nikogo takiego nie było. - Sądziłam, że chciałeś, by za tą dziewczyną latał, skoro już doprowadziłam ją do wymaganego poziomu. Przysięgam, że od tygodnia oka nie zmrużyłam, tak się martwiłam i martwiłam, a teraz widzę, że miałam ku temu powody. Wcale się do tego nie zabierasz, jak należy, Simonie. Wcale.

- Dzięki ci, matko, za zaufanie, jakim mnie obdarzasz - odpowiedział Roxbury i kątem oka zauważył, że kiwa na niego Bartholomew. - Niech się mama przysunie teraz bliżej do tych kocic i przekaże im opowiadanie, którą ćwiczyliśmy, jak to wprowadza mama Callie w świat, żeby oddać przysługę swojej drogiej, starej przyjaciółce, a całą resztę zechce mama zostawić mnie. Zapewniam mamę, że jeżeli zrobi mama to, co mówię, uda nam się nie najgorzej przebrnąć przez cały wieczór, a Filton nie będzie miał nawet okazji, by się odezwać do Callie. Dzisiaj chcę tylko pomachać mu przynętą przed nosem - skłamał pospiesznie - nie planuję, żeby mu z miejsca wpadła w ręce.

- Bezczelny, arogancki szczeniak! - odrzekła matka, a potem uśmiechnęła się tak szeroko, że jej uśmiech zatrzymał się na uszach. - A niech mnie oskubią do gołej skóry, jak to nie jest Freddy! Popatrz, Simonie, tam! Czy to jest hrabia Mitcham? Dobry Boże, jest! Przyprawdź mi go, przyprawdź mi go natychmiast! - Chwyliła za rękę syna, który już ruszał, by spełnić jej polecenie, całkiem zadowolony, że Imogena zajmie się swoim polowankiem na męża, i zatrzymała go. - Nie! Czekaj, Simonie, jak ja wyglądam? Czy ten cholerny turban mi się nie przekrzywił? I co ja mam robić? Co mam powiedzieć? Simonie?

Brockton pochylił się i pocałował matkę w policzek.

- Jest mama najprzystojniejszą z obecnych tu kobiet - zapewni! z powagą. Jego zbyt wysoka, zbyt tęga matka mogła już nie być młoda i nikt nigdy nie dostrzegłby w niej delikatnej, pastelowej, angielskiej urody, ale zdecydowanie nadal była najbardziej frapująca, imponująca i przystojną niewiastą, jaką kiedykolwiek spotkał. - No, kochana, uśmiechnij się. Wydaje mi się, że hrabia kieruje się w tę stronę. Czy mam mu podłożyć nogę?

- Nie kpj z mnie, synu, bo masz do czynienia ze zdesperowaną kobietą - przestrzegła go matka, a potem lekko popchnęła, kiedy hrabia Mitcham się zbliżył, przez co Simon wylądował tuż przed nim.

- Przyszedłeś tu, żeby się pozbyć wnuczki, Freddy? - mówiła po dziesięciu minutach Imogena. Wicehrabia przystanął przy nich na chwilę, by się trochę rozerwać. - Boże, Freddy, tylko nie mów mi, że jesteś aż taki prastary? Czy wciąż jeszcze jeździsz konno... polujesz z psami? Nie, pewnie nie możesz, prawda?

- Jak zawsze promienna, żywa i cierpka - zachichotał hrabia, najwyraźniej wcale nie urażony bezpośredniością wicehrabiny, i ze skrzypieniem stawów opuścił się na krzesło u jej boku, opierając łaskę o nogę. Roxbury pomachał leciutko matce, skłonił się hrabiemu i zrejterował, przy czym udawał, że nie zauważa niespodziewanie zdeprymowanej miny matki.

- Tam jest, Simonie, przygotowuje się do tańca z Werleyem - poinformował go Bartholomew, kiedy Brockton przyłączył się do niego na skraju parkietu. - Biedactwo, do nieprzytomności będzie się nudzić przez następne pół godziny. On bez przerwy papie o swoich koniach, myli co trzeci krok w tańcu, łąduje ostatecznie tam, gdzie go zupełnie być nie powinno, i stoi jak słup, nadal radośnie rozprawiając o cenach za ogiery. Po nim wpisał jej się Armand, na drugiego walca, a resztę karnetu też ma już zapełnioną, chyba że moje domysły są błędne i wszystkie te młode byczki, które kierowały się prościusieńko do niej, prosiły tylko o informację, jak trafić do jadalni. Brzęczą jak wygłodniałe osy po całym parkiecie, Simonie, gadając o jej urodzie i posagu. Przed

jutrzejszym południem zobaczysz u siebie wszystkich łowców posagów i oficerów, będą zostawiali wizytówki, przysyłali bukiety i tłoczyli się w twoim salonie. Ale wciąż jeszcze ani śladu Filtona, więc wszystko jest w porządku.

- Nadal przypuszczam, że hrabia może się tu dziś wieczorem pokazać - z dużą pewnością oznajmił Simon swojemu nad wyraz rozmownemu, jak zwykle strapionemu przyjacielowi. - Właściwie to nawet chętnie bym go tutaj zobaczył. Callie miała rację. Ten plan, który nigdy nie był planem, może się jeszcze okazać przydatny, jeżeli tylko uda mi się ją trzymać z dala od hrabiego. Już sobie wyobrażam, jak sam opowiadam Filtonowi wszystko o Callie i tym kolosalnym majątku, jaki właśnie odziedziczyła po ciotecznej babce, i jak zaraz potem pytam go, czy się nie przesłyszałem, że i jemu przyniosła podobne szczęście cioteczna babka. Taki jestem rad, że nie wymyśliliśmy wuja, czy bogatego kuzyna, to powiązanie z ciotecznymi babkami wydaje się niezwykle stosowne, niezwykle szczęśliwe.

- I niezwykle paskudne - dodał Bartholomew, potrząsając głową.

- Tak. I paskudne. Zostawię go w tym sosie, żeby trochę doszedł, a potem poskarżę mu się, że teraz czeka nas z Imogeną obowiązek uwolnienia się od tej szczęśliwej panny, i zapytam, czy nie słyszał może o kimś, kogo mogłaby zainteresować skromna, prowincjonalna panienska, która ma tyle pieniędzy, że sama nie wie, co z nimi robić. - Uniósł chusteczkę, by dotknąć nią kącików ust. - Powiedz mi, Kościeju, czy sądzisz, że on się zacznie ślinić?

- Masz w sobie żyłkę niegodziwości, czego do tej chwili nie zauważyłem, Simonie - rzekł Boothe, patrząc na niego z namysłem. - Czy wiesz o tym?

- Dziękuję ci, Kościeju - odparł wicehrabia, przyglądając się, jak inna patronka Almacka, hrabina Lieven, podchodzi do Lestera Pluma, który właśnie wetknął sobie zawiązaną na gruby supeł lukrecjową laseczkę do ust. Hrabina miała na holu przyszczatą debutantkę i najwyraźniej zamierzała tych dwoje sobie przedstawić, jako że głównym celem istnienia

Almacka było dobieranie panów i pań w pary, w ostatecznym zamyśle mające prowadzić do małżeństwa. - Oj, oj. Popatrz no tam, Kościeju. Na naszego pana Pluma. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że może to być rozkoszne.

I było. Lester, którego policzek wydymał się podejrzenie, kiwnął z pół tuzina razy głową - Roxbury mógł tylko zakładać, że tak wygląda w jego wykonaniu ukłon - a potem zagapił się na wyciągniętą dłoń debutantki, jakby mogła ona być jadowita.

Kiedy stało się oczywiste, że młoda dama nie ma zamiaru cofnąć ręki, Lester przewrócił oczami niczym spanikowany ogier, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki, po czym się pochylił. Cmoknął rozgłośnie niemal trupio białą dłoń, a następnie wyciągnął pospiesznie chusteczkę i zaczął Zawzięcie wycierać rękę debutantki, usuwając - czego Simon był pewien - charakterystyczny ślad zabarwionej lukrecją śliny.

Następnie wyprostował się na całą swoją wysokość, jak dzielny żołnierz, którego postawili przed egzekucją pod ścianą, i z wysiłkiem przełknął, przy czym widać było, jak lukrecjowa kula przeciska się w dół przez jego krtań. Wreszcie sięgnął do kieszeni, wyciągnął kolejną lukrecjowa laseczkę i podał ją młodej damie.

- Och, biedaczysko - jęknął ze współczuciem Bartholomew, zupełnie jakby dokładnie wiedział, co musi przeżywać Plum, jako że sam miał na swoim koncie wiele gaf, które popełnił w Almacku, zanim przed trzema laty podjął decyzję, że więcej nie przekroczy progu tej instytucji. - Hrabina go teraz wyrzuci, to nie ulega kwestii. A nas prawdopodobnie razem z nim, za to, żeśmy go przyprowadzili.

- O ty Kościeju małej wiary - powiedział ze śmiechem Simon, kiedy pryszczata debutantka z rozanielonym uśmiechem na twarzy wsunęła Lesterowi rękę pod ramię i pozwoliła mu się poprowadzić na parkiet, gdzie przyłączyli się do właśnie ustawiającej się grupy. - Może my, londyńscy dżentelmeni, przez cały czas podchodziliśmy do sprawy zalotów *od* niewłaściwej strony: bukiety, przejażdżki po parku, ody do brwi jaśnie panienki. Masz przy sobie

jakieś cukierki, Kościeju, czy może zdecydowałeś się dzisiaj nie tańczyć?

- Oczom własnym nie wierzę! - wykrzyknął Boothe, potrząsając głową, kiedy Lester i jego partnerka mijali ich w tańcu. - Niczego podobnego nigdy nie widziałem. Hm, jeśli chodzi o te cukierki... Czy naprawdę sądzisz... oho! Na pozycji „godzina czwarta” pokazał się Filton, Simonie. Niech mnie kule biją, miałeś rację. I wygląda wspaniale, zupełnie jakby nie był winien swemu zgnębionemu krawcowi blisko trzysta funtów. Czy od razu ruszysz do niego, czy zaczekasz, aż on przyjdzie do ciebie?

Brockton odwrócił się we wskazanym przez Boothe'a kierunku i przyglądał się, jak Noel Kinsey, który wyglądał wręcz oszałamiająco, chociaż może odrobinę za bardzo wystawał mu brzuch spod surduta o długich połach (Simon naprawdę serdecznie nie lubił tego człowieka), podnosi do oka *face-a-main* i baczным spojrzeniem obrzuca tańczących. Najwyraźniej poszukując dziedziczek, przyglądał się kolejno młodym damom, które właśnie miały zacząć kadryla, a zatrzymał wzrok na Callie - jak Simon wiedział, zarówno hrabiemu nieznanej, jak i najpiękniejszej na sali.

- Gdzie jest Armand? - zapytał krótko, chcąc znać pozycje wszystkich graczy przed rozpoczęciem gry.

- Właśnie zakręca na drugim końcu parkietu, Callie znowu powróciła w jego ramiona - poinformował go Bartholomew, bo kolejna figura tańca ponownie doprowadziła do spotkania Callie i Armanda; naprawdę bił tego wieczora wszelkie rekordy jako „obserwator” - i kierują się prosto na Filtona. - Zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił. - No to zaczynamy, Simonie, na dobre i na złe.

- To nie o małżeństwo nam chodzi, Kościeju - warknął Roxbury, przekonując się, że wcale mu się nie podoba to, jak Noel Kinsey patrzy na Callie; ale co by sobie pomyśleli ludzie, gdyby skoczył na środek parkietu i zarzucił szal na jej śliczne, obnażone ramiona? - No, chodź już. Najpierw z nim porozmawiamy, potem na trochę go zostawimy, żeby przemyślał sobie to, co powiedzieliśmy, a potem zwabi-

my go do White'a na całą noc przy kartach. Da się zwabić bez większych oporów, usłyszawszy, co mamy do powiedzenia na temat Callie, a następnie przekonawszy się, że nie ma ona już wolnego tańca dla niego w karnecie.

Callie znajdowała się w obrębie szacownych murów Almacka, co było marzeniem każdej młodej damy w Anglii. Ubrana była w śliczną, białą, migoczącą w blasku świec suknię, za każdym jej krokiem spódnica delikatnie szeleściła. Włosy miała starannie uczesane; wydawało się, że układają się naturalnie i swobodnie, a równocześnie wyglądały po królewsku. Przewiązane zostały wążutką, białą, atłasową wstążeczką i usiane perłami. Pantofelki do tańca nie piły w palcach. Karnet miała wypełniony do ostatniego miejsca, otrzymała osiem zaproszeń na przyjęcia i była, nawet wedle własnej, skromnej oceny, największym sukcesem tego wieczoru, żrenicą każdego oka, młodą kobietą, o której w londyńskim towarzystwie najwięcej się mówiło, na którą najwięcej ludzi się gapiło, która była najbardziej popularna.

I bardzo nieszczęśliwa.

Ilu z tych panów zwróciłoby na nią najmniejszą nawet uwagę, gdyby Simon i Kościej, i Armand, a na dodatek jeszcze Imogena i Lester, nie biegali od jednego do drugiego i nie napomykali im na ucho o jej olbrzymim posagu?

Gdyby nie te szepty, pewnie mogłaby nawet osunąć się na podłogę w omdleniu, odśpiewać na cały głos i kompletnie fałszywie hymn państwowy, rozebrać się do halki i odtńczyć gigę na środku parkietu albo z pianą na ustach rzucić się na ziemię, a nie wzbudziłyby to cienia zainteresowania.

Ale to nie dlatego czuła się nieszczęśliwa.

Była nieszczęśliwa z powodu tego, co Simon powiedział jej dziś popołudniu, i to tylko dlatego, że sprowokowała go do wyjaśnień, których nigdy nie powinna była usłyszeć. Simon miał swoje powody, by chcieć zniszczyć Noela Kinseya. Ważkie powody. Prywatne powody. Straszliwe powody.

To, że miał jakieś powody, wystarczyło Armandowi, Kościejowi, Imogenie.

Ale nie wystarczyło jej. Nie. To było za mało dla Caledonii Johnston. Musiała naciskać i naciskać, aż wreszcie został zmuszony przeżyć na nowo ból, który najlepiej pomścić, a potem o nim zapomnieć.

A teraz jej nienawidził. Pogardzał nią. I miał ku temu powody.

Chociaż przyczyny, dla których sama chciała ukarać Kinseya, nadal były ważne, bładły one przy opowieści wicehrabiego o prawniku i jego synu. Justyn z całej przygody wyniósł przynajmniej zdrowie bez szwanku, chociaż doznał uszczerbku na dumie. Wróci któregoś dnia do domu, smutniejszy, ale mądrzejszy. A młody Robert nie żył.

O, tak, Simon miał powody, by się na nią gniewać, mieć jej dość. Ale równie straszne było to, że nie potrafiła zmusić się, by choć odrobinę się na niego złościć za to, że ją oszukał.

Ponieważ od początku do końca miał rację. Zachowywała się niemądrze, niedojrzale. Gdyby pozwolono jej trzymać się tych niedowarzonych planów, pewnie w końcu nie udałooby im się z Lesterem ich zrealizować, za to złapano by ich, zaaresztowano i ukarano.

A ona nie byłaby wróciła do domu po tym, jak Brockton ją zdemaskował i zawiózł na ulicę Portland. I tutaj również miał rację. Byłaby uparcie tkwiła w Londynie, szukała Kinseya, próbowała go postrzelić. Postrzelić go! Jak mogło jej coś takiego wpaść do głowy? Jak mogła coś takiego planować?

Godziny, które spędziła na przechadzaniu się z książkami na głowie albo słuchaniu niekończących się pouczeń Imogeny, dotyczących dobrych manier, były karą nie cięższą, niż jej się należała. Chociaż tygodnie spędzone z wicehrabią i jego matką właściwie bardziej przypominały nagrodę niż karę. Nawet ona była na tyle rozgarnięta, by to zrozumieć.

I z biegiem czasu Simonowi zaczęło na niej troszkę zależeć, przynajmniej odrobinę. A jej zaczęło zależeć na nim. Bardzo.

Jak ogromnie dojrzała przez te kilka tygodni. Na tak wiele sposobów.

A teraz Simon ją znienawidził. Zorientowała się tego po-

południa w karczmie, kiedy zgasło światło w jego oczach. Jeżeli nawet wcześniej coś ich łączyło, teraz należało to do przeszłości. Nie pozostawało jej nic innego, jak pojawić się w Almacku, grzecznie się zachowywać i przynieść Imogenie satysfakcję, zostając „posażną” królową balu, podczas gdy wicehrabina rozpaczliwie będzie szukała potencjalnych kochanków, którzy by ożywili jesień jej życia.

Przynajmniej tyle mogła dla tej kochanej damy zrobić.

A przecież teraz, kiedy naprawdę znalazła się w Almacku i zagrała muzyka, ogarnęły ją te same romantyczne roje-
nia, co każdą inną młodą kobietę na sali, i tak bardzo chcia-
ła, tak pragnęła zatańczyć z Simonem.

Nie zatańczyła z nim ani razu.

Śledziła jednak każdy jego ruch, kiedy chodził wokół parkietu, rozmawiał z jakąś starszą, wciąż jeszcze śliczną damą, zdaniem Callie chyba jedną z patronek Almacka. Wcześniej ta sama dama, robiąc przy tym wiele zamieszania, przedstawiła jej Armanda, jakby go Callie jeszcze nie знаła, a potem powiedziała mu, że może ją prosić do pierwszego walca.

Nie przestawała przyglądać się, kiedy Simon rozmawiał z matką, potem z Kościejem, i wciąż jeszcze przyglądała się, kiedy stał z Noelem Kinseyem, śmiał się, gawędził i tak zachowywał, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi.

Prawdę mówiąc, przyglądała się Simonowi z taką uwagą, że zmyliła krok, kiedy Armand zamasyżuje zataczał z nią koło podczas drugiego "walca tego wieczoru, i nadepnęła partnerowi mocno na śródstopie. Powiedziano jej, że jeżeli podczas jednego wieczora zatańczy dwa razy walca z Armandem Gauthierem, ma praktycznie zagwarantowany sukces towarzyski.

- Och! - wykrzyknęła skonsternowana. - Tak mi przykro, Armandzie!

- I powinno pani być przykro, Callie - odpowiedział jej Gauthier, któremu jakoś udało się nie zmylić kroku, tak że nikt oprócz nich dwojga nie zorientował się w niezręczności Callie. - Właśnie do przesady wychwalałem pani promienne, szmaragdowe oczy, a pani na mnie nie zwracała najmniejszej

uwagi. I wcale się pani nie uśmiecha, Callie. Ludzie patrzą. Popsuje mi to bardzo opinię i zachwieje moim ugruntowanym przekonaniem o osobistym uroku, jeżeli nie będzie pani wyglądała na uszczęśliwioną, iż zaszczyciłem ją swoją uwagą. Ale to wina Simona, prawda? Zakochała się pani w nim.

Callie znowu zmyliła krok.

- Wydaje mi się, że ma pan, Armandzie, następujący wybór - powiedziała, kiedy usiłował się nie skrzywić, bo tym razem naprawdę mocno mu przydeptała palce. - Albo będzie pan rozmawiał o czymś nieszkodliwym, jak ta paskudna pogoda, którą ostatnio mieliśmy, albo sprowadzi mnie pan z parkietu, żebym już nie musiała robić panu krzywdy.

- Co pani tylko rozkaże - wycodził Gauthier. Tańczyli w pobliżu skraju parkietu, więc podprowadził ją od razu do dwóch stojących stosunkowo na uboczu krzeseł o prostych oparciach, a mijając jakiegoś młodego huzara, porwał mu sprzed nosa szklanę ciepławej, wodnistej lemoniady, którą ten niósł dla jakiejś zupełnie innej młodej damy.

- To nie było miłe - zwróciła mu uwagę Callie i wypiąła łyczek, bo rzeczywiście była spragniona.

- Nie, nie było - zgodził się z nią gładko Armand - ale to jeden z przywilejów, jakie daje mi moja burzliwa, a niewykluczone że nawet łotrowska przeszłość. Mogę sobie pozwolić na to, na co pozwala się niewielu innym, jako że nikt nie jest całkiem pewien, czy to prawda, że postrzeliłem w pojedynkach sześciu ludzi, przy czym czterech zabiłem, a dwóch poważnie raniłem. Strasznie groźny ze mnie osobnik, bez dwóch zdań. Nikt nawet nie pomyśli, by takiemu męstwu rzucić wyzwanie.

- A zarówno ta historia, jak i inne pana opowieści, to czy sta fantazja, prawda? - zapytała Callie, pragnąc, by rozmowa na temat jej miłości do Simona należała już do przeszłości. Czy wicehrabia widział, jak schodzili z parkietu? Czy przyglądał im się w tej chwili i zastanawiał się, o czym rozmawiają?

- Tylko dwie, no, może trzy - odrzekł Gauthier, wyjmując jej szklanę z ręki; pociągnął łyczek, wykrzywił się i resztą zawartości podlał stojącą w pobliżu palmę. - Dobry Bo-

że, jak pani może coś takiego pić? Jak oni mogą coś takiego podawać? Co to pani mówiła? A, tak. Ja tylko położyłem fundament pod własną reputację, Callie. Skonstruowanie całej reszty zostawiłem tym bezgranicznie łatwowiernym, cudownie pomysłowym ulubieńcom towarzystwa, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak marnować czas na spekulacje dotyczące mojej drastycznej przeszłości.

- Ale w karty pan grał - powiedziała Callie, przyglądając mu się bacznie i żałując, że nie może poprosić, by ją pocałował tak, żeby to zobaczył Simon.

- Grywałem w karty - odpowiedział z uśmiechem Armand.

- Był pan korsarzem.

- Niewykluczone, że na moim statku znalazłoby się jakieś pirata, a może dwóch.

Callie zachichotała, na wszelki wypadek, gdyby Simon patrzył. Dosyć była pewna, że nie chciał, by zapałała uczuciem do Armanda Gauthiera. Może nawet uznałby, że obowiązek nakazuje mu się do nich przyłączyć? Boże! Czy była aż tak zdesperowana? Tak. Tak, była.

- A naprawdę - tu dorzuciła historyjkę własnej produkcji - jest pan bastardem tureckiego emira.

- Odnoszę wrażenie, że jest to wersja z zeszłego tygodnia - powiedział, puszczając do niej oko. - W tym tygodniu jestem niesłubnym synem amerykańskiego plantatora bawełny, a przynajmniej coś takiego Kościej słyszał u White'a. I w ten sposób wróciliśmy do tematu Simona, który właśnie stąd wyszedł, a Noel Kinsey podreptał za nim jak grzeczna, mała świnka.

Callie rzuciła spojrzenie na drzwi i zupełnie upadła na duchu. Taka była pewna, że wicehrabia im się przygląda.

- Simon wychodzi? I Filton razem z nim? Ale on mnie nawet nie widział!

- O, widział panią, moja droga. I niech pani będzie spokojna, że Simon przez resztę wieczoru będzie piał peany na cześć pani i pani przepastnego mieszka. Powie również, że to od niego zależy akceptacja każdej przedłożonej pani oferty małżeńskiej. Taka przynęta powinna wystarczyć, by Filton uczeplił się Simona i nie opuszczał go, dopóki nasz dro-

gi przyjaciel nie obierze hrabiego aż do gołej skóry. Rozumie pani, moja droga? A pani pomaga. I taka jest prawda. Jest pani również kompletnie i całkowicie bezpieczna, a na tym Simonowi najbardziej zależy tam, gdzie chodzi o panią.

Plecy Callie lekko się przygarbiły, tylko odrobinę, ale gdyby Imogena to zobaczyła, dziewczyna dostałaby porządną reprimendę po powrocie na ulicę Portland. A chyba nie zniosłaby jeszcze jednej lekcji polegającej na utrzymywaniu w równowadze trzytomowego wydania *Dumy i uprzedzenia*.

- Wszystko psułam, Armandzie, od samego początku.

- No cóż, pani może na to patrzeć w ten sposób. Ja, z drugiej strony, jak najlepiej się bawię. A jeżeli już wystarczająco długo unikaliśmy tematu, to czy możemy teraz do niego powrócić? Czy kocha pani mojego zacnego przyjaciela, wicehrabiego Brocktona?

Callie zamrużyła oczami, w których nagle pojawiły się łzy.

- Nie powinien mi pan zadawać tego pytania.

- Prawda. Przepełnieni jesteśmy dziś wieczorem prawdą, czyż nie? A skoro już zadałem to pytanie... Czy zna pani odpowiedź?

Dziewczyna uśmiechnęła się blado, przypominając sobie, co działo się po południu i jak Simon odrzucił jej propozycję.

- Tak. Kocham go. Kocham go całym sercem i duszą. Nie żeby mi coś z tego przyszło.

Przez chwilę panowało milczenie, bo Gauthier nie odpowiedział tak szybko jak poprzednio, i Callie odwróciła się, by na niego popatrzeć i pocieszyć go, gdyby się o nią martwił.

- Ja wiem, że on mnie nie kocha, Armandzie. Naprawdę wszystko jest w porządku. Nic mi nie brakuje.

- Oczywiście, że nic pani nie brakuje - zapewnił ją Gauthier, poklepując po ręce. - A Simon to osioł.

- Wcale nie! - wykrzyknęła Callie. - To najlepszy z ludzi. Naj-najlepszy.

Armand przymknął oczy i ziewnął, zakrywając usta.

- Wiem, wiem. Simon to najwspanialszy z zacnych ludzi. Uczciwy, otwarty, prawy, ma wszystkie, te cechy, których mnie brak. Prawdopodobnie zauroczyło panią to jego przy-

kładne zachowanie w stosunku do matki, oddanie biedakom, szeroko zakrojona dobroczynność, prawdziwa troska o bliźnich.

- No, tak - przyznała Callie, zakłopotana. - Pewnie to wszystko jest ważne.

Gauthier wstał i podał jej ramię, uśmiechając się i udając, że nie zauważa łez w jej oczach.

- Dziwne. Nie wydaje się pani nadmiernie przejęta co chwalebniejszymi cechami Simona. Czyżby było coś jeszcze?

Callie podniosła się, oparła na ramieniu Armanda i pozwoliła poprowadzić się po obwodzie sali balowej, wciąż jeszcze upstrzonej tańczącymi -walca parami, w stronę czekającej i wyraźnie więdnącej Imogeny. I przypomniała sobie coś, co ta cudowna, sympatyczna dama powiedziała wczoraj wieczorem.

- Tak, Armandzie, jest coś jeszcze, co wyrasta ponad jego inne wspaniałe zalety. On jest uroczy - wyznała swojemu rozmówcy smutno i podniosła oczy na jego skupioną twarz, a po jej policzku spłynęła jedna niezauważona łza. - On jest po prostu uroczy.

Nie wiedziała o tym, ale po raz pierwszy w życiu Armandowi Gauthierowi zabrakło słów. Nie wiedziała o tym z dwóch powodów, po pierwsze dlatego, że Armand dość szybko opamiętał się, mówiąc, że on również powinien potuptać do White'a, by wesprzeć Simona moralnie, kiedy ten będzie kontynuował oskubywanie Noela Kinseya. A po drugie dlatego, że jak tylko znaleźli się w zasięgu słuchu Imogeny, ta zaczęła wypowiadać się z wielką szybkością i przejęciem, przy czym jej pióra chwiały się, wachlarz trzaskał, a twarz na przemian odzwierciedlała to znękanie, to znowu odrazę.

- On jest prastary, Callie - mówiła, chwytając dziewczynę za rękę i pociągając ją w dół na krzesło obok siebie. - Śmiertelnie stary, i niższy ode mnie, i zasuszony, chyba z tego podeszłego wieku. Na miłość boską, on tu przyszedł, by upchnąć jakoś swoją wnuczkę! Stracił bojowego ducha do reszty, stary piernik, mówię ci. Musiałam niemalże udawać omdlenie, żeby pozbyć się tego skrzypiącego próchna.

- Ale o kim pani mówi, Imogeno? - zapytała Callie; z trudem udało jej się pożegnać z Armandem, zanim ten uprzejmie przeprosił i zdezerterował z sali balowej, gdzie, załamując ręce, stała lady Jersey, która kawalerów traciła w takim tempie, jak dziurawe wiadro traci wodę.

- Ale oczywiście o Freddym. Był tutaj, Callie, tak jak miałam nadzieję. Ha! Gdybym tylko wiedziała, to wyraziłabym raczej nadzieję, że przyniesie ze sobą drabinkę, by móc sięgnąć mego nosa! I on jest tłusty, Callie. Niski i... i przysadziasty! W sumie wolę spać sama, uprzejmie dziękuję. Och, nie rozczarowałam się tak od czasu, kiedy się ostatni raz dobrze przyjrzałam Prinny'emu, jak się już roztył i emablował damy w takim wieku, że mogłyby być jego matkami. No, myślę, że spokojnie możemy już iść. Zatańczyłaś dwa razy z Gauthierem, dzięki czemu plotkarze od jutra będą cię z nim łączyli, a wcale mi się to nie podoba, pozwól sobie powiedzieć; skoro już wykreśliłam Freddy'ego z mojej listy, nie ma tu nikogo interesującego dla żadnej z nas. A Simon czmychnął, taki z niego niewdzięczny syn. Zobacz, czy uda ci się zwrócić uwagę Lestera, przecież to na niego spadł obowiązek towarzyszenia nam w drodze powrotnej. Widziałam tego chłopaka najwyżej dwa razy przez cały wieczór. Czy myślisz, że może być w salach jadalnych? O ile pamiętam, jedzenie jest tu okropne, nie warto po nie wchodzić po schodach.

- Lester nie jest szczególnie wybredny jeśli chodzi o jedzenie, Imogeno. Gorące, zimne, łykowate, twarde, nic z tego nie skłoni go do powiedzenia „nie, dziękuję” - rzekła Callie, a potem skinęła na przyjaciela, wypatrzywszy go, jak kuli się za kolumną po drugiej stronie sali, jakby się przed kimś ukrywał. Ona również była już całkiem gotowa, żeby zostawić Almacka za sobą. - Przykro mi, że pani wieczorne polowanie nie okazało się bardziej udane.

- I powinno ci być przykro - odpowiedziała wicehrabina, prychnąwszy. - Ja tu zamartwiam się niemal na śmierć, nerwy mam przez ciebie w strzępach, oka nie zmrużyłam przez ostatnie kilka dni... czy aby Kathleen dobrze zamaskowała te sińce pod moimi oczami? No, wszystko jedno. Jestem sta-

ra i bezwartościowa, więc nie ma to żadnego znaczenia, jeżeli zginę marnie przez brak snu. Popatrz tylko na mnie, minęła północ, a ja sterczę tu w Almacku z tym cholernym turbanem na głowie, jak jakaś siwowłosa matrona nie mająca cienia nadziei, że sobie jeszcze ściągnie chłopca do łóżka. Powinno ci być przykro z mojego powodu. Nie ścierpię tego, jeżeli będę musiała hodować te brzydactwa, te mopsy, Callie, naprawdę nie ścierpię.

- Imogeno, doprowadzi się pani do rozstroju - ostrzegła ją Callie, martwiąc się, że omdlenie, którym milady groziła, może stać się faktem. Nagle skrzywiła się, bo wicehrabina chwyciła ją za rękę i przez rękawiczki wbiła jej mocne palce w ciało. - Co? Czy coś się stało?

- Stało? Nie, co się miało stać, tylko że to obrzydliwe, i tyle! Patrz, popatrz tam: to lady Lloyd, ta bezwstydnica. Popatrz na tego pełnego wigoru typa, który wprost lepi jej się do ramienia. Jeżeli ona ośmieli się tu podejść, to nie będę miała wyboru, dam jej miażdżącą odprawę, Callie, przysięgam, że tak zrobię, taka jestem o nią zazdrosna. A nie może być młodsza ode mnie o więcej niż dwadzieścia lat. Dobrze już, dobrze, może troszkę więcej. Może trzydzieści.

- Lady Lloyd? - powtórzyła Callie, a krew jej skrzepła w żyłach. - Czy to może jest Sheiła Lloyd, Imogeno?

Okazały pióropusz zatoczył się jak pijany, kiedy wicehrabina energicznie pokiwała głową.

- Ta i żadna inna. Jej w łóżku mężczyzn nigdy nie brakuje, nawet jeżeli mąż ma już za sobą wszystko, poza kilkoma wspomnieniami o tym, czym kiedyś był. - Westchnęła rozgłośnie. - Jakże żałuję, że nie potrafię być taka jak ona i nie martwić się tą całą sprawą małżeństwa! Bierze sobie nowego kochanka co kilka miesięcy, a mimo to wszędzie ją przyjmują. Nie lubię jej, ale ta kobieta ma dużo sprytu, nie uważasz?

Callie popatrzyła w stronę, w którą Imogena dyskretnie - dzięki Bogu, że zachowała dyskrecję! - pokazywała i zobaczyła piękną, czarnowłosą kobietę około trzydziestki. Była wysooka, elegancka, miała nieskazitelną cerę, olśniewający uśmiech... i łono, które należało nazwać co najmniej imponującym.

Zerknęła w dół na swoją figurę i powtórzyła za wicehrabiną jej żałosne westchnienie.

- Imogeno - zapytała cicho - czy Simon nie należy do wielbicieli lady Lloyd? Przypominam sobie, że słyszałam jej nazwisko pierwszego dnia, kiedy pojawiłam się na ulicy Portland.

Wicehrabina zakrztusiła się i rozkaszała, usiłując przełknąć ślinę i równocześnie coś powiedzieć.

- Pamiętasz coś takiego? Nie, z pewnością niczego takiego pamiętać nie możesz. Ponieważ ja nigdy czegoś takiego nie powiedziałam. Prawda, dziewczyno? Przecież nie powiedziałabym czegoś takiego... mam rację?

- Wydaje mi się, że powiedziała pani, Imogeno - nie ustępowała Caltie, która z jakiegoś powodu czuła potrzebę, by usłyszeć to, *co* już przecież prawie na pewno wiedziała. - A właściwie jestem przekonana, że wspomniała pani o niej, mówiąc Simonowi, iż powinien poślubić mnie. Przestrzegała pani syna, że jeżeli się ożeni, będzie musiał się pozbyć tej kocicy, Sheili Lloyd.

Imogena ciągle odwracała twarz, mimo to Caltie zauważyła karmazynowy rumieniec, który oblał nawet jej szyję; wicehrabina odchrząknęła potężnie.

- No, to niewątpliwie jest do mnie podobne, prawda? Odezwałam się pochopnie, Caltie, z pewnością, nie wiedząc do końca, co mówię. Simon w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowany tą kobietą i nigdy nie był. Jakżeby mógł się nią interesować, mając ciebie w domu?

- Pani ma swoje pragnienia, Imogeno - zwróciła jej Caltie uwagę. - Powtarzała to pani wielokrotnie. Jest rzeczą rozsądną wierzyć, że mężczyźni mają te same pragnienia.

Wicehrabina położyła Caltie rękę na ramieniu w chwili, kiedy Lester padał na krzesło obok swojej przyjaciółki.

- Kochanie, tego rodzaju kobiety to dogodność, nic więcej. Mój własny, drogi mąż korzystał z jednej czy dwóch takich dogodności, zanim się pobraliśmy, ale potem już nie, zapewniam cię, bo za dużo mu dostarczałam zajęcia. Istnieją jednak takie kobiety, które przekonane są, że kochanie się przystoi tylko niższym sferom, że akt ten nie niesie ze

sobą żadnej radości, i ich mężowie niewątpliwie szukają bardziej wrażliwych partnerek.

- Kochanie się? Ona znowu o tym mówi, Callie? Nie mogę tego słuchać. Będę tam, gdzie nasze okrycia, i najprawdopodobniej pozatykam sobie* nimi uszy - kwiknął Lester, zerwał się i niewiele brakowało, by się wyrzucił, tak się spieszył.

- Lady Lloyd jest kochanką Simona - stwierdziła stanowczo Callie, ignorując pospieszną rejteradę Pluma. - To całkiem proste.

- Nie powinnam próbować cię ocyganić, kiedy z ciebie taka bystra dziewczyna, a jak się nad tym zastanowić, to cholernie natarczywa na dodatek - powiedziała wicehrabina, potrząsając głową. - Nie ma co owijać całej reszty w wytworne batysty, prawda? W porządku, Callie, Sheila Lloyd była kochanką mojego syna. Ale ten pożałowania godny związek się skończył. Już po nim. Skończył się i po krzyku.

- A skąd pani może o tym wiedzieć? - zapytała Callie, dochodząc do wniosku, że skoro już uznano ją za cholernie zuchwałą, to równie dobrze może pytać, o co tylko zechce. A to, że Simon przestał widywać się z lady Lloyd, było niewątpliwie interesujące. Kiedy mogło do tego dojść? Zanim Caledonia Johnston wtargnęła chcąc nie chcąc w jego życie czy dopiero potem?

- To całkiem proste. Roberts zapewnił mnie, że Silsby zapewnił jego, że lady Lloyd zdecydowanie należy już do przeszłości w życiu mojego syna, i stało się to w chwili, kiedy ty pojawiłaś się na ulicy Portland. Dał jej *congé*, to znaczy odprawę, moja droga, pięknie opakowaną w diamentowy naszyjnik. Prawdopodobnie ten sam, który wisi dziś wieczorem na jej szyi. To jeszcze jeden powód, dla którego wtedy zrezygnowałam z gorsetu, i nie założyłabym go z powrotem, gdyby nie tępota Simona, który za Boga nie potrafi domyślić się tego, co ja od dawna już wiem. Zaapeluję do jego ambicji i może wreszcie pozna się na uczuciach, jakie do ciebie żywi, bo sam nie jest w stanie ich nawet dostrzec.

Poklepała Callie po rękę jeszcze raz i na szczęście nie zauważyła, że oczy dziewczyny znowu podejrzenie zwilgotniały.

- A teraz poszukajmy tego głuptasa Lestera i jedźmy do domu. Chociaż tej nocy pewnie znowu nie będę spała, taki pech.

Callie podążyła za nią potulnie, zatrzymawszy się tylko na momencik, żeby po raz ostatni rzucić okiem na lady Lloyd i jej klejnoty, zanim wyjdzie do holu. Co prawda nie miało to żadnego znaczenia, że wicehrabia dał tej kobiecie naszyjnik albo że kiedyś z nią sypiał czy że jej kiedyś pożądał. Był wolny i mógł robić, co mu się podoba.

Gdyby tak zapragnął jej...

Przeszły do holu, gdzie Lester z rozmysłem trzymał się od nich na bezpieczną odległość, i wysłały służbę po okrycia.

- Naprawdę nie sypia pani ostatnio, Imogeno? - zapytała Callie, kiedy wyszli z budynku. - Czy nie powinna pani kazać Kathleen podać sobie małej szklaneczki laudanum? To nie wpłynie dobrze na pani zdrowie, jeżeli będzie pani cały czas taka zmęczona.

- Laudanum? Za nic! Laudanum jest dla omdlewających pańienek i leciwych dam. Kiedy już razem z Simonem zadacie druzgocącą klęskę temu całemu Filtonowi i załatwicie sprawy między sobą, wtedy zaczną spać dobrze, jak sądzę. Chociaż muszę powiedzieć, że Freddy poważnie mnie zawiódł. - Pozwoliła się Lesterowi wziąć pod rękę, kiedy schodzili po schodach do czekającego powozu. - Ale mamy przed sobą jeszcze twój bal, Callie. Może tam będzie większy wybór.

Dziewczyna uśmiechnęła się pocieszająco.

- Jestem pewna, że pojawi się na nim wielu dżentelmenów, którzy będą szczęśliwi, mogąc robić pani awanse, Imogeno - powiedziała, kiedy lokaj zeskoczył, by opuścić schodki powozu i otworzyć przed nimi drzwiczki.

- Pozostaje mi tylko mieć nadzieję - odrzekła wicehrabina, puszczając do Callie oko. - Wiem tyle, że chcę przed zimą mieć jakieś ciepłe ciało w swoim łóżku. Może się będę musiała sama trochę rozzuchwalić.

Słyszając to, Lester wydał z siebie cichy kwik i cofnął się, jakby chciał dać do zrozumienia, że jeszcze chwila, a wynajmie sobie dorożkę i osobno pojedzie na ulicę Portland.

- Nie bądźże takim cikliwym sztubakiem, Lesterze - zbesz-

tała go wicehrabina i kiwnęła na niego ręką, by wracał. - Kiedyś bardzo lubiłam pozwalać sobie na Zuchwałości. Pamiętam, jak raz...

- Callie! Caledonio Johnston!

Callie, która zaśmiewała się z zawstydzonego przyjaciela, odwróciła się, słysząc, jak ktoś wykrzykuje jej imię, i sama wrzasnęła, a potem rzuciła się na młodego człowieka, który wyrósł przy nich jak spod ziemi.

- Justyn! - wołała, obejmując go mocno rękami za szyję, a on podniósłszy ją z ziemi, okręcał dookoła, pozwalając się równocześnie obcalowywać. - Justyn, nie mogę w to uwierzyć! Wróciłeś do domu, wróciłeś do domu! Skąd wiedziałeś? Jak mnie znalazłeś?

- Jak mnie przestanieś dusić, to ci powiem - odparł młodzieniec, oswobodził się z przesadnie ciasnego uścisku siostry i podprowadził ją do miejsca, gdzie czekała wicehrabina z szeroko uśmiechniętym Lesterem.

Callie, na przemian śmiejąc się i płacząc, przy czym absolutnie nie przejmowała się tym, że robi z siebie widowisko, znowu uczepiła się brata, jakby się bała, że go sobie tylko wyobraziła i że może on zniknąć, jeżeli na chwilę spuści go z oczu.

Pospiesznie dokonała prezentacji, nie odrywając wzroku od Justyna, który wyglądał na starszego, wyższego, a nawet bardziej przystojnego, niż pamiętała - ubranie leżało na nim niczym druga skóra, włosy miał dłuższe niż przed wyjazdem, a kiedy pochylił się elegancko nad dłońią Imogeny, zauważyła, że emanuje śmiałością i wiarą w siebie, czego nigdy wcześniej u niego nie widziała.

Tak bardzo dojrzeli oboje, od chwili kiedy się ostatnio widzieli. Tylko że Justyn robił wrażenie szczęśliwego, podczas gdy ona pogrążała się w rozpacz. Ale nie dopuści do tego, żeby brat zobaczył jej żalność!

- A więc to od pana wszystko się zaczęło, czy tak? - zapytała wicehrabina, obrzucając młodzieńca szacującym spojrzeniem. Słyszając to, Callie uniosła palec do ust i potrząsnęła głową, milcząco błagając Imogenę, żeby nie poruszała tego akurat

tematu. - Nie bardzo pan przypomina siostrę - ciągnęła starsza dama z promiennym uśmiechem, lekkim skinieniem głowy odpowiedziawszy dziewczynie - z tymi jasnym włosami i w ogóle. No, nie stójmy tak, dostarczając różnym plotkarom z długimi ozorami tematu do rozmowy; proszę odesłać swój powóz i jechać razem z nami na ulicę Portland.

- Tak jest, milady - zgodził się Justyn, ściskając dłoń Callie, a potem uśmiechnął się do Lestera. - Znowu cię namówiła na jakiś zwariowany wybryk, co, stary? Twój papa i mój wcale tak nie myślą, ale ja na dziesięć kroków wywęszę szalone pomysły Callie. Jednak tym rażeni wydaje się, że spadliście na cztery łapy, i ty, i ona. To z pewnością coś nowego i pokrzepiającego, zwykle jej wyskoki miały zupełnie inne konsekwencje.

- Ha! Tak się tylko panu wydaje - wtrąciła Imogena, pozwalając Justynowi podsadzić się do powozu. - I to wyłącznie dlatego, że nie widział pan tego chłopca, kiedy go przebrała w okropną, różową suknię i kazała mu spacerować tam i z powrotem przed White'em, chociaż zdaje się, że miałam tego nie mówić, więc zamknę już teraz buzię, zanim mi Callie po raz trzeci da sójkę w bok. Możesz już przestać, dziewczyno, zrozumiałam. Chodź, synu. Widzę, że przegadamy pół nocy. Ale będzie zabawa!

Callie wdrapała się do środka za Imogena, nadal uśmiechnięta, nadal nieopisanie podniecona, chociaż zaczynała już zdawać sobie sprawę, że teraz, kiedy brat wrócił do domu, będzie musiała opowiedzieć mu, skąd się wzięła w Londynie i jak niebezpieczną intrygę zaplanowała.

A Justyn prawdopodobnie nie okaże zadowolenia.

Pani, jeśli coś jest możliwe, uznaj, że zostało zrobione; a to, co niemożliwe? To będzie zrobione.

- Charles Alexandre De Calonne

14

Justyn wyjaśnił, że na King Street wysłał go w poszukiwaniu siostry Emery, który nie mógł już dłużej patrzeć, jak młody człowiek spaceruje po salonie, z niecierpliwością czekając na jej powrót, i dopiero wtedy, a powóz był już w pół drogi między Almackiem a ulicą Portland, wspomniawszy mimochodem, że nie przyjechał do Londynu sam.

- Najałeś sobie lokaja? - bezzwłocznie zapytał Lester, który wyraźnie znajdował się pod wrażeniem śmiałości swego sąsiada ze wsi. Wyraził tę opinię kilkakrotnie, oświadczając, że nigdy jeszcze nie wdział, by Justyn tak wspaniale się prezentował.

- Tak, najałem, i przyjechał ze mną - potwierdził Justyn, dumnie obciążając mankiety koszuli - ale to nie o niego mi chodziło. - Odwrócił się do Callie; siostra znowu trzymała go za rękę, nie potrafiąc oprzeć się impulsowi, który kazał jej brata ciągle dotykać i w ten sposób upewniać się, że szczęście, które przeżywa, nie jest jakąś złudą. - Papa przyjechał ze mną - powiedział z uśmiechem. - I zatrzymaliśmy się w Ockham, a wszystko dlatego, że papa wbił sobie do głowy, iż w żaden sposób nie poradzisz sobie w Londynie, nie mając przy boku panny Haverly, która dopilnuje, żebyś się zachowywała, jak na młodą panienkę przystało.

- Ta okropna Haverly? - wybuchnęła dziewczyna z przerażeniem. - Och, Justynie... jak mogłeś mu na to pozwolić?

- Nie cieszysz się? - zapytał brat takim tonem, jakby właśnie podarował jej wspaniały prezent, a ona go z miejsca odrzuciła.

- Cieszyć się? Cieszyć! Ta okropna kobieta tak długo każe mi powtarzać „prawidłowa prezentacja, proszę”, aż dostanę zęza, a potem wygłosi przydługie kazanie, jak powinienam zachowywać się na oficjalnym przyjęciu, i jak mam chodzić, i stać, i jeść, i... Justyn, ty łotrze! Ty się ze mnie nabijasz! - Tu pchnęła go mocno oburącz, wciskając go w sam róg powozu, a potem biła po rękach, aż obronnie uniósł je w górę. - Panny Haverly wcale tu nie ma, prawda? Prawda?

- Odwołaj ją, Lester, odwołaj ją! - rozbawiony Justyn zwrócił się o pomoc do przyjaciela, bo Callie nie przestawała go atakować. - No dobrze już, dobrze, wymyśliłem to wszystko! Poddaję się, smarkulo, przestań mnie tłuc. Czy tak powinna zachowywać się młoda dama?

- Kto otworzył drzwi do dziecinnego pokoju i wypuścił te brzdące? - jęknęła wicehrabina, ale po chwili sama się roześmiała. - Ładnie ją nabrałeś, młody człowieku, muszę to panu przyznać. I nie ulega kwestii, że musisz być jej bratem, bo rzadko spotyka się parę tak bystrą i zuchwałą, jak wy. Lester, biedaku, wciąż się jeszcze nie zorientowałeś, że te dwa potwory tylko się droczyły ze sobą? Przez całe twoje życie zawsze oboje potrafili cię przegadać i zdystansować, prawda? Tylko mi się tym nie przejmuj, dobrze? Ja cię będę broniła.

- Ha! - Callie niemal bez tchu opadła na poduszki. - A kto będzie chronił Lestera przed panią, Imogeno, gdy zacznie pani opowiadać o czasach, w których „lubiła pani pozwalać sobie na zuchwałość”?

- Kto... więc kto jeszcze przyjechał z tobą, Justynie? - zapytał Plum, który najwyraźniej wolał nie ryzykować, że słowa Callie skłonią wicehrabinę do snucia rozważań na temat, jak najlepiej rozgrzewać się w łożu i tak dalej. - Czy naprawdę przywozłeś ze sobą sir Cambera?

Callie wzdrygnęła się, słysząc imię ojca, i przypomniała sobie, że Justyn mimochodem o nim wspomniał, zanim rozproszył jej uwagę nazwiskiem panny Haverly, bo dobrze przecież wiedział, jak się cieszyła, pozbywszy się swojej ostatniej guwernantki.

- Papa naprawdę jest tutaj?

Brat przytaknął.

- I papa Lestera również. Czekają na nas teraz w rezydencji wicehrabiego. - Powóz podjechał pod drzwi numeru czterdzieści dziewięć przy ulicy Portland. - Ach, oto i jesteśmy. Idziemy, smarkulo. Sir C. doczekać się nie może, by łzami szczęścia oblać swoje najmłodsze kurczątko.

- Na miłość boską, zaczekaj! - Callie złapała brata za łokieć i powstrzymała go przed otworzeniem drzwiczek. - Nie możemy jeszcze wejść do środka. Najpierw musimy złamać Lesterowi rękę.

Justyn powoli odwrócił głowę i popatrzył na Lestera Pluma, który zrobił się biały jak prześcieradło, skulił się i przypadł do siedzenia powozu. Potem przeniósł "wzrok na siostrę, jakby już wszystko zrozumiał, co było bardzo prawdopodobne, bo przecież znał tę dziewczynę od osiemnastu lat.

- Złamać mu rękę? Da się zrobić - powiedział gładko. - Przytrzymaj go, smarkulo, a ja porządnie trzepnę go moją laseczką.

- Callie! - kwiknął Lester i niemalże dał nura w głąb przepastnego dekoltu wicehrabiny.

- Justyn, przestań go drażnić - zbesztła brata rozchichotana Callie.

Imogena poklepała Pluma po plecach, mamrocąc przy tym:

- No, no, chłopcze, no, no. Nie pozwolę temu niedobremu człowiekowi cię skrzywdzić - ale równocześnie cała twarz pomarszczyła jej się z wysiłku, by nie parsknąć śmiechem. - Tym niemniej coś musimy z tym zrobić, Lesterze. Minął już jakiś czas od rzekomego wypadku, ale mimo to twój ojciec będzie spodziewał się ręki na temblaku.

- Przepraszam, Lesterze - przeprosił ze skrucą Justyn. - Nie zdołałem się powstrzymać. Jaśnie pani ma rację, przyda ci się temblak. O powody będę pytał później. Dużo później, jeśli nie zawiedzie mnie inteligencja. O ile dobrze pamiętam, ma to coś wspólnego z jakimś wypadkiem. No cóż, wszystko jedno. Kiedy Callie prowadzi, człowiek robi, co musi. Czy zechciałabyś poświęcić jedną ze swoich halek, moja siostrzo?

Callie rozgłośnie cmoknęła Justyna w policzek, dzięku-

jąc mu za to, że z taką pogodą ducha przyjął następny z jej „zwariowanych wyskoków”, a potem pochyliła się, by odebrać kawałek halki, na nieszczęście wykończonych koronką.

- Jesteś najlepszym ze wszystkich dobrych braci, Justynie - oświadczyła, pospiesznie zwijając pas materiału tak, by koronka została jak najlepiej ukryta. Następnie skinęła na Lestera, żeby pochylił się ku niej, i spróbowała zawiązać mu na szyi prowizoryczny temblak. - I wszystko opowiem ci jutro rano, jeżeli tylko pomożesz nam jakoś przebrnąć przez dzisiejszy wieczór. Lester, przestań się wiercić; jest ciemno, a jak się będziesz do tego ciągle ruszał, nie uda mi się zawiązać porządnego supła. Którą on rękę miał złamaną? Imogeno, pamięta pani może, czy wspominała pani, która to była ręka? Och, wszystko jedno. Justynie, obiecuję, opowiem ci wszystko z najdrobniejszymi szczegółami jutro rano, kiedy spotka się z tobą wicehrabia. Ale dziś wieczorem, drogi bracie, jeżeli mnie kochasz, będziesz się tylko uśmiechał, a pytania zachowasz dla siebie, w porządku?

- Z radością - obiecał młodzieniec i, kiedy lokaj otworzył przed nimi drzwiczki, żwawo wyskoczył z powozu, jeszcze zanim opuszczono schodki, a potem wyciągnął rękę, by pomóc wicehrabinie zejść na chodnik.

- Teraz to się pan cieszy - rzekła Imogeno, przyjmując jego ramię, a potem wytwornie uniosła spódnicę o cal i ruszyła po stopniach prowadzących do jasno oświetlonych, frontowych drzwi rezydencji. - Ale jutro zaśpiewa pan może na inną nutę. A teraz proszę mi opowiedzieć o sir Camberze i o panu Plumie. Obydwaj są wdowcami, prawda? W tym sezonie odczuwamy w Londynie dotkliwy brak wdowców, a ja będę gościć dwóch z nich we własnym salonie. Powiedziałabym, że ja również bardzo się cieszę. Pozostaje nam tylko przekonać się, czy okaże się to przekleństwem, czy też niespodziewanym łutem szczęścia. Proszę mi powiedzieć, jakiego oni są wzrostu? Czy są starzy? I proszę mi powiedzieć, czy mogliby...

Callie przewracała oczami, słuchając Imogeny. Wreszcie głos pani domu zamarł w oddali. Wtedy przeszła wzrokiem przyjaciela z dzieciństwa.

- Będziemy musieli kłamać jak z nut, Lesterze, przynajmniej do jutra, kiedy pojawi się tu Simon i nam pomoże. Potrafisz to zrobić? Poradzisz sobie z tym? Lester? Powiedz coś do mnie.

- Papa? Tutaj? Och, Boże - bełkotał Plum, oczy miał rozszerzone i puste; wpatrywał się wprost przed siebie, niczego nie widząc, szczeka mu troszkę opadła, a język się płątał. Uniósł do góry prawą rękę, razem z temblakiem, żeby potrzeć czoło. - Chyba mi się zrobi niedobrze.

Callie dała mu klapsa w „złamaną” rękę, chwyciła za ramiona i z całej siły nim potrząsnęła.

- Nawet o tym nie myśl, Lesterze Plum, nawet o tym nie myśl. Posłuchaj mnie - rozkazała, przejmując dowodzenie, jak zresztą zawsze to robiła, od chwili kiedy ukończyła czwarty rok życia, a przyjaciel siódmy; nauczyła go wtedy, jak wspinać się na drzewo, zapominając przy tym, że jeszcze nie umie schodzić na *dół*.

Znała jeden pewny sposób, by przyciągnąć uwagę przyjaciela, i w desperacji uciekła się do niego: sięgnęła do kieszeni kamizelki Lestera, wyciągnęła lukrecjową laseczkę i powoli zaczęła mu nią przesuwać tam i z powrotem pod nosem, zupełnie tak samo, jak to robiła z solami trzeźwiącymi czy palonymi piórami, kiedy groziło, że Imogena zaraz zemdleje.

- Wszystko będzie w porządku, kochany Lesterze, wszystko. Lesterze? Czy mnie słuchasz? Wszystko jest w porządku. W porządku.

Plum zamrugał dwa razy oczami, kiwnął głową, a potem wyciągnął rękę i wziął od niej lukrecjową laseczkę.

Simon wstał o dziewiątej, wróciwszy do domu dziesięć po czwartej nad ranem, nic więc dziwnego, że czuł się zmęczony. Nie był jednak aż tak wyczerpany, by nie zauważyć piekielnego zamętu, który zapanował w jego życiu od chwili, kiedy po raz pierwszy spotkał się twarzą w twarz nie tyle z Callie, co z jej pistoletem; a zaistniała sytuacja zaczynała obecnie graniczyć z absurdem.

Najpierw był zaintrygowany, potem nieco bardziej zain-

trygowany. Irytacja zmieniła się w zadurzenie. Gniew w zadowolenie, a później w konsternację. Simon przewędrował całą drogę od zdrowego rozsądku do demencji, tam i z powrotem. I to nie raz.

Były chwile, kiedy marzył już o tym, żeby Callie pokazała mu plecy, a równocześnie z dnia na dzień coraz głębiej wciągał ją w swoje życie. Chciał, żeby odeszła i żeby nigdy nie odchodziła. Tęsknił za tym, żeby się od niej uwolnić, i marzył, by trzymać ją tak blisko, żeby nie mogła odejść, nawet gdyby chciała.

Obojętne, czy się streszczać, czy nad tematem rozwodzić: choć na wszelkie sposoby starał się tego wypierać - a nie ulegało kwestii, że starał się, i to jak! - całkiem niewykluczone, że zaczął zakochiwać się w Caledonii Johnston.

Ona była oczywiście przekonana o jego nienawiści. Nie mogła wiedzieć, że kiedy się upierała, Simon tylko udawał niesmak, bo za nic nie chciał dopuścić do tego, by mu pomagała. Nie było łatwo opowiedzieć jej o Robercie, o Jamesie, ale zasługiwała na to, żeby poznać prawdę. W końcu to przez niego uwierzyła, że będzie miała swój udział w doprowadzeniu Noela Kinseya do upadku. Zasługiwała co najmniej na prawdę. Obciążenie jej tą prawdą było czynem tchórzliwym, ale koniecznym.

Znał już teraz Callie, znał ją całą, po czubeczki palców u nóg. I dowiodła, że miał rację. Zajęto jej to nie więcej niż kilka minut, żeby przejść od smutku, który ogarnął ją po wyjaśnieniach Simona, od zażenowania wywołanego jego nagłym wyznaniem, dotyczącym Roberta i Jamesa, do ponowienia propozycji, że pomoże mu zniszczyć Filtona.

Ta dziewczyna stanowiła zagrożenie dla całej ludzkości. I skarb.

A teraz, po kilku tygodniach gonienia za własnym ognem, po tylu kłótniach, przekomarzaniach się, po lekcjach flirtu, pocałunkach i nieporozumieniach, prosiła go o pomoc. Potrzebowała jego pomocy. Zdobyła się na to, by po wszystkim, co razem przeszli, prosić o jego pomoc.

Właściwie było to zachwycające. Pokazywało, że jest jesz-

cze dla nich nadzieja, jeżeli kiedykolwiek wypłaczą się ze sprawy Noela Kinseya, a planował, że się wypłaczą i to z takim pośpiechem, że Kinsey będzie miał zawroty głowy.

- Simonie? Czy pan mnie słucha? - pytała Callie, spoglądając na wicehrabiego, który stał przy kominku w salonie i patrzył w dal, pogrążony we własnych rozmyślaniach. - *Wiem, że nie ma pan żadnych powodów, by mi pomagać*, i pewnie chciałby pan, żebym sobie po prostu już poszła i utopiła się w jakimś rowie. Wcale się panu nie dziwię. Naprawdę. Od samego początku, w ten czy inny sposób, byłam dla pana wyłącznie jednym wielkim utrapieniem.

- Tak, to prawda, że potężnie mi pani zakłóciła spokój, Callie. W ten czy inny sposób - powtórzył Brockton, zastanawiając się, jak mógł kiedykolwiek uważać Callie za niewiele więcej niż dziecko. Miał przed sobą kobietę. Śliczną, niepokojącą, godną pożądania kobietę. Która wiedziała, co przez nią przeszedł. Prawdopodobnie wiedziała nawet, że niemal spać nie może od dnia, kiedy pocałował ją po raz pierwszy. Będą naprawdę musieli usiąść razem i odbyć długą rozmowę. Albo może krótką, która szybko zakończy się długim pocałunkiem.

- Proszę, niech mi pan nie przerywa, Simonie - poprosiła dziewczyna, przewracając oczami. - Nie mamy na to czasu. Papa i Justyn, i dziedzic lada chwila przyjadą z Pułteneya. Nie najgorzej udało mi się zamydlić im oczy wczoraj wieczorem, ale teraz musimy się znowu z nimi spotkać i jakoś tak prześlizgnąć się nad wydarzeniami ostatnich tygodni, żebyśmy z Lesterem nie wpadli jak śliwka w kompot. Jeżeli nie potrafi się pan zdobyć na to, by martwić się o mnie, niech pan pomyśli o Lesterze. Proszę to zrobić dla biednego Lestera, Simonie, a ja sobie pójdę precz i nigdy już pana o nic nie będę prosiła. Obiecuję. Ale po prostu wiem, że moja rodzina nie zabierze mnie stąd, nie spotkawszy się najpierw z panem i nie podziękowawszy mu za opiekę nad mną. A ponieważ i tak planowali, że zatrzymają się w mieście przez tydzień, musimy wszyscy kłamać w ten sam sposób. Rozumie pan to, prawda?

Roxbury patrzył na stojącą przed nim Callie, ubraną w twarzową, lawendową poranną suknię, i robił co mógł, by nie poznała po jego oczach, jak bardzo jest mu miła. Mówiła prawdę. Bardziej martwiła się o Lestera Pluma niż o siebie. Podobała mu się właśnie taka: niepewna, trochę zdenerwowana, lekko wytracona z równowagi. To była interesująca odmiana. Musi być dosyć podłym człowiekiem, by tak myśleć, zdecydował.

- Obdarzam panią całą swoją uwagą, panno Johnston, zapewniam panią, a Lestera całym moim współczuciem - powiedział ceremonialnie, skłaniając głowę w jej kierunku. - Jak dotąd powinienem zapamiętać, że ramię Lestera goi się całkiem dobrze. Okazało się, że było to tylko poważne zwichnięcie, a nie złamanie, co z pewnością stanowi niezwykle fortunny obrót sprawy, jako że w innym przypadku biedak musiałby skrzydełko nosić na temblaku jeszcze przez dwa albo trzy tygodnie. Co jeszcze?

- Co jeszcze? Simonie, jest tego „jeszcze” aż w nadmiarze! - Callie wydała pełne irytacji westchnienie, które zmusiło wicehrabiego do ugryzienia się w policzek od środka. - Papa i dziedzic nie mają pojęcia, po co myśmy tu przyjechali, to po pierwsze. A Justyn absolutnie nie może się o tym dowiedzieć, nie byłby zachwycony, gdyby odkrył, że wzięłam lejce we własne ręce, że tak powiem. A poza tym otrzymałam liścik od Noela Kinseya, który prosi mnie, bym wybrała się z nim na przejażdżkę dziś po popołudniu, o piątej. Przesłałam mu przez służącego odpowiedź, że będę zachwycona, a wiem, że mogę przyjąć to zaproszenie, ponieważ widziałam go w Almacku w pana towarzystwie.

Roxbury popatrzył na nią zimno, cały jego dobry humor ulotnił się.

- Na pewno nie mogła pani tego mówić wcześniej, Callie. Coś takiego zapamiętałbym. Nawiasem mówiąc, nigdzie pani nie pojedzie.

Przyglądał się, jak dziewczyna wysuwa do przodu swoją uroczą bródkę i, co było do przewidzenia, odpala:

- Nawiasem mówiąc, to oczywiste, że pojedę. Muszę chronić Justyna.

- Chronić Justyna? - Simonowi oczy przesłoniła czerwona mgiełka. Zaczynał się już przyzwyczajać do występowania tego zjawiska, kiedy Callie była w pobliżu. - Chronienie Lestera ma sens, ponieważ ten chłopak, puszczonego samopas, jest kompletnie bezbronny. Ale teraz chce pani znowu chronić swojego cholernego brata? Mój Boże, jakże tęsknię już za tym, by poznać ten wzór doskonałości, tego krótkowzrocznego, dramatyzującego, łatwego do wystrychnięcia na dudka braciszka-dezertera, który potrafi wzbudzić w swoim pełnym uwielbienia rodzeństwie chęć do powtarzania wybryków graniczących z krańcową głupotą. Nie mogę się już doczekać, żeby mu podbić i jedno, i drugie oko.

Dłonie Callie zwinęły się w pięści.

- Justyn nigdy nie prosił mnie, żebym go broniła. Chcę go chronić tylko dlatego, że go kocham.

- A, tak - powiedział wicehrabia ze zrozumieniem, wiedząc, że Callie wypowiedziała dokładnie te słowa, które sam włożyłby jej w usta, gdyby leżało to w jego mocy. Callie należała do dziewcząt... do kobiet... które dla swoich ukochanych odważyłyby się na wszystko. Stałyby twarzą w twarz z każdym niebezpieczeństwem i powitały je z radością. Czy to nie dlatego pozwalał jej wierzyć, że jej nie lubi? Żeby, kochając go, jak miał nadzieję, o co się modlił, nie poczuła potrzeby chronienia także i jego?

- Callie... - ostrzegł ją przezornie przerwał, kiedy do pokoju wkroczyła jego matka, rozejrzała się pospiesznie i zapytała, gdzie są panowie. Była wystrojona jak na bal i wymalowana jak lalka, i nie ulegało kwestii, że bardzo szybko powinien się pojawić ktoś, kto będzie mógł się tym wszystkim zachwycić, zanim Imogena zrobi zbyt głęboki wydech, a gorset nie pozwoli jej ponownie zaczerpnąć tchu.

Callie, co oczywiste, widziała w wicehrabinie sprzymierzeńca, natychmiast więc podbiegła do niej i zażądała, by ta potwierdziła, że przejażdżka po Promenadzie z hrabią Filtonem jest dokładnie tym, do czego miała doprowadzić wyprawa do Almacka.

Imogena, która jak dotąd została wtajemniczona wyłącz-

nie w pierwszy, oszukańczy plan syna, usadowiła z wielką ostrożnością swoją ciasno zasznurowaną osobę na krytej pasiastym jedwabiem, stojącej na samym środku pokoju kanapie i popatrzyła na jedynaka.

- Co się stało, Simonie? Czyżbyś po zastanowieniu zmienił zdanie i nie zamierzasz już podsuwać Callie Kinseyowi? A czemuż to, ciekawa jestem? - Następnie uśmiechnęła się; przypominała przy tym bardzo zadowolonego kota, któremu z pyska sterczą pióra z kanarka.

- Matko... - zaczął ostrzegawczo wicehrabia... czy mu się tylko zdawało, czy Callie też właśnie ostrzegał, kiedy matka weszła do salonu? Może pisane mu jest przez cały ranek wykrzykiwać to jedno, to drugie imię, ze świadomością, że i tak, zanim zdąży powiedzieć coś więcej, ktoś mu lada moment przerwie?

I rzeczywiście, ledwie udało mu się wyrzec to jedno jedyne słowo, Callie wtrąciła się, mówiąc:

- To niesprawiedliwe, Imogeno. Pomysł, żeby doprowadzić Filtona do upadku, był mój! Ale teraz, kiedy sprawa się tak pięknie rozwija... chociaż przyznaję, że może byłoby lepiej, gdyby Justyn zaczekał jeszcze z tydzień czy dwa, zanim wrócił do domu i narobił tyle zamieszania... Simon staje okoniem, sprzeciwia się dokładnie temu, czego od początku sam chciał. Cała pani ciężka praca, Imogeno, cała pani opieka nade mną, pani nauki, czy pozwoli pani, by wszystko to poszło na marne, tylko dlatego, że wicehrabia znarowił się przed pierwszą przeszkodą?

Mała złościca! Jak ona śmie wykorzystywać przeciw niemu jego własną matkę? To, że on wykorzystał matkę przeciw niej... no, nie będzie się akurat w tej chwili nad tym zastanawiał.

- Jeśli pani pozwoli, spieszę poprawić panią w jednym punkcie, smarkulo - powiedział, dając krok do przodu i ustawiając się pomiędzy Callie a matką. - To był pani pomysł, chociaż doskonale potrafię zrozumieć jej niechęć, by się do niego przyznawać, żeby do tego łajdaka strzelać. Całą resztę wymyśliłem ja. A ponieważ pomysł był mój, ode

mnie zależy to, czy będę go jakoś zmieniał, jeżeli dostrzegłem teraz problemy, które w pierwszej chwili nie rzuciły mi się w oczy. Matko - dodał i ukłonił się przed nią - postanowiłem trzymać Callie tak daleko od Noela Kinseya, jak to tylko możliwe. Zgadza się mama ze mną, oczywiście?

Imogena tylko się uśmiechnęła. Jadowicie.

- Problemy, czy tak? - Callie gwałtownie oparła zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach i pochyliła się zadziornie do przodu, z rozmysłem go prowokując. - A na ten przykład jakie?

- Coś w tym jest, co mówi ta pannica - wtrąciła Imogena niemal w uniesieniu, taka się wydawała szczęśliwa. Ale uśmiech miała nadal odrobinę jadowity, dzięki Bogu, niech ją diabli. - I ma wszelkie prawa, by usłyszeć uzasadnienie tej zmiany planów. Cóż to za problemy, drogi chłopcze? Powiedz mi. Powiedz nam. Proszę. Czy powiedziałam „proszę”? Nie! Tak naprawdę to tego żądamy.

Człowiekowi nawet na myśl nie powinno przyjść, że mógłby udusić własną, ukochaną matkę, ale Simon poczuł, że ochota, by to zrobić, zaczyna w nim narastać. Nie mógł się przyznać, że kiedy słyszał, iż Noel Kinsey będzie przebywał w parku sam na sam z Callie, gwałtownie zaczynała wrzeć mu w żyłach krew. Nie mógł tego zrobić, jeżeli nie chciał, by jego matka zerwała się i biegiem ruszyła przez Mayfair, wszem i wobec rozgłaszając nowinę o ślubie. Zanim będzie mógł jej na to pozwolić, musi poważnie porozmawiać z Callie. Bardzo poważnie z nią porozmawiać.

Tak więc, ponieważ był inteligentną istotą ludzką oraz dżentelmenem, a oprócz tego człowiekiem, który ceni sobie własną skórę, otworzył znowu usta... i zaczął paniom w żywe oczy kłamać.

- Armand zamierzał już wcześniej zaprosić Filtona na małe, hazardowe spotkanie u White'a, które, tak się składa, planował na drugą, dziś popołudniu. Ścisłe ograniczona grupka, wysokie stawki i możliwość gry do białego rana. A ponieważ ja poważnie nadwerężyłem już portfel Filtona, chociaż żadna z pań nie zadała sobie trudu, by o to zapytać, nie ulega kwestii, iż gorąco pragnie on znowu zasiąść ze

mną przy stoliku w nadziei, że uratuje kilka swoich obli-
gów. Innymi słowy, proszę przygotować się na to, że otrzy-
ma pani jeszcze jeden liścik od naszego przyjaciela, Noela
Kinseya, z błaganiem, by spacer odłożyć na jutro. A teraz,
jeżeli mi panie wybaczą, właśnie przypomniałem sobie, że
zapomniałem o czymś powiedzieć mojemu sekretarzowi.

Callie przesunęła się na lewo, blokując mu wyjście.

- Chce mu pan kazać napisać liścik, wysłać go do Arman-
da i zaaranżować całą tę bzdurę, którą jSan dopiero co wy-
myślił - rzuciła oskarżycielskim, lecz cichym głosem, tak że-
by nie usłyszała jej wicehrabina, która właśnie pracownicę
grzebała w paterze z bakaliami, szukając swoich przysma-
ków. - Och, Simonie, powinien się pan wstydzić.

- Palę się ze wstydu, smarkulo - odrzekł jej ucziwie
Brockton, a potem wyszedł z pokoju przez otwarte przej-
ście po drugiej stronie. Kierował się właśnie ku schodom ku-
chennym, kiedy dobiegł go stukot kołatki u drzwi. - Zaraz
wracam, by poznać pani rodzinę - zawołał do Callie.

- Niech pan lepiej wróci - odkrzyknęła. - Lester chowa
się w swoim pokoju, głowę wetknął pod poduszki, a mnie
będzie potrzebna czyjaś pomoc, jeżeli mam misternie wy-
dzierać następną zasłonę kłamstw i nie spuścić przy tym
żadnych oczek.

Roxbury odwrócił się do niej z uśmiechem.

- To było bardzo dobre, Callie - pochwalił ją. - Ale ufam,
że pani ogromne doświadczenie w materii szachrowania
i naginania prawdy pozwoli nam jakoś przetrwać.

Dziewczyna przechyliła głowę na bok i spojrzała na nie-
go spod powiek.

- Nie gniewa pan się już na mnie, prawda, Simonie, tak
jak się pan gniewał wtedy, w karczmie? Stara się pan tylko
złościć, zwłaszcza za to, że zgodziłam się pojechać z No-
elem Kinseyem, ale naprawdę się pan nie gniewa. Rozumie
pan, dlaczego to zrobiłam.

- Gniewać się na panią? Ależ, Callie, nie wiem, o czym
pani mówi. Wcale się na panią nie gniewałem. Ale rozumieć
panią? O nie. Nigdy, smarkulo. Nawet za milion lat.

- No i kto tu opowiada wielkie kłamstwa? - zapytała. - Jestem dla pana przezroczyista jak szyba okienna i wcale nie mam pewności, czy mi się to podoba - zakończyła i pobiegła na podest witać swoją rodzinę, ale Roxbury zdążył zobaczyć błysk szczęścia w jej oczach.

Jeżeli tylko uda im się przetrwać te następne kilka godzin, te następne kilka dni, te następne kilka kłamstw, i nie pozabijać się przy tym...

Kiedy Simon nabazgrał już list do Armanda i wysłał z nim Roberta, wrócił do salonu i zastał tam trzech panów.

Pierwszy, najmłodszy, jasnowłosy i zdecydowanie przystojny, musiał być Justynem. Pozostał mu więc jeszcze sir Camber i pan dziedzic. Wicehrabia szybko doszedł do wniosku, że ojcem Lestera musi być dosyć tęgi mężczyzna, który siedział na fotelu najbliższej Imogeny i miał na pogodnej twarzy ten sam wyraz zakłopotania, jaki był znakiem rozpoznawczym jego syna.

Teraz pozostał już tylko wysoki, szczupły dżentelmen, który stał w pobliżu kominka, nosił ubranie modne w zeszłym sezonie, i musiał być nie kim innym, tylko sir Camberem Johnstonem, Bohaterem Rybiej Ości, we własnej osobie.

Tak myśląc, Simon wszedł energicznym krokiem do środka, przedstawił się i dowiedział, że istotnie miał rację, ponieważ dżentelmen, który - jak zdecydował - musiał być sir Camberem, bezzwłocznie ujął jego dłoń w obie ręce i zaczął nią potrząsać jak szalony, dziękując mu gorąco za to, że przyjął Caledonię pod swój dach i dał jej sezon w Londynie, na który tak bardzo zasługiwała. Jego wylewność tłumaczyła, dlaczego z taką łatwością uwierzył w historyjkę z liściku Imogeny: czuł się zbyt wdzięczny, by kwestionować jej prawdopodobieństwo.

Potem przyszła kolej na muskularnego dziedzica, który wyżył całą krew z palców Brocktona. Nie pozwalając wicehrabiemu na cokolwiek poza uśmiechami i potakiwaniem, wygłosił rozwlekłą tyradę, jak bardzo czuje się zaszczycony, że jego jedyny syn, „zacny chłopiec; bardzo zacny chłopiec, tyle że słabo ma umeblowane górne pięterko”, został

przyjacielem pani wicehrabiny. To, że utknął w biocie, skąd mogła go wyciągnąć jaśnie pani, było najrozsądniejszą rzeczą, jaką chłopiec w życiu zrobił, mówił dziedzic.

- A teraz moja kolej, jak mi się zdaje - wtrącił Justyn gładko. Podał Roxbury'emu rękę, ratując go od trwałego kalectwa, jako że dziedzic uściskiem dłoni dowiódł, iż pracuje na własnych polach i posiada energię i wigor właściwe pięściarzom zawodowym o połowę od niego młodszym. Simon zauważył, że matka mierzy pana Pluma spojrzeniem od stóp do głów. Wykazywała przy tym subtelność równą tej, z jaką wyścigowy naganiacz ocenia szybko nogiego wierzchowca. Z miejsca zaczął się od tej myśli opędzać, ale niestety już było za późno, by się całkowicie pozbyć zarówno obrazu, jak i konotacji z nim związanych.

- Ogromnie mi miło, panie Johnston - powiedział, usiłując skupić się na bracie Callie i ocenić go bez uprzedzeń.

- To wielka przyjemność poznać pana, milordzie. Proszę pozwolić, że dołączę swoje podziękowania Za pana życzliwą opiekę nad moją siostrą. Mam tylko nadzieję, że smarkuła nie sprawiła panu za wiele kłopotów.

Simon uśmiechnął się, kiedy Justyn z taką swobodą posłużył się określeniem: smarkuła. Wyglądało na to, że przynajmniej w jednej kwestii będą się z bratem dziewczyny Zgadzać. Postanowił lepiej poznać tego młodego dżentelmena i wnioski wyciągnąć osobiście, ignorując zapewnienia Callie, że jej jedyny brat bez pomocy siostry nawet fularu nie potrafi sobie wybrać.

- Zasługę należy przede wszystkim przypisać mojej matce, panowie - odrzekł, kłaniając się Imogenie. - A przyjemność sprawiało nam to obojgu.

- No, muszę panu, milordzie, powiedzieć, że oboje państwo dokonaliście cudu - stwierdził sir Camber, rozsuwając dość energicznie poły i usadawiając się na fotelu w pobliżu kominka. - Niemal nie poznałem tego dziecka, kiedy ją zobaczyłem wczoraj wieczorem. Z zadziwienia wyjść nie mogę, patrząc na nią, chociaż nie do końca jestem pewien, jeżeli chodzi o włosy. Zwykle bywały dużo dłuższe.

- Naprawdę? - rzekł Simon, patrząc na Callie, która po-

deszła do Justyna i stała teraz obok niego; oboje byli bardzo podobni z rysów twarzy, chociaż różnili się kolorytem. - Mógłbym przysiąc, że kiedy ją poznałem, były mniej więcej tej samej długości.

- Opowiedz nam o Indiach, Justynie, przecież zebraliśmy się już wszyscy i możemy posłuchać - poleciła pospiesznie Callie bratu, rzucając w kierunku wicehrabiego spojrzenie, które poinformowało go, że jej zdaniem nie przykłada się wystarczająco do pomagania. - Porozmawialiśmy wczoraj wieczorem nie dłużej niż minutkę, a potem pan dziedzic zaczął przysypiać, i wróciliście do hotelu. Wyglądasz wspaniale, czy zrobiłeś majątek?

- No, zaczyna się historia, którą ja już słyszałem - powiedział dziedzic, klepnął się potężnymi łapami po kolanach, a potem wstał i spojrzał w dół na Imogenę. - Czy nie miała by pani ochoty przejechać się kawałeczek wspaniałym, wynajętym przez tego chłopca powozem, milady? Chciałbym rzucić okiem na Londyn, skoro już tutaj jestem, a czułbym się zaszczycony, mogąc uczynić to w pani towarzystwie. Poza tym nie jest dobrze, jak konie za długo stoją, moim zdaniem.

Simon musiał tuszować kaszlem rozbawienie, z jakim patrzył na najlepszą imitację wdzięczającej się panienki w wykonaniu matki, chociaż nie spotkał jeszcze kobiety, której budowa mniej by ją do wdzięczenia się predysponowała.

- Ależ byłabym zachwycona, zacny panie - powiedziała i zerwała się na nogi z taką skwapliwością, że prawie nadepnęła dziedzicowi na palce, zanim zdążył odsunąć się i podać jej ramię. - Poślemy tylko Roberta na górę, żeby Kathleen dała mu dla mnie szal i czepek.

Następnie, wychodząc z dziedzicem z pokoju, odwróciła na moment głowę i bezgłośnie powiedziała do Callie i Simona: jest rosły. Uśmiech miała szeroki i pełen zadowolenia, ale nie dorównywał on ani w połowie rozanielonemu uśmiechowi Roberta, który stał tuż za drzwiami, trzymając już przygotowany czepek w jednej ręce, a szal w tureckie wzory w drugiej.

- Czy mógłbym zainteresować pana kieliszkiem sherry, sir Camberze? A może kogoś jeszcze? - zapytał Brockton, a po-

tem zaproponował, by na czas rozmowy we czwórkę obywalili się bez takich formalności, na którą to propozycję przyjaźni i koleżeństwa obydwaj dżentelmeni chętnie przystali.

- Tak naprawdę to wcale nie dojechałem do Indii - mówił Justyn w kilka minut później, kiedy wszyscy zasiedli już w wygodnych fotelach na środku pokoju. - Mój ostatni list do was przyszedł z Włoch, prawda, smarkulo? Tak, tak mi się wydawało. Pisałem ten list jeszcze na pokładzie statku, a potem zszedłem na brzeg, nadałem go i spotkałem swoje przeznaczenie, wszystko jednego dnia.

- Twoje przeznaczenie, Justynie? - zapytała Callie i pochyliła się do przodu, przysiadając na samym brzeżku fotela i w oczywisty sposób nie mogąc doczekać się, aż usłyszy wszystko, co brat ma do powiedzenia. Simon przyglądał się jej twarzy, przekonany, że malujący się na niej wyraz miłości do Justyna uczynił ją jeszcze piękniejszą niż dotychczas. Jeżeli kiedykolwiek zastanawiał się, dlaczego młoda dziewczyna mogła posunąć się aż tak daleko, chcąc pomścić brata, to teraz przestał się dziwić. Tego brata i siostrę łączyło szczególne uczucie. Wicehrabia miał wrażenie, że znalazł się nagle poza nawiasem i poczuł lekką urazę, że los nie pobłogosławił go jedną czy dwoma sztukami własnego rodzeństwa.

Zanim Justyn odpowiedział, pociągnął łyk wina.

- Tak, Callie, moje przeznaczenie, chociaż może brzmi to melodramatycznie. Stało się to w dokach; dołożę starań, by opowiedzieć "wszystko krótko i prosto, jako że papa zna już tę historię. Rozładowywano właśnie statek; jakiś chłopczyk wyrwał się niańce i przybłąkał do doków. Rozległ się krzyk, odwróciłem się i zobaczyłem, że chłopcu grozi, iż gigantyczny rozkołysany ładunek strąci go do wody. Nie zastanawiając się właściwie nad tym, co robię, podbiegłem, złapałem go i... spotkałem swoje przeznaczenie. A właściwie to spotkałem ją dopiero wtedy, kiedy po kilku dniach bez przytomności ocknąłem się, jako że ładunek, który ominął chłopca, lekko zawadził o moją głowę i trochę nią wstrząsnął.

- Mógł cię zabić! - wykrzyknęła Callie, a potem zmarszczyła czoło. - Justynie, czy powiedziałaś „ja”?

Jej brat przytaknął z uśmiechem.

- Signorina Bianca Alessandra di Giulia, córka Conte Alessandro Antonio Giacomo di Giulia, najśłodsza, najśliczniejsza, najwspanialsza, najcudowniejsza istota na całym świecie... i moja żona. Czeką na nas w domu swojego ojca, ponieważ jest przy nadziei, a podróż z Rzymu zakłócił nam niejeden sztorm, i Bianca doszła do wniosku, że obecnie nie sprostą jeszcze jednej podróży.

- Ja... ja... ty masz... i będzie.... och, Justynie! - wykrzyknęła Callie, rzucając mu się w ramiona. - Wprost uwierzyć nie mogę. Dlaczego nic nie powiedziałaś wczoraj wieczorem? Na pewno się doczekać nie mogłaś, żeby mi powiedzieć. To takie cudowne, że przechodzi ludzkie pojęcie.

- Tak, cudowne, nieprawdą? - przyznał brat i ponad jej głowę uśmiechnął się do wicehrabiego. - Chyba że mnie udusisz na śmierć, smarkulo, i moja nieszczęsna Bianca zostanie wdową.

- Och! Och, przepraszam. - Dziewczyna ponownie zajęła miejsce i podziękowała serdecznym spojrzeniem Simonowi, którego rola ograniczyła się na razie do tego, że podał jej swoją chusteczkę, by mogła wytrzeć zwilgotniałe oczy. - Masz *coś jeszcze do* powiedzenia, Justynie, czyż nie? Widzę to po twoich oczach. Opowiedz mi, nie pomijaj niczego.

- Podobnie jak mój przyjaciel, słyszałem już to wszystko wcześniej. I chociaż jestem bardzo szczęśliwy, chyba 'wezmę sobie jeszcze kieliszek i przejdę do tamtego kąta - rzekł, podnosząc się sir Camber. - Oka nie zmrużyłem ostatniej nocy na tym gruzłowym materacu w Pulteneyu. Może rzeczywiście skorzystam z propozycji jaśnie pani, żeby zatrzymać się tutaj, chociażby dla dobrze przespanej nocy, którą mogę przy tym zyskać.

Niewiele brakowało, a Imogena, która właśnie wróciła do pokoju po torebkę, rozpląnęłaby się z nadmiaru szczęścia.

- Jak cudownie, zapraszam. Wszystkich trzech panów, jeżeli zechcą dzielić z nami nasz skromny przybytek. Tak, tak, naprawdę. To więcej niż cudowne. Pójdę tylko powiedzieć Emery'emu, zanim wyjedziemy z dziedzicem.

- Justynie? - popędzała brata Callie, kiedy wicehrabina,

krygując się, odeszła, dokładając przy tym starań, by nie wyglądać na kobietę rażoną ciężkim atakiem kokieterii.

Jej brat rozłożył niemal przepraszająco ręce i popatrzył na Brocktona.

- Co jeszcze? No cóż, tak los chciał, że mogę brodzić w pieniądzach po pas. Po pierwsze ojciec Bianki zapisał mi absurdalnie wielki majątek za uratowanie życia jej małego braciszka. Chciałem odmówić, bo przecież nie planowałem zostać bohaterem ani nic takiego, ale przekonał mnie, że pieniądze to rzecz rozsądna, bo Bianca przyzwyczajona jest do luksusów. Papa Bianki jest wielkim zwolennikiem nie stawiania na drodze prawdziwej miłości, ale nie miał zamiaru patrzeć, jak jego jedyna córka żyje w biedzie. Tak więc wróciłem do domu, prawdziwy powrót syna marnotrawnego. Żebyście wszyscy poznali moją najdroższą Biankę, żeby nasze pierwsze dziecko urodziło się w Anglii, żeby odpłacić papie za wszystkie kłopoty, których mu przysporzyłem... i żeby odegrać się nieco samemu na Noelu Kinseyu, hrabim Filtonie. Czy zna go pan, milordzie?

- O Boże - szepnęła Callie, również patrząc na Simona, a w oczach jej więcej było niepokoju niż zainteresowania. Niepokoju i ostrzeżenia.

- Zawarłem luźną znajomość z tym człowiekiem, tak, i trudno byłoby znaleźć mniej sympatycznego jegomościa - odpowiedział ostrożnie wicehrabia. A potem zapytał: - A jaki miał pan plan?

Justyn uśmiechnął się do siostry.

- Spotkałem na pokładzie statku pewnego człowieka, smarkulo, zupełnie wspaniałego. Zachwycona byłabyś nim. Cały czas spędzaliśmy na rozmowach i grze w karty, graliśmy całymi tygodniami. Och, ileż mnie ten człowiek nauczył! I wiesz, co jeszcze ci powiem? - ciągnął, a oczy mu się zwężyły. - Filton oszukuje.

- Wyobraźcie sobie państwo - zauważył Roxbury pod nosem. W nagrodę Callie rzuciła mu szybkie, zabójcze spojrzenie.

- Tak, milordzie - rzekł Justyn z przekonaniem - wyobraźcie sobie. Nie wiem, jak mogłem być taki zielony, jak mog-

łem z taką łatwością dać się wystrychnąć na dudka. Ale dzięki temu zmądrzałem, pozwólcie sobie państwo powiedzieć, i teraz odszukam Fiłtona, i co do pensa odegram wszystko, co do niego przegrałem, a potem jeszcze trochę. Chcę go doprowadzić do zguby, zniszczyć, jeżeli to możliwe.

Simon ponownie popatrzy! na Callie.

- Wyobraźcie sobie państwo - powtórzył. - Wie pan, im dłużej patrzę na was dwoje, tym większe widzę podobieństwo między panem a siostrą - dodał po chwili, zastanawiając się, ile czasu jeszcze minie, zanim dziewczyna czymś w niego rzuci.

Ale w tej właśnie chwili w holu wynikło jakieś zamieszanie. Do salonu wpadł Roberts i powiedział, że jaśnie pani udało się bez kłopotów zejść ze schodów, ale potem usiadła na ławce w holu, czekając, aż podjedzie powóz... i popadła w ciężkie omdlenie w ramionach pana dziedzica... i czy pan-na Johnston nie zechciałaby natychmiast przyjść, bo pan dziedzic już zaczyna rozpinać guziki jaśnie pani, a to na pewno nie może być przyzwoite, prawda?

- Powinniśmy ją po prostu tak zostawić - zrzędziła Callie, zrywając się na równe nogi. - Omdlenia to jedyny odpoczynek, na który pozwalała sobie przez ostatni tydzień czy dwa, a przynajmniej tak wynikało z jej opowiadań. Ani słowa więcej, dopóki nie -wrócę, słyszycie mnie? - ostrzegła z naciskiem. A potem pospieszyła za Robertsem, który mówił, że dwóch innych lokajów podtrzymuje jaśnie panią i wszystko, czego trzeba, zanim ta biedaczka wróci do siebie, to obecność kobiety, by zachować „przyzwoitość”.

- Oczywiście - obiecał Simon. A potem zaczekał, aż do ich uszu doszedł stukot obcasików Callie na marmurowych schodach, pochylił się do przodu i zaczął mówić cicho, tak, by nie usłyszał ich bliski zapadnięcia w drzemkę sir Camber. - Sądzę, Justynie, mój bardzo nowy, ale wkrótce z pewnością bardzo dobry przyjacielu, że pan i ja powinniśmy się spotkać na osobności u White'a, powiedzmy o pierwszej, żeby przyłączyć się do moich dwóch pozostałych przyjaciół i troszeczkę sobie porozmawiać...

A to mi śliczna, frywolna sztuczka.

- Francis Beaumont

15

Callie ziewała właśnie, zasłaniając usta dłonią, kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi do pokoju Simona. Oznaczało to, że wrócił wreszcie do domu, spędziwszy długi dzień i pół nocy na hazardowaniu się z Noelem Kinseyem. Przestała się garbić, ale nie ruszyła się z miejsca, gdzie rozsiadła się swobodnie, po turecku. Miejscem tym - tak się złożyło - był sam środek wysokiego, szerokiego łóża wicehrabiego.

- Najwyższy już czas, żeby pan trafił do domu - oświadczyła niezręcznie, poprawiając szlafroczek z białego muślinu, który zakrywał ją od stóp do głów, i był jej zdaniem równie uwodzicielski i kuszący, jak pusty worek.

Simon zatrzymał się jak wryty, podniósł dwie nieduże świece, które przyniósł ze sobą, i badawczo popatrzył w kierunku łóżka.

- Zaczynam chyba w piętę gonić. Powiniennem być przewidzieć, że ona tu będzie - powiedział cicho w przestrzeń, bo chyba nie do niej, a potem zbliżył się do łóżka i odstawił świecznik. - Nie może się pani doczekać, by dowiedzieć się wszystkiego, co działo się z Filtonem, tak, smarkulo jedna?

- Wręcz przeciwnie - zachnęła się Callie. Chyba nie spodziewał się po niej, że poniży się do błagań, by dowiedzieć się tego, czego chciała! - Poczekam do jutra, a wtedy bez najmniejszych kłopotów wyduszę całą historię Z Justyna. Chyba że wolałby mi pan opowiedzieć pierwszy? - dodała, bo po to tu przyszła. Chciała usłyszeć wszystko o ich spotkaniu z Kinseyem. I o zachowaniu Justyna, kiedy znalazł się twarzą w twarz z tym człowiekiem.

Chociaż za nic nie przyznałaby się do tego Simonowi. Zwłaszcza że tak szybko domyślił się, dlaczego ośmieliła się wdrzeć do jego sypialni.

- Czekałam na pana tylko dlatego, że chcę panu złożyć raport o moich poczynaniach w trakcie dnia, od chwili kiedy zabrał pan mojego brata z ulicy Portland i zostawił mnie, bym sobie radziła sama - ciągnęła stanowczo, i zadarła wysoko brodę, kiedy Roxbury odpowiedział na jej sugestię milczeniem, a potem uniósł jedną brew, prowokacyjnie i irytująco.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. - Jakie to dziwne, że można tak kogoś kochać, a równocześnie tak bardzo pragnąć wytargać go za uszy. - Mógł pan mnie usunąć ze swoich planów wobec Noela Kinseya, ale nie oznacza to, że będę tylko siedzieć i kręcić palcami młynka, kiedy pan bawi się w spiskowca, a Imogena robi słodkie oczy do dziedzica. Pana kłamstwa zrobiły ze mnie dziedziczkę majątku, pamięta pan? Wprowadził mnie pan w towarzystwo, a nawet narzucił mnie pan towarzystwu. Ach, wygląda pan na zaskoczonego. I nic dziwnego, milordzie. W tym momencie Noel Kinsey to nie jedyny pana problem, a moim nie są wyłącznie te cygaństwa, które trzeba podtrzymywać, a może prostować. Jednak, chociaż przedstawia to pewien problem... dla pana... muszę przyznać, że świetnie się przez cały dzień bawiłam, żeby nie powiedzieć więcej.

- Jakże musiało być pani miło. Bawiła się pani, tak pani powiada? A w jaki sposób? Proszę wybaczyć brak ceremonii, ale czuję się tak, jakby przez cały wieczór ktoś mi zaciskał pętlę na karku.

Callie przyglądała się, jak wicehrabia unosi głowę i zaczyna rozwiązywać zawile splątany fular, a potem zsuwa z szyi śnieżnobiały muślin. Zdumiona była, że tak swobodnie czuje się w jego sypialni i że Simon tak bez skrupowania przyjmuje fakt, iż ona siedzi na środku jego łóżka. Nie było źle najpierw zawrzeć przyjaźń z mężczyzną, którego się kocha. A ona go kochała. Do szaleństwa. Chociaż mu tego nie po-

wie. O, nie. On musi pierwszy to wyznać. Był jej to winien, bo przecież tak ją oszukał w sprawie planów dotyczących Filtona, że czuła się przez niego jak łatwowierna idiotka.

- Czy ma pani zamiar opowiedzieć mi, jak spędziła pani dzień, czy też mam zgadywać? I pod jakim względem był on taki zabawny? - poganiał ją Brockton, kiedy nie odpowiedziała. Usiadł na skraju narzuty, którą Silsby odwinął wiele godzin temu, zanim Callie dała mu pozwolenie, by udał się wcześniej na spoczynek albo poszedł gonić Scarlet naokoło stołów kuchennych, sam sobie mógł wybrać, co mu bardziej odpowiada.

Dziewczyna wyprostowała nogi na łożku, pozwalając, by spod rąbka szlafroka wyjrzały bose stopy, a potem oparła się o cały pagór puchatych, miękkich poduszek.

- No więc - zaczęła, a potem zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej szybko - wygląda na to, że odniosłam imponujący sukces, jeżeli musi pan wiedzieć. Salon, pokój muzyczny, pokój śniadaniowy i mój pokój, wszystkie po brzegi pełne są kwiatów od oddanych mi wielbicieli. Wiązanki, bukiety, a nawet jedna palma w doniczce... jaki można mieć powód, by posłać komuś palmę w doniczce?... zaczęły napływać do domu, jak tylko wy z Justynem czmychnęliście.

- Wcale nie czmychnęliśmy, smarkulo. Wyszliśmy. Mężczyźni tak robią. Kobiety zabawiają gości, a mężczyźni chodzą do klubów.

- Obojętne - powiedziała Callie, wzruszając ramionami, a potem zerknęła na niego spod rzęs.

- A, zaczynamy znowu flirtować! Nie może się pani doczekać jutra, czy tak? Nie może się pani doczekać, żeby Justyn przekazał pani wszystko, co tylko chce pani wiedzieć. Czy kieszenie Filtona są tak puste, że można by je właściwie wynajmować? Czy był zrozpaczony, że nie wykorzystał okazji, by spotkać się z wielką panną dziedziczką Johnston, czy poczuł się zdruzgotany, kiedy odkrył, że jej brat Justyn, którego mieszek również jest przepastny, w końcu dowiedział się, co robić, kiedy ktoś kantuje przy kartach? Czy ja, tylko po to by pani zrobić przyjemność, postrzeliłem go na

koniec w kolano, żeby lepiej zapamiętał nauczkę? Och, ileż pytań musi kłębić się w tej pani pełnej pomysłów głowie!

Callie przygryzła wargę, wzbraniając się połknąć przynętę.

- Myli się pan, myli i myli. Nie mogłoby mnie to mniej obchodzić. Naprawdę. Wie pan, świat nie kręci się wokół pana osoby. Czy pozwoli pan, że będę kontynuować moją opowieść? Dziękuję panu. Co to ja mówiłam? O, tak. Imogena bardzo była rozgniewana, że tylko pięciu dżentelmenów zdecydowało się przynieść mi słodycze, ale mężnie zadowolili się jedną szczególnie wielką bombonierką, którą kazała zanieść do swoich apartamentów. Następnie dowiedziałyśmy się, że jeżeli dziedzic zbliży się na mniej niż na dziesięć kroków do pokoju, w którym są róże, to zaczyna tak kichać, że szyby wypadają z okien. Obydwoj z papą zabrali się i poszli do jadalni w Pulteneyu, pozostawiając pana mamę, która przez całe popołudnie lamentowała nad stratą „drogiego Bertrama”, i wtedy poczułam się okropnie przygnębiona, może mi pan wierzyć, chociaż tak bardzo uwielbiam pana matkę. To ogromnie przygniatające, patrzeć, jak taka mocna kobieta robi się ckliwa i melancholijna, i taka naiwna. Przecież on jej tylko porozpiął guziki, nic więcej.

- Imogena się zakochała? No, to może być przygnębiające, prawda? Bez wątpienia każe teraz Kathleen tak mocno zaciągać sznurówki, aż obie posinieją na twarzach.

- Tak, to prawda. Ale może wszystko obróciło się na dobre, bo Lester zszedł na herbatę z całkowicie niewłaściwą ręką na temblaku i albo papa, albo dziedzic musieliby zwrócić na to uwagę. Owa pomyłka tak go wzburzyła, że zdarł temblak i zaczął go deptać, wykrzykując przy tym, że nie będzie kłamał i zarażał się wiecznym wystąpieniem, przy czym chodziło mu oczywiście o narażanie się na wieczne potępienie, a następnie z furią się oddalił pomagać Scarlet przy wałkowaniu ciasta.

- Daj Boże zdrowie temu chłopcu - mruknął Brockton, potrząsając głową.

- Tak, daj mu Boże zdrowie. Och, i otrzymałam jeszcze

kilka tuzinów dostarczonych przez posłańców zaproszeń, sześć propozycji przejażdżki po parku na jutro, cztery prośby o moje towarzystwo w teatrze i trzy osobiste listki od dam z towarzystwa, które są całkowicie przekonane, że były na tej samej pensji dla młodych dam, co moja najdroższa matka, i pragną, bym przyszła na herbatkę i poznała ich synów.

- Towarzystwo przygarnęło panią do swego łona, Callie. Gratulacje.

- Wcale to nie jest takie cudowne, Simonie. Musiałam słuchać, jak dwaj dżentelmeni, którzy mnie odwiedzili, czytali ody, które ułożyli do moich oczu i wytwornych paluszków u nóg, a czy wiedział pan, że oprócz słów „walce” i „lalce” praktycznie nic sensownego nie rymuje się z „palce”? Młody baron Darton miał z tym pewien problem, ale z determinacją go przewyciężył i jakoś udało mu się w swoje mistrzowskie dzieło wkomponować słowa „w tej salce”. Och, i jeszcze otrzymałam jedną propozycję małżeństwa, ale Imogena powiedziała, że to się nie liczy, ponieważ sir Reggie ma co najmniej siedemdziesiąt lat i oświadcza się każdej debiutantce wartej więcej niż pół korony.

Simon uśmiechnął się, potem wstał i zaczął ściągać z siebie surdut.

- Drogi sir Reggie.

Callie teatralnie westchnęła.

- Głuchy sir Reggie, tak chyba pan chciał powiedzieć. Musiałam wyrzесzczеć mu odmowę do trąbki, którą trzymał przy uchu, i tak mnie to rozśmieszyło, że się rozchichotałam, na co Imogena wyszła z pokoju, mówiąc, że umywa ręce i nie zgadza się być dłużej moją przyzwoitką. Przysięgła również, że już nigdy nie będzie spała, nie z mojego powodu, ale dlatego, że tak kocha pana Pluma i jego krzepkie zdrowie, i jego, jak ma nadzieję, wytrzymałość, jeżeli nie liczyć tego pecha z różami, oczywiście, oraz dlatego, że obawia się, iż może pan nie pochwałać tego małżeństwa.

Tu skrzyżowała ręce za głową i uśmiechnęła się do wicehrabiego, który zamarł w bezruchu z jedną ręką w ręką-

wie, najwyraźniej oszołomiony ambicjami swojej matki. Porozmawia z nią później, tego była pewna.

- Działo się jeszcze więcej, ale reszta może poczekać. A jak minął panu dzień?

Przyglądała się z zachwytem, jak Simon odrzuca do tyłu głowę i parska śmiechem. W końcu opanował się i powiedział:

- Ani w przybliżeniu tak podniecająco jak pani, niestety, chociaż całkiem znośnie. Po pierwsze udało mi się przekonać pani brata, żeby nie dał pani lania. Należy mi się za to nagroda, nie uważa pani?

Callie wyciągnęła rękę i wzięła miskę z zielonymi winogronami, które pojadała wcześniej.

- Proszę - powiedziała i poczęstowała go. - Chyba żeby pan wolał, bym obsypała go płatkami róż. To by się dało załatwić, nie będzie pan przecież kichał jak dziedzic, prawda? Co pan powiedział Justynowi, żebyśmy kłamali w podobny sposób?

- Powiedziałem mu prawdę - odrzekł Roxbury, biorąc od niej miskę i stawiając ją na stoliku przy świecach, i prawdopodobnie postąpił rozsądnie, bo inaczej oberwałby nią po głowie.

Dziewczyna poderwała się na łóżku.

- Prawdę! Och, Simonie, jak pan mógł?

- Nic innego mi nie pozostało, Callie - wyjaśniał wicehrabia, kiedy jego rozmówczyni przesuwiała się na brzeg łóżka i spuszczała bose stopy na podłogę. - Pani brat nie jest głupcem i zna panią dobrze.

Callie westchnęła, otuliła się szelazem, bardzo świadoma tego, jak blisko siebie ma Simona i jak blisko Simon ma ją.

- Nie, nie jest głupi, prawda?

- Podoba mi się, Callie. I ucieszy panią wiadomość, że on uważa mnie za czyste złoto, najwyższej próby. Uratowałem jego siostrę od nieuniknionego spotkania z szubienicą i okazałem się na tyle usłużny oraz naiwny, żeby rozkochać się w tej dzierlatce, ku mojej wielkiej konsternacji. W sumie Justyn jest ogromnie zadowolony.

Callie potrząsnęła głową, usiłując doprowadzić swój umysł do porządku, bo przecież na pewno nie zrozumiała, co wicehrabia powiedział.

- Proszę to powtórzyć jeszcze raz - rzekła i usłyszała, że jej głos wyraźnie się łamie.

- Co powtórzyć jeszcze raz? - zapytał Brockton, a po uśmiechu poznała, że wie dokładnie, o co jej chodzi.

- Oczywiście to, co pan mówił na końcu. Ten kawałek, kiedy pan powiedział, że się we mnie rozkochał. A może zakochał? Och, wszystko jedno. Ale zakochał się pan? Naprawdę?

- Czy ja się zakochałem? - Simon przesunął dłonią po krzywiźnie jej policzka, a Callie poczuła się cokolwiek słabo. - Czy ja coś takiego powiedziałem? Muszę być bardziej zmęczony, niż mi się wydawało. Zawsze za dużo mówiłem, sama mi pani zwracała uwagę. A robię się jeszcze gorszy, kiedy przez dwie doby śpię niecałe pięć godzin. Ale czegoś takiego powiedzieć nie mogłem.

Widziała wesołe błyski w oczach koloru sherry, a serce jej roztańczyło się w króciutkiej, radosnej gidze.

- A właśnie, Simonie, że powiedział pan coś takiego. Słyszałam pana jak najwyraźniej. I ma pan rację. Pana język obraca się jak naoliwiony, tak wiele pan gada. Słyszałam już, jak pan niemalże mnie przeklinał. Słyszałam, jak żartował pan ze swoich uczuć do mnie w krańcowo podły sposób. Słyszałam, jak droczył się pan ze mną, jak zarzucał mi pan, że jestem niemądrym, upartym dzieckiem. Nie zawsze uznaję za stosowne okazywać panu posłuszeństwo, ale naprawdę słucham, co pan mówi. Bardzo uważnie pana słucham, więc wiem, że teraz dobrze słyszałam. Niech pan to powie jeszcze raz, proszę?

Wicehrabia wyciągnął rękę i ujął ją pod brodę, co sprawiło, że Callie z trudem przełknęła ślinę. Znowu poczuła to nowe, podniecające napięcie, które pojawiło się nagle między nimi, i rozkoszowała się nim, chociaż równocześnie ją przerażało.

- To nie czas po temu, smarkulo - powiedział spokojnie,

głosem niewiele donoślejším od ochrypłego szeptu. - I absolutnie nie miejsce po temu. Powinnaś leżeć w łóżku, w swoim własnym łóżku.

Callie uniosła dłoń, by przytrzymać jego rękę i nadal tuliła ją do swojej skóry. Wiedziała, że jest zbyt przerażona, by zdecydować się na cokolwiek poza odwagą. Wiedziała również, kiedy należy kłamać, a kiedy przychodzi czas na prawdę. A prawda niemal sama wyrwała się jej teraz z piersi; nie mogłaby powstrzymać tych słów, nawet gdyby chciała.

- Tu jest moje miejsce, Simonie, i oboje dobrze o tym wiemy. A jeżeli ty nie chcesz powiedzieć tych słów, to powiem je ja. Kocham cię, Simonie Roxbury. Kocham cię całym moim sercem, całym moim umysłem. Kocham cię, kiedy się na ciebie złościę, kiedy mnie rozśmieszasz, kiedy za moimi plecami przywłaszczasz sobie wszystkie moje wspaniałe plany, a nawet kiedy zostawiasz mnie samą, żebym słuchała kłującej w uszy poezji niemądrych chłopców, którzy do pięt ci nie dorastają, zarzumiałcze jeden. No - zakończyła z całą śmiałością, na jaką potrafiła się zdobyć, wiedząc, że głos jej niespodziewanie nabrzmiął łzami - i co masz teraz do powiedzenia?

Wicehrabia milczał przez kilka chwil. Callie zaczynało się już wydawać, że musiała się pomylić, że wszystko źle zrozumiała, że Simon nie czuł do niej wiele więcej niż do swojej dawnej kochanki, a o tym przecież jeszcze nie rozmawiali, prawda?

- No cóż, może trochę przesadziłam - odezwała się, by wypełnić ciszę. - Chodzi mi o to, że jestem bardzo młoda, prawda? I okropnie bezkrytyczna. Że pewnie nie jest to naprawdę takie ważne, że co wieczór zasypiam, myśląc o tobie, i co rano budzę się Z myślami o tobie? I Że coś głęboko we mnie topnieje, ile razy się do mnie uśmiechniesz, a nawet kiedy na mnie 'wrzeszczysz, może to tylko znaczy, że powinnam więcej jeść albo więcej spać, albo coś w tym rodzaju. Więc może ciebie wcale nie kocham. - Uniosła wyzywająco brodę. - Tak, zdecydowanie. Nie kocham ciebie, Simonie Roxbury. Ani ociupinę. Jestem tylko niemądrym

dzieciakiem, to wszystko. Przykro mi, że muszę pana rozczarować, jako że już pan przyznał, że się we mnie rozkochał, ale tak się rzeczy mają. Nie kocham pana. Bardzo mi przykro.

Simon przysunął się bliżej do niej, uśmiechnął się szeroko i kciukiem przesunął po jej dolnej wardze, zanim zdołała umknąć przed tym pozornie zdawkowym dotknięciem.

- Ubóstwiam cię, Caledonio Johnston - powiedział, a jego głos dochodził do niej z wielkiej odległości, chociaż wiecehrabia stał teraz tak blisko, że niemal rozmazywał jej się w oczach. - Uwielbiam cię i kocham cię całym moim sercem, całym moim umysłem. To ostatnia rzecz, jakiej chciałem, ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem, ale zdecydowanie cię kocham. Jak ktokolwiek mógłby wysłuchać takiej przemowy, jak ta, którą wygłosiłeś przed chwilą, i cię nie pokochać? Jestem tylko człowiekiem, Caltie, nie potrafię z tym już dłużej walczyć. Kocham cię. Ty kochasz mnie... oczywiście jeżeli milczeniem pominiemy twoją tyradę, w którą wcale nie uwierzyłem. Ale teraz, zanim oboje zarazimy się wiecznym wystąpieniem, jak mówi Lester, wrócisz do swojej sypialni. Teraz, w tej chwili. Jak tylko cię pocałuję.

- Pocałujesz mnie? Nie droczysz się ze mną? Naprawdę kochasz... och, Simonie, czy to nie cudowne? - szepnęła Caltie, kiedy nakrył ustami jej wargi, przywarł do nich, rozpałił je.

Ale Simon Roxbury dotrzymywał słowa, niech go piorun spali. Nie minęło pięć minut, a była już w swojej własnej sypialni. Głowę miała pełną marzeń, ciało jej wibrowało od dziwnych doznań, którymi pragnęła bardziej dogłębnie się zająć, jak tylko dopadnie tego okropnego mężczyznę samego. A to, doszła do przygnębiającego wniosku, stanie się dopiero wtedy, kiedy pozbędą się Noela Kinseya ze swego życia.

Gdyby tylko istniało coś, co mogłaby zrobić, żeby ten proces przyspieszyć...

- Simonie, poproszę cię na momencik - zawołała Imogena, kiedy jej syn przechodził przed drzwiami pokoju

śniadaniowego następnego ranka. - To znaczy, jeżeli wciąż jeszcze masz czas dla swojej matki, kobiety, która wydała cię z mozołem na świat, tej nieszczęśnicy, która męczyła się całymi godzinami... dniami... znosząc rozdzierający ból, związany z powiciem potomka, byle tylko wycisnąć cię z mojej...

- Odnoszę wrażenie, że niejasno przypominam sobie pani tożsamość, madame - powiedział wicehrabia, skrzywił i wszedł do pokoju, przerywając Imogenie w pół zdania, zanim zdołała wdać się w dalsze i bardziej drastyczne szczegóły, co jej się często zdarzało. - Co zrobiłem źle tym razem?

Ciasno zasznurowana Imogena siedziała na krześle z wysokim drewnianym oparciem, odchyłona do tyłu, przypominając trochę opartą o ścianę deskę. Nie była w stanie zginać się powyżej bioder, więc trudno było nazwać jej pozycję wygodną.

- Jeżeli nie wiesz, synu, to ja ci tego nie zamierzam mówić! - oświadczyła i spiorunowała go wzrokiem, jakby właśnie połamał jej matczyne serce na milion małych kawałeczków.

Roxbury odsunął sobie krzesło i usiadł, chociaż śniadanie zjadł już przed godziną.

- Widzę, że zajmie to trochę czasu - zauważył, sięgając po bułeczkę, leżącą talerzu. - Czy nie byłoby lepiej, gdybym po prostu przeprosił i obiecał, że już nigdy tego nie zrobię?

Z głębi gardła jego matki wydobył się niski, groźny dźwięk.

- Rozumiem - powiedział z uśmiechem. - Przypuszczam, że nie. Tak, mów więc dalej, matko. Chociaż dlaczego miałbym uważać, że potrzebuje mama mojego pozwolenia, to mnie przekracza. Do ataku! Niech mnie mama żywcem obedrze ze skóry za pomocą tego, czego mi mama absolutnie nie zamierza powiedzieć.

- Nie udawaj głupiego, Simonie - poleciła mu wicehrabina, wsuwając do ust kawałek bekonu. - Często za dużo gadasz i za bardzo silisz się na dowcipy, kiedy przemawiasz

do swojej ukochanej, starzejącej się matki, ale prawie nigdy nie udajesz głupiego. Jednak ponieważ cię kocham, pomogę ci trochę. Dam ci jedną czy może dwie wskazówki, żeby cię dźgnęły w pamięć. Po-wiedz mi, Simonie, czego ja nie robiłam przez te ostatnie kilka tygodni? Czy możesz mi to powiedzieć?

Czego jego matka nie robiła? Wciąż jeszcze uskarżała się, że ma zostać wicehrabiną-wdową albo że nie zostanie wicehrabiną-wdową, jej poglądy na ten temat zmieniały się krańcowo i zbyt szybko, by mógł zorientować się, na czym dokładnie w danej chwili stoi. No więc czego nie robiła?

Przyszło mu nagle coś na myśl; odwrócił głowę, uniósł rękę, by podrapać się z boku po szyi, i z trudem opanował pokusę, by, skoro już tę rękę podniósł, wsunąć palec pod kołnierzyk, który nagle zrobił się ciasny.

- Nie spała mama? - zapytał, a następnie wzdrygnął się.

- No widzisz? Wcale nie jesteś głupi! Masz rację, Simonie, nie spałam. I to dlatego czuwałam wczoraj do późna w nocy, i jakoś tak troszkę zgłodniałam, i poszłam do kuchni, bo nie widzę powodu, by trudzić służących, jeżeli mogę coś zrobić sama. A wiesz, kogo zastałam w kuchni, zwinętego w kłębek na stole i rozgłośnie chrapiącego? Silsby'ego! A czy wiesz, dlaczego zastałam Silsby'ego chrapiącego w kuchni? Nie krępuj się, możesz mi przerwać w każdej chwili, kiedy będziesz się chciał przyznać, Simonie.

- Silsby znalazł się w kuchni, ponieważ uświadomił sobie, że skoro Callie siedzi na moim łóżku i czeka na mnie, to jego życie nie będzie złamanego pensa, jeżeli wkradnie się na swoje zwykłe legowisko w garderobie, gdzie słyhać wszystko, co dzieje się w sypialni - podsunął wicehrabia bez humoru, a potem dodał: - Zawsze mówiłem, że pomieszczenia dla służby są w tej chałupie niewystarczająco obszerne.

- Nie byłoby tak, gdybyś nie angażował co drugiego lokaja i pokojówki w całym Londynie - odpowiedziała rzeczowo Imogena, a potem skrzywiła się, zakręciła rękami jak wiatrak i udało jej się oderwać od oparcia, pochylić w przód

i oprzeć łokciami o stół. - No więc teraz, kiedy ja już wiem i ty wiesz, że ja wiem, co masz zamiar z tym zrobić? Czekaliśmy przez pół tego ranka, żebyś sam przyszedł do mnie, ale nie przyszedłeś. Wstydź się, Simonie. Wstydź się!

- Nic się nie stało, Imogeno - zaczął Brockton, a potem westchnął, potrząsając głową. - Chociaż miałem wielką ochotę, żeby się stało - przyznał z zakłopotaną miną, bo w końcu rozmawiał z własną matką. - Kiedy już skończę z Filtonem...

- Skompromitowałeś tę dziewczynę, Simonie. Kochasz ją, wiem, że ją kochasz, zawsze to wiedziałam. A to dziecko za swoje grzechy zwariowało na twoim punkcie. A teraz oboje biegacie tam i z powrotem od jednej sypialni do drugiej, i to w środku nocy. Nie mogę na to patrzeć przez palce i nie chcę tego robić, chociaż bawi mnie ta sprawa niesłychanie. Tylko bawi. No więc dlaczego nie miałybyś posunąć się dalej? Z pewnością sam wiesz, że nie może to czekać, aż skończysz swoje niemądre, dziecinne zabawy z Filtonem?

- Ta zabawa, jak ją nazywasz, matko, niemal już się skończyła, co właśnie miałem ci powiedzieć, kiedy mi przerwałaś - rzekł Simon. - Było to niemal aż za łatwe, nawiasem mówiąc. Wykończymy go dzisiaj u White'a. A co do reszty? Wysłałem już list do Pulteneya, zapraszając wszystkich trzech dżentelmenów na jutro na niewielkie wieczorne przyjęcie. Po kolacji zabiorę sir Cambera do mojego gabinetu i będę błagał go, by pozwolił mi starać się o rękę swojej córki. Ale nie znaczy to, że musi mama aż tak długo czekać, żeby pozbyć się tej cholernej sznurówki. Chyba że nie zdecydowała się mama na zacnego pana dziedzica? W końcu, jak sama mama powiedziała, jest rosty.

- I krzepki - dodała Imogen, wzdychając z satysfakcją. - Zdrowy. - Potrząsnęła głową, marszcząc brwi. - A co do tych gorsetów? Nie wydaje mi się, żebym długo mogła w nich wytrzymać, nawet dla jakiegoś energicznego pana. - Machnęła ręką, tą, w której trzymała grzanek grubo posmarowaną truskawkowym dżemem. - Ale to nie ma nic do rzeczy, prawda? Jestem ogromnie zadowolona z tego, jak wszystko ukła-

da się między tobą a Całlie, a wiedziałam dokładnie, jak się ułoży, od chwili kiedy pierwszy raz usłyszałam o tej dziewczynie. Jesteś nieodrodnym synem swego ojca, Simonie, a ona nigdy nie będzie mogła się skarżyć, że nie jesteś wystarczająco... no, wystarczająco... wysoki!

Wicehrabia odepchnął krzesło od stołu i wstał, postanawiając nie przyjmować do wiadomości faktu, że się czerwieni.

- Żadnej takiej rozmowy nie było, matko - powiedział, potrząsając głową. - A jeżeli będę miał dużo szczęścia, uda mi się o niej zapomnieć. - Obszedł stół dookoła i wycisnął pocałunek na czole matki. - A teraz może poszłaby mama na górę, kazała Kathleen zdjąć z siebie gorset i ucięła sobie długą drzemkę. Wygląda mama na wyczerpaną, a jutro wieczorem czeka nas przyjęcie, pamięta mama?

Imogena chwyciła go za fular i przytrzymała tak, że spojrzeli sobie w oczy.

- I dowiemy się czegoś?

- I dowiecie się czegoś - potwierdził Simon z uśmiechem. - Tylko proszę, niech mama nie mówi o tym Całlie, dobrze? Chciałbym móc jej powiedzieć coś, czego się wcześniej sama nie dowiedziała.

- A ona zrezygnowała z zamiaru, by zrujnować Filtona razem z tobą, czy tak? Dala ci *carte blanche*, żebyś zajął się tym bez jej pomocy, dopuściła nawet do całej zabawy brata, zgodziła się nadal siedzieć zamknięta przy ulicy Portland i mierzyć suknie, po tym, jak przez kilka tygodni miała do czynienia ze mną i przez cały ten czas wierzyła, że będzie ci pomagała rozgromić hrabiego? I wszystko to przez miłość do ciebie? - zapytała Imogena, puszczając fular syna, by wziąć następny kawałek bekonu. - Dlaczego właściwie tak trudno mi w to uwierzyć?

Roxbury patrzył, jak pracują szczęki matki, przezuwającej gruby plaster bekonu, i uśmiechał się coraz bardziej blade.

Przypomniał sobie determinację Callie, to, jak mierzyła w niego z pistoletu, jak zaatakowała Noela Kinseya na środku ulicy w biały dzień.

Wiedział, jak zapamiętała chciała doprowadzić tego człowieka do zguby, ukarać go.

Wiedział, jak się rozgniewała, kiedy wyszło na jaw, że ją oszukał, kazał jej myśleć, że jest częścią jego planu, a naprawdę zamierzał ją odseparować i trzymać w bezpiecznym miejscu.

Widział to niemal wygłodniałe spojrzenie, kiedy pytała, jak radził sobie ostatniej nocy Justyn, który teraz miał już swój udział w jego planie.

I uwierzył, że poprzestanie na tym, by rozsiąść się wygodnie, gdy dwaj mężczyźni, których kochała, sami podejmą walkę z Filtonem, i że nie będzie próbowała im pomóc ani ich chronić?

Czy on, do cholery, zwariował?

- Jestem idiotą, prawda, Imogeno?

- Och, jak najpewniej, kochanie - odpowiedziała matka, gładko przełknąwszy bekon, i wydłubała grzankę ze stosu na samym środku stołu. - Niech się to już lepiej jak najszybciej skończy. Zróbcie z Filtonem dzisiaj wieczorem porządek, przecież sam się przechwalałeś, że masz takie zamiary. Bo jak nie, to ona to zrobi za ciebie. Spiesz się, czas ucieka!

Kiedy Simon pospiesznie wychodził z pokoju krokiem człowieka, który ma misję do spełnienia, nie dosłyszał już cichych, końcowych słów Imogeny:

- Dobry z ciebie synek. Pomartw się trochę, pogoń w kółko za swoim ogonem, chłopcze, dobrze ci tak. Będziesz miał nauczki, żebyś na przyszłość nie próbował oszukiwać swojej biednej, starej matki, tak by ci nie wchodziła w drogę. Starej? Ha! To na pewno nie ja!

Callie przekonana była, że przeżywa chyba najdłuższy, najbardziej przygnębiający dzień w swoim życiu. Całymi godzinami przymierzała balową suknię, potem złożyła jej następną wizytę wywijającą nożyczkami madame Yolanda. Musiała wytrzymać pełną godzinę pytań wicehrabiny o życie i zajęcia pewnego pana Pluma. Niemal nieskończenie długo siedziała zamknięta z Lesterem, przekonując tego pa-

skudnie wytraconego z równowagi młodego człowieka, że przesympatyczna, choć swawolna Imogena nie zostanie z dnia na dzień jego macochą.

A wszystko to pogarszała bardzo nieobecność Simona. Jak on śmiał mówić, że ją kocha, pocałować ją, a potem odejść do łóżka, gdzie czepiać się mogła już tylko jednego palącego pocałunku i śnić o nim przez całą długą noc?

Gdzie on się podziewał? Co robił? Czy może w tej właśnie chwili siedzi przy stoliku naprzeciw Noela Kinseya i powoli opróżnia jego miszkę? Czy Justyn jest razem z nim? Na ile sprytny okaże się Noel Kinsey? Czy nie zaczyna podejrzewać spisku przeciw sobie? Czy Simonowi i Justynowi grozi jakieś niebezpieczeństwo?

Czy ta wskazówka będzie tkwiła na drugiej przez całą resztę wieczności?

Och, jak bardzo kochała Simona.

Jak martwiła się o niego i jego wspaniały plan.

Och, jaka była na niego zła!

Jak bardzo się ciągle martwiła, jaka się czuła bezradna, jaka bezużyteczna.

I przez to wszystko Caledonia Johnston zapragnęła z całego serca utrzyć trochę nosa człowiekowi, który jej zepsuł zabawę, i „podoprowadzać do upadku” na własną rękę. Jeżeli tylko uda jej się wymyślić jakiś sposób.

Oznaczało to oczywiście i nieuchronnie, że - tak jak po dniu następuje noc, po śmiechu łzy, po wyniesieniu upadek (Callie mogłaby pojechać do Ockham i zwrócić się do panny Haverly o jeszcze więcej banalnych powiedzonek przepowiadających zgubę i destrukcję) - kiedy hrabia Filton niespodziewanie pojawił się na jej progu, panna Johnston powitała go z szerokim uśmiechem i z kołczanem pełnym flirciarskich sztuczek, których uczyła się u kolan mistrza. A mistrzem tym była Imogena, a nie Simon.

Kiedy wicehrabina zamknęła się na górze, a madame Yolanda zabrała się do dokonywania cudów za pomocą słoi-czków z farbami, Callie powlokła niechętną Kathleen w ką-t salonu, by grała tam rolę przyzwoitki, a potem usiadła obok

hrabiego Filtona, trzepotała do niego rzęsami, uśmiechała się najbardziej ujmująco, jak potrafiła, gruchała, wychwalała tytuł i skrapiała próżną głowę tego człowieka komplementami tak, jak lukrem polewa się gorącą bułeczkę.

Dowiedziała się, że hrabia, którego stać było na wypowiedzi sarkastyczne, choć o inteligentnych trudno było mówić, jest niewolnikiem własnej powagi, człowiekiem, którego łatwo przekonać, że nie ma piękniejszego tworu boskiego niż on. Jego zdaniem nie miał absolutnie żadnych braków, nikt nie potrafiłby mu się oprzeć, a zanim opuścił dom przy ulicy Portland, przekonany był, że bez wątpienia wystarczy jedna niewyraźna aluzja, a zostanie przyjęty przez sir Cambera. Sir Cambera Johnstona, który bez wątpienia padnie mu na szyję, w gorącym pragnieniu, by obdarzyć córką i jej nowym majątkiem tego najmądrzejszego z mądrych, najwspanialszego, nieskończenie doskonałego, utytułowanego dżentelmena.

Chociaż nie było to takie łatwe. Zacząć należy od tego, że Noel Kinsey nie należał do najbardziej atrakcyjnych mężczyzn, przynajmniej zdaniem Callie. Jej brat był blondynem i nic przeciw jasnowłosym mężczyznom nie miała, ale blada skóra Filtona przypominała jej rybi brzuch; hrabia wyglądał na kogoś, kto słońce ogląda tylko wtedy, kiedy wraca do domu po nocy spędzonej w jakiejś jaskini hazardu.

Nie przekroczył trzydziestego trzeciego roku życia, a zarys jego figury już zaczynał się rozplýwać, i kiedy pochylał się nad jej dłonią, Callie w przerażeniu patrzyła na guziki, które miał przy kamizelce (za to, jak całował jej dłoń, należał mu się policzek, ale nagrodziła go zamiast tego chichotem).

A co najgorsze, za każdym razem, kiedy chciał powiedzieć coś poważnego, kiedy usiłował znaleźć słowa pochlebne dla niej, a nie dla siebie samego - a działo się tak co najmniej z pół tuzina razy podczas trwającej pół godziny wizyty - trud ten przywoływał na jego oblicze rumieniec w bardzo nietwarzowym odcieniu fioletu.

Właściwie Callie czuła się swobodnie podczas jego wizy-

ty jedynie w tych momentach, kiedy poruszała temat Noela Kinseya. Na temat Noela Kinseya ten zadowolony z siebie człowiek mógł rozprawiać bez końca i robił to, zaczynając od stwierdzenia, jak bardzo pochlebiony czuje się jego krawiec, mogąc ubierać człowieka o takiej posturze, a kończąc na wychwalaniu znakomitości własnych przodków (którzy pewnie wszyscy przewracali się w grobach, słuchając tego pompatycznego, głupawego osobnika).

W sumie Callie uznała całą rozmowę za wielki sukces, a Noel Kinsey odszedł sprężystym krokiem z obrzydliwie •wesolutkim wyrazem twarzy i pewnie w myśli układał już zawiadomienie o zaręczynach dla gazet. Simon jeszcze o tym nie wiedział, ale wysłała hrabiego do White'a w stanie rozedrganego ogłupienia, zajętego przede wszystkim przeliczaniem w myśli pieniędzy przyszłej narzeczonej, i wyczyszczenie mu kieszeni aż do podszewki powinno być rzeczą dziecinnie prostą.

Nie mogła się wprost doczekać, żeby opowiedzieć Simonowi, czego dokonała. O, tak, będzie się złościł. W pierwszej chwili. Ale przecież nie pojechała z tym człowiekiem na przejażdżkę. I pomogła Simonowi, naprawdę mu pomogła. Musi mu tylko szybko zwrócić na to uwagę, zanim wicehrabia zdąży ją udusić.

Pamiętając o tym, Callie przyparła Brocktona do ściany, jak tylko się pokazał w domu przy ulicy Portland na godzinę przed obiadem.

Wicehrabia wysłuchał wszystkiego, co Callie miała mu do powiedzenia o swoich dokonaniach, a w połowie jej radosnej deklamacji wyraźnie zaczął mu drgać mięsień w lewym policzku. Zaczęła mówić jeszcze szybciej, więcej się uśmiechać, a skurcz mięśniowy podwoił, a potem jeszcze raz podwoił swoją częstotliwość. I ostatecznie, kiedy skończyła, Simon zrugął ją, ile wlezie, nazywając nieroztropną, upartą jak osioł, nieustępliwą i ryzykancką. A to jeszcze były najmiłsze z określeń, których użył!

- Nienawidzę cię - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- Wcale nie - odparł, uśmiechając się po raz pierwszy od

chwili, kiedy zasadziła się na niego, by opowiedzieć mu, jaka jest genialna. - Kochasz mnie, niewykluczone nawet, że uwielbiasz.

- Ależ oczywiście, że tak! - wykrzyknęła, jak jej się zda-
wało rzeczowo. - Bo gdyby nie, to dlaczego miałabym cię
nienawidzić? Pozwól sobie powiedzieć, Simonie Roxbury,
że już nigdy ci nie będę pomagać!

Wicehrabia wciąż jeszcze nie przestał się śmiać, kiedy wy-
biegła pędem z pokoju, po raz pierwszy w życiu mając praw-
dopodobnie autentyczny atak panięskich waporów. Czując
się okropnie upokorzona przez całe to zakochanie, Callie
zamknęła się na resztę wieczoru w swoich pokojach. Na ko-
lację dostała pysznego bażanta, zamiast mętnej wody i skór-
ki od chleba, i miała nadzieję, że Simon tak za nią zatęskni,
że przyczołga się tu błagać o przebaczenie.

Zamiast wicehrabiego pokazał się jednak Lester, który
przyniósł szachownicę oraz wiadomość, że Simon, Justyn,
Kościej i Armand znowu wyszli z zamiarem pogrania
w swoją własną grę pod tytułem „oskubać Filtona”.

Wszystko to było bardzo przygnębiające. I irytujące.
A ten rodzaj irytacji mógłby doprowadzić Caledonię John-
ston do jednego z jej „dzikich wybryków”, gdyby miała na
jakiś wybryki ochotę.

Miłość jest jak róża: tak słodka, że chociaż ma kolce, człowiek zawsze próbuje ją zerwać.

- Anonim

16

- Właściwie to on jest już skończony, czyż nie? - zauważył Armand, rozsiadłszy się swobodnie w gabinecie Simona.
- Potrafię zrozumieć, dlaczego trzymał się jaskiń hazardu i oskubywał zielonych jak szczypiołek młodzieńców z prowincji. Umiejętności konieczne do szachrowania przy kartach i owszem posiada, ale rozumu mu brak. Tylko głupiec siedziałby wczoraj w nocy dalej przy stoliku, kiedy stało się już oczywiste, że w żaden możliwy sposób nie uda mu się odegrać. Pamiętajmy jednak, że Kinsey był w desperacji, a nikt oprócz naszej czwórki nie okazywał chęci, by pozwolić mu na pontowanie.

- To, że Callie mu się wczoraj niemalże na szyję rzuciła, też wcale nie zaszkodziło - zwrócił im uwagę Justyn, stojąc przed kominkiem i sącząc z kieliszka czerwone wino. - Za każdym razem, kiedy obawiałem się, że Filton nie zechce rozgrywać następnego rozdania, wystarczyło mi wymienić jej imię i wspomnieć o wielkiej sympatii, jaką moja siostra dla niego żywi, a już nam podpisywał oblig na następne sto funtów. Przecież ten człowiek jest mi krewny ponad tysiąc, a tobie, Armandzie, ze dwa razy więcej, prawda?

- Tysiąc tobie, dwa tysiące Armandowi, trzy tysiące naszemu Simonowi, a pięćdziesiąt mnie - poinformował ich Bartholomew, odczytując kwoty z listy, którą wyciągnął z kieszeni kamizelki. Uniósł głowę i popatrzył na Justyna.
- Chodzi o pięćdziesiąt funtów, nie o pięćdziesiąt tysięcy - wyjaśnił przezornie. - Nie zwykłem uprawiać hazardu na zbyt wielką skalę. Hazard to przekleństwo.

- Proszę, Kościeju, dodaj jeszcze to do całości. Zsumowane masz wszystko na dole - powiedział Roxbury, otworzył górną szufladkę swojego biurka, wyciągnął gęsto zapisaną kartkę papieru z nazwiskami i kwotami, i podsunął ją przyjacielom. - Wykupiłem co do ostatniego karciane długi Filtona, które krążyły po mieście, po parę pensów za funt, jako że nikt już chyba nie żywił wielkich nadziei, by mógł otrzymać ich zwrot, kiedy rozeszło się, ile on jest nam winien, a oprócz tego wszystkie rachunki od jego dostawców. Za te ostatnie zapłaciłem od ręki, niczego nie zaniżając.

Bartholomew podniósł kartkę i rzucił na nią okiem, minę miał skonsternowaną.

- Przecież to w sumie musi być ponad dziesięć tysięcy funtów! Dlaczego miałbyś coś takiego robić, Simonie? Przecież Filton już jest w odwrocie. Wystarczyłby jeszcze tydzień, no, może dwa, a mielibyśmy go do swojej dyspozycji, nie uciekając się do takich środków.

- Ponieważ chcę, żeby się to skończyło, Kościeju - odpowiedział zwięźle Brockton, a Armand zaczął chichotać. - Filton pożądliwie gapi się na Callie, salon mam zapchany młodymi byczkami bez środków do życia i starzejącymi się *roués*. Po prostu chcę już tę kwestię zakończyć. I udało mi się to zrobić, zaledwie przed godziną, kiedy powiedziałem Filtonowi, że sprzedałem wszystkie jego długi lichwiarzowi, który zajmuje się takimi sprawami. Powiedziałem hrabiemu również o Robercie i Jamesie, żeby miał świadomość, za co został ukarany. Poza tym dobrze, że wszyscy dostawcy dostali swoje pieniądze. My, za podjęte trudy, otrzymaliśmy cokolwiek z wygranej. Pieniądze te zostały już przesłane do instytucji dobroczynnych, niniejszym składam wam serdeczne podziękowania. A Filtonowi przypadł w udziale osobisty, bardzo natrętny wierzyciel, dosyć skuteczny i pracowity, który od ręki każe go zamknąć w więzieniu za długi albo jeszcze gorzej, jeżeli hrabiemu nie starczy rozumu, by uciec na kontynent.

Popatrzył na zegar na kominku.

- Wedle moich kalkulacji Filton powinien już wyjeżdżać z Londynu, żeby ukryć się w swoim majątku i tam najpierw

lizać rany, a potem przygotować się do odjazdu do Calais czy innego bezpiecznego, zagranicznego portu.

- Mylisz się pod tym względem Simonie - rzekł Justyn, dając krok do przodu. - Widziałem go niecały kwadrans temu, kiedy szedłem do ciebie z Pulteneya. Nawiasem mówiąc, nie gdzie indziej, tylko tutaj, na ulicy Portland. Podo- kuczałem mu trochę, powiedziałem, że tylko nieopierzone młodziki snują się wokół miejsca zamieszkania młodej da- my w nadziei, że ją zobaczą. Zaprosiłem go, by mi do cie- bie towarzyszył, ale odmówił. Wiesz, po tym, jak powiedzia- łem nam, że Filton wie już, że jest całkowicie skończony i że to ty z rozmysłem zaaranżowałaś jego upadek, wydaje mi się, że jego pojawienie się w tej okolicy źle wróży.

- Czy przyszedł tu na piechotę? - zapytał wicehrabia, a w jego głosie pojawił się ostry ton. Słyszac to, Bartholo- mew zmarszczył brwi; był pewien, że coś jest nie w porząd- ku, ale przynajmniej tym razem nie potrafił tego czegoś na- zwać po imieniu.

- Tak, ale mignął mi chyba jego herb na powozie, któ- rym w kilka chwil później tędy przejeżdżał, akurat jak mia- łem zapukać do twoich drzwi. A dlaczego?

- Leży, a jeszcze gryzie, podlec jeden - wycedził Armand przez zęby. - Nie spuszczałbym z niej oka, Simonie. Jest je- dyną szansą, jaka mu została.

- A oczywiście wszystko przez to, że tak go wczoraj zwo- dziła - w głosie Brocktona wyraźnie dźwięczała stal. - Gdy- byście słyszeli, jak ta smarkuła o tym opowiadała. Brakowa- ło chyba tylko jednego, żeby zaczęła mu się ślinić na fular.

- Miałyby zapragnąć Callie po złożeniu jej jednej jedynej wizyty? - pytał Justyn, najwyraźniej zdezorientowany. - Niezła z niej dziewczucha, ale nie mogła mu przecież z aż ta- ką łatwością zawrócić w głowie. Nie, zaczekajcie. Chodzi o jej posag, prawda? Ciągle zapominam, że ten idiota prze- konany jest, iż Callie tarza się w pieniądzech.

- Jakże głęboką masz rację - zgodził się z nim Gauthier, kiwając głową. - Istnieje miłość i istnieje miłość do pieni- ędzy, Justynie. A czy pan hrabia znalazłby lepszy sposób na

odrobienie strat niż ślub z bogatą dziedziczką, która na dodatek, tak się szczęśliwie składa, ma majątnego brata, przez co cały pomysł staje się dubeltowo śliczny? Przed drobnym oszustwem się nie zawahał, wątpię więc, czy będzie miał zbyt wielkie opory, by porwać ją i skompromitować. A to, po zastanowieniu, mogłoby popsuć szyki naszemu, będącemu jej opiekunem, Simonowi, i to nie na żarty. Pomysłowy bydlaczek z niego, prawda? I co teraz, Simonie?

- Co teraz? - powtórzył Roxbury, odchylając się do tyłu na fotelu i obracając w palcach kieliszek z szampanem. - Callie nie pójdzie dziś na spacer, bo prosiłem Imogenę, by ją przez całe popołudnie trzymała przy sobie pod pretekstem przygotowań do balu. A więc tym nie musimy się martwić, Armandzie, nawet gdybyś miał rację. Poza tym Filton nie jest aż tak głupi, by sądzić, że uda mu się porwać ją nam sprzed nosa. Jeszcze trochę, a zmęczy go sterczenie pod domem, wyczekiwanie, aż się Callie pojawi, i w końcu uświadomi sobie, że jego plan to nic innego, jak zrodzona z desperacji mrzonka. Gdyby tak się nie stało, będę musiał zrobić to, co Callie chciała zrobić od samego początku.

- To znaczy? - zapytał Justyn.

- Będę go musiał postrzelić.

- No właśnie, postrzelić - odezwał się Bartholomew, wstając i grożąc Simonowi palcem.

- Och, siadajże, Kościeju, żartowałem tylko. Nie mam zamiaru do niego strzelać - parsknął wicehrabia poirytowany.

- Nie, nie - zgodził się Bartholomew, wściekle kiwając głową. - Wcale mi o to nie chodzi. Mówiłeś, że Callie chciała go postrzelić, prawda? A jeżeli Filton wcale nie po to tutaj przybył, żeby uciec z Callie, tylko żeby zastrzelić ciebie, Simonie? Przecież nie możecie mieć pewności, że pojawił się pod domem przez Callie. Ten człowiek nie może chyba w tej akurac chwili za bardzo ciebie kochać, prawda? Ja na jego miejscu na pewno bym cię nie kochał. Przestrzelenie twojej osoby na wylot może być ostatnią przyjemnością, jaka mu została przed wyjazdem z Anglii. Bóg mi świadkiem, że sam miałbym na to wielką ochotę, gdybyś to mnie tak urządził.

- Gratulacje, Kościeju, znowu ci się udało - wycodził Armand ze swojego wygodnego kąta. - Simon martwienie się zostawił tobie, a ty jak zwykle śpiewająco uporałeś się z tym obowiązkiem, i oto mamy przed oczyma nie całkiem nieprawdopodobne, potencjalne nieszczęście, o którym nikt z nas wcześniej nie pomyślał. Simonie? Filton nie mógł dziś rano być bez reszty zachwycony twoją wizytą?

- Kiedy już powiedziałem mu, co zrobiłem, nie ociagałem się w nadziei, że mnie czymś poczęstuje, jeżeli o to ci chodzi - rzekł Roxbury, a potem potrząsnął głową. - Nie, nie wierzę w to. Filtona można określić na wiele sposobów, między innymi jako oszusta i tchórza. Jeżeli pojawił się na ulicy Portland, to nie po to, by mnie zastrzelić albo porwać Callie i ją skompromitować, ale dlatego, że wpadł na pomysł, by zdać się na moją łaskę, w nadziei na uzyskanie jakiegoś odroczenia czy zwłoki. Ale nie udało mu się wykrzesać z siebie wystarczającej odwagi, by wziąć się do dzieła, więc tylko wpełzł z powrotem do swego powozu i uciekł z mocno podkulonym ogonem. Pewnie jest już w pół drogi do swego obciążonego majoratem, a stąd nieużytecznego z jego punktu widzenia, majątku.

- Jeżeli tak twierdzisz, Simonie. - Armand podszedł do stolika z trunkami i nalał sobie następny kieliszek. - Mimo to wołałbym, by podprowadzono nam przed dom wierzchowce, gdzieś, powiedzmy, za godzinkę? Nasza czwórka mogłaby przejechać się obok jego siedziby i zobaczyć, czy w tym czasie zdjęto już kołatkę z drzwi. Callie będzie tu całkiem bezpieczna, skoro twoja służba ma się na baczności.

- Zgoda - powiedział Roxbury, dopił szampana, a potem skierował dyskusję na wieczorne przyjęcie, napomykając, że będzie chciał złożyć oświadczenie, po którym Kościej zaniemówi na tydzień.

- Lester, nie ruszaj tego, mówię serio! Scarlet upiekła je specjalnie dla Imogeny, a wszystko, co zostanie, trzeba wyrzucić - skarciła przyjaciela Callie i odsunęła poza zasięg jego rąk paterę, na której zostało jedno jedyne ciasteczko,

a następnie podjęła temat. - Powtórzyłam ci już wszystko, co usłyszałam, Lesterze. I co o tym sądzisz?

Plum wpatrywał się w ciasteczko wzrokiem człowieka, który od wielu dni nie miał nic w ustach, co było absurdalne, jako że z przodu kamizelka jego obsypana była drobinami cukru pudru z ciastek, które przeżuwał, kiedy na wezwanie przyjaciółki szedł do jej sypialni.

- Sądzę, że młode damy nie powinny podsłuchiwać pod drzwiami, tak właśnie sądzę - powiedział, marszcząc brwi. - Ile ona ich zjadła, jeżeli zostało tylko jedno?

- Jedno, Lesterze. Jedno. Scarlet przygotowała dwa, jako dodatek specjalny do śniadania, a Imogena zjadła jedno niecałe dwie godziny temu. Proszę! - wykrzyknęła i pochyliła paterę tak, że ciastko ześlizgnęło się do kosza na śmieci przy jej biurczku. - Przepadło, Lesterze. Przepadło.

- Serce mi pęka, Callie, przysięgam, że tak jest - lamentował młodzieniec, z trudem chyba powstrzymując łzy.

Callie przewróciła oczami, a potem szybko zerknęła na mały, kryształowy zegar na toaletce. Nie było jeszcze dwunastej, a już tak wiele się wydarzyło. Imogena przyszła do niej rano rozszczebiotana, napomykając, że podczas skromnego, zaplanowanego na ten wieczór przyjęcia, wydarzy się coś brzemiennego w skutki, a kiedy zaczęła pogryzać czekoladowe ciasteczko, którym ją Callie poczęstowała, ukradkiem ziewała, chociaż równocześnie nie przestawała się skarżyć, że chyba już nigdy, przenigdy oka nie zmruży. Gadała i gadała o wrzynających się w ciało stalkach i energicznych dziedzicach oraz o synach, którzy nigdy swej matki nie zawiodą, aż wreszcie pozwoliła Callie zadzwonić po Kathleen, która zabrała swą senną panią na króciutką, przedpołudniową drzemkę.

Króciutka drzemka, też coś, pomyślała sobie wtedy Callie. I teraz też uśmiechnęła się na tę myśl, bo wiedziała, że Scarlet na jej polecenie lekko zaprawiła czekoladowe ciasteczko Imogeny laudanum, tylko odrobinę, żeby skłonić wyczerpaną wicehrabinę do zaśnięcia. Jeżeli dopisze im szczęście, to kochana staruszka wyśpi się porządnie po raz pierwszy od

kilku tygodni, a obudzi się dopiero wtedy, kiedy trzeba będzie przygotowywać się do wieczornego przyjęcia.

Spełniwszy ten dobry uczynek, Callie potuptała na dół do gabinetu Simona. Doszła do wniosku, że przyszedł czas, by przeprosić za to, iż poczuła się urażona fanaberią mężczyzny, który - wyznawszy jej miłość (a przynajmniej tak-jakby-wyznawszy) - uznał, że powinien ją chronić. Ostatecznie dbał tylko o jej dobro, pragnąc, by ukochana trzymała się z daleka od Noela Kinseya, kiedy ten wszelkimi sposobami starał się nie dopuścić, by wymknął mu się z rąk gwałtownie kurczący się portfel.

Mogła nie być zachwycona, że Simon odsunął ją od sprawy rujnowania hrabiego, chociaż jej brata zaprosił do uczestnictwa, ale rozumiała, czym się powodował. Po głębszym zastanowieniu uznała nawet, że jego motywy są chwalebne.

I gdyby drzwi do gabinetu były szczelnie zamknięte, a nie lekko uchylone, i gdyby nie usłyszała, jak jej brat mówi, że widział Noela Kinseya czającego się w okolicach ulicy Portland, i gdyby nie przystanęła przezornie za tymi przymkniętymi drzwiami i nie podsłuchiwała wszystkiego, co powiedział po oświadczeniu Justyna, może w tej akurat chwili sama by się wyciągnęła i odpoczywała na łóżku, snując dziewczęce marzenia, a przyświecałyby jej kobiece nadzieje.

Ale drzwi były uchylone i usłyszała wszystko, co mówił brat... i wszystko, co mówili Simon i Armand... i wszystko, co rzekł i co sugerował Bartholomew Boothe.

I nagle wróciła do gry, gotowa rzucić się w sam jej środek, by bronić swego ukochanego Simona, gotowa wciągnąć w całą sprawę Lestera, czy będzie tego chciał, czy nie. Przemknęło jej nawet przez głowę, że pewnie wicehrabia nie bardziej będzie zadowolony z jej pomocy dzisiaj niż wczoraj czy jeszcze wcześniej, ale bezlitośnie zdusiła tę myśl.

- No więc, jak myślisz? - zapytała w końcu, zde gustowana, że przyjaciel tak lamentuje nad stratą tego akurat ciasteczka, kiedy na dole kuchnia jest ich pewnie pełna po brzegi. - Czy sądzisz, że Simon ma rację i Filton przyjechał tu,

by się płaszczyć? Czy też może czeka teraz na zewnątrz albo po to, żeby mnie porwać... jakby mu się coś takiego mogło udać!... albo żeby zastrzelić Simona? I czy nie sądzisz, że powinniśmy coś zrobić?

Plum rzucił ostatnie, przeciągłe spojrzenie na kosz na śmieci, potem opadł na oparcie i pokonany rozpostarł szeroko ramiona.

- Nie wiem, Callie. Dlaczego mnie pytasz? Dlaczego po prostu nie powiesz mi, co mam sądzić, jak to zawsze robisz? - zapytał ten kochany człowiek z rezygnacją, ucinając całą dyskusję z przyjaciółką, zanim zdołała swoje argumenty ubrać w słowa, i ogólnie rzecz biorąc oszczędzając jej sporo czasu.

- Tak więc, zobaczywszy tę smarkulę na grzbiecie ogiera, mogłem albo naskarżyć na nią ojcu, albo zacząć ją uczyć - powiedział Justyn, dopijając drugi kieliszek claretu. - Zdecydowałem się ją uczyć. - Uśmiechnął się. - Radzi sobie całkiem nieźle, prawda?

Roxbury przytaknęła.

- Powiedziałbym, że wyjątkowo dobrze. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać końca sezonu, kiedy będziemy mogli pojechać na wieś i znowu zobaczę, jak jeździ po męsku. - Rzucił okiem na zegar nad kominkiem i wstał. - Wydaje mi się, że ustaliliśmy wszystko, co się ustalić dało, i spędziliśmy miłą godzinę. Panowie? Może przejedziemy się teraz, tak jak planowaliśmy, i upewnimy się, że po Filtonie nie zostało nic poza niepięknym wspomnieniem?

- Ty powinienesz zostać w domu i pozwolić nam pojechać przodem, dla ostrożności - zwrócił mu po raz kolejny uwagę Bartholomew. Simon spojrział surowo na przyjaciela, dając mu do zrozumienia, że nie należy do ludzi, którzy uciekają przed kłopotami, chociaż żadnych kłopotów się nie spodziewał.

- Wydaje ci się, że on zastrzeliłby mnie w jasny dzień, Kościeju? Noel Kinsey? Nie wyobrażam sobie tego. Zupełnie nie.

- Bez trudu potrafię sobie wyobrazić, że może okazać się

wystarczającym idiotą, by desperacko wystartować do Callie, zanim zrezygnuje ze wszystkiego i się oddali - wtrącił Armand gładko, również podnosząc się i odstawiając kieliszek. - Ale na to, by strzelać do ludzi, braknie mu charakteru. Idziesz, Kościeju?

Bartholomew westchnął jak człowiek, którego nigdy się poważnie nie traktuje, i także wstał. Zaczekał, aż Justyn go wyprzedzi, i wszyscy czterej już mieli wyjść z gabinetu, kiedy zatrzymało ich niespodziewane pojawienie się Emery'ego w drzwiach.

- Słówko, jeżeli wielmożny pan pozwoli - pisnął kamerdyner, zwracając się do Simona.

- Co się dzieje, Emery? Czy masz problemy z przygotowaniami do przyjęcia? Wiem, że będzie więcej panów niż pań, ale z pewnością jakoś sobie poradzisz z rozsądzeniem gości.

Kamerdyner potrząsnął głową, a potem zaczął wykręcać sobie na wysokości żołądka ręce, przy czym wcale nie przypominał pełnego godności, starego sługi, tylko człowieka, który ma właśnie powiedzieć coś, czego okropnie powiedzieć nie chce.

- Nie o to chodzi, wielmożny panie, i nawet nie o pokojówki, które z jakiegoś nieznanego mi powodu szurają tam i na powrót krzesłami po salonie i dewastują przy tym świeżo zapastowaną podłogę. Chodzi o... o pannę Callie, wielmożny panie. Ona... jakby to powiedzieć... ona znowu zaczyna.

- Znowu zaczyna, Emery? - zapytał wicehrabia i przechyliwszy głowę na bok, popatrzył na kamerdynera, który najpierw skrzywił się, a potem jak opętany zaczął kiwać głową. - Co i jak zaczyna?

Emery głęboko zaczerpnął powietrza, popatrując kolejno na każdego z czterech mężczyzn, a potem przygarbił się i rzekł:

- To nie jest tak, żebym ja nie potrafił dochować tajemnicy - zapewnił pospiesznie, a im bardziej podniecał się i w ruchach, i w słowach, tym bardziej zawodziła go oficjalna angielszczyzna - ale nie mam pojęcia, co panienka znowu wymyśliła, wielmożny panie, a ten chłopak po prostu

robi wszystko, co ona mu każe, a do tego, wielmożny panie, on naprawdę tak okropnie wygląda w różowym.

- W różowym? - Dobry humor Simona należał do przeszłości. - Emery, czy chcesz powiedzieć, że pan Plum znowu przywdział tę suknię? Dlaczego?

Kamerdyner klasnął raz w dłonie, jakby próbował złapać jakąś ulotną myśl, a potem splótł palce, jakby zamierzał paść na kolana i się pomodlić.

- Nie wiem, wielmożny panie, naprawdę nie wiem. Ale ubrał się tak, a panna Callie włożyła spodnie, i pan Plum wziął mufkę jaśnie pani, i uśmiecha się do niej, i mówi o niej „dobry piesek”, i...

- Kościeju, podaj Emery'emu kieliszek claretu, jeśliś tak dobry - powiedział Brockton, podprowadzając kamerdynera do najbliższego fotela i popychając go, by w nim usiadł.

- Będzie cię to kosztowało tyle, co jeden karmiony węgorzami koń, Simonie - wycodził Armand, odbierając od Kościeja kieliszek i podając go kamerdynerowi. - Mówiłem, że nie uda się z niej zrobić skromniutkiej panienczki.

- Zamknij się, Armandzie, dobrze? Po prostu się zamknij - warknął wicehrabia, a potem przyciszył głos i poprosił Emery'ego, żeby był tak łaskaw zacząć od samego początku i niczego nie opuszczać. Co dokładnie robi panna Callie, gdzie ona teraz jest... chyba na górze, prawda?... i jakie ma zamiary na potem?

Claret chyba orzeźwił trochę Emery'ego, bo kamerdyner ściągnął ramiona i wziął się do wyjaśniania całej historii, tym razem zaczynając od początku i niczego nie opuszczając.

- Byłem na parterze, wielmożny panie, w holu, i sprawdziłem, jak Roberts poradził sobie z polerowaniem klamek, kiedy po schodach zeszła panna Callie z panem Plumem. Wybierali się właśnie na spacer, tak powiedziała. Tylko że panna Callie ubrana była w te swoje spodnie, a pan Plum... no, sam wielmożny pan wie, jak pan Plum wyglądał. Głupio.

- Mieli zamiar wyjść z domu? - Simon popatrzył na Gauthiera, który przestał się uśmiechać. Nikt się już nie uśmiechał.

- Tak, wielmożny panie, właśnie tak. Panna Callie była

na początku dosyć zadowolona, dopóki pan Plum nie wziął tej futrzanej muffki pani wicehrabiny i nie zaczął jej... no... głąaskać, wielmożny panie, i nazywać jej szczeniakiem. Uśmiechał się przy tym szeroko i jakoś tak chwiał się na nogach, a panna Callie trzepnęła go w ramię i powiedziała, że powinna była mieć więcej rozumu i nie zostawiać go w towarzystwie kosza na śmieci, kiedy się przebierała, tak właśnie powiedziała, jaśnie panie, chociaż nie wiem, dlaczego. A potem puściła do mnie oko i powiedziała „Raz zadziałało, Emery, raz się udało” i oboje wyszli.

- Uciekła! Bierz ją, huzia! - wykrzyknął Justyn z braterską wylewnością i ruszył do drzwi. - Spuśćcie psy i zobaczmy, czy uda nam się znaleźć jej trop.

- Ale oni nigdzie daleko nie poszli, wielmożny panie - zaprotestował Emery, ciągnąc Simona za rękaw, bo ten już ruszał za Justynem.

Wicehrabia sam nie wiedział, czy bardziej jest wściekły, czy bardziej chce mu się śmiać, tak niebotycznie absurdalna wydawała się cała ta sytuacja.

- Nie? A więc wrócili do domu?

- Prawie - pisał Emery, ponownie potrząsając głową. - Oni... oni po prostu nigdzie nie poszli, to wszystko. Są wciąż przed domem, wielmożny panie, i chodzą po chodniku, a panna Callie podtrzymuje pana Pluma pod rękę, bo on się zatacza, tam i z powrotem, tam i z powrotem, zupełnie, jakby na kogoś czekali albo kogoś szukali, coś w tym rodzaju.

- Popatrzył na Simona błagalnie. - Tak naprawdę nie robią nic złego, ale chyba dobrze zrobiłem, że panu to powiedziałem, milordzie, prawda?

- Uduszę tę smarkulę! - wybuchnął Roxbury i przechnął się obok Armanda do holu. - Nie mam pojęcia, skąd dowiedziała się, co podejrzewamy, chociaż potrafię to sobie wyobrazić, a teraz wyszła z domu po to, by osobiście sprawdzić, czy Filton wciąż jeszcze czai się w okolicy. Wiecie, ona jest przekonana, że mnie ratuje. O tak, dokładnie o tym jest przekonana. Ze wszystkich postrzelonych, idiotycznych, głupich... co się dzieje, Justynie?

Justyn stał w otwartych drzwiach, nie mogąc zdecydować się, czy ruszyć w kierunku Simona, czy zbiec na dół po stopniach na ulicę, usta miał rozchylone, dłonie zaciśnięte w pięści.

- To zupełnie nie do wiary. Kiedy otworzyłem drzwi, zdążyłem zobaczyć, jak dwóch mężczyzn wciąga do powozu Filtona Lestera i odjeżdża z nim - oświadczył, a potem odwrócił się na pięcie i zdecydował, że jednak wybiegnie na ulicę.

- Lestera? Dlaczego ktoś miałby chcieć porwać Lestera? - pytał Bartholomew, ale nie odpowiedział mu nikt.

- Callie? - szepnął Simon; przez moment nie był w stanie się poruszyć. - Callie! - ryknął i rzucił się biegiem na dół, tak że po kilku sekundach był już na ulicy i na własne oczy widział, jak miłość jego życia dosiada jednego z koni, które przed chwilą, zgodnie z jego prośbą, doprowadzono pod dom. - Caledonio Johnston! - ryknął znowu i pokazał na bruk u swoich stóp, czując się przy tym zupełnie jak jakiś przeciążony obowiązками rodzic, który karci niegrzeczne dziecko. - Proszę tu natychmiast wracać!

- Nie mogę! - odrzyknęła dziewczyna, kiedy wałach stanął dęba i energicznie zawrócił. - Kościej się mylił. On nie miał zamiaru ciebie zastrzelić. To o mnie mu chodzi. Ci idioci, którzy Lestera porwali, musieli myśleć, że on to ja. Chodź, Simonie, mam swój pistolet. Możemy ich dogonić.

- Ach, więc wzięła ze sobą pistolet - wycedził Armand, błyskając uśmiechem. - No tak, Simonie. Można by nawet uznać to za przezorność, gdyby tylko zignorować całą resztę. Nie, chyba jednak tego nie zrobię. Zakład dotyczył skromniutkiej panienczki. Nadal mi jesteś winien.

Brockton poświęcił tylko jeden moment na to, by spiorunować przyjaciela spojrzeniem, i już odbierał od stojącego z otwartymi ustami stajennego wodze swojej własnej szkapy, przez cały ten czas bezradnie przypatrując się, jak miłość jego życia oddala się w kierunku labiryntu gmachów w budowie i nieużytków, zamykających północny skraj ulicy Portland.

Zmełł w zębach kilka niepięknych słów, na co Gauthier parsknął śmiechem. Potem jednym susem dosiadł konia i ru-

szył za Callie, która pognąła za powozem, a za nim podążyli w niewielkiej odległości Armand i Justyn, i nawet Kościej, który lewą ręką wczepiał się w wodze leciwego wierzchowca stajennego, a prawą łapał kapelusz i równocześnie usiłował desperacko trafić drugą stopą w strzemię.

Gdyby jakiś obywatel przypadkiem wybrał się tamtego dnia wczesnym popołudniem na spacer, napotkana scena musiałaby wydać mu się dosyć osobliwa: zamknięty powóz ze szczelnie zaciągniętymi firankami turkotał ociężale, choć z maksymalną szybkością po bruku, a za nim w niewielkiej odległości gnało pięciu dżentelmenów na koniach, przy czym dwóch wrzeszczało na siebie, dwóch się śmiało, a jeden włókł się z tyłu z dosyć rozeźlonym wyrazem twarzy, podskakując, na wierzchowcu o grzbiecie twardym jak tarcza i pysku nieustępliwym, jak kawał starej skóry.

Callie ani odrobinę nie obchodziło to, co pomyśli Obywatelstwo. O nie. Za bardzo była zajęta wymyślaniem sobie od idiotek i próbami przekrzywienia Simona, który nie przestawał powtarzać jej, że ma zawrócić konia i skierować się z powrotem pod numer czterdziesty dziewiąty.

Dlaczego tak się uparła, by Lester jej towarzyszył? Udawali, że wybierają się na zwykłą przechadzkę, a ona przy sposobności miała bacznie przyglądać się ulicom i bocznym alejkom, szukając śladów Filtona, czającego się tam z zamiarem zastrzelenia jej ukochanego, durnowatego Simona. Ale przecież dużo łatwiej byłoby jej spacerować bez Lestera przy boku.

A jak się już zorientowała, że przyjaciel pożałował jednak to zaprawione laudanum ciasteczko, kiedy ona weszła za parawan, żeby przebrać się w spodnie? Z pewnością powinna była wtedy zmienić swój plan, bo Lester zaczął chichotać i zataczać się, i w ogóle zachowywać się tak niemądrze jak nigdy dotąd.

Ale nie. Musiała się uprzeć. Musiała zrobić wszystko po swojemu. Musiała ściągnąć z leżącego przez ręce Pluma surduta i koszulę i założyć mu przez głowę tę komiczną suknię,

a potem zawiązać pod brodą swój własny, najlepszy słomkowy kapelusz. Musiała wyprowadzić go za drzwi prosto w ręce porywaczy.

Jak mogła być taka głupia!

A jak Filton mógł być taki głupi? I jakim cudem ci ludzie, których wynajął, by porwali Caledonię Johnston, pomylili Lestera z nią? I co myśleli teraz, kiedy mieli już Lestera w powozie? Chyba zdążyli odkryć swoją pomyłkę? Chociaż porwanie Lestera nie było jedynym popełnionym przez nich błędem: minęli już Devonshire, ostatnie odgałęzienie od ulicy Portland, w które mogli skręcić, i kierowali się prosto na plac budowy na jej końcu, odcinając samym sobie drogę ucieczki.

- Zwalniają - zawołał Simon, kiedy jego wierzchowiec zrównał się z koniem Callie w miejscu, gdzie kończyła się ulica Portland, a zaczynała się płatanina na wpół ukończonych budynków i błotnistych ścieżek, przylegających do Regent's Park, terenu, który niedawno otrzymał taką nazwę. Dziewczyna podniosła oczy na Brocktona, kiedy pokazał na jakąś rezydencję w budowie i powiedział: - Zatrzymują się, tam! Daj mi swój pistolet.

Callie ściągnęła wierzchowca do stępa, posłusznie sięgnęła do kieszeni surduta i wyciągnęła pistolet o długiej lufie. Następnie podała go wicehrabiemu z pełnym skruchy uśmiechem.

- On nie miał zamiaru zastrzelić ciebie, Simonie. Okazało się, że jednak chodziło mu o mnie. Mówiłam ci przecież, że wywarłam na nim wielkie wrażenie tym, jak mnie zaurczył, prawda?

- Tak, chodziło mu o ciebie, a złapał Lestera - gniewnie odparł Roxbury, ujął wodze konia dziewczyny i zatrzymał go całkowicie, a pozostali trzej jeźdźcy zgromadzili się wokół nich. - Myślę, że zorientował się już, smarkulo, i dlatego się zatrzymał, by rzucić nam Lestera jak rybę, która jest tak mała, że nie warto jej zatrzymać.

- Filton nie zrobi mu chyba krzywdy? - zapytała Callie. Naprawdę martwiła się o przyjaciela, patrząc na tył stojącego powozu.

- Nie zrobi, chyba żeby mógł na tym zyskać. A właśnie zamierzam temu człowiekowi wyjaśnić, że mu się to nie uda - ostro powiedział Simon, oddał jej wodze i wsunął sobie pistolet do kieszeni. - A teraz nie ruszaj się stąd, żebyś wiedział, gdzie cię szukać, kiedy cię będę chciał zabić. - Potem znowu popędził wierzchowca, akurat w chwili, kiedy drzwiczki powozu otworzyły się i wysiadł z nich Noel Kinsey, prawdopodobnie w nadziei, że wynegocjuje coś w rodzaju porozumienia w zamian za bezpieczny powrót Lestera.

Callie ściągnęła wodze, powstrzymując konia, który chciał pójść za Brocktonem, i odwróciła się do Justyna. Brat szeroko się do niej uśmiechał, jakby się świetnie bawił.

- Słyszałeś? On nie mówił serio, Justynie. Simon mnie kocha. Naprawdę.

- Może cię i kocha, smarkulo, ale to nie znaczy, że nie ma ochoty cię zabić. Bóg mi świadkiem, że sam się tak czułem, i to wielokrotnie. Miejmy tylko nadzieję, że Lesterowi nic się nie stanie.

- To takie głupie, prawda? - powiedziała jego siostra cicho, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. - Chodzi mi o to, że... Lester?

- Och, sam nie wiem. Jest co wziąć w objęcia, kiedy występuje w roli kobiety - mruknął Justyn, puszczając do niej oko. - Patrz, Callie, wypchnęli go z powozu. Albo to, albo sam wypadł. Dobry Boże, przecież on się zatacza jak pijany i może wpaść w tę ogromną dziurę. Chodź, Callie, uratujemy go.

Dziewczyna popatrzyła na Lestera i zobaczyła, że jej przyjaciel, słaniając się na ugiętych nogach i wymachując rękami, posuwa się zygzakiem w stronę wielkiego wykopu w pobliżu częściowo wykończonej rezydencji. Słowo daję, pomyślała, przewracając oczami. Potrafi pochłonać całego kurczaka na jedno posiedzenie, ale z pewnością nie ma głowy do laudanum.

- Uratować go? Sama nie wiem, Justynie. Simon powiedział...

- Simon ma wystarczająco dużo zajęcia z Filtonem, ale

muszę ci zwrócić uwagę, że wybrałaś sobie strasznie głupi moment na to, by zacząć go słuchać, kiedy cię o coś prosi. Armandzie, Kościeju, podajcie Simonowi pomocną dłoń, a my z Callie zrobimy taką sztuczkę, której przed kilku laty nauczyliśmy się na cygańskim targu. Callie, pamiętasz ją?

Plum zobaczył ich i machał teraz ręką, kapelusz Callie zwiślał mu na plecach i huśtał się na zawiązanych wstążkach. Młodzieniec uśmiechał się bezmyślnie, przewalał się półprzypadkowo z boku na bok, potykał o kamienie, szedł niemal bokiem i kierował się prosto (no nie, wszystko, tylko nie prosto) na skraj głębokiego rowu.

- Pamiętam - powiedziała Callie, wbijając pięty w boki wałacha i przynaglając go, by z miejsca przeszedł w galop.

Zajęło im to tylko kilka sekund od początku do szczęśliwego zakończenia, ale mieli wrażenie, że minęło kilka godzin.

Jechali po bruku ramię w ramię, jak to często robili na polach Dorset, pędząc na złamanie karku, śmiejąc się na wietrze, jak przystało na rozdokazywane rodzeństwo. Kopyta końskie krzeswały iskry, a potem zaczęły głucho dudnić, kiedy zjechali z ulicy na ubitą ziemię terenu budowy, gdzie Lester stał, chwiejąc się na nogach, i z szerokim, niepomyślnym na nic uśmiechem unosił dłoń w pijackim pozdrowieniu, wołając do nich:

- Ju-hu! Ju-hu!

Callie na momencik zerknęła na drugą stronę powozu i zobaczyła trzech uciekających mężczyzn, którzy zniknęli w rumowisku. Najwyraźniej nie byli wystarczająco dobrze opłacani, by zostać i walczyć o swego pana. A potem uśmiechnęła się i głośno, radośnie krzyknęła, widząc, jak Simon, jej drogi, cudowny Simon kładzie Noeła Kinseya jednym ciosem, zbija tego obrzydliwca z nóg, a Kinsey ląduje zadem w wielkiej, błotnistej kałuży.

- Lester! - zawołał Brockton. Zaprzężone do powozu konie poczuły się urażone, że zostawiono je bez woźnicy, i odjechały z własnej woli, i teraz wicehrabiemu też nic już nie zasłaniało widoku na grożące Plumowi niebezpieczeństwo.

- Mamy go! - zawołał Justyn, kiedy Callie pochyliła się

na lewo, a Justyn, skierowawszy śmiało konia na wąski skrawek ziemi pomiędzy Plumem a brzegiem wykopu, pochylił się na prawo, razem wyciągnęli ręce, chwycili Lestera pod pachy, poderwali go z ziemi i unieśli w bezpieczne miejsce, z dala od wszelkich zagrożeń.

Callie już by się pakowała, gdyby nie to, że nie miała żadnych własnych ubrań poza koszulą, surdudem i spodniami, które zwinęła w kłębek i rzuciła w kącie sypialni. Faktem było, że nawet noszona przez nią suknia nie należała do niej. Tak więc zamiast otwierać i zatrząskiwać szafy i szuflady i wrzucać na chybił trafił do walizy suknie i bieliznę, zmuszona była spacerować po dywanie przed łóżkiem i wymyślać sobie od wszelkiego rodzaju idiotek.

- On cię nie znenawidził - wybełkotał Lester z ustami pełnymi lukrecjowej laseczki.

- Zamknij się, Lesterze - odrzekła krótko Callie, a potem padła przed nim na kolana. - Och, kochanie, tak mi przykro. Naprawdę nie chciałam, naprawdę.

- W porządku, Callie - powiedział Plum, klepiąc ją po głowie. - Przecież ja jestem do tego przyzwyczajony. Zamknij się, Lester. Siadaj tu, Lester. Włóż to, Lester. Nie jedz tego, Lester. - Skrzywił się z ironią. - Tego ostatniego polecenia pewnie powinienem być posłuchać. Wciąż jeszcze boli mnie głowa, jakbym wypił z tuzin butelek wina. A jakie sny miałem dziś popołudniu, kiedy leżałem na łóżku! Najpierw mi się wydawało, że mnie gdzieś wloką kudłate niedźwiedzie, a potem nosiła mnie po niebie para skrzydlatych obrazów.

- Para skrzydlatych pegazów. Wiesz, to są takie skrzydlate konie, Lesterze. - Callie zamrużyła gwałtownie oczami, powstrzymując łzy. - I to wszystko też jest moja wina. Simon mi bardzo wiele wybaczył, ale tego mi nie wybaczy. Nie widziałeś go, Lesterze, zanim odjechał z Justynem i innymi, żeby odwiedzić Noela Kinseya na posterunek straży. Był po prostu wściekły.

- Ja ci przebaczam, Callie - rzekł Plum. - Wszystko ci przebaczam. Chociaż byłoby miło, gdybyś mogła odnaleźć

tego małego psiaczka. Chyba go gdzieś po drodze zgubiłem. O, cześć, Simonie. Wróciłeś po przekazaniu Filtona władzom? Naprawdę go zamkną za to, że mnie ukradł? Callie, popatrz. Simon jest tutaj. Widzisz? Mówiłem ci, że cię nie znienawidził.

Callie podniosła się z kolan, a potem odwróciła plecami do wicehrabiego i podeszła do okna, które wychodziło na ulicę Portland. Serce waliło jej tak gwałtownie, że niemal nie mogła oddychać. Ani myśleć.

- Tak, Lesterze - usłyszała, jak Roxbury mówi do jej nietaktownego przyjaciela. - Filton siedzi zamknięty pod kluczem i ten stan rzeczy utrzyma się przez jakiś czas, dzięki... na spójkę... jego wykroczeniu przeciw tobie i całej górze długów. A twój ojciec jest na dole i szuka ciebie.

- Szuka? - skrzywił się Lester. - On nie wie o... o... no, o tych różowościach, prawda? Chyba nie miałbym ochoty się z nim akurat w tej chwili spotykać, gdyby wiedział.

- Twoja tajemnica jest bezpieczna, Lesterze - zapewnił go wicehrabia, i Callie usłyszała, jak przyjaciel kieruje się do drzwi. Opuszcza ją. Zostawia samą, żeby Simon mógł powiedzieć jej, że ma odejść i już nigdy nie kłaść progu jego domu.

- Dziękuję ci, Simonie. - Lester zatrzymał się, by potrząsnąć ręką wicehrabiego. - Dziękuję ci bardzo, za wszystko. No, chyba już teraz pójdę. Może poszukam Roberta, z nim zobaczę się z ojcem, i zapytam go, czy nie widział tego pieska, którego miałem wcześniej ze sobą. Mógł go widzieć, prawda?

- Wszystko jest możliwe, Lesterze - rzekł Brockton życzliwie.

A potem za wychodzącym młodym człowiekiem zamknęły się drzwi.

Callie upadła na duchu do reszty.

- Byłeś bardzo miły dla Lestera - powiedziała, kiedy groziło już, że trwające w pokoju milczenie ją zadławi.

- Lubię Lestera - odrzekł wicehrabia, jego głos dochodził do niej z drugiego końca obszernego dywanu.

- Byłeś też bardzo życzliwy dla Justyna.

- Lubię Justyna - stwierdził Simon, a jego głos dochodził już nie z tak daleka.

Nie odwróciła się, nie śmiała się odwrócić ani na niego popatrzeć.

- I dla Imogeny. Twojej matki. Chociaż tak dokuczacie sobie, to bardzo się kochacie.

- Droga Imogena. - Był coraz bliżej. Niemal czuła jego obecność. - Jest w tej chwili na parterze, bezgorsetu, cała szczęśliwa, mówi, że Bertie woli, żeby raczej pozostawała w pozycji pionowej, a nie pokładała się jak jakaś omdlewająca panienka.

- W głosie Simona słyhać było lekką ironię. - Tak, ona mówi do niego: Bertie. A on ją nazywa Daisy. Twierdzi, że przypomina mu ulubioną krowę. Imogenie to pochlebia, więc nie drażyłem tego tematu. Czy dobrze się czujesz?

Dolna warga Callie zaczęła drżeć. Nie cierpiała tego. Naprawdę nie cierpiała.

- Nienawidzisz mnie.

- Kocham cię.

Callie potrząsała głową, nadal obawiając się odwrócić, chociaż widok za oknem rozmazał się w jedną nieczytelną plamę, bo patrzyła przez łzy.

- Tak, kochasz mnie. Ale równocześnie mnie nienawidzisz. I to dlatego muszę teraz odejść, z powrotem do Sturminster Newton. Nienawidzisz tych moich szalonych wyskoków, tego, jak działałam bez zastanowienia. Udusiłbyś mnie, nimby tydzień minął, gdybyśmy... gdybyśmy mieli się pobrać.

- Pobrać się? A czy ktoś kiedyś mówił, że my dwoje mielibyśmy się pobrać?

Oczy Callie rozszerzyły się, wciągnęła powietrze przez nos, a potem okręciła się z zaciśniętymi pięściami, żeby stanąć twarzą w twarz z tym najbardziej irytującym, mogącym do białej gorączki doprowadzić...

- Jak śmiesz!

Mało brakowało, a za swój uśmiech oberwałby w ucho.

- Hej, kochana. Zaczynałem już zapominać, jak wyglą-

dasz. Jeśli pominąć to, że nawiedzasz mnie we wszystkich snach i w każdej chwili na jawie.

- Jesteś niemożliwy, wiesz o tym? Niemożliwy!

- Ale mnie kochasz.

Callie chwyciła go za kłapy surduta i potężnie nim potrząsnęła.

- Tak. Tak! Kocham cię!

Nakrył rękami jej dłonie, po części pewnie dlatego, że miał ochotę jej dotknąć, a po części dlatego, że uznał, iż rozsądnie będzie się bronić.

- A ja kocham ciebie, Caledonio Johnston. Kocham cię i chcę się z tobą ożenić, nawet gdybym miał przez całą noc przekonywać cię, żebyś się na to zgodziła. Powiedz mi, czy myślisz, że przez całe życie będziemy tak się zachowywać?

Callie przytuliła policzek do jego piersi, łzy płynęły już teraz strumieniem. Łzy szczęścia o smaku miłości.

- Dostałam nauczkę w ciągu tych ostatnich tygodni, Simonie. Byłam dzieckiem, kiedy przyjechałam do Londynu, ale teraz jestem kobietą. Skończył się czas wybrków.

- Och, śmiem w to jak najpoważniej wątpić, zwłaszcza że w tym akurat momencie sam mam w planie pewien mały wybrk - powiedział wicehrabia i wziął Callie na ręce. W chwilę później powoli opuścił ją na materac. Czuła się bezpieczna w tych ramionach, chętna i gotowa, by wejść w jego świat.

Przez długi czas szczerlnie zaciskała powieki - kiedy Simon całował ją, kiedy muskał dłońmi jej ciało, kiedy przyzwyczajała się do rozkosznego ciężaru, jaki przygniatał jej nogi.

Czuła, jak zaostrzają się wszystkie jej zmysły, może dlatego, że nie widziała, że wzbraniała się widzieć, że troszkę bała się widzieć.

Dotykała go, przegarniała palcami gładkie, gęste włosy. Przesunęła dłonie na gorącą, rozpaloną szyję Simona i palce zaczęły ją mrowić; zaczęła rozpinać spinki nie pozwalające jego koszuli się rozchylić.

Wdychała jego zapach, tę oszałamiającą mieszaninę tytoniu, dobrego mydła i świeżej bielizny.

Smakowała lekko słonawą skórę, przyciskając wargi do jego nagiej piersi, poczuła smak szampana, którego pił wcześniej, kiedy podała mu znowu usta, by ją jeszcze raz pocałował.

Słuchała, kiedy szeptał jej do ucha czule słowa, kiedy uspokajał, równocześnie podniecając, kiedy obiecywał opiekować się nią, nigdy nie krzywdzić, zawsze kochać. Zawsze, zawsze ją kochać...

Poczuła, jak chłodne, wieczorne powietrze opływa jej rozpaloną skórę, kiedy porozpinał guziki i suknia razem z bielizną z niej opadły.

I wciąż jeszcze szczelnie zaciskała powieki, tym razem przynajmniej bojąc się reagować spontanicznie. Była całkiem zadowolona, że w tej największej przygodzie prowadzi będzie Simon.

Głowa Callie opadła do tyłu, myśli wirowały, doświadczała nieznanych, ale cudownych wrażeń. Starła się z wysiłkiem pojąć, jak to możliwe, żeby coś było równocześnie tak cudowne i tak przerażające. Żeby ją tak poruszało i tak kompletnie paraliżowało. Żeby było wytęsknione, a przecież napełniało lękiem.

Dopiero kiedy dłoń Simona wślizgnęła się między jej uda, oczy dziewczyny gwałtownie się otworzyły i szepnęła:

- Simonie? Simonie, ja...

- Cśśś, kochana - odpowiedział szeptem gdzieś z bardzo bliska, głos miał dziwnie pokorny, pełen czci, jakby i on doświadczał czegoś nowego, cudownego, a równocześnie przerażającego... taka podróż w nieznaną, której oboje pragnęli, chociaż nie wiedzieli, jak się skończy. - Jestem tu, Callie. Jestem tutaj. Zawsze tu będę.

- Przytul mnie - poprosiła, nie dbając o to, że chyba zaczyna pojękiwać. Czuła się taka mała, zagubiona w przepastnym wszechświecie, wirowała, wznosiła się coraz wyżej, czuła, jak głęboko w jej wnętrzu coś się rozżarza, nabiera mocy, rośnie, potężnieje. - Przytul mnie!

- Na zawsze, ukochana. Na zawsze - szepnął Simon tuż przy jej ustach i przylgnął do niej, a Callie bez żadnego

ostrzeżenia ogarnęła nagle ekstaza, od której całe ciało roztopiało się, mięśnie się rozpląwały, a z gardła wyrывało się łkanie.

A potem, kiedy umysłem próbowała ogarnąć i przyswoić sobie tę rozkosz, Simon uniósł się i ułożył między jej nogami, i wszedł w nią jednym, płynnym ruchem, a jej dech zaparło w milczącym proteście, który równie szybko minął, jak się pojawił.

- Kocham cię, Callie - powiedział Simon i przez chwilę leżał nieruchomo, pozwalając jej złapać oddech. A potem zaczął się poruszać. Powoli. Delikatnie. Potem szybciej. Poruszał się w niej, razem z nią, a ciało Callie, które niewątpliwie musiało -wiedzieć dużo więcej niż umysł, reagowało spontanicznie.

I znowu pojawiła się rozkosz. I narastała. Podniecenie. Przygoda. Bardziej emocjonująca niż wszelkie inne przygody razem wzięte. Simon tulił ją, obejmował mocno ramionami, serce i swoje życie złożyła w jego ręce, i razem wzniesli się na sam grzbiet fali emocji i razem spłynęli na drugą stronę.

Przez długą chwilę leżeli potem spleceni w uścisku, zanim Simon dźwignął się, odsunął i zajrzał jej w twarz.

- Nic ci nie jest, kochanie? - zapytał, przesuwając palcem po śladzie łzy, która spłynęła po policzku. - Nie zadałem ci zbyt wielkiego bólu?

Callie podniosła na niego oczy w przygaszonej, złocistej poświacie nikaącego już słońca.

- Wcale mi nie zadałeś bólu, Simonie - powiedziała mu z całą szczerością, ponieważ wszystko, co pamiętała, wszystko, co kiedykolwiek miała pamiętać, to to, jak cudownie się w tej chwili czuła, jak bardzo kochana, jak hołubiona.

„Przekonana jestem, że są wśród nas takie, które mają predyspozycje, by dociekać tajemnic i przygody z tym związanej”, tak wyraziła się Imogena, mówiąc o akcie miłości, i Callie przypomniały się teraz jej słowa. „Ty, dziewczyno, należysz do tych szczęśliwców”.

Imogena miała rację. Podniecenie, zabawa, wszystko, za

czym tylko w życiu tęskniła, znalazła tutaj. Dokładnie tu. W ramionach Simona.

Wyciągnęła w górę dłoń i przytuliła ją do policzka ukochanego.

- Och, najdroższy, twoja matka to genialna kobieta - szepnęła, a potem rozchichotała się, kiedy jemu szczeka opadła, a twarz wykrzywiła się w komicznej konsternacji.

- Cśś, Simonie, nie musimy rozmawiać teraz - dodała, pchnęła go na plecy i wtuliła się w niego. - Będę miała całe lata, żeby ci to wytłumaczyć.